

Joy Fielding

Grand Avenue

Przełożyła z angielskiego Małgorzata Żbikowska

PROLOG

Nazwałyśmy siebie damami z Grand Avenue: cztery kobiety różniące się wzrostem, wagą i wiekiem, mające ze sobą niewiele wspólnego — tak w każdym razie sądziłyśmy przy naszym pierwszym spotkaniu dwadzieścia trzy lata temu. Łączył nas wspólny adres — ta sama cicha, porośnięta drzewami ulica. Wszystkie wyszłyśmy za mąż za ambitnych, odnoszących sukcesy zawodowe mężczyzn i byłyśmy matkami mniej więcej dwuletnich wówczas córek.

Ulica nosiła nazwę Grand Avenue i chociaż Mariemont, jedna z podmiejskich dzielnic Cincinnati, gdzie mieszkaliśmy, zmieniał swoje oblicze, Grand Avenue pozostała taka jak przed laty, z rzędem schludnych drewnianych domów oraz drogą przecinającą hałaśliwą arterię i prowadzącą dalej do parku. Rady miejscy ochrzczili ten niewielki trójkątny kawałek ziemi Wielkim Deptakiem, nieświadomi tkwiącej w nazwie ironii. Tam właśnie, przed prawie ćwierć wiekiem, los zetknął nas ze sobą, gdy biegłyśmy do trzech huśtawek, wiedząc, że czwarta będzie musiała zadowolić się piaskownicą, a jej pociecha głośnym krzykiem wyrazi światu swoje rozczarowanie. Nie po raz pierwszy i z pewnością nie po raz ostatni matka nie zdołała tym samym spełnić oczekiwań córki.

Nie pamiętam, kto przegrał ten wyścig i kto zagał rozmowę ani o czym wówczas rozmawiałyśmy. Pamiętam jedynie, z jaką łatwością wymieniałyśmy się słowami, tematami, rodzinnymi anegdotami, pełnymi zrozumienia uśmiechami, przyjmując z radością, choć z pewnym zdziwieniem rodzącą się między nami sympatię.

Najbardziej jednak utkwił mi w pamięci śmiech. Dziś jeszcze, po tylu latach, morzu wylanych łez, na przekór wszystkiemu, co się wydarzyło, na przekór niespodziewanym i niekiedy strasznym zwrotom w naszym życiu, wciąż brzmi mi w uszach jego melodia, zaskakująca żywiołowością seria chichotów, parsknięć i innych dźwięków przetaczających się między oktavami z różną intensywnością. Każdy z nich się czymś wyróżniał, bo każda z nas była inna, a mimo to łączyły się ze sobą w pełnym harmonii finale. Ten śmiech towarzyszył mi przez lata, przywoływałam go, gdy chciałam, podtrzymywał mnie na duchu w ciężkich chwilach. Może dlatego, że tak bardzo mi go później brakowało.

Tego dnia zostałyśmy w parku, dopóki deszcz nas nie wygonił, a właściwie letnia ulewa, która przyszła niespodziewanie. Wówczas jedna z nas zaproponowała, by przenieść nasze spotkanie do domu. Chyba to ja byłam

inicjatorką, bo wylądowałyśmy u mnie. A może po prostu mój dom stał najbliżej parku? Dziś już nie pamiętam. Pamiętam za to, że siedziałyśmy w wyłożonym boazerią salonie, bez butów, z mokrymi włosami i w mokrych ubraniach, popijając świeżo zaparzoną kawę i śmiejąc się wesoło, podczas gdy nasze córki baraszkowały u naszych stóp. Czuliśmy wyrzuty sumienia, że bawimy się lepiej od nich, że nasze pociechy powinny znaleźć się jak najszybciej w domu, gdzie nie będą musiały dzielić się zabawkami lub walczyć z innymi o palmę pierwszeństwa.

— Powinniśmy założyć klub — zaproponowała jedna z nas. — I spotykać się regularnie.

— Wspaniały pomysł — przyznały pozostałe. Wyciągnęłam naszą rzadko używaną kamerę filmową

Kodaka, by uwiecznić to pierwsze spotkanie. Nie miałam pojęcia, jak się nią posługiwać, zresztą do dziś nie radzę sobie z jej nowszymi odpowiednikami. Skutek więc był mało zadowalający — mnóstwo szybkich, gwałtownych ruchów i nieostre postaci z obciętymi czubkami głów. Kilka lat temu przegrałam ten film na kasetę VHS i — o dziwo — jego jakość znacznie się poprawiła. Może dzięki ulepszonej technice lub szerokiemu ekranowi telewizyjnemu o wymiarach trzy i pół na pięć metrów, opadającemu z sufitu za jednym naciśnięciem guzika. A może to wspomnienia zatarły się na tyle, by zrekompensować moje braki jako operatora, bo postaci kobiet wydają się teraz jasne i wyraźne.

Za każdym razem, kiedy oglądam ten film, największe wrażenie robi na mnie nie nasz młody wygląd, lecz świadomość, że z tych pozbawionych zmarszczek twarzy już wtedy można było wyczytać, jakie jesteśmy i jakie będziemy. Gdyby jednak ktoś poprosił mnie, bym przyjrzała się tym szczęśliwym obliczom i przewidziała ich przyszłość, nawet teraz, po dwudziestu trzech latach, kiedy już wiem, jak potoczyły się nasze losy, nie umiałabym tego zrobić. Nawet wiedząc to, co wiem, nie potrafię pogodzić się z tym, co spotkało te kobiety. Czy dlatego tak często oglądam tę taśmę? Aby znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania? A może szukam w niej wytłumaczenia? Może spokoju?

Wiem jedno — kiedy patrzę na te cztery młode kobiety, na uwiecznioną na taśmie filmowej naszą młodość, widzę cztery obce postaci. Żadna z nich nie wydaje mi się znajoma. Siebie również nie poznaję. Jestem tak samo obca jak one.

Mówią, że oczy są zwierciadłem duszy. Czy patrząc w oczy tych czterech kobiet, rzeczywiście można zajrzeć tak głęboko? A te słodkie niewiniątka w ramionach matek — czy znalazłaby się choć jedna osoba, która zdołałaby zajrzeć w głąb tych wielkich łagodnych ocząt i usłyszeć bijące serce potwora? Nie sądzę.

Widzimy to, co chcemy widzieć.

Siedzimy więc sobie w kręgu, uśmiechamy się i machamy do kamery — cztery cudownie przeciętne kobiety, których połączył ślepy los i popołudniowa ulewa. Nasze imiona są równie zwyczajne jak my: Susan, Vicki, Barbara i Chris. To

typowe imiona, jakich było wiele w naszym pokoleniu.

Nasze córki to natomiast zupełnie inna sprawa. Urodzone w latach siedemdziesiątych, poczęte w obdarzonych wyobraźnią i przekonanych o swej wyjątkowości łonach, nie mogły być zwyczajne. Odzwierciedlają to ich imiona: Ariel,

Kirsten, Traccy i Montana. Montana, którą widać przy samym brzegu ekranu, jasnowłosa cherubinek o rumianych policzkach, macha wściekle nóżkami, a jej granatowe oczka są pełne łez. Za chwilę pulchne nóżki wyprowadzą uparciucha poza zasięg kamery. Żadna z nas nie mogła zrozumieć tego nagłego wybuchu złości dziewczynki, a zwłaszcza jej matka Chris, która starała się uspokoić małą i zwabić w objęcia. Wszystko na próżno. Montana uparcie trzymała się poza kadrem, nie dając się uspokoić. Chris przez jakiś czas trwała w niewygodnej pozycji na brzegu fotela z wysokim oparciem i wyciągała ku dziecku rozwarte ramiona. Miała twarz w kształcie serca i ściągnięte w koński ogon długie blond włosy. Ta fryzura sprawiała, że wyglądała jak młoda opiekunka do dziecka, a nie prawie trzydziestoletnia kobieta. Jej oczy mówiły, że będzie czekała w nieskończoność, aż córka wybaczy wyimaginowane przewinienia i wróci w objęcia matki.

Teraz nie mogę tego zrozumieć, ale żadna z nas nie nazwałaby jej piękną. Nawet Barbara, kiedyś Miss Cincinnati i finalistka w konkursie na Miss Ohio, która nigdy nie pozbyła się upodobania do bujnych włosów i butów na wysokich obcasach, stale się zamartwiająca, że za dużo waży, i rozpaczająca na widok najdrobniejszej zmarszczki wokół wielkich brązowych oczu czy wyzywająco ponętnych warg. Siedzi obok Chris. Deszcz spłaszczył nieco szopę jej czarnych włosów i nie ma na nogach stylowych pantofelków od Ferragamo, które stoją przy drzwiach razem z innymi sandałami i tenisówkami, lecz jest nadal zjawiskowo piękna. Barbara nigdy nie włożyłaby butów na płaskich obcasach, nawet do parku, i nie miała ani jednej pary dżinsów. Zawsze była nieskazitelnie ubrana i odkąd skończyła piętnaście lat, nikt, nawet jej mąż Ron, nie widział jej bez pełnego makijażu. Wyznała nam, że od czterech lat trwania ich małżeństwa wstaje codziennie o szóstej rano, pół godziny przed mężem, by wziąć prysznic, ułożyć włosy i umalować twarz. Ron zakochał się w Miss Cincinnati — oświadczyła, jakby stała przed gronem sędziowskim. To że jest teraz mężatką, nie upoważnia jej do rezygnacji z tych czynności. Nawet w weekendy wstaje na tyle wcześnie, by zrobić poranną toaletę, nim obudzi się jej córka Traccy i zacznie domagać się śniadania.

Tracey nigdy się niczego nie domagała. Według słów Barbary była idealnym dzieckiem. Tylko raz sprawiła jej kłopot—przy porodzie. Ważyła cztery kilogramy i nie miała ochoty wyjść na świat, dlatego trzeba było zrobić cesarskie cięcie, które pozostawiło bliznę biegnącą od pępka do łona. Dzisiaj lekarze preferują mniej

szpecące i mniej rzucające się w oczy cięcie, które nie narusza tyłu mięśni i pozostawia ślad poniżej granicy bikini. Barbara przyznała z żalem, że czasy kostiumu bikini ma już za sobą. Było to jej kolejnym źródłem zmartwień i czymś, co dzieliło świat mężatki od świata Miss Cincinnati.

Patrzę, z jaką gracją Barbara zsuwa się z krzesła na podłogę i starannie wygładza spódnicę pod kolanami, by pomóc osiemnastomiesięcznej córeczce ustawiać klocki. Cierpliwie je zbiera, gdy spadają, zachęca Tracey, by ponownie spróbowała, w końcu sama je ustawia i znów zbiera, gdy mała straci zabawki. Za chwilę Tracey z ciemnymi loczkami, które odziedziczyła po matce, i twarzą porcelanowej laleczki, przytuli się do Barbary i zamknie oczy.

— Była raz sobie mała dziewczynka — słyszę ciepły melodyjny głos Barbary — z małym loczkiem nad czołem. Kiedy dziewczynka była grzeczna, to była bardzo, bardzo grzeczna. A gdy była zła, to była...

— Bardzo, bardzo złą dziewczynką! — wykrzykuje radośnie Tracey, otwierając czekoladowe oczęta.

Wszystkie wybuchamy śmiechem. Barbara śmieje się najgłośniej, chociaż jej twarz pozostaje nieruchoma. Jako kobieta trzydziestodwuletnia najstarsza z nas wszystkich, w obawie przed zmarszczkami do perfekcji doprowadziła sztukę śmiechu bez marszczenia twarzy. Otwierała usta i wydawała głośny, lekko ochryply dźwięk, nie poruszając wargami. Zupełnie inaczej niż Chris, która angażowała w śmiech wszystkie mięśnie, dowolnie rozciągając lub sznurując usta, chociaż brzmiał delikatnie i niepewne, jakby wiedziała, że będzie musiała zapłacić wysoką cenę za mile spędzony czas.

Zadziwiająco było to, że choć Barbara i Chris nie znały się wcześniej, mimo że wszystkie mieszkałyśmy przy Grand Avenue od co najmniej roku, natychmiast zostały przyjaciółkami. Potwierdziły w ten sposób słuszność powiedzenia, że przeciwieństwa się przyciągają. Pomijając różnice fizyczne — jedna blondynka, druga brunetka, jedna niska, druga wysoka, jedna o naturalnej karnacji, druga ze sztucznym podkładem — ich charaktery również były odmienne. Mimo to doskonale się uzupełniały: Chris była łagodna tam, gdzie Barbara surowa, silna, gdzie Barbara słaba, skromna, czego nie można było powiedzieć o Barbarze. Szybko stały się nierozłączne.

A oto Vicki — wdzięczy się do kamery, tak by wszyscy ją widzieli. Zawsze lubiła zwracać na siebie uwagę. Miała wówczas dwadzieścia osiem lat, była najmłodsza i najzdolniejsza z naszej czwórki. Skończyła prawo i jako jedyna pracowała poza domem, jeśli nie liczyć Susan, która studiowała literaturę angielską. Vicki miała krótkie rudokasztanowe włosy, ścięte tak, by podkreślały ostrość rysów pociągłej twarzy, oraz małe orzechowe oczy o wręcz onieśmielającej intensywności, co bez wątpienia działało na korzyść ambitnej pani adwokat pracującej w renomowanej kancelarii adwokackiej w centrum miasta. Vicki była

niższa od Barbary, wyższa od Chris i najszcuplejsza z nas, ważyła bowiem czterdzieści osiem kilogramów. Dzięki szczupłej sylwetce robiła wrażenie niezwykle kruchej osóбки, lecz miała w sobie ukrytą siłę i niespożytą energię. Nawet gdy siedziała, jej ciało zdawało się wibrować niczym kamerton. Jej córka Kirsten miała zaledwie dwadzieścia dwa miesiące, a już była odbiciem matki, z tą samą delikatną strukturą kostną, jasnymi orzechowymi oczyma i tym samym sposobem patrzenia, gdzieś za rozmówcę, jakby było tam coś ciekawszego i ważniejszego, czego nie można przegapić. Bez przerwy się wierciła, domagając się matczynej uwagi i aprobaty. Vicki poklepywała ją od czasu do czasu po główce, lecz ich oczy rzadko się spotykały. Może małą, podobnie jak nas, oślepił blask olbrzymiego brylantu pyszniącego się na trzecim placu lewej ręki Vicki, który przyćmiewał wszystko wokół i tworzył upiornie białą poświatę.

Vicki wyszła za męża za człowieka starszego od niej o dwadzieścia pięć lat, którego znała od dzieciństwa. Ona i jego najstarszy syn chodzili do jednej klasy w liceum i mieli się ku sobie—oczywiście dopóki Vicki nie wybrała ojca i nie wywołała skandalu, rozbijając rodzinę. „Nie można rozbić szczęśliwego małżeństwa” — zapewniła nas tego dnia, kradnąc tę kwestię Elizabeth Taylor. Pokiwałyśmy zgodnie głowami, chociaż nie zdołałyśmy ukryć szoku.

Vicki lubiła szokować, o czym szybko się przekonałyśmy, jak również o tym, że w głębi duszy lubiłyśmy być szokowane. Mimo licznych wad Vicki była duszą towarzystwa, iskrą rozniecającą płomień, osobą, której pojawienie się było sygnałem do rozpoczęcia przyjęcia, inicjatorką, o której dużo i często się mówiło. Nawet jeśli nie ona rozpoczynała rozgrywkę — co zazwyczaj robiła znacznie skromniejsza Susan — to biegła z piłką i pilnowała, by jej drużyna zdobyła decydujący punkt, bo zawsze grała po to, by wygrywać.

Siedząca obok żywiołowej Vicki Susan sprawiała niemal posągowe wrażenie. Z dłońmi swobodnie złożonymi na kolanach i jasnokasztanowymi włosami, schludnie podwiniętymi do wewnątrz, przypominała dziewczynę z reklamy szamponu Brecka, uosabiającą w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ideał kobiecej urody, tyle że z lekką nadwagą. W czasie ciąży przytyła bowiem aż szesnaście kilogramów, z których po urodzeniu Ariel udało jej się zrzucić jedynie dziewięć. Dodatkowe kilogramy sprawiały, że czuła się niepewnie przed kamerą, ale i tak zawsze wolała trzymać się na uboczu. Pozostałe kobiety dodawały jej odwagi, doradzały w sprawach diety i gimnastyki, a Susan słuchała — nie z grzeczności, lecz dlatego, że wolała słuchać, niż mówić. Nieco później zapisze ich rady w pamiętniku, który zaczęła prowadzić po urodzeniu Ariel. Przyciśnięta do muru przyznała, że kiedyś marzyła, by zostać pisarką, na co Vicki powiedziała, że powinna porozmawiać z jej mężem, który jest właścicielem kilku czasopism handlowych i myśli o rozszerzeniu imperium.

Susan uśmiechnęła się, bo córka łaskotała ją w bosą stopę, bawiąc się palcami, i

prędko zmieniła temat. Wolała mówić o wykładach na uniwersytecie. Były bardziej rzeczywiste od marzeń, a Susan twardo stapała po ziemi. Zrezygnowała ze studiów, gdy wyszła za męża, by pomóc mężowi skończyć medycynę. Teraz miał już dobrze prosperującą praktykę, postanowiła więc wrócić na studia i zrobić magisterium. Zapewniła swoje nowe znajome, że mąż bardzo ją w tym wspierał. Pomagała jej też mama, opiekując się Ariel w ciągu dnia.

— Masz szczęście — stwierdziła Chris. — Moja matka mieszka w Kalifornii.

— A moja zmarła, jak Traccy się urodziła — wtrąciła Barbara ze łzami w oczach.

— Ja nie widziałam matki od czwartego roku życia — oznajmiła Vicki. — Uciekła ze współnikiem ojca. Od tego czasu nie dała znaku życia, suka.

W pokoju zapadła cisza, jak zwykle przy tego typu obliczonych na efekt uwagach Vicki.

Susan spojrzała na zegarek. Za jej przykładem poszły inne. Któraś stwierdziła, że jest późno i czas wracać do domu. Postanowiłyśmy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie, ustawiliśmy kamerę na stercie książek w końcu pokoju, po czym usadowiliśmy się z naszymi córkami tak, by zmieścić się w obiektywie.

Panie i panowie, oto my.

Z brzegu Susan, w niebieskich džinsach i luźnej koszuli, trzyma na kolanach wierzącą się Ariel, zupełnie przeciwieństwo spokojnej matki.

W drugim końcu Vicki, w białych szortach i krótkiej bluzeczce, usiłuje wywinąć się z objęć Kirsten. Z figlarnymi ognikami w małych oczkach wydyma lubieżnie usta do kamery.

W środku Barbara i Chris. Chris w białych spodniach i podkoszulku w czerwono-białe paski usiłuje zatrzymać Montanę, by znów jej nie uciekła. Natomiast Traccy siedzi posłusznie na kolanach matki, a Barbara trzyma ją za rękę i macha nią do kamery.

Damy z Grand Avenue. Serdeczne przyjaciółki.

Jedna przestanie nią być, lecz wtedy jeszcze o tym nie wiedziałyśmy.

Nie potrafiłyśmy też przewidzieć, że dwadzieścia trzy lata później dwóch już nie będzie wśród żywych, a jedna z nich zostanie okrutnie zamordowana.

No i oczywiście ja.

Wciskam guzik, przewijam kasetę, sadowię się wygodniej w fotelu i puszczam film od początku. Może tym razem cała historia nabierze sensu, myślę, patrząc na pojawiające się na ekranie kobiety z dziećmi na rękach i przyszłością wypisaną na twarzach. Może znajdę wreszcie wyjaśnienie, którego szukam, i spokój, którego nie mogę zaznać, i rozwiązanie, na które czekam.

Słyszę śmiech kobiet. Opowieść się zaczyna.

Chris leżała z zamkniętymi oczami w swoim wielkim małżeńskim łóżu. Białe bawełniane prześcieradło opinało ściśle stopy i całą sylwetkę aż po szyję. Ręce

przylegały do boków, jakby spięte klamrami. Wyobrażała sobie, że jest mumią egipską spoczywającą w starożytnej piramidzie, a nad jej głową przetaczają się hordy ciekawskich turystów. To stąd ten ból głowy, pomyślała i wybuchnęłyby śmiechem, lecz przeszkadzało jej w tym dudnienie w skroniach i głuche uderzenia serca. Kiedy ostatni raz czuła się taka samotna i wystraszona?

Nie, strach to zbyt mocne słowo, pomyślała pospiesznie, kontrolując myśli, jeszcze nim powstały w jej głowie. Bardziej jednak niż strach paraliżowało ją okropne drżenie przepływające przez ciało niczym zatruty strumień i sprawiało, że zaciskała powieki, przyciskała ręce do boków i naprężała ciało, jakby miała umrzeć we śnie.

Czy umierający odczuwa taki przenikliwy, rozchodzący się po całym ciele niepokój? — pomyślała z rosnącym zniecierpliwieniem i skupiła uwagę na odgłosach porannej krzątaczki. Jej sześciolatnia córeczka Montana śpiewała, trzyletni Wyatt bawił się kolejką, którą dostał na Gwiazdkę, a w kuchni tuż pod sypialnią Tony otwierał i zamykał szafki. Po kilku minutach paraliżujący strach zmienił się w lekkie zdenerwowanie, nad którym mogła już zapanować. Wkrótce będzie mogła się przekonać, że to, co zdarzyło się w nocy, było jedynie złym snem, tworem przewrażliwionej i przemęczonej, jak powiedziałby Tony, wyobraźni.

— It's a heartache!*¹ — wykrzykiwała Montana ze swego pokoju w końcu korytarza.

— Czu-czu-czu-czu-czu — Wyatt naśladował stukot kół pociągu.

Gdzieś pod nią skrzypnęły drzwi szafki i zadźwięczały talerze.

— Nothing but a heartache!*² Otworzyła oczy.

Mam sekret, pomyślała.

Nie poruszając głową, przesunęła wzrokiem po małej sypialni. Promienie słońca przenikały przez ciężkie kremowe zasłony, pokrywając bladoniebieskie ściany widmową poświatą i wydobywając z cienia smużki kurzu nad jej głową. Czarny golf, który Tony miał wczoraj na sobie przy kolacji, wisiał na oparciu stojącego w rogu niebieskiego krzesła. Jeden z rękawów dotykał zniszczonego niebieskiego dywanu ze starą plamą po rozlanym soku jabłkowym. Drzwi do małej łazienki były otwarte, podobnie jak szafa i górna szuflada wiklinowej komody. Zegar na nocnej szafce przy łóżku wskazywał godzinę dziewiątą zero cztery.

Powinna wstać, ubrać się i sprawdzić, jak radzą sobie dzieci. Tony musiał dać im śniadanie, co wcale jej nie zdziwiło. Była niedziela, jego dzień opieki nad dziećmi. Poza tym po wielkiej kłótni zawsze bywał dla niej wyjątkowo miły. Słyszała, jak wstał z łóżka, gdy tylko Wyatt się obudził, ubrał się i ucałował ją w

¹ * To jest cierpienie (ang.).

² * Nic innego jak cierpienie (ang.).

czoło.

— Śpij — wyszeptał, omiatając jej policzek delikatnym oddechem.

Usiłowała zasnąć, lecz nie mogła, a teraz, gdy poczuła, że powieki jej opadają, było za późno. W każdej chwili dzieci znudzą się swoimi zabawkami i wbiegną do sypialni, domagając się jej uwagi. Musi wstać, wziąć prysznic i zacząć przygotowania do czekającego ją pracowitego dnia. Od-

rzuciła kołdrę, zsunęła nogi na podłogę i poszła do łazienki, czując pod stopami okruszyny herbatników.

— O Boże! — jęknęła, patrząc w lustro na opuchniętą twarz. — Wiem, że tam jesteś. — Dotknęła worków pod oczami. Czy nie była za stara na zasypianie z twarzą mokrą od łez?

Tylko że w ogóle tej nocy nie spała.

— Chris, śpisz? — spytał szeptem Tony. Kiedy nie odpowiedziała, wrócił na swoją połowę.

Więc on też nie mógł spać, pomyślała z satysfakcją, ochlapując twarz zimną wodą i kładąc na oczy zimny kompres. W końcu skóra na twarzy wróciła do normalnego wyglądu.

— Kim ty jesteś? — spytała ze znużeniem, zresztą nie po raz pierwszy, odsuwając z oczu splątane blond włosy.

— A chuj to wie — odpowiedziało głosem Vicki jej odbicie w lustrze. Zachichotała.

— It's a heartache! — śpiewała Montana za ścianą.

To rzeczywiście udręka, pomyślała, wchodząc pod prysznic. Odkręciła kran i poczuła na plecach, ramionach i nogach ostre smagnięcia gorącej wody. To co się stało tej nocy, było w jednakowym stopniu zarówno jej winą, jak i Tony'ego. Podstawiła głowę pod prysznic. Strumień wody rozdzielił jej włosy i spłynął kaskadą po twarzy.

Czy dzieci słyszały ich kłótnię? W uszach zabrzmiało jej odległe echo krzyczących na siebie rodziców. Od tego czasu minęło trzydzieści lat, a ich głosy nie straciły na ostrości. Przypomniała sobie, jak leżała w łóżku, słuchając kłócących się na dole rodziców. Ich gniewne głosy odbijały się od ścian pokoju, jakby chciały ją wchłonąć, niecierpliwie krążyły po korytarzu, a w końcu wślizgnęły się przez szpary w podłodze i wypełniły powietrze, którym oddychała. Zakryła twarz poduszką, nie chcąc, by trucizna przeniknęła do płuc, i przycisnęła dłonie do uszu, by stłumić nieprzyjemne odgłosy. Raz nawet schowała się w szafie, lecz głosy przybrały na sile, aż w końcu miała wrażenie, że ktoś tam jest razem z nią. Spod wiszących sukienek kłuły ją niewidzialne palce, a na policzkach czuła dotyk języków. Wybiegła z krzykiem z szafy, wskoczyła do łóżka, naciągnęła kołdrę na głowę i zeszywniała z rękami przyciśniętymi do boków i zaciśniętymi powiekami. Przeleżała tak do rana. Tej nocy zrobiła dokładnie to samo. Czy ona

nigdy nie dorosnie?

Zakręciła wodę, wyszła spod prysznica, owinęła głowę miękkim niebiesko-białym ręcznikiem, a drugi zawiązała nad piersiami. Na szczęście lustro zaparowało, nie musiała więc na siebie patrzeć. Otworzyła drzwi do łazienki i weszła do sypialni, czując na ramionach powiew chłodniejszego powietrza.

— Cześć, kochanie — powiedział Tony od strony okna. Skinęła głową, uparcie patrząc w podłogę. W pokoju

roznosił się zapach świeżych naleśników.

— Przyniosłem ci śniadanie do łóżka.

Usiadła na łóżku, oparła się o poduszki i patrzyła, jak pojawia się przed nią taca, a na niej naleśniki z borówkami, szklanka świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, dzbanek aromatycznej kawy, maselniczka, dzbanuszek z prawdziwym syropem klonowym i plastikowa stokrotka w szklanym wazoniku.

— Nie musiałeś tego robić — powiedziała cicho, nadal nie podnosząc wzroku. Nie zasługuję na to, pomyślała.

Tony usiadł w nogach łóżka. Czowała, że patrzy na nią, jak smaruje masłem naleśniki, polewa je syropem, po czym ostrożnie po kawałku unosi do ust. Z każdym kęsem stawała się głodniej sza, a z każdym łykiem bardziej spragniona. W ciągu kilku minut z talerza zniknęły naleśniki, ze szklanki sok, a z dzbanka kawa.

— Smakowało? — spytał Tony. W jego głosie brzmiał śmiech.

— Tak — odparła, nie podnosząc wzroku. Wiedziała, że jeśli na niego spojrzy, będzie po wszystkim.

— Przepraszam, Chris — powiedział.

— Tony... — zaczęła..

— Wiesz, że nie chciałem.

— Proszę cię...

— Wiesz, jak bardzo cię kocham.

Poczuła łzy pod powiekami. Boże, czy ona nigdy nie przestanie płakać?

— Tony, proszę...

— Spójrz na mnie — poprosił. — Tak bardzo mnie nienawidzisz, że nie możesz na mnie patrzeć?

— Nie nienawidzę cię. — Uniosła wzrok, omiatając go szybkim spojrzeniem.

Trudno było o nim powiedzieć, że jest cudowny jak mąż Barbary, czy dystyngowany jak mąż Vicki lub też łagodny, co najlepiej pasowało do męża Susan. Wystarczyło jednak, by na ciebie spojrzał, i nie było odwrotu. Męczyzna zagadka — oznajmiła Barbara. Niebezpieczny — dodała Susan. Seksowny — podsumowała zwięźle Vicki. Nieoszlifowany diament — stwierdziły zgodnie.

I to mocno nieoszlifowany, pomyślała Chris, patrząc, jak mąż przysuwa się do niej i muska dłonią jej nogi, wywołując dreszcz, który niczym prąd elektryczny przenika ciało i serce. Nie był wysokim mężczyzną, bo miał zaledwie metr

siedemdziesiąt wzrostu, krępa budowę ciała i mocno umięśnioną sylwetkę, chociaż szczupłe ramiona na to nie wskazywały. Ubrany był w dżinsy i zielony sweter — prezent od niej na ostatnie urodziny — pasujący do koloru jego oczu. Miał gęste kasztanowe włosy z siwym pasemkiem na skroni. Opowiadał wszystkim, że to efekt urazu przeżytego w dzieciństwie, lecz za każdym razem był to inny uraz. Podobnie rzecz się miała z blizną biegnącą od lewego ucha ku policzkowi. W ciągu jedenastu lat ich małżeństwa Chris słyszała już tyle wersji, że nie potrafiłaby powiedzieć, czy to efekt nieszczęśliwego upadku w dzieciństwie, groźnego wypadku samochodowego czy bójki w barze. Prawda była zapewne bardziej prozaiczna, chociaż nigdy nie przyszło jej do głowy kwestionować jego wyjaśnienia. Tony lubił dramatyzować. Wyolbrzymiał najdrobniejsze i najbardziej nawet prozaiczne sprawy. W tym tkwił jego urok, to ładowało mu akumulatory i dodawało inwencji twórczej. Wystarczyło otworzyć gazetę, by natknąć się na jedną z jego reklam, lub przejść się po mieście, by zobaczyć zaprojektowany przez niego billboard. To on wymyślił „Koci miausmak” i „Sery na każdy gust” — reklamy promujące sery Dairyvale'a. Był najszybciej awansującym dyrektorem artystycznym w historii agencji reklamowej Warsha i Rubicana. Pomógł mu w tym talent do koloryzowania. Właśnie ta jego bujna wyobraźnia tak ją zauroczyła. Tony sprawiał, że świat był kolorowy, prosty i bez barier.

Uśmiechnęła się mimowolnie. To mu wystarczyło. Przysunął się bliżej, odstawił tacę na podłogę i ujął dłonie Chris.

— Tony...

— Chris, to więcej się nie powtórzy. Obiecuję.

— Nie może.

— I nie powtórzy.

— Przestraszyłeś mnie.

— I siebie też — przyznał. — Słyszałem ten krzyczący głos. Nie mogłem uwierzyć, że to byłem ja. I te straszne rzeczy, które powiedziałem...

— Nie to miałam na myśli.

— Wiem. Wybacz mi. Czy mogę? — pomyślała.

— Może powinniśmy zasięgnąć czyjejs rady.

Wstrzymała oddech, przygotowując się na wybuch wściekłości. Czyż Tony nie mówił, co myśli o psychologach? I że nie pozwoli, by jakiś przemądrzały szarlatan wtrącał się w jego prywatne życie?

— Psycholog nic tu nie pomoże — odpowiedział cicho.

— Nie wiadomo — upierała się Chris. — Moglibyśmy przynajmniej spróbować. Jeśli mamy jakieś problemy...

— Wylali mnie.

— Co?! — Chris była pewna, że się przesłyszała. — O czym ty mówisz?

— Zwolnili mnie — powtórzył bez dalszych wyjaśnień. Słowa wirowały jej

przed oczami jak smugi kurzu w promieniach słońca. Starła się je pochwycić, zatrzymać na tyle długo, by zrozumieć ukryte w nich znaczenie, lecz nie mogła.

— Zwolnili cię? — powtórzyła bezradnie, jakby to miało jej pomóc. — Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami.

— Dań Warsh powiedział, że potrzebuje świeżego spojrzenia, nowych pomysłów.

— Przecież zawsze podobały im się twoje pomysły: „Koci miausmak” i „Sery na każdy gust”. Myślałam, że podobały im się kampanie reklamowe.

— To było w zeszłym roku. Teraz jest tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi, Chris. Mamy recesję. Każdy się boi.

— Ale... — zaczęła i urwała. Zawsze jej mówił, że należy wiedzieć, kiedy trzeba odejść. — Kiedy to się stało?

— W piątek rano.

— W piątek?! Czemu mi nie powiedziałaś?

W oczach Tony'ego zabłyśły łzy. Odwrócił się.

— Chciałem ci o tym powiedzieć wczoraj wieczorem. Wciągnęła głęboko powietrze. Usiłowała przypomnieć

sobie, co zaszło tej nocy, nim sprawy wymknęły się spod kontroli. Tak bardzo jednak starała się usunąć wszystkie gniewne słowa z pamięci, że teraz pozostały jedynie jakieś fragmenty zdań, zamazane obrazy, które jak płatki śniegu uderzały w szybę samochodu podczas zawieruchy. Tony zawsze miał jej za złe, że go nie słucha. Czyżby miał rację?

— Tak mi przykro — powiedziała, przyciągając jego głowę do piersi.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił ją pospiesznie. — Znajdę jakąś pracę.

— Oczywiście, że znajdziesz.

— Nie chciałem, żebyś się martwiła.

— Nie martwię się. Żałuję tylko, że mi nie powiedziałaś. Może nie doszłoby...

— Nie myśl, że staram się w ten sposób wytłumaczyć moje wczorajsze zachowanie...

— Wcale tak nie myślę.

— Przekroczyłem granicę.

— Zdenerwowałaś się utratą pracy.

— To nie daje mi prawa, by wyładowywać się na tobie.

— Oboje jesteśmy winni. Tak mi przykro, Tony...

— Kocham cię, Chris. Tak bardzo cię kocham. Mam gdzieś tę cholerną pracę. Mogę stracić milion prac, ale nie ciebie.

Chris przelknęła, wytarła usta i rozmasowała szczękę. W tym czasie Tony podszedł do drzwi sypialni i otworzył je. Montana i Wyatt natychmiast wbiegli do środka, wskoczyli na łóżko i usadowili się na kolanach matki.

— Śmiesznie pachniesz — stwierdziła Montana.

— Poranny oddech — wyjaśnił Tony, mrugając porozumiewawczo, po czym chwycił Wyatta i uniósł wysoko w górę, aż chłopczyk pisnął z uciechy.

Montana wysunęła się z objęć matki i objęła Tony'ego za nogi.

Bez wysiłku uniósł ją w górę drugą ręką.

— Kto zdobędzie puchar Super Bowl? — zapytał.

— Bengalsi! — krzyknął Wyatt.

— Mój chłopak!

— Bengalsi! Bengalsi! — wrzasnęła Montana jeszcze głośniejszym głosem, nie chcąc być gorsza.

Boże, Super Bowl, pomyślała Chris, machinalnie przykrywając dłonią usta. Zupełnie zapomniała. Czekają ją tyle pracy, a jeszcze nie pomyślała, co poda na kolację.

— Chris — odezwał się Tony, gdy dzieci wyszły z sypialni. — Gdybyś mogła nie mówić o tym, że straciłem pracę...

— Oczywiście.

— Przynajmniej nie dzisiaj. • — Jasne.

— Po co psuć przyjęcie?

— Rozumiem — uśmiechnęła się. Teraz mam już dwa sekrety, pomyślała.

Cała czwórka rozsiadła się wokół okrągłego sosnowego stołu, który zajmował większą część małej kuchni Chris. Na środku stały otwarte butelki z czerwonym i białym winem oraz kilka kieliszków o różnym poziomie zawartości.

W przerwach między plotkowaniem i sączeniem chardonnay Chris skrobała marchewkę, Vicki bawiła się końcówkami loczków niedawno zrobionej trwałej ondulacji, w której zupełnie nie było jej do twarzy, a Susan i Barbara śmiały się, przeglądając najnowszy numer „Cosmopolitan”. Wszystkie prócz Barbary miały na sobie swobodne stroje — swetry i dzinsy — tylko Vicki zamiast dzinsów włożyła spodnie ze skóry. Barbara ubrana zaś była w długą ciemnoniebieską welwetową spódnicę.

— To jest przyjęcie z okazji rozgrywek baseballowych, a nie wesele — zażartowała na jej widok Vicki.

— Wiem, wiem — odparła Barbara, wstrząsając palcami.

— Ona zawsze się tak ubiera — stanęła w jej obronie Susan.

W pokoju na dole ich mężowie popijali piwo i patrząc w ekran telewizora, głośno dopingowali swych faworytów lub okazywali niezadowolenie. W salonie siódemka dzieci — pięć dziewczynek i dwóch chłopców — chrupała prażoną kukurydzę i oglądała po raz nie wiadomo który Piot-rusowego smoka pod czujnym, chociaż zmęczonym wzrokiem opiekunki zatrudnianej w weekendy przez Vicki.

— Jak myślicie, w czym tkwi jej sekret? — spytała nagle Susan.

Dłoń Chris skrobiąca marchew znieruchomiła, a ona sama poczuła, że wszystkie oczy skierowały się w jej stronę. Skąd one wiedziały, pomyślała, oblewając się rumieńcem o odcieniu przypominającym trzymaną w ręku marchewkę. Milczała, bo żadnej z nich nie ufała. Czy to możliwe, by tak były wyczulone na problemy drugiego człowieka? Czy czteroletnia zaledwie przyjaźń wystarczyła, by ochronny radar był taki czuły? Czy nawet najbardziej osobisty i wstydlivy sekret się przed nimi nie ukryje?

Wolno uniosła głowę, szykując kilka kłamstw: „Sekret? Jaki sekret? Nie, nic złego się nie dzieje”. A gdyby nie dawały jej spokoju, gdyby nie chciały przyjąć tych wyjaśnień i nie dały się zwieść kłamstwom, to co wtedy? Powie im prawdę?

Okazało się jednak, że nikt na nią nie patrzy. Susan i Barbara wciąż były zajęte czasopiśmem. Nawet Vicki przestała się bawić niesfornymi loczkami i wpatrywała się w fotografię Raquel Welch w skąnym białym bikini, ćwiczącą jogę na słonecznej plaży w Malibu.

— Jej sekret? — powtórzyła Barbara. — Żarty się ciebie imają?

— Chyba nie operacje plastyczne — powiedziała Susan.

— Oczywiście, że tak — odparła Barbara.

— Mówisz tak o każdej kobiecie.

— Bo to prawda. Dajcie spokój, dziewczyny, ona ma ponad czterdzieści lat.

— Słyszałam, że usunęli jej dwa zębra — wtrąciła Vicki.

— Bardzo możliwe — rzekła Barbara.

— Myślicie, że cycki też ma zrobione?

— Nie.

— Tak.

— Jeśli tak, to chcę adres jej chirurga — powiedziała Barbara. — Zrobił wspaniałą robotę.

— Tak — przyznała Vicki. — Zwykle po takiej operacji masz dwa wielkie balony z sutkami o trzydzieści centymetrów za wysoko. Wygląda to śmiesznie. Na pierwszy rzut oka widać, że są sztuczne.

— Mężczyznom to nie przeszkadza — odrzekła Barbara. Z dołu dobiegł wielki ryk radości. — Zawsze będą im się podobały, bez względu na to, czy są sztuczne.

— Miałyście kiedyś operację plastyczną? — spytała Chris, wypuszczając powietrze z płuc i przyłączając się do rozmowy.

— Nigdy — odpowiedziała Susan, zamykając pismo zdecydowanym ruchem.

— Nigdy nie mów: nigdy — poinstruowała ją Vicki, nalewając sobie kolejny kieliszek czerwonego wina.

— Ja zamierzam sobie kiedyś zrobić — oznajmiła Barbara. Poklepała się po obfitym biuście osłoniętym jasnoniebieską jedwabną bluzką. — Jak tylko mi zwiotczeją, sprawię sobie nowe. Przy pierwszej zmarszczce kładę się na stół operacyjny. I żadne tam takie gadanie, że proszę zrobić tak, żebyśmy wyglądała

świeżo. Chcę wyglądać, jakbym dopiero co wyszła z tunelu aerodynamicznego. Kobiety wybuchnęły śmiechem.

— Chyba zwariowałaś — stwierdziła Chris. — Dlaczego chcesz poprawiać tak piękną twarz?

— A czy nie można się ładnie zestarzeć? — spytała Susan.

— Daj spokój — odparła Barbara. — Cóż ładnego jest w starości?

— Dlatego trzeba było wziąć sobie starszego męża

— oznajmiła Vicki. — W ten sposób zawsze będziecie młode.

— Tak, tylko czy to nie jest kompromis? — spytała Barbara, unosząc starannie wyskubaną brew.

— Nie rozumiem.

— Może ty będziesz młoda... — mrugnęła. — Ale czy im będzie stawać?

Chris pisnęła, a rumieńce na jej twarzy stały się jeszcze bardziej wyraźne. Odskoczyła od stołu, pospiesznie wrzuciła resztki ze skrobania marchwi do kosza pod zlewem, a warzywa do drewnianej miski stojącej na wyłożonym kafelkami blacie.

— Chris, natychmiast wracaj — rozkazała Vicki. — Mówimy o bardzo ważnych sprawach.

— Nie wiem, czy powinniśmy mówić o tych sprawach

— odpowiedziała Chris, usiłując wyrzucić z pamięci nabrzmiałego penisa Tony'ego tańczącego jej przed oczami i nie czuć jego ruchów w swoich ustach.

— Przecież zawsze o tym rozmawiamy — zaprotestowała Vicki.

— Tak, ale... — Chris zerknęła w stronę salonu.

— Znasz to powiedzenie, że dzieci wszystko słyszą?

— Ale my mówimy o dużych dzieciach — zaśmiała się Vicki. — Poza tym zostałam sprowokowana. Nie mogę nie odpowiedzieć na takie wyzwanie.

— A więc są jakieś problemy w tej kwestii? — spytała Barbara. — Jeremy ma teraz ile... sześćdziesiąt lat?

— Pięćdziesiąt siedem — sprostowała Vicki.

— I?

— I wszystko jest w tej kwestii w jak najlepszym porządku. — Vicki pociągnęła długi łyk wina. — A gdyby nawet, zawsze można znaleźć zastępcę.

— Co takiego?! — rozległy się pełne zaskoczenia okrzyki.

— Boże! O czym ty mówisz? — spytała Barbara.

— Hej, uciszcie się! — zawołał z dołu Tony.

— Potrzebujesz pomocy, kochanie? — zabrzmiał głos Jeremy'ego.

— Nie, dziękuję, kochanie! — odkrzyknęła Vicki.

— Co ty właściwie miałaś na myśli? — spytała Susan. Vicki uśmiechnęła się.

— Wszyscy wiemy, że odmiana nadaje życiu pikanterii. Chris pospiesznie wróciła na swoje miejsce przy stole.

- Masz romans?
- Nie bądź taka zszokowana. Przecież to i tak nic nie znaczy.
- Jak to nic nie znaczy? — spytała Susan.
- To czysty seks — rzekła Vicki, jakby to stwierdzenie wszystko wyjaśniało.
- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie miałaś romansu?
- Dokładnie to chcę powiedzieć — odparła Susan.
- Nigdy nie mów: nigdy — ponownie upomniała ją Vicki.
- A jeśli Jeremy się dowie?
- Nie dowie się.
- Jak możesz być taka pewna?
- Bo przedtem też się nie dowiedział.
- Boże!
- Nie mogę w to uwierzyć!
- Co tam się dzieje? — rozległ się głos Tony'ego.
- Dopiero teraz nam o tym mówisz? — spytała Barbara, patrząc na nią spod zmrużonych powiek.
- Trzeba wiedzieć kiedy — odrzekła Vicki.
- Maamo! — zabrzmiał dziecięcy głos.
- Tak? — odpowiedziały jednocześnie wszystkie cztery.
- Whitney ma za dużą głowę. Nic przez nią nie widzę. Susan westchnęła.
- Jej siostra ma za dużą głowę — oznajmiła przyjaciółkom. — Pocałuj ją, Ariel! — odkrzyknęła. — To się skurczy.
- Mówiąc o kurczeniu się... — zaczęła Vicki.
- Jesteś okropna. — Barbara zaśmiała się, widząc, że Chris spuszcza wzrok.
- Spójrz, wprawiasz w zakłopotanie naszą gospodynię.
- Naprawdę? Uwielbiam to. Naprawdę wprawiałam cię w zakłopotanie?
- Może porozmawiamy o czym innym — zaproponowała Chris.
- Na przykład o czym?
- Nie wiem. O polityce, literaturze. Czytałyście ostatnio jakąś dobrą książkę?
- Spojrzała na Susan. Susan zawsze coś czytała.
- W czasie świąt przeczytałam nową powieść Johna Irvinga.
- No i jak?
- Podobała mi się.
- Nudziarstwo! — stwierdziła Vicki z ostentacyjnym ziewnięciem. — Dajcie spokój, dziewczyny. To nie czas na dyskusje intelektualne. Porozmawiajmy o czymś konkretnym. — Wskazała na okładkę „Cosmopolitan”. Jak osiągnąć wielokrotny orgazm? — krzyczał jeden z nagłówków.
- Więc która z tutaj obecnych, oczywiście poza mną, osiągnęła wielokrotny orgazm?
- Ty naprawdę nie dajesz za wygraną — stwierdziła Barbara.

— Doznajesz wielokrotnych orgazmów? — wyrwało się Chris.
— Czasami — odparła Vicki, wzruszając ramionami.
— A ty nie?
Chris podniosła kieliszek do ust. Dość już mam tych sekretów, pomyślała.
— Nigdy nie miałam orgazmu — odpowiedziała.
— Chciałaś powiedzieć, że nigdy nie doświadczyłaś wielokrotnego orgazmu — poprawiła ją Vicki.
— Chciałam powiedzieć to, co powiedziałam.
— Chyba nie mówisz poważnie.
— Ja też nie osiągam orgazmów — wyznała szeptem Barbara.
— Nie blaguj — prychnęła Vicki. — Przecież sama mówiłaś, że Roń jest świetny w łóżku.
— Bo jest. — Barbara natychmiast stanęła w obronie męża. — To nie jego wina, że nie osiągnięli orgazmu.
— A niby czyja? — spytała Vicki, po czym przeniosła wzrok na Susan. — A ty?
— Czas sprawdzić, co u dzieci—powiedziała Susan, pospiesznie wstając ze stołka i znikając w salonie.—No i jak sobie radzicie?—zwróciła się z pytaniem do gromadki pociech.
— Głowa Whitney wcale się nie zmniejszyła — poskarżyła się Ariel.
— To mi przypomina seks oralny — powiedziała Vicki, patrząc na Barbarę i Chris.
— Jakim cudem do tego doszłaś?
— To najpewniejszy sposób na osiągnięcie orgazmu. Wierzcie mi, wytrwały język jest lepszy od twardego kutasa. Chyba wasi mężowie lubią to robić?
Chris i Barbara wymieniły ukradkowe spojrzenia.
— W zasadzie to Roń lubi być stroną odbierającą
— przyznała Barbara, a Chris utkwiała wzrok w podłodze. Tony w ogóle nie lubił seksu oralnego.
— A kto powiedział, że błogosławieni są ci, którzy dają? — spytała Vicki.
— Na pewno nie Roń — odrzekła Barbara.
— Zdaje się, że Jezus — powiedziała Chris.
— Wciąż rozmawiacie o seksie?—spytała Susan, wracając do kuchni.
— A więc nawet Jezus o tym mówił — stwierdziła Vicki.
— Będziesz palić się w piekle — zaśmiała się Barbara.
— Wszyscy się spalimy — orzekła Chris, przekonana, że to prawda.
— Coś się pali? — spytał Tony, wchodząc do kuchni. Cmoknął Chris w czoło i podszedł do lodówki.
— Koniec meczu? — Chris patrzyła, jak mąż wyjmuje butelki z piwem.
— Żartujesz? Walka dopiero się rozpoczęła.

— Kto wygrywa?

— Dobrzy faceci. — Tony puścił do niej oko.

— Czy to nie jest przypadkiem oksymoron? — spytała Vicki.

— Nie wyrażaj się — zażartował Tony. — O czym wy tu właściwie gadacie?

— O polityce — odparła bez zmrużenia oka Barbara.

— O literaturze — dodała Susan.

— To wyjaśnia te wszystkie ochy i achy — stwierdził Tony, wychodząc z kuchni.

Kobiety wybuchnęły śmiechem.

— Chcesz powiedzieć, że ten seksowny mężczyzna nie lubi lizania? — spytała Vicki. — To mogłaby być podstawa do rozwodu. A propos, powiem wam kawał— dodała prawie na jednym oddechu. — Dlaczego rozwód jest taki kosztowny?

— Dlaczego? — spytały jednocześnie wszystkie trzy.

— Bo jest tego wart.

Jeszcze długo po wyjściu gości Chris słyszała śmiech przyjaciółek. Zamknęła oczy, delektując się jego brzmieniem.

— Chris! — zawołał z góry Tony. — Idziesz spać?

— Tylko skończę zmywanie — odpowiedziała, wyjmując szklanki ze zmywarki i odstawiając je na półkę.

Gładkie szkło przyjemnie grzało wnętrze dłoni. Przyjęcie było udane. Wszyscy coś przynieśli na kolację—Barbara sos oherzynowy, Susan swoje sławne pieczone kartofle, Vicki efektowny mus czekoladowy. Przyznała się jednak, że zrobiła go jej gospodyni. Wszyscy zachwycali się żeberkami pani domu. Sekret tkwił w odpowiedniej ilości czosnku. Nie został ani jeden kawałek, za to mnóstwo sałatek.

Chociaż Cincinnati przegrało w końcu z San Francisco dwadzieścia jeden do dwudziestu sześciu, Tony był szczęśliwy, bo przewrotnie postawił na drużynę gości i wygrał od współbiesiadników sześćdziesiąt dolarów. Tylko kilka razy w/prawił Chris w zdenerwowanie.

— O czym wy tam w kuchni rozmawialiście? — dopytywał się. — Vicki tak dziwnie mi się przyglądała. Coś jej powiedziałaś.

— Oczywiście, że nie — zapewniła go. — Nie martw się, Tony. Wszystko jest w porządku.

Czy rzeczywiście tak było?

Zamknęła drzwiczki od kredensu i przez ciemny salon przeszła do hallu, pozostawiając za sobą zapach prażonej kukurydzy unoszącej się z kanapy i krzeseł. Poruszyła gałką u drzwi wejściowych, by sprawdzić, czy są zamknięte, lecz zaraz potem otworzyła je i wyszła na dwór. Była bezchmurna, chłodna noc. Na usianym gwiazdami niebie świecił księżyc. Na trawnikach przed domami leżał śnieg. Rozejrzała się po pustej ulicy. Albrightowie mieszkający trzy domy dalej pokryli dach cedrowym gontem, a zniszczony ceglany komin miedzią. Tony powiedział, że

oszaleli, bo miedź zrobi się po pewnym czasie zielona i będzie to ohydnie wyglądało. Chris się z nim nie zgadzała. Uważała, że byłoby ładnie.

Inni mieszkańcy również coś zmieniali. O'Connorowie z naprzeciwnika mówili o dobudowaniu na wiosnę dodatkowego pokoju, co wywołało poruszenie wśród sąsiadów, którzy uważali, że może to naruszyć harmonię krajobrazu. „Niektórzy ludzie po prostu nie lubią zmian” — stwierdziła Susan i dodała, że z Owenem zastanawiają się nad powiększeniem kuchni. Chris myślała o oszklonym solarium. Zawsze o czymś takim marzyła.

— Chris! — zawołał Tony z domu. Odwróciła się w stronę głosu. Czas się położyć. Większość domów tonęła w ciemnościach, ich mieszkańcy udali się na spoczynek. A może ktoś obserwuje ją zza rzędu oryginalnych, przedzielonych słupkami okien?

Co by było, gdyby rzuciła się do ucieczki? Gdyby zamknęła za sobą drzwi i pobiegła ulicą? Czy ktoś by to zauważył? Jak daleko dotarłaby bez zimowych butów, pieniędzy czy dowodu? Kiedy Tony zacząłby jej szukać? Ile kilometrów byłaby w stanie zrobić, nim musiałaby zawrócić? Przecież nie mogła zostawić dzieci. Zresztą dokąd by poszła?

— Chris! — rozległ się głos Tony'ego.

Usłyszała jego kroki na korytarzu. Pochyliła się w stronę ulicy, jakby stała na szczycie wieżowca. Uniosła nogę, szykując się do skoku. Uciekaj, namawiał wewnętrzny głos. Nie oglądaj się za siebie.

Drzwi za nią się otworzyły.

— Chris, co ty tam robisz? — spytał Tony. Pozwoliła, by wciągnął ją do środka.

— Na litość boską na dworze jest mróz. — Zaczął rozcierać jej rękę. Dopiero wówczas zdała sobie sprawę, jak jest zimno. — Co tam robiłaś?

— Nic — odparła. — Po prostu patrzyłam. Jest taka piękna noc.

— Dobrze się czujesz? Skinęła głową.

— Na pewno? Od kilku dni dziwnie się zachowujesz.

— Nic mi nie jest — odparła, dostrzegając niepokój w jego oczach. Pogładziła go po policzku. — Jak dzieci?

— Śpią jak aniołki — odpowiedział. Uśmiechnął się i objął ją w talii. — A jeżeli o nich mowa... — Uniósł znacząco brew.

Natychmiast poczuła ucisk w piersiach.

— Tony, to nie najlepszy czas na planowanie kolejnego dziecka.

— Znajdę sobie pracę, Chris. Czy tym się martwisz?

— Nie martwię się.

— W takim razie o co chodzi?

— Już o nic — odparła pośpiesznie.

— To dobrze. — Mocniej przycisnął ją do siebie. — W takim razie chodźmy

spać.

— Przepraszam. Czy pani Barbara Azinger?

Barbara uniosła wzrok znad karty, którą studiowała od pół godziny. Czytała ją tak długo, że powinna znać ją na pamięć. Kiwnęła twierdząco głową.

— Tak — powiedziała ciepłym głosem i popatrzyła na kelnera spod rzęs pokrytych grubą warstwą tuszu.

Czy ten młody człowiek uważa, że jestem atrakcyjna?

— pomyślała, zwracając głowę lekko w lewo, bo tę stronę uważała za lepszą. Czy on domyśla się, że była kiedyś Miss Cincinnati i drugą wicemiss Ohio? Oczy jej pociemniały. Możliwe, że nie było go jeszcze na świecie, gdy ona z dumą kroczyła po wybiegu z wielkim bukietem czerwonych róż.

— Telefon do pani.

Mimo młodego wieku zdołał do perfekcji doprowadzić sztukę okazywania wyższości charakterystycznej dla takich lokali, jak „Foxfire Grille” na Belvedere Street, w samym sercu Mount Adams. Jakiś dziennikarz przyrównał kiedyś tę urokliwą starą dzielnicę Cincinnati do San Francisco. Obnosiła swoją dumę niczym ciężką zbroję, która groziła zgnieceniem niewielkiego terenu.

— Przy barze—dodał kelner, wskazując brodą na front wąskiej, wyłożonej terakotą restauracji.

Zdjęła z kolan płócienną serwetkę w kolorze brzoskwiniowym i starannie wygładziła fałdy na niebieskiej spódnicy w okolicy bioder. Potwierdzały one to, co wskazała dziś rano waga: przybyło jej około kilograma. Bzdura, to tylko nadmiar płynów w organizmie, pomyślała, wsłuchując się w stukot wysokich obcasów po wyłożonej terakotą podłodze i czując na sobie wzrok kelnerów. Przypomniała sobie, jak przed laty kroczyła po wybiegu w kostiumie kąpielowym i pantofelkach na wysokich obcasach podobnych do tych, które teraz miała. Podniosła słuchawkę do ucha, starając się nie strącić wyimaginowej korony. Ciekawe, czy ją poznali? A może po prostu litowali się nad nią? Widzieli, jak od ponad trzydziestu minut siedzi samotnie przy stoliku. Spodziewali się, że w końcu wstanie. Odsunęła od ucha długie czarne włosy, lecz wysoka fryzura chroniona grubą warstwą lakieru ledwie drgnęła. Może to Susan chce ją zawiadomić, że jednak przyjdzie.

— Halo?

— Barbaro, tu Vicki. Strasznie mi przykro, ale nie dam rady przyjść na lunch.

— Co?

— Utknęłam na tym głupim zebraniu. Nie dzwoniłam wcześniej, bo myślałam, że się skończy, ale oni właśnie zamówili kanapki i nie dam rady się stąd wyrwać. A tak czekałam na te ravioli z dynią i masłem orzechowym. Koniecznie je zamów. Są niezmiernie dobre. I przeproś Chris i Susan. O Boże, wzywają mnie. Muszę lecieć. Cześć.

Odłożyła słuchawkę, nim Barbara zdążyła powiedzieć, że Susan też nie

przyjdzie. Pół nocy spędziła przy łóżkach córek, które dopadła paskudna wiosenna grypa, i nie miała czasu napisać eseju na dzisiejsze zajęcia.

— Bardzo mi przykro—powiedziała. — Przepróż Vicki i Chris.

Nic nie mogę na to poradzić, pomyślała Barbara i wróciła do stolika. Nie mogła przecież oczekiwać, że Vicki zrezygnuje ze spotkania z ważnymi klientami na rzecz lunchu z przyjaciółkami, a Susan z napisania ważnego eseju. Dzięki Bogu została jeszcze Chris. Tylko gdzie ona jest? Nigdy się tak nie spóźniała.

Dziesięć minut później nadal czekała, zastanawiając się, co ma zrobić. Zjadła już wszystkie bułeczki z koszyka, wypila dwie szklanki wody mineralnej i poleciała kelnerowi zabrać ze stołu dwa komplety sztućców. Gdzie u licha podziewa się Chris? Wstała i klucząc zgrabnie między stolikami podeszła do baru.

— Przepraszam — powiedziała — czy mogłabym zatelefonować?

Barmanka, młoda kobieta w czarnych spodniach, białej bluzce i luźno zawiązanym czerwonym krawacie, kiwnęła głową i uśmiechnęła się lekko drapieżnym uśmiechem, który odsłaniał dziąsła i zęby.

Nie powinna tego robić, pomyślała Barbara, automatycznie dotykając zmarszczek wokół ust, których nawet gruby podkład nie zdołał już ukryć. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze za rzędem butelek i z zaskoczeniem spostrzegła kobietę w średnim wieku. Nie bądź głupia, pomyślała z oczami rozszerzonymi strachem. Trzydzieści sześć lat to nie jest jeszcze średni wiek. Nadal jesteś młoda.

Co prawda minęło już osiemnaście lat od dnia, gdy z dumą obnosiła koronę Miss Cincinnati, ale podobnie jak dobre wino z każdym rokiem zyskiwała na wartości. Tak w każdym razie twierdziły przyjaciółki, gdy narzekała, że rano budzi się z podpuchniętymi powiekami, twarz nie jest już gładka, a ubrania przyciasne. Mimowolnie wygładziła spódnice. Wcale nie wyglądam na trzydzieści sześć lat, stwierdziła patrząc w lustro i delikatnie przesuając językiem wzdłuż podkreślonych jasnoróżową szminką warg. Najwyżej na dwadzieścia sześć, a nawet może na dwadzieścia pięć. Przy odrobinie wysiłku mogłaby uchodzić za jedną ze studentek męża.

— Za żadne skarby nie chciałabym być znowu nastolatką — oznajmiła pewnego razu Susan, a Vicki i Chris jej przytaknęły.

Dałabym wszystko, żeby być nastolatką, pomyślała wtedy i teraz. Być najpiękniejszą dziewczyną w Cincinnati, z bukietem róż w objęciach i całym miastem leżącym u stóp. Poczwała łyzy pod powiekami i prędko wystukała numer do Chris. To do niej niepodobne, by nie zadzwoniła, że się spóźni.

— Halo? — odezwał się męski głos po trzecim sygnale.

— Tony? — Co on robi w domu w samym środku dnia? Przecież w zeszłym miesiącu zaczął pracować.—Tu Barbara

— powiedziała, nie bardzo wiedząc, jak zagać rozmowę.

— Szukam Chris. Byłyśmy umówione na lunch.

— Obawiam się, że Chris nie będzie mogła przyjść
— odpowiedział. — Nie czuje się dobrze.
— Była zdrowa, gdy rozmawiałam z nią dziś rano.
— No tak, cóż mogę powiedzieć? Teraz nie czuje się już tak dobrze. Zatelefonowała do mnie do pracy, prosząc, bym przyjechał.

— Dzwoniłeś do lekarza?
— Właśnie z nim rozmawiałem. Twierdzi, że to ta grypa, która teraz szaleje...
— Naprawdę? Nie słyszałam, żeby...
— Słuchaj, spieszę się. Powiem Chris, żeby do ciebie oddzwoniła, jak tylko wyjmie głowę z sedesu, dobra?

— Jasne — powiedziała już do sygnału, trzymając słuchawkę przy uchu, na wypadek gdyby ktoś ją obserwował. Starła się wyrzucić z pamięci nieprzyjemny obraz przyjaciółki z głową w sedesie. Od kilku dni Chris była dziwnie milcząca. Może rzeczywiście coś jej dolegało. A może była w ciąży. Przyznała kiedyś, że Tony chciałby mieć więcej dzieci, ale ona nie odstawiła pigułek.

Barbara uderzyła słuchawką we wnętrze dłoni. Postanowiła, że wpadnie później do Chris i dowie się, co jej naprawdę dolega. Teraz jednak musi zdecydować, co ze sobą zrobić. Nie może tak po prostu wyjść i zwolnić stolik na cztery osoby, który zajmowała przez prawie godzinę w jednej z najpopularniejszych restauracji w mieście. Nie może też jeść lunchu sama. Co prawda kusily ją te nieziemskie ravioli. Może do kogoś zatelefonować? Na przykład do teściowej. Wciąż narzeka, że Barbara nie poświęca jej dość czasu. Nie, bez przerwy będzie zachwycać się drugą synową, nadzwyczaj utalentowaną chudą Sheilą, maszyną do robienia dzieci. Urodziła już czworo, a ważyła tyle, ile w dniu ślubu. Wyrzucała z siebie te dzieci jak kura jajka. Barbara zawsze miała ochotę jej to powiedzieć, lecz nie starczało jej odwagi. Super-Sheila nie tylko prowadziła dom i wychowywała czwórkę dzieci poniżej ósmego roku życia, ale jeszcze kierowała firmą zarządzającą przyjęcia i już pracowała nad dzieckiem numer pięć, podczas gdy Barbarze nie udało się spłodzić siostrzyczki lub braciszka dla prawie siedmioletniej Traccy, chociaż nie miała nic innego do roboty prócz malowania paznokci. Przynajmniej mogłaby sobie znaleźć jakąś pracę, napomykała od czasu do czasu teściowa, lecz to oznaczałoby nieobecność w domu, gdy Traccy wracała ze szkoły. Poza tym Roń nie miał nic przeciwko temu, żeby nie pracowała. Nie skarżył się też, że ma tylko jedną córkę. Co prawda, próbowali mieć więcej dzieci, tylko jakoś się nie zdarzyło. Wciąż jednak był na to czas. Była młoda i mimo tych dodatkowych dekagramów miała niezłą figurę. Jeszcze mogła urodzić dziecko.

Barbara ponownie spojrzała w lustro za barem i uznała, że wygląda blado. Przytknęła rękę do czoła. Może też złapała jakąś grypę. Chociaż raczej była to wina różu, który ostatnio kupiła. Przydałby się trochę ciemniejszy. Pójdzie sobie teraz kupić. Odłożyła słuchawkę na widełki i uśmiechnęła się do barmanki, nie

poruszając wargami i pokazując, jak powinna to robić, lecz kobieta nawet tego nie zauważyła, zajęta rozmową z innym klientem.

Dlaczego ludzie odkładali słuchawki, nie czekając na jej odpowiedź, albo odchodzili, nie troszcząc się, że ona zostaje? Nadal była piękną kobietą, świetnie się prezentowała. Czego więc jej brakowało?

Może chodziło o włosy. Ludzie nie traktowali poważnie wysokich fryzur. Może powinna je ściąć. Kiedyś podsłuchiwała, jak teściowa mówi do przyjaciółki przez telefon: „Ona wygląda, jakby pozostała w latach sześćdziesiątych”, po czym udała, że opowiada o jakiejś znajomej z college'u, którą tego dnia spotkała. „Zobacz, jak ładnie Sheili w krótkich włosach” — powiedziała któregoś dnia. — „W pewnym wieku kobieta robi się za stara na długie włosy”.

Może nadejdzie taki czas, pomyślała Barbara, wracając do stolika, ale jeszcze nie teraz. Lubiła swoje włosy. Może zapuści je aż do kolan, tak jak Crystal Gayle, a może do ziemi. Ciekawe, co by na to powiedziała teściowa. Dała znak kelnerowi, czując się jak płochliwe dziecko.

— Moje przyjaciółki nie przyjdą — poinformowała, szykując się na niemiłą reakcję, lecz on zdążył już się odwrócić. Właściwie dobrze, że nie przyszły. Nie będzie musiała jeść lunchu, nawet jeśli przyplaci to bólem głowy. Poza tym zjadła przecież wszystkie bułki. Nie umrze z głodu. Miała też kilka spraw do załatwienia. Obiecała Traccy, że kupi materiał podobny do sukienki, jaką ostatnio kupiła, i zanieś do krawcowej, żeby uszyła małej taką samą. Była jeszcze praca domowa Traccy na temat kwiatów wiosennych. Córka chciała wypaść najlepiej z całej klasy, więc obiecała jej, że zbierze wszystkie potrzebne informacje. Uświadomiła sobie, że nic na ten temat nie wie, z wyjątkiem tego, że żonkile są żółte, a tulipany ciężkie. Mogłaby wpaść do biblioteki albo kupić wiązanek świeżych kwiatów dla nauczycielki. Może podobną zanieś Chris.

— Osiem dolarów za dwie szklanki wody?! — wybuchnęła na widok rachunku, nie mogąc ukryć zaskoczenia i konsternacji. Co by teściowa na to powiedziała? Pewnie, że jej syn zbyt ciężko pracuje, by jego żona wyrzucała ciężko zarobione pieniądze na coś tak błahego jak markowa woda. I miałyby rację, pomyślała Barbara, zostawiając na stole dziesięciodolarowy banknot. Wyszła z restauracji, odprowadzana cichymi, lecz zdecydowanymi wymówkami teściowej. Czy ona zdaje sobie sprawę, jak Roń ciężko pracuje, by utrzymać rodzinę? Pensja profesora uniwersyteckiego to nie jakieś bająskie sumy. Czy nie mogłaby się choć trochę ograniczyć? Weź przykład z Sheili...

Wychodząc na ulicę, znów poczuła łzy pod powiekami. Ostrożnie przesunęła palcem wzdłuż dolnych rzęs, tak by nie rozmazać tuszu, i sięgnęła do torebki po okulary przeciwsłoneczne. Wsunęła je na nos, usiłując wymazać z pamięci obraz szczerzej twarzy teściowej. Czy to sprawiedliwe, żeby jej matka, kobieta ciepła, opiekuńcza i obdarzona urodą, umarła na ostrą białaczkę naczyń limfatycznych tuż

po przyjsciu na swiat Traccy, a matka Rona, która była zimna, małoduszna i brzydka, będzie pewnie żyła wiecznie?

— Cholera! — szepnęła. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czekała na ten lunch z przyjaciółkami, a zwłaszcza na spotkanie z Chris.

Z całej czwórki właśnie ją najbardziej lubiła. Susan była wspaniała — mądra i mocno stąpająca po ziemi, lecz jak dla niej zbyt praktyczna. A Vicki... no cóż, Vicki to była Vicki, dynamiczna i zabawna, lecz potrafiła być bardzo niedyskretna. Barbara zdążyła się przekonać, że nie należy jej mówić tego, czego nie chciałyby widzieć na pierwszych stronach gazet. Jedynie z Chris czuła bliską więź. Może dlatego, że obie nie pracowały i Chris zawsze miała dla niej czas. Nigdy nie uważała jej problemów za płytkie i nieistotne, nigdy nie odchodziła w trakcie rozmowy i zawsze traktowała z należytą uwagą. Dzięki Bogu, Tony znalazł wreszcie pracę. Co prawda, Chris się nie skarżyła, lecz sytuacja nie należała do przyjemnych i mogła wpłynąć na to, że nabawiła się grypy. Czyż specjaliści nie twierdzili, że depresja osłabia system immunologiczny? Tony jednak pracował już od kilku tygodni, a Chris wciąż była zajęta. Coś musiało się stać. Będzie musiała z nią porozmawiać, gdy wydobrzeje, i zmusić do zwierzeń.

Stała przez kilka sekund przed „Foxfire Grille”, czując, jak burczy jej w brzuchu. Musiała coś zjeść i dodać sobie otuchy. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta czterdzieści pięć. Jeśli się pospieszy, zdąży zająć na uniwersytet i zabrać swojego przystojnego męża na lunch.

Niecałe dziesięć minut później zaparkowała czarną cierę na właśnie zwolnionym miejscu przy Clifton Avenue, przed rzędem budynków mieszczących męskie i żeńskie korporacje studenckie. Uniwersytet w Cincinnati był drugą co do wielkości i drugą pod względem starszeństwa państwową wyższą szkołą w Ameryce. Barbara minęła strzelistą białą betonową budowlę, mieszczącą centrum Brodiego oraz wydział inżynierii, i dotarła do znacznie skromniejszego budynku mieszczącego wydział nauk społecznych, w którym jej mąż prowadził wykłady z psychologii i ludzkich zachowań. Skinęła głową kilku stojącym na stopniach studentom w dzinsach i skórzanych kurtkach, otworzyła ciężkie dębowe drzwi i ruszyła długim korytarzem. Jej pantofle na wysokich obcasach kontrastowały z tenisówkami, które wszyscy tu nosili.

To piękny stary budynek, myślała, skręcając korytarzem w prawo. Na ścianach wisiły stare czarno-białe fotografie dawnych wychowanków. Dominowała ciemna boazeria, ciężkie okna i piękne łukowe sklepienia. Tak właśnie powinien wyglądać uniwersytet. Wielki, dostojny i lekko onieśmielający. Nie znaczy to, że powinna czuć się onieśmielona, pomyślała, wchodząc po szerokich schodach znajdujących się w końcu korytarza. To, że nie poszła do college'u po zdobyciu tytułu miss, nie znaczyło, że jest głupia, że powinna czuć się gorsza. Może nie potrafiła deklamować Szekspira jak Susan czy recytować prawniczych reguł jak Vicki i nie

miała pojęcia, czym różni się psychologia od socjologii, ale świetnie radziła sobie w rozmowach z mężem i jego przyjaciółmi. Poza tym nie jest jeszcze za późno. Jeśli tylko zechce, może zapisać się na jakieś kursy i powoli je kończyć, tak jak robiła to Susan, dostosowując je do domowych obowiązków. Oczywiście powinna wybrać coś, co ją zainteresuje, lecz nie może być zbyt pracochłonne, bo zabrałoby czas przeznaczony dla Traccy czy Rona. Wzruszyła ramionami i wyobraziła sobie, że jest Scarlet O'Harą z Przemiętło z wiatrem i powtarza jej słowa: pomyśli o tym później, jutro albo innego dnia. Przejrzała się w oprawionej w szklaną ramkę starej fotografii, wiszącej przy sali wykładowej męża, zobaczyła w niej Vivien Leigh, po czym otworzyła drzwi i weszła do środka.

Znalazła się w olbrzymiej sali z rzędami amfiteatralnie ustawionych ławek. W dole przed wielką tablicą stał jej mąż, wysoki, przystojny, czterdziestoletni mężczyzna, i przemawiał do góry trzystu studentów, którzy z uwagą wsłuchiwali się w każde jego słowo. Wsunęła się na puste miejsce z tyłu, ściągając na siebie uwagę wielu par oczu, łącznie z mężowskimi. Nieznacznym skinieniem głowy dał znać, że ją zauważył, nie przerwał jednak wykładu.

— Jedną z głównych trudności, jakie napotykamy podczas badań nad zachowaniami, jest tendencja do sprowadzania problemów do wąskiej teorii motywacji—mówił. — Dla przykładu przedstawiciele gestaltyzmu uważają, że ludzie na ogół dążą do stworzenia bardziej zwartej i trwałej formy życia psychicznego, w której jednostka stale usiłuje łagodzić konfliktowe sytuacje, by nadać sens otaczającemu ją światu, i tym samym zwiększa swój potencjał poprzez próbę dopasowania się do niego.

Setki długopisów skrobały po papierze, notując każde słowo wykładowcy. Czy oni w ogóle wiedzą, o czym on mówi? — pomyślała Barbara, usiłując zapamiętać jak najwięcej, by potem móc porozmawiać o tym z mężem podczas lunchu. Zaraz jednak straciła wątek, bo stanęła jej przed oczami Chris. Ciekawe, jak ona się czuje?

— Innym motywacyjnym modelem jest forma nagrody i kary — ciągnął jej mąż, omiatając słuchaczy wzrokiem. — W tym modelu postrzega się postawy jako formę reakcji przystosowawczej, gdzie podstawowe znaczenie mają normy społeczne, a jednostka szuka akceptacji i poparcia swojej grupy.

Po jakiemu on mówi?—zastanawiała się Barbara, czując się jak imigrant, który właśnie zszedł ze statku na ląd. Gdzie się nauczył takiego języka? Popatrzyła na słuchających go studentów. Przeważały dziewczęta: pochylone nad zeszytami pilnie notowały każde słowo. Żadna z nich nie miała zielonego pojęcia o makijażu. Może znały się na modelach motywacyjnych, lecz na pewno nie na konturówkach i cieniach.

— I w końcu mamy koncepcję postaw indywidualnych, która kładzie nacisk na tkwiącą u podstaw zachowań wewnętrzną dynamikę, sprawiającą, że potrzeba

chronienia własnego wizerunku staje się ważniejsza od zewnętrznych nagród i kar.—Roń przerwał i uśmiechnął się. — Dalszy ciąg jutro. Proszę przeczytać skrypt od strony sto dwudziestej pierwszej do sto trzydziestej dziewiątej. Dziękuję państwu.

Studenci zaczęli wstawać z miejsc, zbierać rzeczy i kierować się do wyjścia, nie zwracając uwagi na Barbarę, która schodziła w dół do męża.

— Co za miła niespodzianka — powitał ją Roń. Na jego opalonej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. — Co cię tu sprowadza?

— Pomyślałam, że zabiorę mojego wspaniałego męża na lunch — odparła Barbara, krzyżując w wyobraźni palce i patrząc mu błagalnie w oczy.

— Miałaś przecież zjeść lunch z dziewczętami — odparł, rozglądając się po sali, jakby czegoś szukał. — Amy! — zawołał. — Muszę zamienić z tobą kilka słów na temat twojego eseju.

Stojąca u szczytu schodów długowłosa dziewczyna w niebieskich džinsach i skórzanej marynarce szepnęła coś do koleżanek, po czym ruszyła w stronę katedry.

— Odwołany — wyjaśniła Barbara. — Pomyślałam więc, że skorzystam z okazji i sprawdzę, czy jesteś wolny.

— Wspaniały pomysł — odpowiedział Roń i Barbara odetchnęła z ulgą. — Daj mi dwie minuty, a będę do twojej dyspozycji.

— Nie ma sprawy. Czy jest tu gdzieś toaleta?

— Na górze i w prawo.

— Spotkamy się na korytarzu.

— Będę za dwie minuty — powtórzył Roń.

W tej chwili podeszła do niego Amy, nerwowym ruchem zakładając za uszy kasztanowe włosy.

Trochę tuszu dodałoby dziewczynie pewności siebie, pomyślała Barbara, idąc schodami w górę. W pewnym momencie obejrzała się i spostrzegła, że dziewczyna stoi trochę zbyt blisko męża, bo dotyka piersią jego ręki, a on nie stara się nawet odsunąć.

Nie bądź głupia, pomyślała Barbara i wyszła z sali. Znowu zachowuje się jak paranoiczka. Dziewczyna stała tak blisko, by słyszeć, co mówi Roń, a ta pierś dotykająca jego ręki to tylko złudzenie optyczne.

Znalazła toaletę, poprawiła włosy i pociągnęła szminką usta przed prostokątnym lustrem umocowanym nad rzędem umywalek. Przy okazji zrobiła lekki masaż skóry pod oczami, póki nie zniknęły drobne zmarszczki.

— Wcale nie wyglądasz starzej od tych dziewczyn — szepnęła do swojego odbicia, zastanawiając się, jak Ronowi udało się zachować młodzieńczy wygląd bez stosowania diety lub ćwiczeń. Te wszystkie godziny leżenia na słońcu też mu nie zaszkodziły. Nadal był równie przystojny jak w dniu, gdy go pierwszy raz ujrzała w barze u Arnolda otoczonego kobietami. Kiedy ich oczy się spotkały,

wiedziała, że będą kłopoty.

Oczywiście docierały do niej różne plotki na jego temat. Słyszała je od dziesięciu lat trwania ich małżeństwa. Ale Roń zapewniał ją, że są wstrętne i bezpodstawne, więc przestała się przejmować. Nawet jeżeli mówiły prawdę, nawet gdyby miał z kimś romans — było to bez znaczenia. Czyż nie tak właśnie określiła Vicki swoją nadprogramową aktywność? Że to tylko seks?

Rozpięła niebieski żakiet, poprawiła białą jedwabną bluzkę i zastanawiała się, czy nie skorzystać z toalety, gdy drzwi się otworzyły i weszła ta studentka Rona od „Amy, muszę zamienić z tobą kilka słów na temat twojego eseju”.

— Cześć! — powiedziała Barbara, gdy dziewczyna podeszła do umywalki, położyła na niej książki i zaczęła rozczesywać długie połyskliwe włosy. Była bardzo ładna, o bladej, szczupłej twarzy i wielkich ciemnych oczach, które czyniły ją bardziej interesującą, niż była w rzeczywistości.

I tak nie wygrałaby żadnego konkursu piękności, doszła do wniosku Barbara. Może zostałaby Miss Genialności, pomyślała, starając się nie patrzeć na krągłe pośladki w opiętych dżinsach i małe sterczące piersi. Młodzi nie muszą być piękni. Wystarczy, że są młodzi.

— Cześć! — odpowiedziała Amy do jej odbicia w lustrze.

— Jesteś w grupie mojego męża? — rzuciła obojętnym tonem Barbara.

— Yhm — odparła dziewczyna, wzruszając ramionami.

— Jest świetnym wykładowcą — dodała Barbara, chociaż dziewczyna najwyraźniej nie była zainteresowana rozmową.

Wrzuciła szczotkę do czarnego skózanego plecaka.

— Najlepszym — odrzekła.

Spojrzała Barbarze w oczy, jakby rzucała jej wyzwanie, po czym wyszła z toalety. Mignęły tylko jej rozwiane długie włosy i przewieszony przez ramię plecak.

Barbara pozostała jeszcze przez kilka minut w toalecie, starając się nie myśleć o tym, że w czymś przeszkodziła swoim nieoczekiwanym pojawieniem się. Czasami lepiej jest nie myśleć. Myślenie sprowadza kłopoty. Im człowiek jest głupszy, tym szczęśliwszy, uznała, nakładając róż na poblądłe policzki. Jeszcze raz poprawiła bluzkę i obciągnęła spódnicę. Odczekała, aż oddech wróci do normy, rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro i wyszła na korytarz.

Chris usłyszała dzwonek. Pomyślała, że powinna zejść na dół, lecz w końcu zrezygnowała. Tony to zrobi, powie przyjaciółkom, iż jest zajęta i że później do nich zadzwoni. Tylko później też będzie zajęta, a potem zrobi się zbyt późno, by telefonować. Tak minie kolejny dzień i następny. Już cały tydzień nie widziała się ani nie rozmawiała z dziewczętami. Nie przyszła na lunch z okazji urodzin Susan, wykręciła się od zakupów z Barbarą i nie przyjęła zaproszenia Vicki na kolację. Była połowa września, tymczasem od czerwca widziały się zaledwie... trzy razy.

Kiedyś codziennie ze sobą rozmawiały. „Cześć, co słychać? Wybieram się do sklepu. Potrzebujesz czegoś?” Albo: „Wiesz, co Ariel wczoraj zrobiła?”. „Szkoda, że nie widziałas, jak ślicznie Traccy wyglądała w nowej sukience”. „Kirsten mówi, że biwak jest super”. Lub też: „Później pogadamy”. „Mam ci mnóstwo do opowiedzenia”. „Zadzwoń do mnie jutro”. A także zapewnienia podtrzymujące na duchu: „Kocham cię”.

Ja też was kocham.

Kiedy przestała do nich dzwonić? Kiedy stała się zbyt zajęta, by się z nimi spotkać?

— Cześć, dziewczyny — usłyszała głos Tony'ego. — Co za miła niespodzianka.

Potem jednocześnie odezwały się trzy głosy:

— Gdzie ona jest? Nie będziemy słuchać żadnych wymówek. Chris, rusz tyłek i zjedź na dół.

— Zaraz schodzę! — zawołała.

Serce jej waliło, gdy pobiegła do sypialni i spojrzała w lustro.

— Wyglądam dobrze — zapewniła swoje odbicie, rozczesała sięgające ramion włosy i zebrała je w koński ogon. Zmieniła poplamione szare legginsy, w których chodziła od dwóch dni, na białe bawełniane spodnie, a wyblakły żółty podkoszulek na jasnoławendowy. Po co ja się tak stroję?

— pomyślała. Dokąd się wybieram? Przecież schodzę tylko na dół przywitać się z przyjaciółkami.

— Chris, co ty tam u diabła robisz?! — wrzasnęła Vicki.

— Już schodzę — odrzyknęła, lecz nie ruszyła się z miejsca. Może w końcu znudzą się czekaniem i odejdą.

— Liczę do dziesięciu, a potem wchodzę na górę — ostrzegła Barbara.

Chris zerknęła jeszcze raz w lustro i wybiegła na korytarz. Pojawiła się u szczytu schodów, gdy Barbara weszła na pierwszy stopień.

— No, nareszcie! — wykrzyknęła z ulgą Barbara. — Już myślałam, że nie istnieje, że sobie ciebie wymyśliłyśmy.

Po chwili objęły ją ramiona Barbary. Poczowała ich miękkie ciepło, a subtelny zapach perfum otoczył ją jak bajkowy pył. Zamknęła oczy i ukryła twarz w zagłębieniu szyi Barbary.

— Wszystko w porządku? — spytała szeptem Barbara i mocno ją uścisnęła.

Z ust Chris wyrwał się bolesny jęk. Wysunęła się z objęć przyjaciółki.

— Co się stało?

— Najwidoczniej nie zdajesz sobie sprawy ze swojej siły, laleczko Barbie— zaśmiał się Tony. — Podszedł, objął żonę ramieniem i sprowadził ze schodów, gdzie czekały Susan i Vicki. — Chris się trochę potłukła. Chyba mówiła wam, że przed kilkoma dnami spadła ze schodów?

— Co takiego?! — wykrzyknęła Susan.

— Spadłaś ze schodów? — spytała Vicki.

— Boże, nic ci się nie stało? — dodała Barbara.

— Tylko zdwoż ostatnich stopni — zapewniła je Chris. — Nic mi nie jest. Nie mogę tego samego powiedzieć o kolejce Wyatta. Zepsułam ją, padając. — Usiłowała się roześmiać, lecz ból w żebrach jej na to nie pozwolił.

— Pokaż.

Barbara w jednej chwili znalazła się przy Chris, podciągnęła jej podkoszulek i dotknęła wielkiego siniaka w kolorze musztardowym na lewym boku.

— Hej, hej! — zawołał Tony. — Czy jest coś między wami, o czym nie wiem?

— Nie wygląda to ładnie — stwierdziła Vicki.

— Może Owen powinien go obejrzeć—zaproponowała Susan.

— Nie trzeba — zaprotestowała Chris. — Naprawdę. To nic takiego.

— Mamusia spadła ze schodów i popsuła kolejkę Wyatta — oznajmiła Montana, wychodząc z kuchni.

— Słyszałyśmy — odparła Vicki. — Straszna z niej niezdara, prawda?

— Ona ciągle się przewraca — dodała Montana rzeczowym tonem.

— Może gdybyście ty i twój brat zbierali swoje zabawki, to by do tego nie doszło — powiedział Tony.

Montana zmarszczyła brwi, po czym złapała matkę za rękę.

— Obiecałaś, że będziemy piekły ciasteczka.

— A może tatuś pomógłby ci upiec ciasteczka — odezwała się Susan. — No właśnie bo chcemy zabrać twoją mamę na spacer.

— Nie! — sprzeciwiła się Montana.

— Nie marszcz brwi—zwróciła jej uwagę Barbara — bo będziesz miała zmarszczki.

— Nie mogę iść — odpowiedziała Chris. — Zaraz wróci Wyatt, poza tym obiecałam Montanie...

— Zaopiekuję się dziećmi — zaproponował Tony. — Idź, kochanie. Od tygodni nigdzie nie wychodziłaś.

— Nie! — powtórzyła Montana, kręcąc z uporem głową i marszcząc gniewnie brwi. — Ona obiecała, że będziemy piekły ciasteczka.

Tony chwycił córkę w objęcia.

— O co chodzi, mała? Myślisz, że tata nie umie piec czekoladowych ciasteczek? Jestem w tym ekspertem. Właściwie to nawet robię lepsze ciasteczka od mamusi. Nie wiesz, że mężczyźni są najlepszymi kucharzami?

Montana wysunęła się z objęć ojca i popatrzyła na matkę.

— Nie lubię cię — oświadczyła. — Nie jesteś dobrą mamusią.

— Montano...

— W porządku, Chris — powiedział Tony, gdy córka pobiegła do kuchni. —

Nic jej nie będzie. Idź z dziewczynami.

— Później będziesz dobrą mamusią. Vicki szybko poprowadziła Chris do drzwi.

— Właściwie to nie powinnam...

— Wróci na kolację. — Susan otworzyła drzwi i wypchnęła Chris z domu.

— Dokąd jedziemy? — spytała Chris. Wciągnęła w płuca ciepłe wrześnie powietrze, wystawiła twarz do słońca i zamknęła oczy, czując, jak promienie parzą ją w policzek. Ciekawe, czy będzie ślad, pomyślała, po czym spojrzała na dom i dostrzegła cień Tony'ego zza zasłon w salonie.

— Porywamy cię — oznajmiła Vicki, prowadząc kobiety do perłowobeżowego jaguara.

— Nie mogę. — Chris zatrzymała się raptownie i Vicki otworzyła drzwiczki, a Susan i Barbara zablokowały Chris drogę ucieczki.

— Wsiadaj do samochodu.

Przez tylne okno luksusowego wozu patrzyła, jak jedna kręta droga przechodzi w drugą. Jechały zaledwie od dziesięciu minut, a miała wrażenie, że znalazły się w jakimś magicznym świecie wolnym od trosk ziemskiego życia, w świecie wielkich posiadłości ukrytych wśród zieleni z dala od drogi i znaków ostrzegających przed koźmi i informujących o skrzyżowaniach. Panował tu spokój, a zielone wzgórza dawały złudzenie wiejskiego krajobrazu, chociaż od śródmieścia dzieliło je zaledwie pół godziny drogi. Jechały przez Indian Hill, luksusowe przedmieście Cincinnati, obejmujące teren pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Ileż tu grubych pieniędzy, pomyślała Chris. Czy tych ludzi nie dotknęła recesja?

— Co my tu robimy? — spytała.

— Po prostu zwiedzamy — odparła Vicki. — Widziałyście coś ciekawego?

— Po prostu wszystko jest ciekawe — odpowiedziała siedząca obok Chris Barbara.

Chris poczuła jej dłoń na swojej. Ciekawe, czy to dlatego, by nie mogła wysiąść z samochodu. Jaka ona piękna, pomyślała i zapragnęła dotknąć miękkiego policzka przyjaciółki. Wcale nie potrzebuje tego całego makijażu i lakieru do włosów. W ogóle niczego nie potrzebuje.

— Mówiłam wam, co Whitney powiedziała któregoś dnia? — spytała siedząca na przednim siedzeniu Susan. W jej

na. — Wybierałyśmy się na wiedziałam więc, że będziemy; Nic nie szkodzi, mamusiu, to nie cudowne, że dwuletnie?

ziła Barbara.

ydzić — dodała ze śmiechem

a jak na dwuletnie dziecko, dała dwa latka i bawiłam się — odezwała się Barbara, jwiedziałam jej, że muszę się ae nie była zmęczona. Nale-ia. Poszłam więc do swojego minutach usłyszałam tupot o oko i zobaczyłam, jak się w końcu

mnie przykryła, rogu pokoju i po prostu na po godzinie się obudziłam, wpatrywała się we mnie.

Powiedziała Vicki, mając na myśli

— Niesamowity, to, że Traccy jest niesamowita — zaprotestowała Barbara.

— A Josh tak—stwierdziła Vicki. — Bardzo go kocham i w ogóle, ale jest trochę dziwny. Wiecie, o co mnie poprosił? O tampaxa.

— O tampaxa?! A po co, na litość boską?

— Powiedział, iż słyszał, że lepiej się z nim pływa. Kobiety wybuchnęły gromkim śmiechem. Nawet Chris im zawtórowała, lecz natychmiast poczuła ból w zębach.

— A Kirsten trudno rozgryźć — ciągnęła Vicki. — Nigdy nie wiem, co ona myśli.

— Tak jest lepiej — powiedziała Susan. — Ariel wypowiada na głos każdą myśl. Przeważnie mówi o tym, że nienawidzi siostry. Chyba nigdy mi jej nie wybaczy.

Kobiety zachichotały, po czym umilkły i zapatrzyły się w malownicze wzgórza piętrzące się za oknami samochodu.

— No to Medy nam powiesz, co się dzieje? — spytała Barbara obojętnym tonem, chociaż mocniej ścisnęła jej dłoń.

Chris wstrzymała oddech. Spodziewała się tego pytania od chwili, gdy wsiadła do samochodu Vicki, mimo to zaskoczyła ją jego bezpośredniość. Śmiech przyjaciółek i swobodna rozmowa uspiły jej czujność.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi — powiedziała. Zabrzmiało to niezbyt przekonująco, nawet dla niej samej. Barbara uniosła w górę brew. Susan obróciła się w ich stronę. Vicki zmrużyła oczy, patrząc we wsteczne lustro.

— O co wam chodzi? Przecież nic takiego się nie dzieje. Słowo honoru.

— W ogóle cię nie widzimy, nie odpowiadasz na nasze telefony, ciągle jesteś zajęta.

— Wiecie, jak to jest.

— Nie, nie wiemy.

— Powiedz nam.

— Tyle się dzieje — wyjaśniła.

— Przed chwilą powiedziałaś, że nic się nie dzieje — przypomniała jej Vicki.

— Co?

— No to jak? Zdecyduj się na coś.

— Mówisz jak adwokat.

— Jestem twoją przyjaciółką — odpowiedziała Vicki.

— Przepraszam, ale robicie wiele hałasu o nic.

— Czyżby? — spytała Susan.

— Gniewasz się na nas? — spytała z kolei Barbara.

- Czy czymś cię obrażyliśmy?
- Oczywiście, że nie.
- Więc czemu cię nie widzimy?
- Po prostu miałam ostatnio mnóstwo spraw na głowie.
- Chris upierała się przy swojej wersji. — Wyatt stale choruje, jakby łapał każdą bakterię. Wiecie, jak to jest z dziećmi, gromadzą wszystkie choroby. Najpierw on był chory, a potem ja się rozchorowałam, tylko dłużej wracałam do zdrowia. No a teraz muszę nadrobić domowe zaległości.
- Dlaczego więc zrezygnowałaś ze sprzątaczką? — spytała Barbara.
- Zwolniłaś Marszę? — zdziwiła się Susan, inajac na myśli kobietę, z której usług wszystkie korzystały.
- Tony nie był z niej zadowolony — wyjaśniła Chris.
- Poza tym jestem cały czas w domu, więc sama mogę to robić.
- Lubisz to robić?—spytała Vicki, jakby już sama myśl o tym była nie do pojęcia.
- Nie mam nic przeciwko temu — odparła Chris.
- Naprawdę.
- Chyba nie masz agorafobii? — spytała zaniepokojona Susan.
- Co to jest agorafobia? — spytała Barbara.
- Dosłownie to lęk przed rynkiem — wyjaśniła Susan.
- Nie cierpię rynku — wtrąciła Vicki.
- To znaczy, że odczuwa się lęk przed wychodzeniem z domu.
- Nie boję się wychodzić z domu.
- Tak to dziś wyglądało.
- Czy z Tonym wszystko w porządku?
- Co masz na myśli?
- Czy dobrze się wam układa? — spytała Barbara.
- Oczywiście. Ostatnio co prawda było trochę napięcie, bo Tony nie bardzo jest zadowolony z pracy i chyba stracił sporo pieniędzy na giełdzie.
- Chyba? — powtórzyła Susan. — Nie wiesz tego? Chris pokręciła przecząco głową.
- Wiecie, jaka jestem beznadziejna, jeśli chodzi o gospodarowanie pieniędzmi.
- Od kiedy?
- Chyba masz własne konto? — spytała Vicki.
- Mamy wspólne konto. Po co mi osobny rachunek?
- Każda kobieta powinna mieć własny rachunek. Tak na wszelki wypadek. Przy najmniejszych kłopotach powinna zacząć przelewać pieniądze.
- Ale to nieuczciwe — zaprotestowała Chris.
- Nie — odparła Vicki. — To jest samoasekuracja. Poza tym chyba nie chcesz

biegać do Tony'ego z każdym głupstwem. A może biegasz?

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała Chris, czując, że pieką ją policzki. Co Vicki obchodzi, jak ona i Tony gospodarują pieniędzmi? Vicki wyszła za bardzo bogatego człowieka. Nie rozumie, czym jest dla mężczyzny wykonywanie pracy, której nienawidzi, a musi utrzymać rodzinę. Trudno teraz o jakieś pieniądze. Tony ma rację, że każe jej się rozliczać z każdego centa.

— W poniedziałek z samego rana masz pójść do banku i otworzyć sobie konto — ciągnęła Vicki. — Słyszysz?

— Słyszę — odparła Chris, uznając, że łatwiej będzie się na wszystko godzić, niż protestować.

— Pójdę z tobą — zaproponowała Barbara, klepiąc Chris po dłoni. — Wstyd się przyznać, ale ja też nie mam własnego konta.

— Boże, w jakim wy wieku żyjecie?—zdziwiła się Vicki.

— Może się zatrzymamy — zaproponowała Susan, gdy skręciły w Sunshine Lane. — I przejdziemy kawalek.

Vicki natychmiast zjechała na pobocze. Cztery pary drzwi otworzyły się jednocześnie i przyjaciółki wyszły w ciepłe wrześnieowe popołudnie.

— Jak tu cicho —powiedziała Barbara, biorąc Chris za rękę i machając nią w tył i w przód, jakby były koleżankami z klasy. Vicki szła kilka kroków z przodu, a Susan z tyłu.

— Zwolnijcie trochę — poprosiła Susan.

Mimo nadwagi Susan wygląda uroczo, pomyślała Chris, patrząc na sięgające brody gęste kasztanowe włosy i krągłe policzki kryjące jakiegokolwiek oznaki starzenia się. Wygląda młodziej, niż kiedy się poznałyśmy.

— Dajcie spokój, dziewczyny, nie mogę tak wolno iść — jęknęła Vicki.

Jakie to dla niej typowe, pomyślała Chris. Vicki miała ograniczoną cierpliwość. Nie chciała czekać, aż włosy odrosną po trwałej, i obcięła się na krótko. Na szczęście ta fryzura bardzo jej pasowała. Chris uśmiechnęła się. Vicki potrafiła nawet słomę zmienić w złoto.

Przeszły poboczem drogi do Cayuga Drive.

— Mam dość—oznajmiła Chris, czując mdłości. —Ten upał jest nieznośny.

Kolana się pod nią ugięły i osunęła się na chodnik. Natychmiast objęły ją opiekuńcze ramiona.

— Boże, Chris, co się stało?

— Uderzyłaś się?

— Oddychaj głęboko.

Chciała zbyć ich troskę machnięciem ręki, lecz zamiast tego wybuchnęła płaczem.

— Co się dzieje, Chris? Coś ci dolega?

— Chyba powinnaś pójść do lekarza.

— Niepotrzebny mi lekarz — odpowiedziała.

— Od jak dawna miewasz takie zawroty głowy?

— To nic takiego.

— Chris, spadłaś ze schodów. Montana powiedziała, że bez przerwy się przewracasz. A teraz stało się to na środku chodnika.

— Bo jest gorąco.

— Nie aż tak bardzo.

Wzięła głęboki oddech, otarła wierzchem dłoni nieustannie płynący strumień łez i chwyciła się za kark.

— O Boże! — jęknęła.

— Co się dzieje?

— Chris, proszę, powiedz nam.

Spojrzała z uwagą w zaniepokojone twarze przyjaciółek. Czy może wyznać im prawdę? Boże, co one o niej pomyślą?

— Chyba jestem w ciąży — wyszeptała.

— Jesteś w ciąży? — powtórzyła Barbara. — To wspaniale. — Zawahała się. — Prawda?

Chris spuściła głowę. Ramiona drżały jej od płaczu.

— Nie cieszysz się? — spytała cicho Susan.

— Nie wiem — odparła, nie przestając szlochać. Nienawidziła siebie za to. Zachowywała się jak słaba, niewdzięczna istota. — Nie chodzi o to, że nie kochani dzieci...

— Oczywiście, że nie.

— Kocham je ponad wszystko na świecie.

— Wiemy o tym.

— I nie chodzi o to, że nie chcę mieć więcej dzieci. Może za rok albo dwa, kiedy wszystko się ułoży, ale nie teraz. — Uniosła dłonie w geście poddania, po czym opuściła je.

— W zeszłym miesiącu musieliśmy wziąć drugą pożyczkę pod zastaw domu, Tony nie znosi nowej pracy, zaczyna mówić o odejściu i założeniu własnej agencji w domu. To za dużo jak na moją głowę. Nie mam dla siebie ani minuty. Wiem, że to nieładnie z mojej strony. Tony bardzo mnie kocha, tyle dla mnie robi, opiekuje się mną i dziećmi. Doceniam to wszystko, lecz czasami wydaje mi się, jakbym znalazła się w klatce. I jeszcze to dziecko...

— Nie musisz go mieć — powiedziała Vicki. Zaległa cisza.

— Nie mogę usunąć ciąży. — Chris zaczęła kręcić gwałtownie głową, tak jak wcześniej Montana. Koński ogon uderzał ją po policzkach. — Nie mogę, nie mogę.

— Powinnaś porozmawiać o tym z Tonym—zasugerowała łagodnie Barbara.

— Nie mogę z nim o tym rozmawiać. On tego nie zrozumie. Nie wybaczy mi, że w ogóle brałam to pod uwagę...

Ponownie zaległa cisza.

— Nie musi o tym wiedzieć—przerwała milczenie Vicki. Chris spojrzała na nią z niedowierzaniem. Uwolniła się z podtrzymujących ją ramion i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

— Nie, nie mogę. Tony i tak się dowie.

— Niby jak? — spytała Barbara.

— Dowie się—powtórzyła Chris, kiwając głową. — On mnie śledzi.

— Co to znaczy śledzi? — spytała Susan. — Chcesz powiedzieć, że pilnuje, kiedy masz okres?

— Chciał mieć dziecko, odkąd Wyatt się urodził.

— A czego ty chcesz?

— Nie wiem, czego chcę. — Dlatego dobrze, że mam Tony'ego, omal nie krzyknęła. On wie, co jest dla niej najlepsze.

— Pilnuje okresu — powtórzyła ze zdumieniem Susan, jakby próbowała zrozumieć sens tych słów.

— To wcale nie jest takie straszne. Słuchajcie, zrobiłam z tego wielką aferę. Zresztą ciągle robię z igły widły.

— Nieprawda.

— Właśnie że tak.

— Kto tak twierdzi? — spytała Barbara. — Tony?

— Nie robisz z igły wideł—powiedziała Susan.—Chris, słuchasz mnie?

— Muszę wracać do domu — oświadczyła Chris. Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę samochodu. — Jeżeli mnie nie odwiezicie, złapię okazję. — Spojrzała na drogę.

— Oczywiście, że cię odwieziemy — zawołała Vicki, biegnąc za nią.

— Chris, zaczekaj!

— Chris, jesteśmy po twojej stronie. Czy rzeczywiście były?

— Nie chciałyśmy cię zdenerwować — powiedziała Barbara, kiedy wsiadły do samochodu.

Przez całą drogę do domu Chris siedziała ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w kolana.

— Naprawdę chcę tego dziecka.

— Oczywiście, że tak.

— Życzymy ci jak najlepiej.

— Nie martwcie się o mnie — powiedziała, gdy Vicki zatrzymała samochód na Grand Avenue. Otworzyła drzwiczki i zobaczyła cień Tony'ego rysujący się za zasłoną w salonie. Czy stał tam przez cały czas?

— Kochamy cię! — krzyknęła za nią Barbara. — Wiesz o tym, prawda?

— Wiem. — Te słowa otuliły ją niczym szalem. — Ja też was kocham.

Drzwi wejściowe się otworzyły.

— Cześć, kotku—powiedział Tony.—Wcześniej wróciłaś.

— Stęskniłam się za tobą — odpowiedziała Chris. Przystąpiła próg domu i zamknęła drzwi, nie oglądając się za siebie.

— Mamo! Mamo!

Susan obróciła się i spojrzała na zegar stojący na szafce nocnej po stronie męża. Nie minęła nawet czwarta.

— O Boże! — jęknęła.

Spała niecałe dwie godziny. Przedtem przeszkadzały jej niespokojne myśli i koszmary senne. Nie tylko ja nie mogę spać, pomyślała, słuchając wołania Ariel. Już miała odrzucić kołdrę i wstać do córki, kiedy poczuła na ramieniu dłoń męża.

— Ja pójdę — powiedział Owen. W jego głosie również wyczuwało się zmęczenie.

— Jesteś pewny?

— Spróbuj zasnąć. — Musnął jej czoło wargami. Słyszała, jak mocuje się ze szlafrokiem leżącym w nogach wielkiego łóżka z baldachimem, a potem szuranie bosych stóp, gdy wychodził z pokoju.

— Co się stało, skarbie? — zapytał, otwierając drzwi do pokoju córki.

— Śniło mi się coś strasznego — załkała Ariel. Susan wiedziała, co to są koszmary. Zwłaszcza jeden.

Zamknęła oczy i zobaczyła, jak pochyla się nad pulpitem w sali wykładowej na zajęciach z dramatu średniowiecznego, próbując uporządkować stos piętrzących się przed nią papierów. Nagle słyszy swoje nazwisko: „Susan. Susan Norman. Czekamy na pani esej”. Profesor Currier kiwa na nią głową, a ona zbiera papiery i idzie na środek sali.

Nagle uświadamia sobie, że jest naga. Usiłuje osłonić się papierami. Kuli się, a obfite piersi uderzają o sterczący brzuch. Jednak w ten sposób uwydatnia grube pośladki, czym wywołuje śmiech studentów. Pospiesznie przenosi jedną rękę do tyłu, rozsypując przy tym wszystkie kartki po podłodze. Kiedy klęka, by je zebrać, wokół niej narasta okrutny śmiech.

W tym właśnie momencie zwykle się budziła. Wrócił Owen, zostawił szlafrok na oparciu krzesła i wsunął się pod kołdrę.

— Co tam się stało? — spytała.

— Zmoczyła się w łóżko — wyjaśnił beznamiętnie. Zamarła. Ż samego rana miała ćwiczenia, a nie mogła przecież powiedzieć matce: „Cześć, mamo. Ariel znowu zmoczyła się w łóżko. Wiem, że codziennie z nią zostajesz i nie taka była umowa, ale może mogłabyś zrobić pranie i zmienić pościel, bo ja mam ważne ćwiczenia, a tylko ty opiekujesz się moimi dziećmi”.

— Wszystko w porządku — powiedział Owen, jakby odgadł jej myśli.— Zmieniłem pościel, a mokre prześcieradła włożyłem do pralki.

Usiadła na łóżku i spojrzała na swojego od jedenastu lat męża.

— Naprawdę to wszystko zrobiłeś?

— Bułka z masłem — mruknął, nie otwierając oczu.

— Że też spotkało mnie tyle szczęścia.

— Spróbuj zasnąć. — W kącikach ust i oczu pojawił się pełen zadowolenia uśmiech.

— Kocham cię — szepnęła, przytulając się do niego. Owen Norman może nie był przystojny ze swoim średnim wzrostem i średnią budową ciała. Nie był też dystyngowany czy interesujący, lecz za to miły i przyzwoity. Uchodził za wspaniałego lekarza i wszyscy, którzy go znali, zarówno pacjenci, jak i przyjaciele, ufali mu i podziwiali go.

Susan obróciła się na drugi bok i poczuła, że Owen też się obraca i obejmuje ją w pasie. Nie mogła znaleźć wygodnej pozycji. Spotkanie z Chris zaniepokoiło ją i zdenerwowało. Najwyraźniej coś było nie tak, o czym Chris nie chciała mówić, coś więcej niż ciąża nie w porę. Rozmawiały o tym u Vicki w domu, zastanawiając się przy kawie, jak wyciągnąć Chris z domu. W końcu zdecydowały, że nie pozostało im nic innego, jak poczekać, aż Chris sama do nich przyjdzie. Cokolwiek się za tym kryło, była to wyłącznie jej sprawa. Muszą uzbroić się w cierpliwość, starać się ją zrozumieć i przede wszystkim zachować spokój. W przeciwnym razie ją stracą.

Obróciła się na plecy, usiłując sobie przypomnieć, kiedy Chris zaczęła się od nich odsuwać. Czy był to jakiś konkretny moment, czy też zmiany w kontaktach z innymi następowały stopniowo? Czy ich przyjaźń zamierała równie powoli i niezauważalnie jak długie małżeństwo w ostatnim stadium rozpadu?

Czy w tym właśnie tkwił problem? — zastanawiała się, ponownie zmieniając pozycję. Może Chris i Tony przechodzą jakiś kryzys? Chris temu zaprzeczyła, lecz jeśli Tony naprawdę chciał założyć własną agencję, będą mu potrzebne pieniądze, a trzecie dziecko...

Pilnuje jej okresu! Odrzuciła energicznie kołdrę ze stóp.

— Susan, co się dzieje? — spytał Owen. Odwróciła się i zobaczyła, że uniósł się łokciu i patrzy na

nią z niepokojem w oczach.

— Bez przerwy się kręcisz.

— Przepraszam.—Przypomniała sobie strach w oczach Chris, gdy wyznała im, że chyba jest w ciąży. Czego się obawiała? Tony pilnuje jej okresu.—Jakoś nie mogę usnąć.

— Wciąż martwisz się o Chris?

— Nie — odpowiedziała. — A właściwie to próbuję się nie martwić — przyznała po chwili. Co za sens udawać? Nigdy nie potrafiła oszukać Owena i nie chciała tego robić. Pomyślała, że naprawdę ma szczęście.

— Szczęście to nie wszystko — powiedziała jej kiedyś matka. — Ciężko pracowałeś na to, co masz. I dokonałeś rozsądnego wyboru. W końcu to od nas

wszystko zależy.

— Kocham cię — powtórzyła Susan, zastanawiając się, czy dość często mówi to mężowi. Pochyliła się i pocałowała go w usta.

— Ja też cię kocham — odparł, oddając jej pocałunek z żarliwością, która oboje zaskoczyła. Niewinna pieśczoła zmieniła się nagle w pożądanie. Susan poczuła, jak jej ciało drży, reagując na delikatny dotyk męża, a zmysły, tak niedawno balansujące na granicy załamania nerwowego, ożywiły się w oczekiwaniu na każdą nową pieśczołę.

— Jesteś gotowa? — spytał po chwili Owen. Kiwnęła twierdząco głową, a gdy w nią wszedł, oplotła go nogami w pasie. Ich ciała poruszały się w jednym rytmie, dopóki Owen ponownie nie zapytał:

— Jesteś gotowa?

Ponownie skinęła głową, a wówczas Owen uniósł się na kolanach i zwiększył tempo. W głowie zaczęło jej wirować, a całe ciało stanęło w ogniu. Nigdy o tym nie mówili na lekcjach higieny, pomyślała, czując, że za chwilę eksploduje. Używali zimnych, medycznych terminów, takich jak szczytowanie, które bardziej pasowało do literackiego opisu, czy orgazm, który kojarzył się wyłącznie z laboratorium. Nigdy jednak nie wspomnieli o tym, co naprawdę odczuwa dwoje kochających się ludzi: czystą i pełną radość z całkowitego oddania się drugiemu człowiekowi.

— Kto miał wielokrotny orgazm? — spytała Vicki tej niedzieli przed ośmioma miesiącami, kiedy trwał mecz baseballowy z Super Bowl.

— Nigdy nie miałam orgazmu — wyznała Chris. Barbara również miała z tym kłopoty. Nawet Vicki oświadczyła, że nie osiąga orgazmu w czasie stosunku. Kiedy przyszła kolej na nią, uciekła z kuchni. Lepiej udawać nieśmiałą niż zadowoloną z siebie, uznała, i postanowiła nie mówić, że zaskakująco regularnie osiąga orgazm. Czasami wystarczyło, by Owen dotknął ją w pewnym miejscu na karku.

Może po prostu łatwiej mnie zadowolić, pomyślała, chociaż nigdy nie uważała się za kobietę namiętą, a na pewno nie seksowną. Atrakcyjną, tak, ale dopiero, gdy zrzuci kilka kilogramów. Daleko jej było jednak do urody Barbary, Chris czy Vicki. Poza tym żadna kobieta na widok Owena nie zapragnęłaby wskoczyć mu do łóżka. Wybrałaby raczej Rona, męża Barbary, bo był wysoki i przystojny, albo męża Vicki, Jeremy'ego, bo był bogaty i wpływowy, lub też Tony'ego, męża Chris, bo był pewny siebie i zuchowaty. I dokonałaby złego wyboru.

W końcu to od nas wszystko zależy.

— Jak się czujesz? — spytał Owen.

— Dobrze — mruknęła jak zadowolona kotka. — Wspaniale.

Chwilę później usnęła, wtulona w jego objęcia.

— Omawiając początki dramatu religijnego, wymienilem kilka

dwunastowiecznych sztuk o wysokim poziomie artystycznym, pochodzących w większości ze zbioru utworów scenicznych Fleury'ego — mówił profesor Ian Currier do grupy czterdziestu pięciu znudzonych słuchaczy.

Susan poruszyła się niespokojnie w ławce, walcząc z ogarniającą ją sennością. Mam za mało snu, pomyślała, lecz nic nie mogła na to poradzić. Wykłady, pisanie esejów, uczenie się do egzaminów, opieka nad córkami — na szczęście młodsza Whitney sprawiała mniej kłopotów niż starsza Ariel, która zrobiła się jeszcze bardziej niezdolna — i mężem, by nie czuł się zaniedbywany, nie zostawiała jej czasu na wypoczynek w ciągu dnia, nie mówiąc już o nocy, gdy najbardziej tego potrzebowała.

Wyprostowała plecy i stłumiła ziewanie, starając się skoncentrować na monotonnym głosie profesora Curriera, który zdawał się krzyczeć, że też tego nie znosi. Co ona tu robi? Po co właściwie potrzebny był jej tytuł magistra literatury angielskiej?

— Dramaty Fleury'ego były jednak ściśle związane z różnymi świętami liturgicznymi i wykonywano je podczas nabożeństw — ciągnął profesor Currier. — Jak się państwo przekonają, dramat Nawrócenie świętego Pawła, wystawiany prawdopodobnie dwudziestego piątego stycznia, kiedy przypada uroczystość nawrócenia świętego Pawła, ściśle wiąże się z przekazem zawartym w biblijnych Dziejach Apostolskich. Susan słyszała wokół skrobanie piór po papierze, tymczasem ona nie zapisała jeszcze ani jednego słowa. Otworzyła zeszyt i sięgnęła po pióro do stojącej na podłodze wielkiej płóciennej torby. Nagle poczuła, że do palca przykleiło się coś lepkiego. Jak pijawka z jeziora, pomyślała, przypominając sobie nieprzyjemne zdarzenie z dzieciństwa. Któregoś lata rodzice wynajęli domek nad jeziorem i zabrali tam całą trójkę — starszego brata, ją i młodszą siostrę. Zaraz po przyjeździe koniecznie chciała wejść do wody, chociaż mama uprzedzała, że w jeziorze mogą być pijawki. Ona jednak bardzo chciała zaimponować młodszej siostrze i wyszła z wody z kilkoma ohydnyimi czarnymi kleksami przyklejony do rąk i nóg. Na ten widok siostra uciekła od niej z krzykiem. Usiłowała je oderwać, czym pogorszyła sprawę, bo z nóg drobnymi strumyczkami pociekła jej krew. Matka wyjaśniła jej, że nie można ich oderwać, nie naruszając skóry, i jedynym sposobem jest posypanie ich solą.

— A potem będziesz musiała je zjeść — zażartował brat. Zerwała się z krzykiem z piasku, lecz matka złapała ją i uspokoiła, zapewniając, że jeżeli już ktoś będzie musiał zjeść te obrzydliwe stworzenia, to jej brat.

Wyciągnęła rękę z torby i stwierdziła, że do palca przykleił się do połowy zjedzony lizak Ariel.

— Wspaniale — mruknęła znacznie głośniejszym głosem, niż zamierzała.

— Czy chciałaby pani coś powiedzieć, pani Norman? — spytał profesor Currier.

Niech licho weźmie te jego wielkie uszy, pomyślała, kręcąc przecząco głową. Żaden dźwięk się przed nimi nie ukryje.

— Przepraszam — mruknęła, odklejając lizak z taką siłą, że rozpadł się na kawałki, a kilka z nich spadło na podłogę, grzechocząc niczym potłuczone szkło.

— Mała przekąska, pani Norman? — spytał profesor Currier, patrząc na nią znad okularów w drucianej oprawce.

Czy on ma w oczach promienie Roentgena? — pomyślała. Kilka osób zachichotało nerwowo, ciesząc się zapewne, że to nie oni stali się obiektem jego częstych, budzących strach drwin.

— Sądziłem, że wie pani, jakie zagrożenie niesie ze sobą podjadanie między posiłkami — dodał, po czym zajrzał do leżących przed nim notatek. — W Nawróceniu świętego Pawia — ciągnął, jakby kontynuował poprzednią myśl

— znajdziemy znane już elementy dwunastowiecznego dramatu religijnego, takie jak nawrócenie grzesznika, ucieczka przed wrogami, jak również odwieczny konflikt między władzą świecką a siłą boskiego zbawienia.

Susan poczuła, że całe jej ciało staje w płomieniach pod Wałym sweterkiem, szyja robi się różowa, a policzki jasno-czerwone. Jak on śmie mówić do niej w ten sposób?! Jak śmie żartować sobie z jej nadwagi?!

A może po prostu jest przewrażliwiona. Może on tylko daje w ten sposób do zrozumienia, że przeszkadza innym w wykładzie. Pewnie wie, że strasznie nudzi i chce wprowadzić trochę ożywienia. W przyszłości powinna bardziej uważać i nie dawać mu pretekstu do naśmiewania się jej kosztem. Niech inni studenci biorą na siebie ciężar jego złośliwych docinków. Dadzą sobie z tym radę, są twardsi, silniejsi i co najmniej o dziesięć lat od niej młodszy.

Kogo ty oszukujesz?—pomyślała, rozglądając się ukradkiem po dusznej sali. To jeszcze dzieci, w większości młodzież, o nieukształtowanych rysach twarzy. Co ona robi wśród nich? Co za głos podszeptął jej, by wróciła na studia, które i tak nie przyniosą żadnego pożytku? Oczywiście z wyjątkiem wykształcenia i satysfakcji z dobrze wykonanej pracy.

Właściwie dlaczego dyplom z literatury angielskiej nie miałby się jej przydać w przyszłości? Vicki stale ją namawiała, żeby porozmawiała z jej mężem o pracy w jednym z jego pism. Może gdy dostanie dyplom, a dziewczynki całe dnie będą spędzać w szkole, złoży wizytę Jeremy'emu Latimerowi.

— Głównym celem dwunastowiecznego dramatu religijnego nie było oświecanie mas, lecz tworzenie pięknych, pobożnych i mądrych dzieł, wykorzystanie rozmaitych form poetyckich i gatunków literackich, jak również klasycznej wiedzy, świadczących o wysokim poziomie erudycji. — Profesor Currier uniósł wzrok znad notatek. — Na dzisiaj koniec. Na następny piątek proszę przygotować esej porównawczy na pięć tysięcy słów analizujący dramaty Digby'ego i Fleury'ego o nawróceniu świętego Pawła. Nie będzie żadnych

wyjątków, a praca wpłynie na końcową ocenę. Jednak — dodał z błyskiem w oku — kobiety z dużym biustem dostaną automatyczne zaliczenie.—Z tymi słowami schował notatki do zniszczonej skórzanej teczki i zamknął ją z trzaskiem. — To wszystko — dodał z bezczelnym uśmiechem, podkreślonym jeszcze przez łysinę. — Są państwo wolni.

Studenci, śmiejąc się i chichocząc, zbierali swoje rzeczy i opuszczali salę. Tylko Susan pozostała na miejscu, nie mogąc się ruszyć ani swobodnie odetchnąć.

— Jakiś problem, pani Norman? — spytał profesor Currier.

Pokręciła przecząco głową, nie podnosząc wzroku. Czuła się tak, jakby właśnie dostała w twarz. Co się z nią dzieje? Dlaczego po prostu nie wstanie i nie wyjdzie?

— Czy coś się stało? — nie dawał za wygraną Ian Currier.

Wolno uniosła wzrok, lecz starała się nie patrzeć mu w oczy. Gdyby to zrobiła, mogłaby powiedzieć coś, czego potem by żałowała. W końcu był przecież jej profesorem, decydował o tym, czy zda egzamin, czy nie i czy otrzyma ten długo oczekiwany dyplom.

— Susan.

I jeszcze to imię. Zapragnęła uciec i ukryć się gdzieś, jak wtedy na plaży, gdy brat tak okrutnie z niej zażartował. Przy najdrobniejszej nieuprzejmości zawsze wycofywała się, a potem starała się to jakoś załagodzić. Gniew uważała za ogromną stratę energii. Większość problemów można rozwiązać za pomocą ciepłych, starannie dobranych słów. Poza tym co właściwie tak ją zdenerwowało? Niewinna uwaga, potraktowana jako żart, której nikt nie wziął poważnie i tylko ona poczuła się urażona. Robiła z igły widły — może dlatego, że wciąż bolał ją komentarz profesora dotyczący jej wagi, chociaż pewnie i to opacznie zrozumiała. Była po prostu przewrażliwiona. To wszystko wynik zmęczenia. Powinna więcej spać.

Dostrzegła jakiś ruch, spojrzała w stronę katedry i zobaczyła, że profesor Currier zmierza w stronę drzwi. Tak po prostu sobie wychodzi.

— Panie profesorze — zawołała. Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

— Tak przypuszczałem, że ma pani jakąś sprawę — powiedział.

Jest niewiele starszy ode mnie, pomyślała. Odsunęła włosy za uszy, zastanawiała się, jak zacząć.

— Uważam, iż pańska uwaga była niestosowna. — Cholera, zbyt ogólnie.

— Jaka uwaga?—spytał, czego się spodziewała. Patrzył na nią z uśmiechem i wyzwaniem w oczach.

— Ta o kobietach...

— O kobietach?

— O kobietach z dużym biustem.

— Ach, tak, o kobietach z dużym biustem—powtórzył. Najwyraźniej bawiło go jej zmieszanie.

— Uważam, że było to niestosowne — powiedziała.

— Uważa pani, że kobiety z dużym biustem są niestosowne?

Żartuje sobie ze mnie, pomyślała, czując, że wraca jej odwaga.

— Uważam, że pańska uwaga, że kobiety z dużym biustem otrzymają automatyczne zaliczenie, była niestosowna.

Kiwnął głową i spojrzał na jej biały golf.

— Nie widzę powodów do obaw. Pani biust jest wystarczająco obfity, by zaliczyła pani egzamin.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby. Jak warczący pies, pomyślała, i cofnęła się instynktownie.

— A teraz proszę mi wybaczyć — powiedział.

— Nie wybaczę panu — wypaliła, nim zdążyła się zastanowić.

— Słucham?

— Nie wybaczę panu—powtórzyła. — Pańskie komentarze są nie na miejscu. Uważam, że moim kolegom i mnie należą się przeprosiny.

— To pani jest tu nie na miejscu, pani Norman — odparował, akcentując przesadnie jej nazwisko. — Wiem, że są lata osiemdziesiąte i kobiety potrafią już rozsądnie myśleć, ale doprawdy, Susan, nie ma pani poczucia humoru?

— Nie mam pańskiego poczucia humoru — rzuciła. Pokręcił ze smutkiem głową, jakby to jego obrażono.

— Oczekuję z niecierpliwością na pani esej—powiedział i wyszedł z sali.

— Jak się czujesz?

— Chyba dobrze.

— Denerwujesz się?

— Trochę.

Chris ścisnęła Barbarę za rękę. W tym momencie poczuła, że dziecko w jej brzuchu się poruszyło, jakby chciało przycisnąć ucho do wewnętrznej powłoki jej ciała. Kim jest ta kobieta? — spytało, mocnym kopnięciem ostrzegając Chris, by nie przysuwała się do niej zbyt blisko. Ta kobieta jest intruzem, a nie przyjacielem, mówiło, zabiera ci czas, odciąga uwagę od rodziny. Nie powinnaś była tu przychodzić. Przecież tata ci tego zabronił. Kolejne kopnięcie, tym razem mocniejsze. Co by tatuś na to powiedział?

Ogarnęła ją fala mdłości. Z trudem przełknęła ślinę, czując gorycz w ustach. Och, nie, pomyślała, gorączkowo rozglądając się po korytarzu w poszukiwaniu wyjścia. Nie mogę zwymiotować, nie tutaj, nie na szpitalnym korytarzu. Lecz czy to nie najlepsze miejsce? Omal nie wybuchnęła śmiechem, lecz za bardzo się bała śmiać. Ostatnio stale odczuwała strach. Rozciągnęła usta w uśmiechu, walcząc z nerwowym chichotem. Ostatnio często się uśmiechała.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała, bardziej do siebie niż do Barbary. — To dla nich normalka.

Ciekawe, czy to prawda, czy tylko jej wymysł. Tony mówił, że ona ciągle coś sobie wymyśla, usiłując w ten sposób ukryć brak wykształcenia. Ale nikogo na to nie nabierze.

— Wiem. — Oczy Barbary rozszerzyły się w uśmiechu.

— To nic takiego. Nie powinnam cię prosić, żebyś tu ze mną przyszła.

— Nie bądź niemądra. Chciałam przyjść.

— Roń powiedział, że przyjedzie zaraz po wykładach.

— Cieszę się, że mogłam przyjść.

— Dzięki. — Barbara utkwiała wzrok w kolanach.

— Wiem, że niełatwo było ci się wyrwać.

— Łatwiej niż sądzisz. — Chris rozejrzała się po korytarzu, szukając znajomych oczu wśród przechodzących korytarzem ludzi. — Tony musiał wyjechać w interesach.

— W interesach? Zdobył nowego klienta?

— Nie jestem pewna—odparła. Bardziej zawstydzalo ją to, iż poczuła ulgę, gdy Tony powiedział, że musi wyjechać na kilka dni, niż to, że nie spytała, po co wyjeżdża. Tak się ucieszyła, że musiała przytrzymać się stołu, by nie zacząć skakać z radości.

— O co chodzi, kochanie? — spytał Tony, biorąc ją w objęcia. — Nie wyjeżdżam na długo. Nie musisz się martwić.

Co się z nią dzieje, na litość boską? Tony jest przecież jej mężem, ojcem jej dzieci. Ciężko pracuje, by zapewnić jej wszystkie wygody. Jak może być taka niewdzięczna, pozbawiona serca i samolubna, by chcieć, żeby był gdzieś indziej, a nie przy niej, skoro tego pragnie? Czemu ciągle sprawia mu kłopoty? Przecież wystarczy siedzieć cicho i robić to, o co prosi: zajmować się domem, opiekować dziećmi i trzymać na dystans przyjaciółki. Tony miał rację, gdyby równie mocno troszczyła się o niego, jak o przyjaciółki...

Gdyby tylko miała więcej czasu dla siebie. Lecz odkąd Tony zaczął pracować w domu, bardziej interesował się tym, jak Chris spędza czas, niż swoją pracą. Od siedmiu miesięcy prowadził własną agencję, a przy okazji zreorganizował jej plan dnia. Niechętnie przyznawała, że usprawniło to prowadzenie domu, lecz kilka godzin dla siebie też by się przydało. Mogłaby odpocząć, porozmawiać z przyjaciółkami, nie martwiąc się, że urazi tym Tony'ego, a nawet spotkać się z Vicki lub Susan na lunchu, no i oczywiście pójść z Barbarą na badanie laparoskopowe, czemu Tony był przeciwny.

— To miło, że się tak o nią troszczysz — rzucił drwiąco, kiedy przed dwoma tygodniami powiedziała mu o prośbie Barbary. — Zwłaszcza w twoim stanie, gdy lada dzień będziesz rodzic. Tymczasem wybierasz się do szpitala z kobietą, która chce sprawdzić, dlaczego nie może mieć drugiego dziecka. To rzeczywiście bardzo rozsądne.

Bezwiednie pogładziła się po brzuchu, czując pod dłonią kopanie dziecka, jakby chciało odepchnąć ją od siebie, jakby ostrzegało, by się nie zbliżała, jakby wyczuwało jej ambiwalentne uczucia względem niego, jakby z góry ją osądzało i znało jej pragnienia. Badanie USG wykazało, że to chłopiec. Tony już wybrał dla niego imię. Rowdy, oznajmił. Tak nazywał się kowboj z filmu z Clintem Eastwoodem, który kiedyś oglądał w telewizji. Cóż to za imię? — pomyślała, lecz nic nie powiedziała. I tak nic by to nie dało.

— Jesteś pewna, że to ci nie zaszkodzi? — zwróciła się szeptem do Barbary. Obie wpatrywały się w brzuch Chris.

— Żartujesz? To daje mi nadzieję. Przypomina, po co to robię. — Barbara przesunęła dłonią po wydatnym brzuchu Chris z nadzieją, że wyczuje jakieś oznaki życia. Dziecko natychmiast się uspokoiło i Barbara musiała cofnąć dłoń.

Jakby wiedziało, pomyślała Chris. Barbara poklepała się po brzuchu.

— Skoro już tu jestem, mogłabym porozmawiać o zlikwidowaniu tych fałd.

Chris się zaśmiała.

— Wyglądasz wspaniale — zapewniła przyjaciółkę.

— Nie wiem. Jakoś nie mogę pozbyć się tego tłuszczu. Przynajmniej ty masz wymówkę.

— Wyglądasz wspaniale — powtórzyła Chris, dziwiąc się, jak Barbara n oże być taka spokojna, skoro za niecałą godzinę czekają zabieg. Siedziała obok niej wyprostowana, w kostiumie od Chanel i wysokich obcasach. Perfekcyjnie zrobioną twarz c kalały sięgające ramion czarne włosy. Brązowe oczy podkreślał jasnofioletowy cień, wydatne wargi obrysowane były czerwoną szminką, a na policzkach połyskiwał jasnobrzoskwiniowy róż.

Chris bezwiednie dotknęła własnego policzka, w miejscu gdzie naznaczyła go dłoń Tony'ego. Oczywiście to był wypadek. Nie chciał jej uderzyć. Tak, rozzłościł się, ale tylko uniósł dłoń. Nie sądził, że ona odwróci głowę. Dlaczego musiała to zrobić właśnie w tym momencie?

— Skarbie, przepraszam — zabrzmiał jej w uszach błagalny głos Tony'ego. — Nic ci nie jest? Wiesz, że nie chciałem zrobić ci krzywdy. Wybacz mi, proszę. Wiesz, że to był wypadek, prawda? Wiesz, jak bardzo cię kocham. Proszę, powiedz, że mi wybaczasz. Przrzekam, że to się więcej nie powtórzy.

— Coś się stało? — spytała Barbara.

— Stało?

— Za chwilę zrobisz sobie dziurę w policzku. Poczują, że się czerwieni.

— Chyba wyczuwam tu krostę — skłamała. Ostatnio coraz lepiej wychodziły jej te kłamstwa.

— Myślałam, że mamy to już za sobą. — Barbara pochyliła się nad policzkiem Chris. — Niczego tu nie widzę.

— To jedna z tych podskórnych.

— Tak, te są najgorsze. — Barbara rozejrzała się po korytarzu i westchnęła. — W takich chwilach mam ochotę zapalić.

— Denerwujesz się?

— Trochę. Słyszałaś może jakiś dobry kawał?

— Co jedna ściana mówi do drugiej? — spytała nieśmiało Chris.

— Spotkamy się na rogu?—odpowiedziała pytaniem na pytanie Barbara.

— Kiepski żart — przyznała Chris i obie wybuchnęły śmiechem. — Tak to jest, gdy się słucha kawałów czterolatka.

Barbara wolno wypuściła powietrze z płuc.

— A jeśli się okaże, że nie mogę mieć więcej dzieci? Chris ujęła dłoń przyjaciółki.

— Nie okaże się.

— A jeśli?

— Oddam ci moje — szepnęła, a Barbara oparła jej głowę na ramieniu.

W tym momencie poczuła kopnięcie dziecka, jakby usłyszało to, co powiedziała, jakby uważało, że leżąc przez tyle miesięcy w jej brzuchu, ma prawo do wszystkiego, co ona mówi, czuje i myśli. I nienawidziło ją za te myśli. Rowdy, powtórzyła bezgłośnie, starając się przyzwyczaić do tego imienia, gdy malec przypuścił atak, celnie kopiąc w pęcherz moczowy. Wcale tak nie myślę, żartowałam. Nigdy bym cię nie oddała. Jesteś częścią mnie. Nigdy cię nie zostawię. To nie znaczy, że nie będę cię kochać, że już cię nie kocham, tylko że... Że co? Że pojawiaasz się nie w porę? To właśnie powiedziała przyjaciółkom: że trzecie dziecko to ostanía rzecz, jakiej teraz potrzebuje. Bo masz tyle innych spraw na głowie, znacznie ważniejszych, bo wolisz być z przyjaciółkami niż z własną rodziną? — spytało głosem Tony'ego.

— Nie! — Zerwała się na nogi. Barbara również wstała.

— Czy coś się stało? Wody ci odeszły?

Spojrzały na podłogę. Na szczęście była sucha, jak również uda i nogi Chris. Co się z nią dzieje? Czyżby przestała nad sobą panować?

— Muszę iść do toalety — oznajmiła.

— Pójść z tobą? — W oczach Barbary pojawiła się troska.

Wspaniale, pomyślała Chris. Ona martwi się o mnie, kiedy to ja powinnam martwić się o nią. Przecież to ona idzie na operację. To ją będą usypiać, kroić i nakłuwać, a ona ma tylko siedzieć i dotrzymywać jej towarzystwa. Tymczasem nawet tego nie potrafi zrobić. Jestem kompletnie do niczego, pomyślała. Moja najlepsza przyjaciółka przechodzi ciężką próbę, bo ponad wszystko na świecie pragnie mieć drugie dziecko, a ja za chwilę urodzę trzecie. Gdzie się podziała moja wrażliwość? Tony miał rację. Nie powinnam była tu przychodzić.

— Chris, dobrze się czujesz? Nie przejmuj się tak.

— Nic mi nie jest — skłamała.

— Może powinnaś wrócić do domu? — Barbara spojrzała na zegarek. — Lada chwila po mnie przyjdą i Roń zdąży przyjechać, nim obudzę się z narkozy. Nie ma powodu, byś tu czekała. Dam ci pieniądze na taksówkę. — Sięgnęła do torebki, wyjęła dwie dwudziestodolarówki i wcisnęła jej w rękę.

Chris zaczerwieniła się ze wstydu. Jak Tony mógł zostawić ją bez pieniędzy?

— Nigdzie nie idę — oznajmiła i włożyła banknoty Barbarze do torebki. — Tylko do toalety. Zaraz wracam.

Ruszyła niepewnie korytarzem. Nagle wydał jej się strasznie długi.

— Gdzie ta cholerna toaleta? — mruknęła. — Musi przecież gdzieś tu być.

— Czy mogę w czymś pomóc? — usłyszała z tyłu czyjś głos.

Serce zaczęło jej szybciej bić, a na czoło wystąpił pot. Znalazł mnie, pomyślała. Zamknęła oczy i przygotowała się na wybuch gniewu męża. Postąpiła wbrew jego woli, skorzystała z pierwszej okazji, by mu się sprzeciwić i narazić przy tym dziecko na działanie szkodliwych zarasków. Ma prawo się na nią gniewać.

— Czy szuka pani czegoś? — spytał męski głos, gdy Chris zmusiła się, by podnieść wzrok.

Zobaczyła mężczyznę o miłych niebieskich oczach, mierzącego około metra dziewięćdziesiąt i zupełnie niepodobnego do jej męża. Głos też ma inny, pomyślała, gdy podprowadził ją do toalety znajdującej się tuż za rogiem.

— Dziękuję — powiedziała. — Dziękuję — powtórzyła, chociaż mężczyzna już poszedł. — Dziękuję — powiedziała, stając przed lustrem i ochlapując policzki wodą. Zimne krople spłynęły po szyi i na biały kołnierzyk granatowej bluzki.

Kilka minut później pęcherz miała już pusty i była znacznie spokojniejsza. Kiedy wróciła na miejsce, zobaczyła, że Barbary nie ma. Stała chwilę na środku korytarza, zastanawiając się, co ma robić: usiąść i czekać na Barbarę czy wrócić do domu. Tylko że nie miała pieniędzy, jedynie dziesięć dolarów dla pani McGuinty za opiekę nad Wyattem. Musi więc poczekać na Rona. Nic nie szkodzi. Montana jest w szkole, a Wyatt pod dobrą opieką. Tu przynajmniej ma spokój i ciszę. Nikt jej nie mówi, co robić, jak robić, albo że jest leniwa, głupia i samolubna.

Nagle poczuła na plecach czyjąś rękę. O Boże, pomyślała, nieruchomiejąc i powstrzymując krzyk. Znalazł mnie. Była głupia, sądząc, że jej nie znajdzie, że nie będzie wiedział, gdzie jej szukać.

— Czy pani Chris Malarek? — zapytał kobiecy głos. Odwróciła się tak szybko, że omal nie przewróciła kobiety w średnim wieku w fartuchu pielęgniarstwa. Kiwnęła energicznie głową.

— Pani Azinger weszła już na salę — wyjaśniła pielęgniarka. — Prosiła, by dać pani to i powiedzieć, że zadzwoni do pani. — Po tych słowach wcisnęła jej do ręki pięć nowych dwudziestodolarowych banknotów.

— Dziękuję — wyszeptwała Chris. — Bardzo pani dziękuję. — I rozplakała się na ramieniu kobiety.

Musi od niego odejść.

W ciąży czy nie, nie może tak dłużej żyć, bez przerwy oglądając się przez ramię i bojąc się własnego cienia.

— Nie mogę tak żyć — mruknęła, usiłując wsunąć trzęsącymi się rękami klucz do zamka. — Nie mogę bać się wracać do domu, nie mieć własnych pieniędzy, okłamywać przyjaciółki, wypłakiwać się obcym ludziom. Nie mogę.

Spojrzała w stronę ulicy i na znikającą za rogiem taksówkę. Kocham tę ulicę, pomyślała, otwierając drzwi. Zwłaszcza teraz, w kwietniu, kiedy w chłodnym wilgotnym powietrzu czuło się obietnicę nowego życia. Jak mogła stąd odejść? Jak mogła zostawić przyjaciółki, wspaniałe kobiety z Grand Avenue, które tak bardzo kochała? Najlepsze przyjaciółki na świecie. Uśmiechnęła się, gdy przed oczami mignęły ich twarze. Zrozumieją, dlaczego musiała odejść. Od miesięcy wiedzą, że coś się dzieje. Jedynie wstyd powstrzymywał ją ód wyznania im prawdy.

Spakuje małą walizkę, odbierze Wyatta od pani McGuinty i Montanę ze szkoły, spędzi tę noc w hotelu, a potem zdecyduje, co dalej robić. Ma przecież kartę kredytową. A może nie. Nie. Tony zabrał jej wszystkie karty kredytowe. Powiedział, że mają dość długów, a ona nie potrafi gospodarować pieniędzmi. Miał rację. Pieniądze zawsze przepływały jej przez palce z zaskakującą łatwością. Dlatego przestał jej wypłacać tygodniówkę i dawał tylko kilka dolarów dziennie, każąc rozliczać się z każdego centa.

To nie było takie straszne. Dzięki temu nie musiała się martwić, że za dużo wydaje, lub czegoś planować. Nigdy nie była dobra w planowaniu. Nie potrafiła się skoncentrować. Dlatego postanowili, że zrezygnuje z prowadzenia samochodu. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby spowodowała wypadek i coś się stało dzieciom. Poza tym po co jej samochód, zwłaszcza teraz, gdy Tony mógł ją wszędzie zawieźć. Nie, drugi samochód byłby niepotrzebną rozrzutnością. W razie czego pozostawała taksówka.

— Taksówka — powtórzyła, wchodząc do hallu. Po prostu wsiądzie do taksówki i pojedzie. Tylko dokąd? Rzuciła palto i torebkę na podłogę i przeszła nad nimi. Przecież jest w ósmym miesiącu ciąży. Dokąd pojedzie? Do matki? Mieszkała w Kalifornii z mężem numer trzy, a ojciec na Florydzie z żoną numer cztery. Czy któreś było szczęśliwsze teraz, niż gdy byli razem? Wątpiła w to. Rozbili rodzinę, pozbawili dzieci oparcia, zostawili je dla nieznanych partnerów, wyrócili wszystko do góry nogami, i po co? Po to, by być równie nieszczęśliwymi gdzie indziej? A teraz ona chciała zrobić to samo swoim dzieciom i Tony'emu.

Czy naprawdę mogła porzucić męża dla własnej zachcianki, zniszczyć rodzinę, tylko dlatego, że czuła się przygnębiona? Zresztą jak zwykle w czasie ciąży. To hormony sprawiały, że irytowały ją najdrobniejsze szczegóły, że odszczekiwała się Tony'emu, kwestionowała każde jego słowo, miała mu za złe troskę i dbałość o nią.

Czy nie chciał dla niej jak najlepiej? Przecież zawsze starał się jej pomagać, chronić ją, nawet przed nią samą. „Jesteś swoim największym wrogiem” — powtarzał, i miał rację.

Może powinna pójść do psychiatry. Weszła wolno na górę, czując, że stopy zapadają się w dywan jak w piasek, a trzymająca się poręczy ręka drży. Ile tu kurzu, pomyślała, ciągnąc z wysiłkiem jedną nogę za drugą. Nie potrzebuje psychiatry, potrzebuje sprzątaczkę.

Albo adwokata. Doszła do szczytu schodów i głośno wciągnęła powietrze.

— Adwokata — powtórzyła głośno, delektując się tym słowem.

Weszła do sypialni i klapnęła na łóżko. Czowała się ociężała i porzucona jak wieloryb na mieliźnie. Dziecko mocnym kopnięciem okazało niezadowolenie.

— Wszystko w porządku, mały — zapewniła go. — Wszystko w porządku.

Nic jednak nie było w porządku. Dostrzegła swoje odbicie w oknie sypialni i z trudem rozpoznała siebie w tej nieszczęśliwej kobiecie. Zmrużyła oczy, by się lepiej przyjrzeć, lecz im mocniej się starała, tym obraz stawał się mniej wyraźny. Jedno poruszenie głową, a zniknęła w smudze światła. Co się z nią stało? Dokąd poszła?

Chwilę później trzymała w ręku słuchawkę telefonu i wystukiwała numer, nie dopuszczając do siebie żadnych myśli.

— Poproszę z Vicki Latimer—powiedziała, dziwiąc się, że ma taki mocny głos.

— Przykro mi, pani Latimer jest na spotkaniu.

— Mówi Chris Malarek, jej przyjaciółka. Chciałabym się z nią skontaktować najszybciej jak to możliwe. — Co właściwie zamierzała jej powiedzieć? Prosić o radę, o pożyczkę, o dobrego adwokata od rozwodów? — Chciałabym wiedzieć, jakie mam możliwości wyboru — dodała, nie zdając sobie sprawy, że mówi to na głos.

— Przekażę pani Latimer, że pani dzwoniła — odpowiedziała sekretarka.

Została ze słuchawką przy uchu, chociaż sekretarka już dawno się rozłączyła. Ciągły sygnał wibrował jej w głowie jak aparat do pracy serca, sygnalizujący, że przestało bić.

Nie była pewna, ile czasu tak siedziała zgarbiona, z nabrzmiałymi piersiami na wydatnym brzuchu i słuchawką w ręku, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w okno. Dziecko nagle się uspokoiło. Nie była pewna, kiedy zorientowała się, że nie jest sama. Może dostrzegła w oknie odbicie Tony'ego lub usłyszała jego oddech za plecami. Może wyczuła ruch powietrza, zakłócający obieg tlenu, a może jego zapach jak gazela na chwilę przed atakiem głodnego tygrysa. A może cały czas wiedziała, że on tam jest. Dziecko w jej tonie poruszyło się, jakby utwierdzało ją w tym przekonaniu.

— Odłóż słuchawkę, Chris — powiedział Tony. Jego głos ciął powietrze niczym ostrze.

— Tony... — zaczęła.

— Odłóż słuchawkę i odwróć się.

Słuchawka wypadła jej z ręki i zawisła na sznurze jak człowiek na szubienicy. Nie pochyliła się, by ją podnieść i odłożyć na widełki, lecz patrzyła, jak kołysze się nad stalowoniebieskim dywanem niczym wahadło w starym zegarze, wystukując sekundy jej smutnego, bezsensownego życia.

— Odwróć się — powtórzył Tony.

Odetchnęła głęboko, położyła rękę na brzuchu, po czym wolno i niechętnie spełniła jego polecenie.

— Zdecydowałem, że jednak nie pojedę — powiedział z uśmiechem. — Co jest, Chris? Nie cieszysz się na widok męża?

Patrzyła, jak jego uśmiech zmienia się w szyderstwo, prawa ręka unosi się, a dłoń leci ku niej z hipnotyczną prędkością. Nagle świat rozdarł oślepiający błysk i ogarnęła ją ciemność.

— Kiedy telefonowała?

— Jakies dwie minuty temu. Tuż przed twoim przyjściem.

— Mówiła, że to coś ważnego?

— Powiedziała, że chciałaby się z tobą natychmiast skontaktować.

Vicki ściągnęła brwi, zastanawiając się, czy coś poszło nie tak w czasie zabiegu Barbary.

— Telefonowała ze szpitala?

— Nie powiedziała.

— A co dokładnie powiedziała?

— Że jest twoją przyjaciółką i chciałaby się z tobą skontaktować najszybciej, jak to możliwe.

— Nie powiedziała, o co jej chodzi?

— Mówiła, że chciałaby wiedzieć, jakie ma możliwości wyboru.

O jakie możliwości jej chodziło? — zastanawiała się Vicki, sięgając przez zavalone papierami biurko do telefonu i wciskając numer Chris. Odpowiedział jej sygnał zajętości. Ponownie spróbowała i znów usłyszała ten sam denerwujący dźwięk. Cisnęła słuchawkę na widełki. Sygnały zajętości traktowała jak osobistą zniewagę. Obrażały ją, co było zupełnie irracjonalne oraz nie miało nic wspólnego z logiką i zdrowym rozsądkiem. Nic jednak na to nie mogła poradzić, że uważała je za celową złośliwość drugiej osoby. Kazały jej czekać, utrudniały życie i dawały do zrozumienia, że jest jedną z wielu. Wystukaj numer i czekaj na swoją kolej. Westchnęła.

— No cóż, pewnie omawia te możliwości z kimś innym. Zbyła irytację machnięciem ręki. Na smukłym palcu błysnął wielki brylant. Obeszła biurko i usiadła w czarnym skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

— Były jeszcze jakieś telefony?

— Mąż. Przypomina ci, że o siódmej jest kolacja w Cin-cinnatian Hotel i powinnaś się przygotować na co najmniej godzinę przemówień.

Jęknęła. Jeszcze jedna nudna kolacja na cześć jej męża. Oczywiście zasługiwał na te niezliczone pochwalne peany, tylko że miała już serdecznie dość przyjęć, na których nie tylko ona była osobą podziwianą.

— I córka dzwoniła dwa razy. Najwyraźniej źle się poczuła i szkoła odesłała ją do domu. — Sekretarka wskazała na stosik karteczek leżący obok telefonu. — I jeszcze to. Mówiłam wszystkim, że masz spotkania i dopiero jutro będziesz mogła oddzwonić.

— Dzięki.

— Ach, i jakiś mężczyzna telefonował ze trzy razy. Nie podał nazwiska, lecz sprawiał wrażenie niezadowolonego.

Vicki zmarszczyła czoło. Domyślała się, kim mógł być ten niezadowolony.

— Jeżeli jeszcze raz zadzwoni, powiedz, że nie będzie mnie w biurze przez cały tydzień. I Michelle...

Sekretarka utkwiała w niej spojrzenie wodnistych oczu. Jej twarz okalały cienkie kasztanowe włosy. „Oddaj mi tę bidulke na pięć minut” — powiedziała kiedyś Barbara.

— Spróbuj się dodzwonić pod ten numer.—Pospiesznie napisała na kartce numer do Chris i podała Michelle. — Daj znać, kiedy będzie wolny. Ach, i znajdź mi numer kliniki uniwersyteckiej w difton.

— Oczywiście.

Sekretarka ciężkim krokiem wyszła z gabinetu. „Wyprostuj się—usłyszała głos Barbary.—Głowa wysoko, pierś do przodu, brzuch wciągnięty”. Znowu zaczęła się zastanawiać, czy ten telefon od Chris nie dotyczył Barbary. Co prawda laparoscopia była stosunkowo prostym zabiegiem, ale pełna narkoza niosła ze sobą wiele zagrożeń. W sądach pełno było spraw dotyczących błędów lekarskich. Sama w kilku uczestniczyła. Lecz Chris nie wspomniała nic o Barbarze, tylko o jakichś możliwościach.

— Dobra, co najpierw — mruknęła, omiatając wzrokiem biurko i zagryzając pociągniętą perłową szminką usta. — Powinnaś zadzwonić do córki—powiedziała głośno, lecz postanowiła, że najpierw skontaktuje się z mężem. Wcisnęła jego prywatny numer na prywatnej linii. — Znów gadam sama do siebie — uśmiechnęła się z rezygnacją. Często to robiła. Te monologi pomagały jej się skupić, dodawały znaczenia nawet nic nieznaczącym myślom. Poza tym lubiła brzmienie własnego głosu.

— Cześć, kochanie — usłyszała w słuchawce głos męża. Jeremy Latimer urodził się i wychował w Ohio, lecz prawie dziesięć lat mieszkał w Atlancie, nim przeniósł się do Cincinnatii, dlatego czasami niektóre wyrazy i zdania wymawiał z charakterystycznym południowym akcentem. Kiedy chciał, potrafił go

przywoływać, podobnie jak południowy sposób bycia, który przynosił mu coraz większą sławę.

— Cześć, kochanie. Jak leci? — spytała, naśladowując jego akcent. Charakterystyczną jego cechą było połykanie końcówek wyrazów.

— Pomalutku — odpowiedział.

Wyobraziła sobie, jak przesuwa leniwie dłonią po cudownie gęstej szpakowatej czuprynie. Dzięki Bogu, że nie zaczął jysiećjak wielu mężczyzn po pięćdziesiątce albo tyć, co było nieodłączną cechą średniego wieku. Natura obdarzyła Jere-my'ego Latimera gęstymi włosami, a na szczupłą sylwetkę ciężko pracował, mądrze się odżywiając i regularnie uprawiając gimnastykę. Lubiła sobie przypisywać tę zasługę. Może posiadanie o prawie ćwierć wieku młodszej żony dostarczało mu motywacji do zachowania zdrowego i młodego wyglądu. A może bogaci po prostu tacy już byli.

— Telefonowała Rosie — powiedział, mając na myśli opiekunkę ich dwójki dzieci. — Odesłali Kirsten do domu z lekką gorączką.

— Tak, wiem. Kirsten telefonowała do mnie dwa razy. Biedactwo. Zadzwońię do niej i zapytam, jak się czuje.

— Myślisz, że będziesz musiała zostać z nią dziś wieczorem?

— Na pewno to nic takiego, z czym Rosie nie dałaby sobie rady. Nie obawiaj się — zapewniła go. — Przyjdę na tę kolację i wszystkich przyćmię.

— Kochanie — powiedział ze śmiechem — uwielbiam, kiedy wszystkich przyćmiewasz.

Zatelefonowała do domu i dowiedziała się, że córka smacznie śpi. Dzięki temu nie będzie musiała tracić cennego czasu na prowadzenie inteligentnej rozmowy z siedmiolatką. Spojrzała na stojącą na biurku fotografię dzieci oprawioną w srebrną ramkę. Kirsten otaczała piegowatym ramieniem młodszego braciszka. Uśmiechali się do kamery, lecz uśmiech Josha był nieśmiały, a Kirsten szeroki, jakby chciała połknąć fotografa. Brakowało jej dwóch przednich zębów. »Potrafisz coś na to poradzić?» — pytały jej roześmiane oczy.

Co ona zrobiła z tymi zębami? — pomyślała Vicki, Przypominając sobie, jak Barbara podarowała jej córce srebrne pudełeczko, by miała gdzie je trzymać. Zawsze chciała założyć album dokumentujący rozwój dzieci, lecz skończyło się na zamiarach. A teraz było już za późno.

Mleczne zęby powypadały, rudozłote loki zniknęły, pierwsze wypowiedziane słowa umknęły z pamięci. Nie była złą matką, ale będzie znacznie lepszą, gdy dzieci trochę podrosną. Wcisnęła przycisk interkomu.

— Co się dzieje z numerem, który ci dałam?

— Ciągłe zajęty. Ale mam numer do kliniki uniwersyteckiej.

— Dzięki. Próbuj dodzwonić się do pani Malarek. Zatelefonowała do szpitala, dowiedziała się, że Barbara

jest już po zabiegu i czeka na męża, który najwyraźniej się spóźnia.

— Wszystko z nią w porządku — oznajmiła pustym ścianom gabinetu, odłożyła słuchawkę i ponownie ją podniosła, próbując dodzwonić się do Chris, lecz bez rezultatu. Z lam u diabła Chris tak długo gada? Nigdy z nikim nie rozmawiała dłużej niż kilka sekund. Tony zawsze był w pobliżu, przeszkadzał, odciągał od telefonu. Nie miała czasu na normalne rozmowy. Nie miała też czasu dla przyjaciół. W ogóle nie miała na nic czasu. Ale komu potrzebny czas, gdy się nie ma własnego życia? A Chris go nie miała. Czy dlatego dzwoniła? Czy o takie możliwości jej chodziło? Możliwości powrotu do normalnego życia?

Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, nim sekretarka zdążyła to zrobić.

— Chris? — spytała, wstrzymując oddech.

— Pani Latimer? — spytał męski głos. W jednej chwili zmieniła ton.

— Kto mówi?

— Bili Pickering.

Zerknęła niespokojnie na zamknięte drzwi gabinetu i zniżyła głos do szeptu.

— Dowiedział się pan czegoś?

— To może być Minorka.

— Minorka?

— To mała wyspa u wybrzeży Hiszpanii.

— Wiem, gdzie leży Minorka, panie Pickering—rzuciła niecierpliwie — lecz tu chodzi o moją matkę. Czy znalazł ją pan? — Ponownie zerknęła w stronę drzwi. Czy ktoś mógłby ją usłyszeć?

— Kobieta odpowiadająca rysopisowi mieszkała tam przez ostatnie sześć miesięcy pod nazwiskiem Estella Green-away.

— Sama?

— Nie, z mężczyzną, który nazywał się Eduardo Yalas-quez, miejscowym artystą.

— Rozmawiał pan z nią?

— Jeszcze nie. My...

Nagle zamieszanie pod drzwiami poderwało Vicki na nogi. Po chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wpadł wysoki, muskularny mężczyzna o płonących gniewem oczach. W ręku trzymał pogniecioną kartkę papieru i celował nią w Vicki.

— Co to, do cholery, ma być?! — wrzasnął.

— Oddzwonię do pana — poinformowała Billa Pickeringa, po czym spokojnie odłożyła słuchawkę i odsunęła za uszy krótkie rude włosy.

— Przepraszam, Vicki. — W drzwiach stanęła wyraźnie wzburzona sekretarka. — Nie mogłam go zatrzymać. Mam wezwać ochronę?

Vicki wpatrywała się w niezwykle przystojnego mężczyznę, trzęsącego się z gniewu przed jej biurkiem. Kwadratowa szczeka i imponujące bary wskazywały, że

musiał grać kiedyś w futbol i rzeczywiście, był w college'u gwiazdą drużyny futbolowej.

— Nie będzie to konieczne, prawda, Paul? — spytała.

— O co tu chodzi, Vicki? — odpowiedział pytaniem.

— Może usiądziesz. — Wskazała na krzesło stojące z drugiej strony biurka, po czym sama usiadła w fotelu. Krótka czarna wełniana spódniczka odsłoniła do połowy udo, lecz celowo jej nie obciągnęła. — Michelle, bądź tak dobra i zrób nam kawy.

— Nie chcę żadnej cholernej kawy! — Cisnął kartkę na biurko, rozrzucając leżące na nim papiery. Kilka z nich Poszybowało na podłogę. — Chcę wiedzieć, co ty, do cholery, kombinujesz.

— Usiądź, Paul — polecała, po czym zwróciła się do stojącej w drzwiach sekretarki. Kobieta najwyraźniej nie bardzo wiedziała, gdzie ma podziać oczy. — Pan Moore już nie będzie wrzeszczeć, prawda, Paul?

Nie odpowiedział. Zamiast tego kopnięciem obrócił stojące przed biurkiem krzesło i klapnął na nie z impetem. Skórzane obicie jęknęło. W tej chwili wyglądał jak chłopiec, obok którego siedziała w szkole podstawowej od drugiej do szóstej klasy. Te same niesforne blond włosy, ruchliwe zielone oczy i ten sam grymas na kształtnych wargach.

— Dwie kawy — poinformowała sekretarkę. — Jedna czarna, jedna ze śmietanką bez cukru. Zdaje się, że taką pije pan Moore. Nie mylę się?

— Czy ty kiedykolwiek się mylisz? — spytał w odpowiedzi.

Uśmiechnęła się i zaczęła, aż sekretarka wyjdzie z gabinetu.

— Domyślam się, że to ty jesteś tym tajemniczym mężczyzną, który telefonował — powiedziała, nie okazując zbytniego zaskoczenia. Od kilku dni spodziewała się jego wizyty.

— Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? — spytał, w równym stopniu zdenerwowany zarówno swoim zachowaniem, jak i powodem swojej wizyty.

— Zapewne siostra poinformowała cię...

— Zapewne siostra poinformowała mnie — powtórzył, naśladowując ton jej głosu. Zgniół odręcznie napisany list w kulkę i cisnął ją przez pokój. Odbiła się od okna i upadła na podłogę. — Zapewne siostra poinformowała mnie — powtórzył jak płyta, która się zacięła. — Jak mogłaś to zrobić?

— Twoja siostra wynajęła mnie, bym reprezentowała...

— Na litość boską, chcesz pozywać do sądu moją matkę! — Walnął pięścią w biurko.

— Paul, takie zachowanie nie przyniesie niczego dobrego. Według prawa nie powinienes tu przychodzić. Jestem pewna, że twój adwokat radziłby...

— Pieprz mojego adwokata!

Słumiała uśmiech. Już to zrobiłam, pomyślała. Stała jej przed oczami kościsty,

plowowłosy mężczyzna reprezentujący rodzinę Paula Moore'a. Przed kilkoma laty połączył ich tygodniowy romans, kiedy jej mąż załatwiał interesy w Kalifornii. Zagryzła dolną wargę i zepchnęła w głąb pamięci obraz kościstego adwokata.

— Nie możesz brać tego tak do siebie, Paul — powiedziała.

— Nie brać do siebie? — powtórzył z niedowierzaniem. — Przecież rozbijasz mi rodzinę.

— Nie zamierzam rozbijać niczyjej rodziny.

— A jak myślisz, co spowoduje ten proces?

— Twoja siostra wynajęła mnie, bym podważyła ostatnią wolę ojca. Ma poczucie, że została rozmyślnie i niesprawiedliwie pominięta...

— Wiem, co ona czuje! — Poderwał się z krzesła i machnął gniewnie rękami. — Cały świat wie, co ona czuje. Dlaczego? Bo wszystkim o tym opowiada. Bo jest stuknięta. Zawsze taka była. Dobrze o tym wiesz. Na litość boską, Vicki, przecież znasz ją od czwartego roku życia.

— Właśnie dlatego nie mogłam jej odtrącić, gdy przyszła do mnie w zeszłym miesiącu.

— Mogłaś powiedzieć, że byłby to konflikt interesów. Na litość boską, przecież mieszkaliśmy po sąsiedzku, chodziliśmy do jednej klasy. Moja matka zawsze ci pomagała, zwłaszcza wtedy, gdy odeszła twoja matka...

Vicki zerwała się z fotela i obciągnęła spódnicę.

— To nie ma nic do rzeczy — odpowiedziała. Stała jej przed oczami matka, młoda i piękna, taka jak trzydzieści lat temu, gdy od nich odeszła. Siedziała na hiszpańskiej plaży z mężczyzną o nazwisku Eduardo Yalasquez.

— To nie w porządku — mruknął Paul. — To niesprawiedliwe. Jak możesz tak ranić moją matkę?

— Nikogo nie zamierzam zranić. Wykonuję jedynie swoją pracę.

Zaskoczył ją chłód w głosie. Przyjaźnili się z Paulem od dziecka. Przyjaźniła się również z jego żoną. Lecz czy to dawało mu prawo do grzebania w przeszłości, do wykorzystywania tego przeciwko niej, jakby była jakąś kartą przetargową? Jakim prawem traktował to tak osobiście i mówił o sprawiedliwości? Przecież tu chodzi o prawo. A prawo nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do gabinetu weszła sekretarka, zgarbiona, ze spuszczoną głową i cienkimi kasztanowymi włosami opadającymi na twarz. Postawiła na biurku dwa kubki z gorącą kawą i szybko wyszła z pokoju. — Zróbmy sobie pięciominutową przerwę — zaproponowała Vicki, odprowadzając wzrokiem sekretarkę. — Ta rozmowa nie należy do przyjemnych — dodała, mając nadzieję, że głos jej nie zdradzi, bo wbrew temu, co powiedziała, świetnie się bawiła. Dla takich właśnie scen postanowiła zostać adwokatem. Dla takich właśnie dramatycznych scen, z rozmachem otwieranych drzwi, rozwścieczonych głosów, tego wspaniałego, autentycznego, nieopisanego chaosu.

„Dlaczego chcesz zostać prawnikiem? — spytał mąż, gdy jeszcze chodziła z jego synem. — Tyle jest przy tym pracy, w większości jałowej i nudnej”.

„Tylko kiedy prawnik jest jałowy i nudny” — odparowała.

Jeremy wyznał później, że w tym właśnie momencie się w niej zakochał.

— Adrienne to wariatka, doskonale o tym wiesz — powiedział Paul Moore, nie dając za wygraną.

— Adrienne to nieszczęśliwa kobieta. Ona również nie chce chodzić po sądach.

— I dlatego chce procesu?

— Chce otrzymać swoją część spadku. Na pewno zgodzi się załatwić to poza salą sądową.

— Na pewno.

— W takim razie porozmawiaj z matką i bratem i przyślij swojego adwokata z rozsądną propozycją.

— Nie ma mowy — odparł gniewnie Paul Moore.

— Więc nie zostawiasz nam wyboru.

W tym momencie przypomniała sobie o Chris i spojrzała na telefon.

— Naprawdę chcesz to zrobić? — spytał Paul Moore, chodząc tam i z powrotem przed biurkiem Vicki. Cienkie smużki pary unoszące się znad kubków z kawą zmieniły się w fale pod wpływem ruchu powietrza. — Naprawdę chcesz wciągnąć moją rodzinę w to bagno? Pozwolić, by moja siostra usiadła na miejscu dla świadków i wygadywała te wszystkie kłamstwa?

— Nigdy nie pozwoliłabym twojej siostrze kłamać na miejscu dla świadków.

Zatrzymał się gwałtownie.

— Chcesz powiedzieć, że wierzysz w to, co ci naopowiadała?

— Wiesz, że nie mogę ujawniać treści naszych rozmów.

— Nie musisz. Dokładnie wiem, co ci naopowiadała. Przez całe życie wysłuchiwałem tych bzdur: że ojciec nigdy jej nie kochał, że nigdy nie potrafiła mu dogodzić, że nazywał ją głupią, bo nie była równie mądra jak ja czy brat, że nie traktował jej poważnie, że nie dopuszczał do rodzinnego interesu. Zapomniała jednak o tym, że odmówiła pójścia do college'u i nigdy nie wykazywała najmniejszego zainteresowania rodzinnym interesem. Pewnie powiesz, że to nie ma nic do rzeczy. Nie zapominajmy jeszcze o tym, że nie akceptował jej sposobu ubierania się, jej chłopców czy jej mężów. Nieważne, że miał rację, bo ubierała się jak dziwka, a jej chłopcy byli bandą żalonych nieudaczników, i że pokrył koszty jej dwóch rozwodów. Pewnie zapomniała ci o tym wspomnieć. Jestem też pewien, że celowo pominęła również to, co musieli znosić rodzice przez te wszystkie lata, gdy mieszkała w domu, i te straszne kłamstwa, które im opowiadała, a które w końcu doprowadziły do tego, że wyrzucili ją z domu.

— Jakie kłamstwa?

— Od czego by tu zacząć? — Usiadł w fotelu i podniósł kubek z kawą do ust.

— Gdy Adrienne skończyła szesnaście lat, ojciec przyłapał ją z jakimś nędznym typem, z którym wyraźnie zabronił jej się widywać, w hotelowej windzie, jak jechała z tym gościem do jego pokoju. — Pokręcił głową, a w chłodnych zielonych oczach błysnęło niedowierzenie.

— Myślisz, że przeprosiła go lub okazała skruchę? Nie. Jak mała Adrienne zareagowała, gdy przyłapano ją z jakimś parszywym dealerem narkotyków w podrzędnym hotelu? Oskarżyła ojca, że był w tym hotelu ze swoją kochanką, i to w obecności matki, nie przejmując się tym, że może ją zranić. Nie obchodziło ją, że ojciec był w tym hotelu w interesach, a ta kobieta była jego klientką. To nie miało znaczenia. A kiedy zabronił jej przez miesiąc wychodzić z domu, wymknęła się cichaczem w środku nocy, ukradła samochód i rozbiła go o płot sąsiadów. Trafiła do domu poprawczego. A po powrocie przestała chodzić do szkoły, piła, brała narkotyki i opowiadała kolejne kłamstwa.

— Jakie?

— Na przykład, że ojciec nienawidzi jej nie dlatego, że marnuje sobie życie, ćpa i zachowuje się jak niewdzięcznica, lecz dlatego, że go przejrzała i wie wszystko o jego drugim życiu i kochankach. Słyszała, jak umawiał się przez telefon na sekretną randkę. Wie o kochance z Dayton, romansie z dawną opiekunką i o tym, że przystawiał się do jednej z jej koleżanek. Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest nie to, że pominął ją w testamencie, lecz że tak późno się jej wyparł.

— Uważam, że powinniście poważnie pomyśleć o tym, by załatwić tę sprawę poza salą sądową—powiedziała Vicki, starannie dobierając słowa.

Odstawił kubek z kawą, nie wypijając nawet łyka.

— A to dlaczego?

— Proces sądowy jest kosztowny, Paul. Wiesz o tym. Kosztowny i kłopotliwy. Byłaby to głośna, lecz zarazem brudna sprawa. Ja również nie chciałabym zranić twojej matki.

— Bzdury!

— Dogadaj się z siostrą, Paul. Nie pozwól, by ta sprawa trafiła do sądu.

— Co ty sugerujesz? Chcesz powiedzieć, że znalazłaś tę tajemniczą kochankę z Dayton? Że wydobyłaś spod ziemi ducha opiekunki? — Wybuchnął śmiechem, lecz był to śmiech wymuszony, nieszczerzy i przyprawiony strachem.

— Porozmawiaj o tym z żoną, Paul. A potem wróć do mnie. — Opuściła wzrok, jakby na znak, że rozmowa dobiegła końca.

— Co to znaczy porozmawiaj z żoną? Ona nie ma z tym nic wspólnego.

— Ma, i to bardzo wiele — odpowiedziała bez zmrużenia powiek, patrząc mu prosto w oczy. — Jeżeli dojdzie do rozprawy, będę musiała powołać ją na świadka.

— O czym ty mówisz? Jakich kłamstw naopowiadała ci Adrienne o mojej żonie? Chyba nie chcesz powiedzieć, że oskarża ojca o romans z Joannę?

— Nie — przyznała. — Nie sędzę, by Adrienne wiedziała, co zdarzyło się między twoim ojcem i Joannę.

Przez chwilę powietrze zrobiło się takie nieruchome i ciężkie, że Vicki miała wrażenie, jakby znalazła się pod wodą. Zapanowała kompletna cisza. Nagle wszystko wokół zawirowało, zakotłowało się, jakby ktoś wyciągnął zatyczkę, a ją wciągnął potężny wir. Musiała przytrzymać się biurka, w przeciwnym razie zmiotłby ją z powierzchni ziemi.

— Mój ojciec i Joannę?! W jakie to chore gierki ty pogrywasz?

— To zdarzyło się dawno temu, tuż po waszym ślubie. Ojciec najwidoczniej wysłał cię z miasta w interesach.

— Coś zaszło, kiedy mnie nie było?

— Twój ojciec zjawił się w waszym mieszkaniu. Zaczął napastować twoją żonę. Udało jej się obronić, lecz z trudem. Nie muszę ci mówić, jaki przeżyła szok.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię.

— I wiesz to wszystko, bo...

— Bo Joannę mi o tym opowiedziała.

Zrobił się biały na twarzy, jakby ktoś przeciął tętnicę, a ręce opadły, jakby mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Musiał się chwycić oparcia fotela, żeby nie zsunąć się na podłogę. Przez chwilę myślała, że zemdleje.

— Moja żona ci powiedziała? — spytał, z trudem wymawiając słowa, jakby język kleił mu się do podniebienia.

— Tak — odparła Vicki, bojąc się powiedzieć coś więcej.

— Kiedy?

— Wkrótce po tym, jak to się stało. Musiała z kimś porozmawiać, a ja akurat byłam pod ręką. Kazała mi przysiąc, że zachowam to w tajemnicy. Powiedziała, że nie chce sprawiać kłopotów rodzinie, a zwłaszcza ranić twojej matki.

Pokręcił głową.

— Nie wierzę ci — powiedział, chociaż przeczyły temu błyszczące w oczach łzy.

— Załatw to poza salą sądową, Paul.

— Naprawdę byś to wykorzystała? Coś, co moja żona powierzyła ci w sekrecie prawie osiem lat temu? Coś, czego nie mógłby wiedzieć żaden adwokat? To nieetyczne.

— To jak najbardziej etyczne. Nie ma znaczenia, jak zdobywam informacje — odrzekła.

— Ani to, czy mój ojciec jest winny czy niewinny? — Paul nie dawał za wygraną. — Miał całkowite prawo pominąć ją w testamencie.

— Sąd może być innego zdania. To oczywiście tylko przypuszczenie. Lecz czy naprawdę chcesz, żeby to wszystko wyszło na jaw? Chcesz wyciągać to w sądzie?

Zdecyduj się na ugode, nim będzie za późno, nim jeszcze kogoś to zrani.

Głowa opadła mu na szeroką pierś, jakby ktoś do niego strzelił. Stał tak przez kilka minut, aż Vicki zaczęła uważnie obserwować ruch ramion, by sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Potem bez jednego słowa i spojrzenia odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

— Nic ci się nie stało? — spytała Michelle stając w drzwiach.

— Połącz mnie z Adrienne Sellers — poleciła sekretarce zamiast odpowiedzi.

— Udało ci się dodzwonić do Chris?

— Telefon jest ciągle zajęty.

Vicki pokręciła głową. Z kim, u diabła, Chris tak długo rozmawia?

— Adrienne Sellers na linii — poinformowała ją sekretarka.

Vicki poczuła nagły przyływ adrenaliny. Wyprostowała się i uniosła wysoko głowę.

— Adrienne, mam dla ciebie dobrą nowinę — powiedziała. — Wygląda na to, że dojdzie do ugody. — Po czym odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i roześmiała się na cały głos.

Ktoś się śmiał.

A może krzyczał? Wykrzykiwał jej imię. Usiłowała ruszyć głową, lecz ostry ból w karku ostrzegł przed dalszym ruchem. Chciała coś powiedzieć, lecz usłyszała jedynie chrypliwy lament. Ktoś ma straszne kłopoty, pomyślała, zastanawiając się, dlaczego nie może zobaczyć, kto to jest.

— Chris! — usłyszała jak przez mgłę. — Ktoś ciągnął ją za rękę, jakby była szmacianą lalką. — Chris, otwórz oczy. Wiem, że mnie słyszysz. Przepraszam, skarbie. Wiesz, że tego nie chciałem. Proszę, Chris, otwórz oczy. Przestań się wygłupiać.

Wygłupiać? Ktoś nią potrząsał, klepał delikatnie po policzkach. W co ona się bawi? Dlaczego boli ją głowa? Czemu nic nie widzi?

— Chrissy, proszę, otwórz oczy — błagał głos. Stawał się coraz bardziej natarczywy, więc próbowała

coś zrobić, lecz powieki odmawiały posłuszeństwa. Widziała jedynie ciemność. To pewnie brat zamknął ją w tej starej skrzyni i nie chce wypuścić. Wypuść mnie stąd! — krzyknęła, chociaż żaden dźwięk nie wyszedł ze spuchniętych warg.

Co mi się stało? — pomyślała, dotykając palcami ust i czując pod nimi coś lepkiego.

Gerry, w tej chwili mnie wypuść! — wrzasnęła, machając rękami. — Pożałujesz, jak stąd wyjdę. Gorzko tego pożałujesz.

— Przepraszam, Chris — powiedział ktoś. — Przepraszam.

Co się stało? Dlaczego nie może otworzyć oczu? Dlaczego bolą ją ramiona i szczęka? Czy miała jakiś wypadek? A może upadła i uderzyła się w głowę? Może samochód ją potracił. Skup się, nakazała sobie, usiłując pozbierać kłębiące się w

mózgu myśli. Spróbuj przypomnieć sobie, co się stało. Spróbuj poskładać wszystko do kupy. Przekreśliła głowę na bok, zaczęła mrugać powiekami, lecz niczego nie zobaczyła.

— Nie mdlej mi znowu, Chris — błagał przerażony głos.

Poczuła ostre kopnięcie w brzuch, potem następne. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że to gdzieś w środku. Ktoś wszedł w jej ciało i teraz bił ją od wewnątrz. Usiłowała wstać i uciec, lecz poruszyła jedynie stopami.

Ratunku! — krzyknęła do grupy kobiet stojących w cieniu. — Pomóżcie mi, zabierzcie mnie stąd. Wytlumaczcie, co się stało.

Z mroku wyłoniła się okrągła twarz Susan. „On pilnuje twoich okresów?” — spytała.

Obok niej pojawiła się Barbara. „Może powinnaś wrócić do domu. Lada chwila po mnie przyjdą. Nie ma powodu, byś tu czekała”.

„Telefonowałaś do mnie?” — spytała Vicki, przepychając się przed Susan i Barbarą.

Tak, telefonowałam, odpowiedziała w myślach, usiłując przypomnieć sobie po co. Była w szpitalu. Z Barbarą. Bez Tony'ego. O, Boże! Czekala na jakiś zabieg, a ja miałam ją podtrzymywać na duchu. Tony wyjechał z miasta w interesach. O, Boże! Dziecko kopie. Mdli mnie. Wracam do domu. Tony wyjechał. O, Boże! Nie ma samochodu na podjeździe. Montana jest w szkole. Wyatt zpanią McGuinty. W domu nikogo nie ma. Telefonuję do Vicki. Muszę wiedzieć, jakie mam możliwości wyboru. Odbicie Tony'ego w oknie. O, Boże! „Odłóż słuchawkę, Chris”. O, Boże! „Co jest, Chris? Nie cieszysz się na widok męża?” Boże, Boże, Boże!

— Obudź się, Chris. Proszę, skarbie, otwórz oczy. Do diabła, Chris!

Zobaczyła, jak jego pięść zbliża się ku niej, czekała na uderzenie w szczękę, lecz zamiast tego poczuła zimną wodę, która spłynęła jej do nosa i ust. Otworzyła oczy i powróciła do przytomności.

— Co się stało? — jęknęła, czując, jak dziecko pomaga jej się podnieść.

— Już dobrze, skarbie — powiedział Tony, trzymając w ręku pustą szklankę. — Miałaś drobny wypadek.

— Wypadek?

— Wiesz, że tego nie chciałem, kochanie. Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłbym ciebie ani dziecka. — Jego ręce były wszędzie. Na jej twarzy, we włosach, na brzuchu.

Usiłowała je odepchnąć, lecz z uporem wracały, jakby weszła w pajęczynę.

— Nie dotykaj mnie.

— Proszę cię, skarbie, nie bądź taka. Ja tylko chcę ci pomóc. Wiesz, że nie chciałem zrobić ci krzywdy.

— Uderzyłeś mnie. — Stała niepewnie na nogach.

— Straciłam przytomność.

— To był wypadek. Przecież wiesz.

Przeszła do łazienki i spojrzała w lustro na poobijaną twarz. Tony był tuż za nią. Kim ty jesteś? — spytała kobiety w lustrze. Kim jest ta żalosna, zagubiona duszyczka?

Ledwie cię rozpoznaję, powiedziała jedna para oczu do drugiej. Podrapana sina szczęka, pęknięta warga, z której kapła krew na biały kołnierzyk granatowej bluzki, mokry od wody, którą Tony polał jej twarz. Jak ty wyglądasz? Co się stało z tą pełną życia dziewczynką, goniącą starszego brata po całym domu? Zawsze go w końcu doganiała i rozkładała na obie łopatki. Gdzie się podziała ta dziewczynka?

— Boże! Jak mogłeś to zrobić? Obiecałeś, że to się więcej nie powtórzy.

— Ile razy mam ci powtarzać, że to był wypadek?

— Troska w głosie Tony'ego zmieniła się w gniew. — Nigdy by do tego nie doszło, gdybyś mnie nie okłamała.

— Ja ciebie okłamałam? — spytała z niedowierzaniem. O czym on mówi? — Kiedy ciebie okłamałam?

— Kiedy pojechałaś do szpitala.

— Nigdy cię nie okłamałam.

— Powiedziałaś, że nie pojedziesz.

Korytarz szpitalny: idący gdzieś ludzie, pacjenci ze stoją, karni do kroplówek, pochłonięci rozmową lekarze, śpieszące się pielęgniarki, sanitariusz pochylający się nad stosem kart chorobowych, mężczyzna myjący podłogę, drugi, chowający się za gazetą, goście wchodzący i wychodzący od chorych. Który z nich to był on? Jak długo ją obserwował?

— Tak jest, Chrissy—powiedział Tony, jakby odgadł jej myśli. — Byłem tam. Słyszałem każde twoje słowo. Słyszałem, jak zaproponowałaś, że oddasz nasze dziecko.

— Żartowałam — wyszeptała, czując, że ręce jej drżą.

— Świetnie się bawiłaś, co? Śmiałaś się i żartowałaś z tą laleczką Barbie. A co było z tym przystojnym młodym lekarzem, do którego tak się tuliłaś?

— Co?

— Myślałaś, że tego nie zauważę, co? Dobrze widziałem, jak robiliście z siebie przedstawienie na tym korytarzu.

O kim on mówił? Do jakiego lekarza się przytuliła?

— Nie wiem o...

— Daj spokój, Chris — wszedł jej w słowo. — Taki wysoki, przystojny gość, dokładnie w twoim typie.

Mignęła jej przed oczami postać młodego lekarza.

— On mi tylko pokazał drogę do toalety.

— Osobiście cię tam zaprowadził — poprawił ją Tony. — Wziął cię pod rękę.

— Po prostu był uprzejmy.

— Trochę zbyt przyjacielski, nie sądzisz?
— Przecież nic się nie stało. Sam widziałeś.
— Widziałem mężczyznę obejmującego moją żonę.
— Podtrzymał mnie za łokieć. — Urwała. To czyste szaleństwo. Przecież on tam był. Widział, co zaszło. Dlaczego więc się przed nim tłumaczy?
— Co ci powiedział, Chris? Co planowaliście?
— Niczego nie planowaliśmy. To śmieszne.
— Dałaś mu swój numer telefonu? Powiedziałaś, że mąż wyjechał w interesach?

Pokręciła głową. Jego nie interesowały odpowiedzi. On się po prostu nad nią znęcał moralnie.

— Trzeba było powiedzieć temu biedakowi, że nie ma szans — ciągnął Tony — gdy w pobliżu jest laleczka Barbie.

— O czym ty mówisz? — Usiłowała wyminąć go i wejść <jo sypialni, lecz zatrzymał ją.

— Dokąd się wybierasz, Chris? Na randkę? Potrząsnęła głową i poczuła bolesne pulsowanie.

— Obiecałam pani McGuinty, że odbiorę Wyatta o drugiej.

Na twarzy Tony'ego pojawiła się panika.

— Nie powinnaś się najpierw umyć? Chyba nie chcesz się tak pokazać? Wyglądasz, jakbyś wyszła spod ciężarówki. — Ciemne oczy zwięzły się oskarżycielsko. — A może chcesz? Może to część twojego planu?

— Nie mam żadnego planu — odparła, czując pod językiem, że jeden z zębów się rusza.

— Jesteś pewna? Nie dostałaś żadnych instrukcji od którejs z kumpelek? Na przykład od tej bogatej suki Vicki. Słyszałem, jak do niej telefonowałaś. Słyszałem, jak mówiłaś, że musisz się z nią skon taktować najszybciej, jak to możliwe. W jakim celu?

— Chciałam jej powiedzieć o Barbarze. — Posiniaczony policzek spłonął rumieńcem.

— Nie słyszałem, żebyś mówiła coś o laleczce Barbie, lecz o możliwościach wyboru.

— Nie.

— O jakich to możliwościach chciałaś rozmawiać, skarbie?

— Nie wiem — wyznała zgodnie z prawdą. O jakich to możliwościach mogłaby rozmawiać? Czy ona w ogóle miała Jakieś możliwości?

— Chyba nie myślałaś o odejściu?

W jej oczach błysnęły łzy i spłynęły po policzkach, mieszając się z krwią na wargach.

— Bo nie wiem, czy zniósłbym to, gdybyś ode mnie odeszła. Oszalałbym bez

ciebie. Nie miałbym po co żyć.

Poczuła słony smak łez na zaschniętej krwi na ustach. Tony zrobił krok w jej stronę.

— Kocham cię, Chrissy. Proszę, powiedz, że o tym wiesz.

— Wiem — szepnęła.

— Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził. Skinęła w milczeniu głową.

— To wszystko przez to napięcie, w którym żyję. Staram się zdobyć klientów, zarobić na nasze utrzymanie. Bank odmówił nam pożyczki.

— Co?

— Nie mówiłem ci, bo nie chciałem cię martwić.

— Odmówili pożyczki?

— Nie chcę, żebyś się martwiła, Chris. Wszystko będzie dobrze. Wszystko się uda, jeśli tylko będziemy razem, jeżeli będę wiedział, że jesteś ze mną, że mogę na ciebie liczyć. Czasami jednak doprowadzasz mnie do szaleństwa. Chcę ci ufać, lecz nie mogę. Nie pozwalasz mi na to. I to doprowadza mnie do szaleństwa, bo cię kocham. —Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach. — Powiedz, że mnie kochasz, Chris. Powiedz, że kochasz mnie równie mocno jak ja ciebie.

Tony, proszę...

— Muszę to usłyszeć.

— Ja... — Usiłowała wydobyć z siebie te słowa, lecz przywarły do zakrzepłej krwi na ustach.

— Nie każ mi błagać, Chris. Proszę, nie każ mi błagać. — Przesuwał dłońmi wzdłuż jej pleców i pieścił językiem brzeg ucha.

— Boże! —jęknęła — niedobrze mi. — Odepchnęła go i uklękła przed muszlą.

— O Boże!—powtórzyła, czując, jak coś w niej pęka i wody spływają po wewnętrznej stronie ud. Nie teraz, jeszcze nie teraz.

— Co się dzieje? Co ty, u diabła, robisz?

— Wody odeszły.—Pochyliła się nad muszlą. Jej ciałem wstrząsnęła seria bolesnych spazmów. To niemożliwe, to jej się śni.

— Termin porodu jest dopiero za miesiąc — powiedział Tony, jakby ostrzegał, żeby przestała udawać.

— Ale już się zaczęło —jęknęła. Miała ochotę umrzeć. Przecież zdarza się, że kobiety umierają w porożu.

Tymczasem Tony usiłował postawić ją na nogi.

— Trzymaj się, Chris. Nie panikuj. Zawieziemy cię do szpitala.

— Nie mogę się ruszyć.

— To tylko skurcz, kotku. Przecież to dla ciebie nie pierwszozna. — Poprowadził ją do sypialni, potem na korytarz. — Powolutku, krok za krokiem.

— Nie mogę! — krzyknęła. — Nie mogę!

— Oczywiście że możesz — przekonywał. — Powoli i spokojnie. Jestem przy

tobie.

— O Boże!

Jakoś udało mu się sprowadzić ją ze schodów, a potem na ulicę.

— Samochód jest tuż za rogiem — powiedział, jakby dawał do zrozumienia, że sam się tam znalazł, jakby to nie on go tam zaparkował, aby myślała, że wyjechał.

Popatrzyła na pokrwawiony i brudny sweter. Mokra od potu włosy przykleiły jej się do czoła, a spodnie przyłgnęły do mokrych ud. Chciałabym umrzeć, pomyślała.

— Nie dam rady.

— Nie zostawię cię, skarbie.

Nim dotarli do samochodu, ponownie dostała mdłości. Proszę, pozwól mi umrzeć, pomyślała, gdy Tony ostrożnie sadowił ją na przednim siedzeniu.

— Co powiesz w szpitalu? — spytał, wskazując za kierownicę i uruchamiając silnik. — Gdy zapytają o siniaki? — Wcisnął pedał gazu. — Możesz im powiedzieć, że poślizgnęłaś się, jak kapałaś Wyatta, uderzyłaś policzkiem o wannę, rozcięłaś wargę i jest ci okropnie głupio. Coś takiego. Rodzisz, więc nie będą cię o nic pytać.

— Tony...

— Co?

Odwróciła ku niemu twarz. Widziała go jak przez mgłę.

— To nie może się powtórzyć. Musisz dać mi słowo, że to nigdy więcej się nie powtórzy.

— Nigdy więcej — powtórzył i ścisnął ją za rękę.

— Musisz mi przyrzec. — Dlaczego tak się upierała? Przecież tyle razy złamał obietnicę. Czemu teraz ma być inaczej?

— Przyrzekam — powiedział. — Zobaczysz. Dopóki wiem, że mnie kochasz, wszystko będzie dobrze.

Dopóki wiem, że mnie kochasz. Te słowa tłukły się jej po głowie jak uderzenia młotem, silniejsze od pięści męża. Krzyknęła, udając, że złapał ją kolejny skurcz. Boże, pomyślała i zamknęła oczy, gdy rzeczywiście nastąpił. Starła się oswoić z nowym atakiem bólu, zatracić w jego niema] hipnotycznej sile. Wkrótce będzie matką trójki dzieci. O czym ona wcześniej myślała? Dokąd zamierzała pójść?

Wszystko będzie dobrze, pocieszała się, gdy Tony pędził ulicami Mariemontu. Musi być. Nie miała innego wyjścia.

— Masz wspaniały dom.

— Dziękuję Wchodźcie. Zapomniałam, że jeszcze u mnie me byliście.

v ShrisTPjZekrT°TC17ła marmur°wy próg nowej rezydencji Vicki w Indian Hill. Tony nie odstępował jej ani na krok.

«V ~ °CZy™e nlgdy d me **««»& że wyprowadziłaś się z Orand Avenue.

Przynieśliśmy ci coś miłego - powiedział Tony

t Słę> ZC d° ^W należy Przynoszenie

ś słodkiego do nowego domu.

Dziękuję — odpowiedziała Vicki, lecz Chris wiedziała co naprawdę myśli:
„No, nie całkiem nowego.

Juz od roku> Miło> że w końcu do nas

— Obcięłaś włosy! — pisnęła Vicki

Chris automatycznie sięgnęła ręką do głowy. Z trudem powstrzymała się, by nie wybuchnąć płaczem

— Gdzie się podział twój koński ogon? Obróć się Niech ci się przyjrzę.

Chris spuściła głowę i obróciła się nieśmiało. W tym momencie zauważyła plamę na różowym podkoszulku. Może czymś go zachlapała, lecz najpewniej był to ślad po zaschniętej krwi. Poczula łzy pod powiekami. Nie płacz, nakazała sobie w duchu. Jeżeli zaczniesz płakać, Tony każe ci wracać do domu. Powie, że robisz to celowo, że przyszłaś tu tylko po to, by zrobić scenę. Nie wolno ci płakać.

— O co chodzi? Nie podobają ci się krótkie włosy? — spytała Vicki, jakby wyczuwając łzy czające się w niebieskich oczach Chris. — Są urocze. Może trochę nierówne, ale to da się poprawić. Kto cię strzygł?

Chris chwyciła palcami postrzępione końcówki, wpatrując się w podłogę wyłożoną białym marmurem. — Jakiś fryzjer w Terrace Park. Przechodziłam tamtędy i nim się zorientowałam, nie miałam już końskiego ogona. — Proszę, nie zadawaj mi więcej pytań, poprosiła. bezgłośnie. Porozmawiajmy o czymś innym.

— Wiesz, jaka Chris potrafi być impulsywna — powiedział Tony.

— Właściwie to nie — stwierdziła Vicki.

— Początkowo mnie też się jej fryzura nie podobała — oznajmił.—Ale już się przyzwyczailem.—Musnął dłonią krótkie loki Chris.

Odchyliła głowę w drugą stronę, usuwając się z zasięgu jego ręki, i spojrzała w stronę podjazdu, na którym Montana i Wyatt bawili się w berka w letnim słońcu między nowym czerwonym jaguarem Vicki i srebrnym porche Jeremy'ego. Za luksusowymi samochodami gospodarzy stał ciemnozielony cadillac Susan i Owena oraz czekoladowy mercedes Rona i Barbary.

— Dzieci, chodźcie tutaj! — zawołała. Ku jej uldze natychmiast posłuchały, lecz przy drzwiach zaczęły się rozpychać, bo każde chciało wejść pierwsze. — Żadnego Przepychania — ostrzegła.

W odpowiedzi sześciolatek Wyatt walnął siostrę w ramię.

— I żadnego bicia — dodała.

— Daj spokój, Chris, to przecież dzieci — wtrącił Tony. ~ A dzieci zawsze się biją.

Na te słowa Montana walnęła brata w żebra.

— Przestań — ofuknęła ją Chris, a Montana spojrzała na ojca. — Pamiętasz przyjaciółkę mamusi, Vicki? Wyatt, pamiętasz panią Latimer?

— Ostatni raz widziałam cię chyba przed rokiem — powiedziała Vicki, patrząc na Montanę. Wprowadziła gości do wielkiego, wyłożonego marmurem hallu i zamknęła frontowe drzwi. — Tuż przed naszą przeprowadzką. A ty jak wyrosłeś — uśmiechnęła się do Rowdy'ego, który natychmiast ukrył twarz na ramieniu ojca. — Wszyscy są w ogrodzie. Nie mogą się już was doczekać. Chodźcie, zaprowadzę was. — Podała rękę Montanie.

Dziewczynka spojrzała na ojca, jakby czekała na pozwolenie. Tony uśmiechnął się. Montana poszła za Vicki, trzymając ręce za plecami.

— Czy mama opowiadała wam, jak się poznałyśmy? — spytała wesoło Vicki.

— Brzmi to jak jakaś historia miłosna — stwierdził Tony, biorąc Wyatta na rękę obok Rowdy'ego i wchodząc do przestronnego salonu.

— Można to i tak nazwać.—Vicki złapała Chris za rękę i mocno ucisnęła. — Jak miło cię widzieć.

— Gębie również. Przynieśliśmy prezent urodzinowy dla Josha. — Chris wyjęła z płóciennej torby paczkę opakowaną w jasny papier.

— Dziękuję. To naprawdę miło z waszej strony. Aż trudno uwierzyć, że tak szybko rosną. — Wzięła z rąk Chris małe pudełko i razem z czekoladkami położyła na antycznym stole o pozłacanych brzegach. Poprowadziła teraz gości w głąb domu. — Pamiętam dzień, w którym się urodził.

Chris nie mogła ukryć zdziwienia. Vicki nigdy nie była sentymentalna. Pamiętała jedynie daty rozpraw sądowych.

— Boże, co się wtedy działo!—ciągnęła Vicki. — Byłam w trakcie załatwiania ważnej sprawy. Zabrałam ze sobą do szpitala wszystkie papiery. Rozmawiałam przez telefon i rodziłam. Nie muszę ci mówić, jak się wtedy czułam. Właśnie finalizowałam ugodę, a pielęgniarki mi mówią, że jest już pełne rozwarcie i musimy jechać na salę porodową.

„Proszę odłożyć słuchawkę, pani Latimer”, mówią, a ja na to, iż nie jestem gotowa i że potrzebuję jeszcze dwóch minut. Zaczęły krzyczeć, że już widać główkę dziecka. W końcu wyjęły mi słuchawkę z ręki, ale zdążyłam uzyskać ustną zgodę od drugiej strony. Co to był za dzień! Nigdy go nie zapomnę.

Chris się roześmiała. Następnego dnia zatelefonowała do Vicki do szpitala, a tam poinformowano ją, że pani Latimer z synem zostali już wypisani. Vicki wróciła do pracy trzy dni po porodzie.

— Wspaniale urządziłaś dom — powiedziała z zachwytem, zaglądając do mijanych pokoi. — Wszystko jest przepiękne.

— Szczerze mówiąc, to dekorator nas urządził — przyznała Vicki. — Powiedziałam mu tylko, że lubię antyki, a Jeremy woli nowoczesność. Połączył więc stare meble ze sztuką nowoczesną i jakimś cudem pasują do siebie.

— Super — powiedział Tony, naśladowując pewny siebie chód gospodyni, czym wywołał głośny śmiech chłopców.

— Z czego się śmiejecie? — spytała Vicki.

Rowdy ukrył twarz na ramieniu ojca, lecz Wyatt zaśmiał się jeszcze głośniejsze. Był to szorstki dźwięk przypominający kaszel. Rowdy zakrył uszy rękami i zaczął krzyczeć.

— Co się stało, Rowdy? — spytała Chris.

— Zostaw go — powiedział Tony. — Nic mu nie jest.

— Jeśli chcecie, potem was oprowadzę — zaproponowała Vicki, najwyraźniej nieświadoma sceny, jaka rozegrała się za jej plecami, chociaż Chris wiedziała, że przed tymi małymi orzechowymi oczkami nic się nie uchwaja. — Wszystko w porządku? — spytała przyjaciółkę, gdy przechodziły przez kuchnię, w której wyposażenie ze stali nierdzewnej harmonizowało z szafkami z orzecha włoskiego.

— Tak.

— Wyglądasz blado.

— Jestem trochę zmęczona.

— Chyba schudłaś.

— Może parę deko.

— Może więcej.

— Tata mówi, że niegrzecznie jest szeptać — odezwał się Wyatt.

— Twój tata ma racje — przyznała Vicki. — Zobaczcie, kto przyszedł — oznajmiła grupce ludzi zgromadzonej na kamiennym patio przed wielkim basenem.

Wszyscy zwrócili się w ich stronę, by powitać nowo przybyłych.

Moi przyjaciele, pomyślała z radością Chris. Zapragnęła przytulić ich do siebie i już nie wypuszczać z objęć: Susan i Owen — opaleni i uśmiechnięci, obejmujący się w pasie; Barbara i Roń — olśniewający i wysocy, czerwona szminka Barbary harmonizowała z koszulką polo Rona; Jeremy Latimer — dystyngowany i dumny z kręcącej się jak fryga żony.

— Cześć, nieznajoma — powiedziała Susan, wyciągając ręce do Chris. — Nie mogę uwierzyć, że mieszkamy na tej samej ulicy, a musiałyśmy przejechać taki kawał drogi, by się spotkać.

— Stanowczo za daleko — przyznał Owen, podając rękę Tony'emu.

— Wszystko w porządku? — spytała Susan.

— Obcięłaś włosy! — pisnęła Barbara, podbiegając do Chris i chwytając ją w objęcia. — Kiedy to zrobiłaś?

Chris skrzywiła się, gdy ramiona Barbary uraziły bolący bok.

— Komuś chyba należy pogratulować — powiedział Tony. — Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Barbara jest przy nadziei? — zwrócił się z pytaniem do Chris.

Wszyscy nagle wstrzymali oddech.

— Co? — spytała Barbara.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się jej mąż.

— Nie jestem w ciąży.

— Och, przepraszam—odparł pospiesznie Tony. — Sądziłem, że... — Zrobił okrężny ruch ręką w okolicy brzucha Barbary.

— To przez tę bluzkę. — W wielkich brązowych oczach Barbary błyszczały łzy, gdy obciągała przód bluzki w fioletowo-białe paski. — Powinnam była wsunąć ją do spodni.

— Strzepnęła niewidoczny pyłek z nogawki białych spodni i utkwiała wzrok w kamiennym obramowaniu patio.

— Jeszcze raz przepraszam — powtórzył Tony, lecz Chris dostrzegła błysk w jego oczach i nie była pewna, czy to prawda.

— Jak tam interesy? — spytał Roń.

— Doskonale — odpowiedział Tony.

— Domyślam się, że ten mały mężczyzna to Rory.

— Rowdy — poprawił Tony.

— Faktycznie, Rowdy. Montana, Wyatt i Rowdy. Niezwykłe imiona.

— To pomysł Tony'ego. Ma bogatą wyobraźnię — wtrąciła Chris, usiłując się uśmiechnąć. — Ja bym je nazwała Annę, William i Robert.

— Słyszałaś, Montano? — spytał Tony. — Mama wolałaby dla ciebie coś tak nudnego jak Annę.

Na twarzach ojca i córki przelotnie pojawiła się niechęć.

— Mam nadzieję, dzieci, że wzięłyście kostiumy kąpielowe — powiedział Jeremy, patrząc w stronę wielkiego basenu, który zajmował tylko niewielką część rozległego terenu. Pozostałe dzieci — Kirsten, Josh, Ariel, Whitney i Traccy

— chlapały się w wodzie i zjeżdżały ze zjeżdżalni pod czujnym okiem gospodyni Latimerów.

— O nie, zapomniałam zabrać ich kostiumy.—W głosie Chris zabrzmiała panika.

— Co? — spytała Montana.

— Ty głupia! — Wyatt popchnął matkę.

— Uspokój się — powiedziała Chris, szukając wzrokiem pomocy u Tony'ego.

Wyatt zaśmiał się chrypliwie.

— Głupusia mamusia. Głupusia mamusia — zaczął Powtarzać jak katarynka.

— Wyatt, dość tego — powiedział Tony. Chłopiec natychmiast się uspokoił.

— Na pewno coś się dla was znajdzie — zapewnił pospiesznie Jeremy. — Mayu! — zwrócił się do jednej ze służących zajętych szykowaniem stołu ustawionego na patio.

— Czy mogłabyś zabrać dzieci do domu i poszukać im jakichś kostiumów kąpielowych?

Młoda kobieta w białym fartuszku odrzuciła z twarzy długie jasne włosy i podeszła do dzieci Chris. Chris dostrzegła ukradkowy uśmiech, jaki wymienili między sobą dziewczyna i mąż Barbary. Służąca wzięła Rowdy'ego za rękę i

poprowadziła dzieci do domu.

— Głupiusia mamusia—podśpiewywał wesoło Rowdy.

— Głupiusia mamusia.

Chris stała pośrodku patio ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do warg. Sama sobie jestem winna, pomyślała. Przecież Vicki uprzedzała, żebym wzięła im kostiumy kąpielowe. Gdybym nie była taka głupia, nie doszłoby do tego. Wyatt ma racje. Jestem głupia. Głupiusia mamusia. Nie płacz, głupiusia. Nie wolno ci płakać.

— Wiec jak wam się podoba życie na wsię — spytała dziwnie obcym głosem.

— Bardzo — padła natychmiastowa odpowiedź Jere-my'ego.

— Do biura jadę raptem dwadzieścia pięć minut — dodała Vicki.

— Ile tu macie akrów? — spytał Tony. Wyjął z lodówki butelkę piwa i jednym haustem opróżnił ją do połowy.

— Dwa z kawałkiem — odpowiedział Jeremy. — Tylko nie pytaj, ile metrów kwadratowych, bo nie pamiętam.

— Dom ma dziewięć tysięcy metrów kwadratowych

— odpowiedziała za niego Vicki. — Czternaście pokoi, sześć sypialni, pięć łazienek. Sypialnia małżeńska mieści się na parterze. Chodź, Chris, oprowadzę cię.

Złapała Chris za rękę i pociągnęła w stronę domu.

— Idę z wami — oznajmiła Barbara.

— Ja też — dodała Susan.

Tony opróżnił do końca butelkę piwa.

— Ja chyba też się przejdę.

— Wybacz, ale ta wycieczka jest tylko dla dziewcząt

— powiedziała Vicki. — Jeremy cię potem oprowadzi.

— Nie denerwuj się. — Owen podał Tony'emu następną butelkę piwa i poprowadził do drewnianych leżaków.

— Powiedz, co u ciebie słyhać. Podobno chcesz rzucić reklamę.

Chris czuła, jak świdrujący wzrok męża wypala jej dziurę na plecach, lecz pozwoliła, by Vicki wciągnęła ją do domu.

— Kuchnia — oznajmiła gospodyni, machając niedbale ręką i prowadząc przyjaciółki od jednego pokoju do drugiego. — Jadalnia. Salon. Pokój myśliwski, cokolwiek to znaczy. — Pociągnęła Chris do sypialni małżeńskiej i zamknęła za sobą pięknie zdobione dwuskrzydłowe drzwi.

— Co się dzieje? — spytała, gdy Susan i Barbara podeszły bliżej.

Chris powiodła nerwowo wzrokiem po muślinowych kotarach, zdobionych wielkie łoże z baldachimem na czterech kolumnach, i wysokich oknach od podłogi do sufitu wychodzących na patio. Nawet z tej odległości mogła dostrzec, jak Tony spaceruje nerwowo wzdłuż rzędu leżaków, nie chcąc, mimo zachęt Owena, usiąść na jednym z nich.

— O co ci chodzi? — spytała. — Nic się nie dzieje.

— Jesteś kłębkim nerwów — powiedziała Susan.
— Spójrz na siebie. Cała się trzęsiesz.
— Jestem po prostu zmęczona. Trójka dzieci i tylko dwie ręce do roboty.
— Nie wyglądasz za dobrze — stwierdziła Barbara.
— Schudła — poinformowała je Vicki.
— To przez te włosy — upierała się Chris, przenosząc spojrzenie z okna na przyjaciółki. — Nie powinnam ich ścinać.
— Muszę przyznać, że nie jest ci w nich do twarzy.
— Barbara przyjrzała się nierównym końcówkom. — Kto cię strzygł?
Chris wstrzymała oddech, lecz milczała.
— Chris.
Łzy napłynęły jej do oczu. Spuściła wzrok na gruby, jasnozielony dywan.
— Chris, porozmawiaj z nami — prosiła Susan. — Nie możesz ciągle powtarzać, że nic się nie dzieje. Pozwól sobie Pomóc.
Nikt nie mógł jej pomóc.
— Powinnam chyba wrócić do Tony'ego — powiedziała.
— Porozmawiaj z nami, Chris — powtórzyła Susan.
— Nie mogę.
— Słuchaj, już od dłuższego czasu domyślamy się, że macie z Tonym poważne problemy—nie ustępowała Susan. — Może gdybyś go przekonała do wizyty u specjalisty...
Poczuła, że ręce, kolana i głowa zaczynają jej drżeć, aż w końcu całe ciało trzęsło się tak mocno, że z trudem utrzymywała równowagę. Długo tłumiony wstyd groził, że za chwilę wystrzeli niczym lawa z wulkanu. Nie była w stanie go powstrzymać.
— O Boże!
— Chris, co się dzieje?
— Nie zrozumiecie.
— Czego nie rozumiemy? Powiedz, czego nie rozumiemy?
— On to zrobił. — Boże, powiedziała to.
— Co takiego? Kto co zrobił?
— Tony. — Sekret przestał już być sekretem. Miał swoje imię.
— Co Tony zrobił? — spytała Vicki.
— Moje włosy. — Z jej ust wydarł się jęk. Czy mogła im powiedzieć? Czy mogła im wszystko powiedzieć?
Przez chwilę panowała kompletna cisza.
— Tony obciął ci włosy? — spytała Barbara z niedowierzaniem.
— Jak to obciął ci włosy? — zabrzmiał cichy głos Susan.
— W zeszłą sobotę poszliśmy z dziećmi do Kenwood Towne Center. Przechodziliśmy obok salonu fryzjerskiego. Zatrzymałam się, by popatrzeć, jak

fryzjer obcina dziewczynie włosy na bardzo krótko. Powiedziałam wówczas coś w tym rodzaju: „Chciałabym mieć tyle odwagi, co ona”.

— Urwała, przełknęła ślinę i zmusiła się, by mówić dalej:

— Wszystko było w porządku. Spacerowaliśmy, kupiliśmy dzieciom lody. Myślałam, że miło spędzamy czas. — Znowu urwała. Jak mogła sądzić, że może mieć prawo miło spędzać czas?

— I co było dalej? — spytała Susan.

— Wróciliśmy do domu. Zrobiłam kolację, położyłam dzieci spać i weszłam do łóżka, by pooglądać telewizję.

— Z gardła wyrwał się jej szloch, gdy szukała słów, by opisać koszmar, który nastąpił. — Tony wszedł do pokoju. Był czymś zdenerwowany, lecz nie wiedziałam, czym. Zaczął chodzić tam i z powrotem przed telewizorem. Zapytałam, co się stało, a on powiedział, że dobrze wiem, co. Odpowiedziałam, że nie mam pojęcia. A on na to: „Myślisz, że podoba mi się, jak moja żona flirtuje z innymi facetami tuż pod moim nosem”? Nie miałam pojęcia, o czym on mówi. Powiedziałam: „Nie wiem, o czym ty mówisz”. A on na to: „Myślisz, że nie widziałem spojrzeń, jakie wymieniliście ty i ten fryzjer w centrum handlowym”? „O czym tym mówisz? — spytałam. — Po prostu przyglądałam się, jak strzyże tę dziewczynę”. Ale on mi nie uwierzył. W kółko powtarzał, jakiego głupca z niego zrobiłam, że wszyscy widzieli, jak patrzę na tego faceta i jak on na mnie patrzy. Odpowiedziałam, że wcale na niego nie patrzyłam, że ten facet pewnie nawet mnie nie zauważył i prawdopodobnie jest gejem.

Nagle złapał mnie za włosy i wyciągnął z łóżka do łazienki. Błagałam go, by przestał, lecz on kazał mi być cicho, bo obudzę dzieci. Więc starałam się być cicho. Pomyślałam, że nie będę mu się sprzeciwiać, pozwolę, by się wyszalał i uspokoił. Wówczas zrozumie, że zachowywał się śmiesznie. Przecież nawet nie spojrzałam na tego faceta.

— Oczywiście, że nie — wtrąciła Susan.

— Nie musisz się przed nami tłumaczyć — dodała Barbara.

— Powinnaś kopnąć skurwysyna w jaja — powiedziała Vicki.

— I wtedy właśnie obciął ci włosy?

— Zaciągnął mnie do łazienki i zaczął otwierać szuflady, jakby czegoś szukał, i wściekł się jeszcze bardziej, bo nie mógł tego znaleźć. W tym czasie trzymał mnie za włosy i przyciskał Oli głowę do dołu, tak że nie widziałam, co robi. Wtedy usłyszałam ten dźwięk. Z początku nie wiedziałam, co to, a potem zorientowałam się, że to brzęk nożyczek. „Co robisz?” — spytałam, a on na to: „Podobają ci się krótkie włosy? Chcesz mieć nową fryzurę? No to cię ostrzygę”. Krzyknęłam: „Nie”!, a on wrzasnął, żebym się zamknęła, bo obudzę dzieci, i wtedy poczułam straszne szarpnięcie i ten okropny odgłos ciecica i zobaczyłam, jak moje włosy spadają na podłogę...

Barbara wzięła Chris w objęcia.

— Boże, on jest nienormalny.

— Co jeszcze ci zrobił? — spytała Susan.

Chris pokręciła głową i spojrzała w okno w poszukiwaniu Tony'ego. Gdzie on się podział?

— Jak długo to już trwa? — spytała Barbara.

— Czy on cię bije? — spytała Susan.

— To jest tak samo moja, jak i jego wina — odpowiedziała Chris. Zauważyła Jeremy'ego i Rona, lecz nie mogła znaleźć Owena i Tony'ego. Może rozmawiali gdzieś poza zasięgiem jej wzroku.—Prowokuję go. On jest wybuchowy. Wiecie, jak łatwo go obrazić. Jest bardzo wrażliwy.

— Jest draniem — powiedziała Vicki. — Mogłabym go zabić. Jak on śmiał podnieść na ciebie rękę?!

— To niezupełnie tak — przekonywała Chris. — Do kłótni potrzebne są dwie osoby. Nie tylko on jest winny. Ja też nie jestem bez winy. Wiem, za który guzik pociągnąć i jak go sprowokować.

— Twierdzisz, iż to twoja wina, że cię bije? — spytała zaskoczona Susan.

— Nie powiedziałam, że mnie bije. To nie są moje słowa.

— Na litość boską, przecież obciął ci włosy.

— Nie powinnam się z nim kłócić. Powinnam go po prostu przeprosić. Może rzeczywiście popatrzyłam na tego faceta...

— Na litość boską, sama nie wiesz, co mówisz — zaprotestowała Susan. Chwyła Chris za ramiona i zmusiła do patrzenia w oczy. — Nie jesteś odpowiedzialna za złe zachowanie twojego męża.

— O co chodzi, Chris? — spytała Vicki.—Według mnie kobieta pozostająca z mężczyzną, który ją bije, musi lubić być bita.

— Nie sądzę, by była to prawda—odparła Susan. Na jej okrągłej twarzy malowało się zmieszanie.

— On mnie nie bije — upierała się Chris. — Sprzeczamy się jak każdy.

— Nie jak każdy — powiedziała Barbara.

— Pozwól, że porozmawiam z kimś z mojego biura. Na pewno znajdziemy dobrego adwokata od rozwodów.

— Nie mogę się rozwieść. To jest poza dyskusją.

I nagle zaczęły mówić wszystkie naraz. Nie musisz się bać. Nie ma mowy, by przyznano mu prawo do opieki nad dziećmi. Nie pozostawił ci wyboru. Nie możesz zostać w tym domu. To potwór. Musisz uciec od tego człowieka. Musisz to zrobić, nim będzie za późno.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Tony.

— Co tu się dzieje? — wykrzyknął.

— To babskie przyjęcie — powiedziała Vicki, stając między nim a Chris. —

Mężczyźni nie mają tu wstępu.

— Moja żona wygląda, jakby płakała. Co jej powiedziałyście?

Vicki pokręciła z niedowierzaniem głową i mimowolnie zacisnęła pięści.

— Za chwilę do was przyjdziemy.

— Nie. W tej chwili zabieram moją żonę do domu. Dzieci! — zawołał do trójki maluchów, schodzących po schodach w kostiumach kąpielowych. — Ubierajcie się. Wracamy do domu.

— Co?! — wrzasnął gniewnie Wyatt.

— Mamusia nie czuje się dobrze. Chce wrócić do domu.

— Ojeju! — zaprotestował Wyatt, odwracając się na Pięcie.

— Ona nigdy nie czuje się dobrze — mruknęła Montana.

— Głupusia mamusia! Głupusia mamusia! — powiedział Rowdy.

— Głupusia mamusia — podjęły dzieci, wracając na górę.

Chris stała w samym środku zamieszania, niezdolna do Wydobycia z siebie głosu lub wypowiedzenia słowa protestu.

W sypialni zrobiło się nagle tłoczno. W drzwiach pojawił się Owen, a za nim Jeremy i Roń. Tony uniósł w górę dłonie.

— Nie wiem, co żona wam naopowiadała...

— Jak mogłeś?! — wykrzyknęła Barbara.

— Barbaro! — Roń podszedł do żony i dotknął jej ramienia, jakby chciał, by się cofnęła. — Nie powinniśmy się w to mieszać. To jest prywatna sprawa między mężem i żoną.

— Ty nawet nie wiesz, do czego on jest zdolny — nie ustępowała Barbara.

— No, do czego jestem zdolny? — spytał Tony. — Na przykład do oszukiwania żony za każdym razem, gdy jakaś studentka wejdzie mi w drogę?

— Dość tego — zaprotestował Roń.

— Twój mąż pieprzy wszystko, co się rusza, a ty nie masz o tym bladego pojęcia — zwrócił się Tony do Barbary. — Wątpię, byś w tej sytuacji mogła coś radzić mojej żonie.

— Chyba dość już powiedziałaś — wtrącił Jeremy Lati-mer, gdy Barbara zbladła pod grubą warstwą pudru. — Koniec przyjęcia.

Tony uśmiechnął się.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. Chris... — Wyciągnął ku niej rękę.

— Ona nigdzie z tobą nie pójdzie — powiedziała Barbara. — Jak śmiesz podnosić na nią rękę?! Jesteś nędznym, słabym człowieczkiem.

— A ty jesteś podstarzałą drugą wicemiss Ohio. Nawet nie pierwszą. Niczego nie umiesz zrobić jak należy. Nie umiesz zadowolić własnego męża, urodzić drugiego dziecka...

— Zamknij się, Tony — powiedział Owen.

— Kolej na następnego z czwórki. Dobrego doktorka. Powiedz mi, doktorku,

jak to jest być mężem Moby Dicka?

Susan pokręciła głową.

— Nie zwracaj na niego uwagi — ostrzegła męża. Tony wybuchnął śmiechem.

— Ach, więc mała kobietka potrafi się odgryźć? Powinienem raczej powiedzieć nie taka znów mała. Nie masz się czym martwić, doktoru. Ona jest naprawdę rewelacyjna.

— Jak na ciebie to wielkie słowo, co Tony? — spytała z goryczą Vicki.

— Chyba tak — przyznał, najwyraźniej świetnie się bawiąc. — Ale może powinniśmy spytać pana profesora. Upewnić się, czy mam rację. Biedaczek. Niełatwo być mężem lesby. Nic dziwnego, że nie potrafi utrzymać swojego w spodniach.

— Ty draniu!

— Co to jest lesba? — spytał cienki głosik i wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

— Traccy, kochanie! — Barbara podbiegła do swojej dziesięcioletniej córki, stojącej w drzwiach sypialni. Mokre czarne loki przylgnęły do słodkiej twarzyczki dziecka, a z kostiumu kapąła woda na dywan.

— Usłyszałam krzyki.

— Nic się nie stało, skarbie. — Roń wziął córkę na rękę i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

— Co to jest lesba? — ponownie spytała dziewczynka, gdy zniknęli z pola widzenia.

— Niezły z ciebie numer — powiedziała Vicki do Tony'ego.

— Wiesz, czego ci trzeba, co? — szepnął, tak by usłyszał go jej mąż.—A teraz wybaczcie, moja żona i ja wychodzimy.

Przerwał obronną barierę, jaką przyjaciółki stworzyły wokół Chris, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Chris nie stawiała żadnego oporu. Po co?

— Boże, niech ktoś coś zrobi! — zawołała Barbara, gdy Tony otworzył drzwi i wypchnął żonę z domu.

— A co możemy zrobić? To jest jej wybór.

— Ale on ją w końcu zabije.

Wszystko w porządku, chciała zawołać Chris, gdy Tony Popychał ją w stronę samochodu. Nie musisz się martwić. Tony obiecał, że to się więcej nie powtórzy.

10

Barbara obudziła się ze snu, w którym gonił ją z nożem w ręku malec w pieluszkach.

— Boże! — szepnęła. Sięgnęła ręką do budzika i wyłączyła go, nim zdążył się rozzwonić. — Co to miało znaczyć?

Śpiący obok niej mąż pochrapywał cicho, odwrócony do niej plecami. Jego ciemne włosy zdążyły się już trochę przerzedzić. Nadal jednak był przystojny. Patrzyła, jak kołdra w zielone pasy unosi się przy każdym oddechu. Zdusiła w sobie chęć, by pocałować go w nagie ramię. Mogłaby go obudzić, a przez następne pół godziny czekają dużo pracy. Nastawiła budzik na szóstą trzydzieści i wysunęła się spod kołdry.

— O Boże! — jęknęła, patrząc w lustro w łazience, chociaż tak naprawdę nie wyglądała źle. Cerę miała trochę zbyt bladą, lecz skóra wokół oczu, wynik liftingu wykonanego przez doktora Steevesa przed dwoma laty — prezent, jaki sobie sprawiła na czterdzieste urodziny — była gładka i świeża. Może trochę zbyt świeża jak na szóstą rano.

— Zwariowałaś — powiedziała jej wówczas Susan.

— Co jest strasznego w kilku drobnych zmarszczkach?

— Po co poprawiać to, co doskonałe? — dodała Vicki.

— Zaczekaj z tym kilka lat. A Chris... Biedna Chris.

Barbara zamknęła oczy, usuwając z pamięci myśli o przyjaciółce. Nic nie może na to poradzić. Tak powiedziała jej policja.

Zdjęła z włosów jedwabny szalik, w którym zawsze spała. Na jego miejsce włożyła plastikowy kapturek, zsunęła białą nylonową koszulę nocną i weszła pod prysznic, pilnując, by woda była letnia i nie zmoczyła włosów. Namydliła świeżo zrobione piersi, ugniatając je zgodnie z zaleceniem doktora Steevesa, żeby nie zrobiły się twarde, po czym przesunęła dłoń w okolice brzucha. Powinna poszukać dobrego chirurga od fałd na brzuchu, chociaż słyszała, że ich usuwanie jest bolesne i grozi infekcją. Ćwiczenia nie pomagały. Mimo trzystu brzuszków dziennie uparte fałdy nie chciały zniknąć.

Wyszła spod prysznic, wytarła się, umyła zęby, zakręciła włosy na gorące lokówki i usiadła przed lustrem, by rozpocząć codzienny rytuał. Najpierw krem pod oczy, potem krem nawilżający na twarz. Na mały słoiczek tego cuda wydała prawie dwieście dolarów. Chyba oszalała. Teściowa pewnie dostałaby zawału, gdyby się dowiedziała.

— Może powinnam jej powiedzieć — szepnęła, nakładając pod oczy warstwę korektora.

Następnie długimi pociągnięciami od skroni aż po szyję rozsmarowała jasny podkład i nałożyła róż na policzki.

— Trochę na nos i czoło — powiedziała. Chciała dać złudzenie naturalnej

opalenizny, chociaż nigdy nie wystawiłaby twarzy na szkodliwe działanie promieni słonecznych. Nawet w czasie najbardziej szarej zimy stosowała krem z filtrem numer trzydzieści.

Podkreśliła oczy fioletowym cieniem, wargi pociągnęła wiśniową konturówką, wyszczotkowała rzęsy czarnym tuszem i nałożyła na usta perłową szminkę. Potem ściągnęła lokówki, rozczesała czarne włosy, tapirując je tam, gdzie było to konieczne, i wygładzając na końcach. Na koniec podpięła je za uszami kilkoma małutkimi spinkami, zastanawiając się, czy nie czas już ufarbować odrosty przy skórze głowy. Barbara Bush mogła sobie wyglądać naturalnie, lecz jej imienniczka na widok jednego siwego włosa sięgała po prozac. Włożyła koszulę nocną i tuż przed szóstą trzydzieści była już z powrotem w łóżku.

— Roń, kochanie — szepnęła sennym głosem, ocierając się pierśią o jego ramię. — Czas wstawać.

Mruknął coś, lecz się nie ruszył.

— Roń, skarbie, jest wpół do siódmej.

Przewrócił się na wznak, otworzył oczy i zapatrzył na wolno obracające się nad ich głowami śmigła wentylatora. Barbara obsypała mu szyję delikatnymi pocałunkami, lecz nawet nie drgnął.

— Co ci jest? — spytała.

Nie odezwał się i nadal wpatrywał w sufit.

— Roń, dobrze się czujesz?

— Dobrze — odpowiedział i usiadł, unikając jej wzroku. — Jestem tylko trochę zmęczony.

— Ostatnio często się męczysz. Nie powinieneś pójść do lekarza?

— Nie potrzebuję lekarza.

— Czego więc potrzebujesz? — spytała kusząco, przysuwając się bliżej.

Zsunęła ramiączka koszuli i przywarła do niego krągłymi piersiami. Mógł nie zauważyć, że zrobiła lifting, lecz z pewnością zwrócił uwagę na jej nowy biust. Co z tego, że piersi robią się chłodne zimą, a sutki nie są już tak wrażliwe jak kiedyś, skoro przyciągają jego uwagę?

Chwilę później leżał na niej i pracował rytmicznie biodrami. Zaraz potem zwiększył tempo i osiągnął spełnienie, a ona jak zwykle nie miała orgazmu i po raz kolejny zastanawiała się, co z nią jest nie tak. Musnął wargami jej czoło, zsunął się z niej i nie oglądając się poszedł do łazienki.

Czy z innymi kobietami też tak postępuje?

Oparła się o lśniące hebanowe obramowanie, wsłuchując się w szum wody w łazience. Musi przestać się torturować ciągłymi myślami o Ronię i innych kobietach, groźbie infekcji i zarażenia wirusem AIDS. Jak może osiągnąć spełnienie, jeżeli nie jest w stanie się odprężyć? Na pewno używał prezerwatywy, pocieszała się, bo nie miała odwagi porozmawiać z nim o tym lub poprosić, by się

zabezpieczył, gdy się kochali. Byłoby to równoznaczne z przyznaniem się, że wierzy w te wszystkie plotki, insynuacje, ordynarne kłamstwa, które od samego początku kładły się cieniem na ich małżeństwie.

Ich wzajemne stosunki znacznie się poprawiły po okropnym występie Tony'ego przed trzema laty. Dał wtedy do zrozumienia; nie, po prostu oznajmił bez owijania w bawełnę, że Roń ją zdradza, i nazwał ją lesbijką, oskarżając o to, że nie potrafi zaspokoić męża. Rzucił jej to w twarz w obecności wszystkich jej przyjaciół, a oni wyglądali, jakby chcieli się zapaść pod ziemię, bo wiedzieli o eskapadach

Rona, każde z nich wiedziało. W drodze do domu przeprosiła Rona za zachowanie Tony'ego, jakby to była jej wina.

— To straszny człowiek — powiedziała. — Jak on mógł powiedzieć coś tak okropnego?

— Nie przejmuj się tym — odparł. — Nikt i tak nie zwraca uwagi na to, co wygaduje ten kretyn.

Przez jakiś czas wydawało się, iż Roń robi wszystko, by udowodnić, że Tony kłamał. Stał się kochającym i czułym mężem. Ona zaś starała się być najlepszą żoną, towarzyszką, kucharką i kochanką. Studiowała poradniki seksuologiczne i książki kucharskie — bo tylko takie była w stanie do końca przeczytać — i całymi godzinami wymyślała nowe potrawy, by mąż chciał wracać do domu na kolacje. Rzeczywiście, to jej się udawało, a Roń zawsze zapraszał na nie albo kolegów z wydziału, albo grupkę studentów, składającą się w przeważającej części z dziewcząt, które otwarcie okazywały uwielbienie przystojnemu profesorowi.

— Jesteś paranoiczką — mruknęła gniewnie. — Tylko dlatego, że przez kilka ostatnich miesięcy Roń zachowywał się z rezerwą, musi zaraz mieć romans? Po prostu jest zapracowany i tyle. Miał mnóstwo zajęć, łącznie z dodatkowymi kursami letnimi. Kilka późnych powrotów jeszcze o niczym nie świadczyło. Nie ma się czym przejmować. Przecież dopiero co się kochali.

— Masz dziś dużo zajęć? — spytała, gdy wyszedł z łazienki świeżo ogolony i owinięty w pasie ręcznikiem.

— Jak zwykle. — Otworzył szafę i zaczął przeglądać koszule. — Pomyślałem, że moglibyśmy pójść dzisiaj na kolację. Tylko we dwoje.

Z trudem powstrzymała się, by nie zacząć klaskać z radości. Kiedy ostatni raz zaprosił ją na romantyczną kolację?

— Wspaniały pomysł.

— Zarezerwuję stolik w „Fathomie”. Może być na siódmą?

— Doskonale. — Restauracja „Fathom” była najmłodszym lokalem w mieście, w którym wszyscy chcieli bywać, dlatego zawsze była zatłoczona. — Myślisz, że uda ci się dostać stolik?

— Zobaczę, co da się zrobić. — Włożył niebieską koszulę w drobne prążki i czarne spodnie. — Jaką mamy dziś pogodę? — spytał, wskazując na okno.

Wstała z łóżka, rozsunała zielono-beżowe zasłony w kwiaty i popatrzyła na zalane słońcem podwórze.

— Zapowiada się piękny dzień — odparła.

Restauracja „Fathom” mieściła się przy Szóstej Ulicy, w sercu dzielnicy Fountain Square, w samym centrum Cincinnati. Eleganckie lokale sąsiadowały tu ze starymi barami przekąskowymi, a ekskluzywne butikami z drogiymi towarami. Imponujące drapacze chmur upamiętniały historyczne słupy graniczne. Taksówka wioząca Barbarę minęła piękną stuletnią fontannę Tylera Davidsona, stojącą w środku najbardziej ruchliwego placu w Ameryce. Wszędzie widać było tłumy ludzi: spacerujących, śmiejących się, a nawet tańczących w rytm ulicznej muzyki rozbrzmiewającej w tę ciepłą lipcową noc. Wzdłuż chodników stały dorożki. Może uda jej się namówić Rona na romantyczną przejażdżkę po kolacji.

Wystrój restauracji przypominał dno oceanu. Kolorowe egzotyczne ryby pływały w wielkich akwariach ustawionych pod pomalowanymi na morski kolor ścianami. Z podłogi wyłożonej niebieską terakotą wystawały lampy zrobione z naturalnego koralu i oplecione wodorostami. Mieszczący się w końcu sali bar wykuto w naturalnej skale. Zwieszające się z sufitu żyrandole przypominały pływające ośmiornice.

— Czy Roń Azinger już przyszedł? — spytała piękną dziewczynę przy wejściu. Wyglądała jak wszystkie dziewczyny w jej wieku—wysoka, kształtna blondynka z oszczędnym makijażem. Z obojętną miną zaprowadziła Barbarę do stolika o szklanym blacie, przy którym siedział Roń.

— Kelner zaraz do państwa podejdzie. — Dziewczyna uśmiechnęła się do Rona i położyła na stole wielkie niebieskie karty z włókna szklanego. — Życzę miłego wieczoru.

— Długo czekałeś? — spytała Barbara.

— Jakies dwie minuty.

— To dobrze, bo się martwiłam.

— Czym się martwiłaś? — spytał zaskoczony.

Ma rację, pomyślała. Bez przerwy czymś się martwię.

— Susan zaprosiła Tracę na kolację — zaczęła wyjaśniać. — Musiałam ją do niej zawieźć, a potem spotkałam Laurę Zackheim. Straszna z niej gaduła.

— Kto to jest Laura Zackheim? — spytał.

W jednej chwili w oczach Barbary pojawiły się łzy.

— No wiesz, ta kobieta, która kupiła dom Chris — odparła stłumionym głosem.

Roń sięgnął przez stół i poklepał żonę po dłoni. Jego dotyk nawet po tylu latach wywoływał elektryzujący dreszcz.

— To było ponad dwa lata temu — powiedział miękko.

— Wiem. — Czy kiedykolwiek będzie w stanie wymówić imię Chris bez drżenia głosu?

— Myślę, że moglibyśmy zamówić coś do picia. Co byś chciała?

— Białe wino? — spytała, jakby nie była pewna. Roń dał znak kelnerowi i dyskutował z nim przez chwilę na temat gatunków win, tymczasem Barbara przyłożyła chusteczkę do oczu, starając się nie myśleć o Chris. Laura Zackheim była bardzo miłą kobietą, która stale ją do siebie zapraszała, by pokazać, jak się urządziła, lecz Barbara wciąż jej odmawiała. Może nadszedł już czas, by zapomnieć o przeszłości i odpędzić dawne upiory?

— Zamówiłem pouilly fuisse — powiedział Roń. Uśmiechnęła się i pomyślała, że wygląda dziś wyjątkowo

przystojnie, chociaż przyszedł tu prosto z pracy i najwyraźniej coś go dręczyło.

— Doskonale. Co się dziś stało, że masz ochotę się napić?

— Miałem przeprawę z tym dupkiem Simpsonem. Stłumiła westchnienie ulgi. Cokolwiek go trapiło, nie miało nic wspólnego z nią, lecz z tym dupkiem Simpsonem, niech Bóg błogosławi jego małostkowe serduszko.

— Jaką przeprawę?

— Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, o co mu tym razem chodziło. Bez przerwy czymś się przejmuje. Zresztą nie ma sensu do tego wracać, bo znowu się zdenerwuję. A ty, co dzisiaj robiłaś?

Wzruszyła ramionami.

— Zawiozłam Traccy na biwak, poszłam na gimnastykę, spotkałam się z Vicki na krótkim lunchu, zrobiłam sobie paznokcie. — Machnęła długimi palcami pomalowanymi na czerwono. — Potem pojechałam po Traccy i kupiłam jej kilka nowych podkoszulków. — Umilkła. Co mogłaby powiedzieć, by jej dzień wydał się ciekawszy? To wszystko brzmiało strasznie nudno, nawet dla niej. — Pomyślałam, że zapiszę się na jakiś kurs — dodała. Czyżby?

— Naprawdę?—Na twarzy Rona pojawiło się zainteresowanie. — Na jaki kurs?

— O współczesnym świecie — skłamała, bo tylko to przyszło jej do głowy. Skąd się to wzięło? Nigdy nie interesowała się polityką. Ledwie potrafiła przebrnąć przez dział porad w gazecie.

— Myślę, że to wspaniały pomysł—uśmiechnął się Roń.

— Tak. W końcu mam nie tylko piękną twarz—odparła ze śmiechem.

Czy rzeczywiście? Dzięki niej miała wszystko—zainteresowanie, uznanie i podziw. Co zostałoby, gdyby ją straciła?

Przyniesiono wino i Barbara patrzyła, jak kelner napełnia kieliszki, po czym wkłada butelkę do kubelka z lodem, który wyglądał jak wiaderko do piasku.

— Czy mogę państwu przedstawić nasze propozycje?

— spytał kelner i Barbara słuchała, jak jednym tchem wymienia potrawy

polecane na dziś przez szefa kuchni.

— Zamówiłbym okonia — powiedział Roń. — I sałatkę z sosem malinowym.

— Ja także — odparła Barbara. — Tylko sos do sałatki proszę podać oddzielnie, dobrze? Usiłuję zrzucić parę deko

— wyjaśniła Ronowi, gdy kelner odszedł. Miała nadzieję, że obrzuci ją tym swoim żartobliwym spojrzeniem, które pojawiała się zazwyczaj, gdy powiedziała coś wyjątkowo głupiego, i zapyta, dlaczego chce schudnąć, skoro i tak jest doskonała, lecz on tylko uśmiechnął się i wzniosł kieliszek.

— Na zdrowie — powiedział.

— Za dobre czasy — dodała, stukając się z nim kieliszkiem.

— Za dobre czasy — powtórzył, pociągnął długi łyk i chwilę trzymał płyn w ustach. — I za dobre wino.

— Odstawił kieliszek na stół. — Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie.

— Dziękuję. Ty również.

Roześmiał się. Barbara sączyła wino i czuła, jak rozlewa się w jego ciele. Uwielbiała śmiech męża. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

— Pomyślałam, że zadzwonię do twojej matki—powiedziała w przyływie dziwnej dobroci dla bliźnich. — I zaproszę ją do nas na kolację w przyszłym tygodniu.

— Nie musisz tego robić.

— Ale chcę. Dawno jej nie widzieliśmy.

— Wczoraj u niej byłem — powiedział.

— Tak?

— Wpadłem do niej po drodze do domu.

— Czy coś się stało? Chyba nie jest chora?

— Nie. Chciałem z nią porozmawiać.

— O czym?

— O paru sprawach — odpowiedział, napił się wina i rozejrzał po hałaśliwej sali, która szybko wypełniała się gośćmi.

Barbara poszła za jego spojrzeniem.

— Dziwne, że udało ci się zamówić stolik w tak krótkim czasie.

— Właściwie to zarezerwowałem go już tydzień temu.

— Naprawdę? — Co to miało znaczyć? Ze umówione spotkanie nie doszło do skutku, a ona jest tu w zastępstwie?

— Nie rozumiem.

— Muszę z tobą porozmawiać o paru sprawach i pomyślałem, że to dobre miejsce.

Barbara ponownie rozejrzała się po zatłoczonej sali. Dlaczego wybrał restaurację? Gdyby nie było to coś ważnego, załatwiłby to w domu. Wstrzymała oddech, bojąc się zapytać, o czym chciałby z nią rozmawiać.

— Odchodzę—powiedział bez wstępów i uśmiechnął się do przechodzącej obok pary.

— Odchodzisz? — powtórzyła. — Żle się czujesz?

— Dobrze się czuję. Nie to miałem na myśli.

— Nie rozumiem. Dokąd się wybierasz?

— Wyprowadzam się.

— Wyprowadzasz się?

— Tak.

— Nie rozumiem.

— Nasze małżeństwo się nie układa — wyjaśnił.

— Co to znaczy nie układa się?

— Po prostu się nie układa — powtórzył, jakby to wszystko wyjaśniało.

Kelner przyniósł sałatki.

— A oto pani sos — zwrócił się do Barbary.

— Zaprosiłeś mnie na kolację, by mi powiedzieć, że nasze małżeństwo się rozpada? — spytała z niedowierzaniem.

Kelner postawił na stole miseczkę z sosem i odszedł pośpiesznie.

— To chyba nie jest dla ciebie zaskoczeniem — powiedział. — Musiałaś się przecież domyślać.

Usiłowała zrozumieć sens jego słów. Czyżby coś przeoczyła?

— Kiedy wychodziłeś dziś rano, wszystko było w porządku, więc jak mogłam się domyślić? Czemu mam nie być zaskoczona? O czym ty mówisz?

— Czy mogłabyś mówić trochę ciszej?

— Przecież kochaliśmy się. Czy to miała być dla mnie wskazówka, że coś jest nie tak?

— To był wypadek. Nie planowałem tego. Zaskoczyłaś mnie.

— Zmuszałam cię do tego?

— Oczywiście, że nie.

— Aha, po prostu tego nie planowałeś.

— Właśnie. — Wziął do ręki widelec.

Jeżeli włoży choć jeden kęs do ust, wbiję mu nóż do masła prosto w serce, pomyślała.

— To niemożliwe — powiedziała. Po tylu latach. A ona przymykała oczy na jego romanse. — Masz kogoś? — spytała, z trudem rozpoznając własny głos.

— Nie — odpowiedział, lecz oczy mówiły co innego.

— Kto to jest?

— Nikt.

— Kto to jest? — powtórzyła, tym razem głośniej. Odłożył widelec na stół.

— Pam Muir — powiedział cicho, jakby powinna wiedzieć, o kogo chodzi.

— Pam Muir?—Przypomniała sobie młodą dziewczynę, mniej więcej

dwudziestoletnią, o okrągłej twarzy i bladych migdałowych oczach. — Pam Muir—powtórzyła tym razem pewniej. Opadające na chude plecy blond włosy o truskawkowym odcieniu, małe sterczące piersi i pełne zmysłowe wargi. Wystarczy, by mężczyzna spojrzął na te usta, a miał w głowie tylko jedno, pomyślała, gdy Roń ją przedstawił.

Głupia dziewczyna o pełnej twarzy, z krostami na brodzie—jedną dużą i dwoma mniejszymi widocznymi pod ziemistą skórą — i piegami na nosie, przypominającymi masło orzechowe na bułce. Jak on śmiał ją porzucać dla krostowatej, piegowatej studentki z twarzą jak księżyc w pełni, którą w dodatku wprowadził do ich domu, do ich salonu, do ich jadalni?! A ona jeszcze ją nakarmiła.

— To bardzo miło, że zaprosiła pani naszą grupę na kolację — powiedziała krostowata, piegowata i okrągłutka Paramy, pomagając wkładać brudne talerze do zmywarki.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedziała. Dobry Boże! Pam Muir!

I pomyśleć, że prawie zrobiło jej się żal tej dziewczyny. Może i miała błyskotliwy umysł, co Roń podkreślał przy każdej okazji, twierdząc, że to najinteligentniejsza studentka w ciągu prawie dwudziestu lat jego kariery akademickiej, lecz nie wiedziała, jak zrobić dobre wrażenie i jak uatrakcyjnić swój wygląd. Jakby nie wystarczyły długie blond włosy, małe sterczące piersi i wydatne wargi, pomyślała z goryczą.

Dobrze, miał romans. Tego się domyślała. No to co? Przecież ciągle miewał jakieś romanse. Nie znaczy to jednak, że musi zaraz odchodzić.

— Po prostu się stało — powiedział Roń, chociaż nie oczekiwała od niego wyjaśnień.

Kelner podszedł do nich z zamówionym okoniem.

— Jesteś głodna? — spytał Roń. Barbara pokręciła przecząco głową, chociaż, o dziwo, była głodna. Roń odprawił kelnera.

— Co mogę zrobić? — spytała.

Łzy nabiegły jej do oczu. Uniosła brodę, by je powstrzymać. Ubędzie pani dziesięć lat, zapewnił doktor, gdy zdecydowała się na zrobienie liftingu. Roń nawet tego nie zauważył. Powinna była poprosić o dwadzieścia lat.

— Nic nie możesz zrobić — odpowiedział. — To nie twoja wina.

Oczywiście, że to jej wina. Mówiąc wprost, nie była już tą dziewczyną, z którą się ożenił; dorosła, postarzała się. Mimo makijażu i operacji plastycznej nowe zmarszczki tylko czyhały, by się ujawnić. Przyciąganie ziemskie niszczyło jej ciało, nawet gdy spała. Idealne piersi jedynie uwydatniały niedoskonałości widoczne w innych miejscach.

— Nic nie możesz zrobić — powtórzył.

— Musi być coś, co mogłabym zrobić, żebyś zmienił zdanie — odpowiedziała, nienawidząc siebie za to. — Zrobię dla ciebie wszystko.

Padłaby na kolana, gdyby nie to, że byli w najbardziej uczęszczanej restauracji w mieście. Uniosła ręce, jakby chciała go błagać, lecz rozmyśliła się i opuściła je, zrzucając przy okazji sztucę na podłogę.

— Czy to było konieczne? — spytał, jakby zrobiła to celowo.

— A zaproszenie mnie na kolację? — odparowała. — Chyba powinnam być ci wdzięczna, że nie zaprosiłeś mnie do programu Phila Donahue.

Najwyraźniej nie miał pojęcia, kim jest Phil Donahue.

— Pomyślałem, że rozmowa w publicznym miejscu przebiegnie bez wstrząsów.

— Pod kontrolą tłumu — mruknęła Barbara.

— Coś w tym rodzaju — uśmiechnął się. Odchyliła się na oparcie krzesła.

— Tchórz — rzuciła.

— Miałem nadzieję, że unikniemy obrzucania się wyzwiskami.

— Dupek. — I tak go przecież straci.

— W porządku. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana.

— Niczego nie rozumiesz.

A ona? Co ją tak zdenerwowało? Że mąż zostawiają dla innej? Że ta kobieta jest o połowę młodsza od niej? I o połowę szczuplejsza? Że miał czelność przyprowadzić ją do domu, przedstawić żonie i córce? Że wybrał miejsce publiczne, by ogłosić swoją decyzję? Że kochał się z nią dziś rano, chociaż wiedział, że wieczorem ją rzuci? Że planował tę ucieczkę od co najmniej tygodnia?

— Dlatego byłeś wczoraj u matki—powiedziała, dopiero teraz uświadamiając sobie, że to prawda. — Poinformowałaś ją, że ode mnie odchodzisz.

— Możesz mi nie wierzyć, ale powiedziała, że popełniam błąd.

— I ma rację — odrzekła ku swojemu zaskoczeniu. Jak tylko wróci do domu, zadzwoni do Vicki. Zabierze temu draniowi wszystko, co się da: dom, zarobki, cennego mercedesa. Tylko że wcale nie chciała tych rzeczy. Pragnęła jedynie, żeby mąż do niej wrócił.

Dlaczego?

Dlatego że przywykła do jego obecności? Dlatego że nie chciała być kolejną samotną matką, sama spać w łóżku? Dlatego że bała się samotnej starości? A może wszystkiego po trochu?

A może chciała, by wrócił, żeby to ona mogła odejść, co powinna zrobić już dawno, kiedy była jeszcze stosunkowo młoda i piękna, kiedy miała jeszcze własną dumę? Kiedy ostatni raz czuła się z czegoś dumna? Oczywiście z wyjątkiem Traccy. Ona jedna udała jej się w życiu. Może gdyby mogła mieć więcej dzieci, gdyby dała mu syna...

— Co powiemy Traccy? — spytała bezbarwnym tonem.

— Że ją kochamy — odpowiedział zbyt szybko jak na kogoś, kto zostawia ją dla dziewczyny o połowę od niej młodszej. — Że moje odejście niczego nie zmieni, chociaż nasze małżeństwo się rozpada...

— Bo jej ojciec nie potrafił utrzymać kutasa w spodniach!

Roń zaczerwienił się z gniewu i zerknął na sąsiednie stoliki. Gdzieś za ich plecami ktoś nerwowo zachichotał. Roń zdjął serwetkę z kolan, rzucił ją na sałatkę i wstał.

— Może to nie był najlepszy pomysł.

— Nie, proszę, pozwól.

Zerwała się z miejsca i pobiegła do toalety w drugim końcu restauracji. Pchnęła ciężkie niebieskie drzwi, słysząc, jak zamykają się za nią z trzaskiem. Oparła się o nie i wzięła kilka głębokich oddechów, chwytając powietrze w płuca, jakby tonęła. Dobre określenie, pomyślała z nerwowym chichotem, patrząc na wyłożone błękitną mozaiką ściany. Z umywalki w kształcie długiej kaskady tryskała woda.

— On nie może tego zrobić! — krzyknęła.

Z jednej z kabin dobiegło stłumione kaszlnięcie.

Tylko że właśnie to zrobił. Jak zwykle Roń Azinger robił dokładnie to, co chciał. To był interes, nie miała więc wyboru. Musi pójść własną drogą. Musi być silna, jeżeli nie dla siebie, to dla Traccy. Poza tym była atrakcyjną kobietą, a w morzu pływało mnóstwo ryb.

— Ryba w morzu — powiedziała na głos, a z gardła wyrwał jej się histeryczny chichot. — Nie ma to jak trzymać się tematu.

Zaszumiała spuszczana woda, lecz nikt nie wyszedł z kabiny. Pewnie się boi, pomyślała. Wyprostowała się, wciągnęła brzuch, wypchnęła powiększony biust do przodu, otworzyła drzwi do toalety i wyszła na salę. Nie zdziwiło ją, że Rona nie ma przy stoliku.

— Ten pan uregulował rachunek — poinformował ją kelner.

Uśmiechnęła się. Kiedy życie wymknęło jej się spod kontroli? Wystarczyło, że na pół sekundy odwróciła głowę, a już go nie było.

11

Susan budziła się wolno ze snu, w którym wygłaszała ważne przemówienie do członków komitetu sprawności fizycznej. Otworzyła oczy w momencie, gdy zorientowała się, że stoi na podium przed licznie zgromadzoną publicznością kompletnie naga.

— Dlaczego zawsze muszę być naga? — jęknęła i spojrzała na zegarek stojący przy łóżku od strony męża. Wskazywał siódmą dwadzieścia dziewięć. Siódma dwadzieścia dziewięć! Przecież nastawiła budzik na siódmą. Przechyliła się nad śpiącym mężem i złapała gniewnie za zegarek, zapominając, że jest włączony do kontaktu. Sznur przejechał Owenowi po nosie i ustach. Zerwał się gwałtownie i zaczął machać rękami, by zrzucić z twarzy dręczący go przedmiot.

— Przepraszam — powiedziała. — Chciałam sprawdzić, na którą nastawiłam budzik.

Owen odetchnął głęboko i podrapał się po łysiejącej głowie.

— Śniło mi się, że jestem na safari. Nagle poczułem coś na twarzy i pomyślałem, że to wąż.

— Przepraszam. — Stłumiła śmiech. Wyglądał rano tak bezbronne, zwłaszcza gdy spędził noc, przedzierając się przez dżunglę. — Nic ci się nie stało?

Pochylił się, by ją pocałować, i w tym momencie zaterkotał budzik. Oboje drgnęli, a Susan wypuściła zegarek z ręki i zaczęła pospiesznie szukać go wśród fałd białej kołdry, by wyłączyć to diabelstwo.

— Boże, ale głośno dzwoni — powiedziała. Owen odstawił budzik na szafkę nocną.

— Siódma trzydzieści — oznajmił. — Ta sama co zawsze.

— Cholera. Miałam go przestawić.

— Po co?

— Mam opowiedzieć dziś w klasie Ariel o swojej pracy. W ramach tygodnia zawodów czy czegoś w tym rodzaju.

Poza tym chciałam dokończyć robotę przed wyjściem do biura.

— O której się wczoraj położyłaś?

Przetarła zaspane oczy. Zabrzmiał jej w uszach głos Barbary, żeby natychmiast przestała, bo skóra wokół oczu jest bardzo delikatna, zwłaszcza u starzejących się kobiet. Sama też przecież czytała na ten temat różne artykuły.

— Chyba po północy. Pracowałam nad tekstem o tym, dlaczego lokaty bankowe są seksowne.

Roześmiała się, chociaż robota była nudna i uciążliwa. Gdy się jest redaktorem, trzeba poprawiać błędy gramatyczne, przeredagowywać źle napisany tekst, starając się stworzyć z niego spójną całość. Czy to właśnie powie w klasie Ariel?

— Żartujesz. A dlaczego lokaty bankowe są seksowne?

— Chyba ma to coś wspólnego z pieniędzmi — odparła z uśmiechem, po czym

włożyła biały aksamitny szlafrok, wsunęła stopy w różowe puchate kapcie i poszła do córek. Z łazienki oddzielającej ich pokoje dochodził szum wody.

Drzwi do pokoju Whitney były otwarte, a jej łóżko puste. Leżało na nim schludnie złożone ubranie dziewięcioletki, czekając na powrót właścicielki. Uśmiechnęła się. Whitney zawsze pierwsza wstawała, najszybciej była gotowa, pierwsza zjadała śniadanie i pierwsza wychodziła. W szkole pierwsza wyciągała rękę do odpowiedzi, pierwsza zgłaszała się do różnych zadań i do przeczytania wypracowania. Nie trzeba jej było przypominać o myciu rąk po wyjściu z toalety, myciu zębów po każdym posiłku czy też o pójściu spać o właściwej porze. Zawsze była grzeczna i nigdy nie wpadała w złość — słowem, chodząca doskonałość.

I dlatego Ariel jej nienawidziła.

— Ona zachowuje się jak robot — powtarzała. — Zauważyłaś, że nigdy niczego nie rozlewa, zawsze ma czyste ręce i zawsze ma na twarzy ten głupi uśmiech? Ona nie jest normalna. Jesteś przybyszem z obcej planety — rzuciła siostrze w twarz.

— A ty jesteś zazdrosna — odpowiadała ze spokojem Whitney.

— Akurat. Jak mogę być zazdrosna o przybysza z obcej planety?

Whitney nigdy nie dawała się sprowokować. Wzruszała ramionami i odchodziła, czym rozwścieczała Ariel.

— Gruba i wstrętna kosmitka! — wołała za nią, lecz Whitney nigdy się nie oglądała.

— Ariel, skarbie! — zawołała Susan w stronę drzwi do pokoju starszej córki. — Czas wstawać.

Na drzwiach tkwiła ogromna dłoń z napisem: „Uwaga! Teren prywatny! Obcym wstęp surowo wzbroniony!” Susan zapukała delikatnie, potem głośniejsze, by zakopana pod różową kołdrą córka, śpiąca przy głośno grającym muzykę rockową radiu, mogła usłyszeć.

Kogo ja oszukuję? — pomyślała Susan, po czym weszła do pokoju, torując sobie drogę przez rozrzucone po podłodze ubrania.

— Gdzieś tu musi być dywan — mruknęła, usiłując wymacać go bosą stopą. Dwie córki wychowywane przez tych samych rodziców, w tym samym domu, w tym samym systemie wartości nie mogły tak się od siebie różnić. Dotarła do łóżka, odsunęła kołdrę z ramion Ariel, wyciągnęła jej poduszkę spod głowy, po czym pochyliła się i cmoknęła ciepły policzek. — Obudź się, pączuszk.

Nie otwierając oczu, Ariel zabrała matce poduszkę z rąk i przykryła nią twarz.

— Daj spokój, kochanie. Pomóż mi. Już jestem spóźniona, a musimy wyjść z domu najpóźniej za piętnaście minut.

— No to spóźnimy się dziesięć minut. Wielkie rzeczy — padła stłumiona odpowiedź.

— Dla mnie wielkie. Jeżeli spóźnię się do twojej szkoły, będę później w pracy

i... — Urwała. Dlaczego tłumaczy się Przed trzynastoletnią smarkulą, którą i tak to nie obchodzi? - Wstawaj — powiedziała i wyszła z pokoju.

— Cześć, mamusiu — rozległ się pogodny głos. Z łazienki wyszła Whitney owinięta miękkim żółtym ręcznikiem.

Susan uwielbiała, gdy mówiło się do niej „mamusiu”. To stawo napawało ją dumą i radością. Za rok lub dwa Whitney porzuci je na rzecz mniej dzieciennego „mamo” lub ohydneho „matko”, jak Ariel zaczęła się do niej ostatnio zwracać. Ogarnął ją nagły smutek.

— Cześć, śliczna dziewczynko — odpowiedziała.

— Ona nie jest śliczna, ona jest obca — dobiegł krzyk z sąsiedniego pokoju.

Zdumiewające, co Ariel była w stanie usłyszeć, a czego nie — pomyślała Susan, przytulając Whitney i czując na policzku miękką wilgotną skórę.

— Zamknij drzwi! — burknęła Ariel. — Coś strasznie śmierdzi.

— Wstań i sama zamknij! — odkrzyknęła Susan, gdy Whitney poszła do pokoju się ubrać. — Dwie dziewczynki wychowywane w jednym domu — mruknęła, wchodząc do łazienki. — Przez tych samych rodziców, w tym samym systemie wartości — mówiła, rozbierając się i wchodząc pod prysznic. Tymczasem Ariel pewnie już wstanie.

Oczywiście nie wstała.

Kiedy Susan udało się wreszcie wyciągnąć ją z łóżka, nie mogła się zdecydować, co na siebie włożyć, a potem co zjeść na śniadanie. W rezultacie spóźniły się do szkoły i pani Keillor wystąpiła jako pierwsza, a Susan musiała wysłuchać okropnie nudnego wykładu o pracy higienistki dentystycznej. Potem były pytania i odpowiedzi. Miała nadzieję, że to nie potrwa długo, bo wszystko przecież zostało powiedziane, lecz wyjątkowo się przeciągało, do czego w znacznie mierze przyczyniła się Ariel, która nagle bardzo zainteresowała się tematem. Postawione przez nią pytania dotyczyły spraw omówionych w wystąpieniu, lecz pani Keillor, mile polechtana zainteresowaniem, jeszcze raz cierpliwie wszystko Ariel wyjaśniła.

Susan zrozumiała, że córka robi to celowo, i starała się nie okazywać zniecierpliwienia. Ona wie, że nie lubię się spóźniać, a przez te pytania dotrę do pracy porządnie spóźniona. Nienawidzi mojej pracy, tak jak przedtem nienawidziła studiów. Zawsze przed każdym egzaminem była chora, bez przerwy czegoś chciała, gdy pisałam prac? magisterską. Czy coś mogło się zmienić w ciągu dwóch lat, odkąd zrobiła dyplom i zaczęła pracować w najnowszym kobiecym piśmie Jeremy'ego Latimera nazwanym imieniem żony?

Kiedy wreszcie przyszła jej kolej, starała się mówić krótko i zwięźle. Żadne z dzieci nie miało do niej pytań, a Ariel przez cały czas wyglądała przez okno lub gadała z koleżanką. Susan grzecznie przeprosiła i wyszła, nim Danny Perrelli zaczął opowieść o radościach i smutkach prowadzenia dobrze prosperującej pralni.

Na 1-75 był wypadek, który zablokował ruch uliczny na co najmniej dwadzieścia minut. Nim Susan dotarła przed okazały budynek z brązowej cegły przy McFarland Street, mieszczący centralę stale rozrastającego się imperium wydawniczego Latimera, było już po jedenastej i opuściła poranne zebranie.

— Peter cię szukał — poinformowała ją koleżanka z sąsiedniego boksu. — Był zły, że nie było cię na zebraniu.

— Jeszcze tego brakowało.

Spojrzała w stronę oszklonych gabinetów w końcu kwadratowej sali, mając nadzieję, że zobaczy Petera Basseta, przystojnego, wysokiego jak tyka mężczyznę dobiegającego pięćdziesiątki, który dołączył do zespołu niespełna miesiąc temu i był jej bezpośrednim szefem. Nie było go jednak w biurze. Nie przechadzał się też między boksami dumnie jak paw, obnosząc wyniosłość niczym drogą wodę kolońską. Co ona w nim widzi tak cholernie atrakcyjnego? Przecież nie była nawet pewna, czy lubi tego człowieka.

Dział wydawniczy „Victorii”, w którym pracowała, składał się z trzydziestu boksów, stojących w sześciu rzędach po pięć w każdym. Boksy oddzielone były od siebie ekranami w japońskim stylu. Wielkie okna sięgające od sufitu do Podłogi zajmowały trzy z czterech ścian sali i zwykle dawały mnóstwo światła, lecz październikowe niebo zapowiadało burzę i szary całun powoli wnikał do wnętrza, rzucając długie cienie na ekrany komputerów.

Susan przeszłuchała najpierw wiadomości. Trzy były od autorów artykułów, nad którymi właśnie pracowała, czwarta od Carole z działu sztuki, piąta od Leaha zajmującego się sprawdzaniem faktów, szósta od Barbary i dwie od matki. To było niezwykle, bo matka nigdy nie telefonowała do pracy.

Właśnie miała wcisnąć jej numer, gdy rozdzwonił się telefon.

— Susan—powiedział męski głos tonem oznajmującym — tu Peter Bassett. Czy mogłabyś przyjść do mojego biura za, powiedzmy, dziesięć minut?

— Oczywiście — odpowiedziała, zastanawiając się, czy dostanie wymówienie.

Pismo walczyło o przetrwanie i już jeden z redaktorów stracił pracę, odkąd zatrudniono Petera Bassetta, by poprawił kondycję magazynu. Od tygodni krążyły plotki, że w najbliższych miesiącach polecą następni. Jeremy Latimer mógł jej pomóc w otrzymaniu pracy, lecz nie była przecież nietykalna. Mogła harować jak niewolnica, by pięć się w górę po szczeblach kariery, lecz to nie znaczyło, że nie mogli jej wylać.

Kochała swoją pracę. Mimo codziennych kłopotów i przesiadywania do późna w nocy czuła się dumna, że może robić coś, co daje jej tyle przyjemności. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Czy nie to powiedziała dziś klasie Ariel?

Oparła głowę na dłoni i zapatrzyła się w niemy ekran komputera. Nieobecność na porannym zebraniu nie poprawi jej sytuacji. Pięć minut później, gdy nadal wpatrywała się w ekran komputera, telefon ponownie zadzwonił.

— Ta dziwka jest w ciąży — oznajmiła Barbara zamiast powitania. — Możesz w to uwierzyć? Pobrali się zaledwie sześć miesięcy temu, a ona już jest w ciąży.

— Dobrze się czujesz? — spytała Susan.

— Nie wiem. Muszę się wyładować. Możesz wyskoczyć na lunch?

Susan potarła czoło i spojrzała w stronę biura Petera Bassetta, chociaż widok zasłaniał jej wysoki beżowy ekran.

— Niestety nie, przepraszam. Ale może wpadłabyś do nas dziś wieczorem na kolację? Wtedy sobie pogadamy-Zabierz ze sobą Tracę. Ariel na pewno się ucieszy. — Dlaczego to powiedziała? Ariel nie lubiła niczych wizyt.

Po rozmowie z Barbarą zatelefonowała do matki. Po wypowiedzianym drżącym głosem „Halo” wiedziała, że coś jest nie tak.

— Co się stało? — spytała.

— Telefonowali z gabinetu doktora Kinga — odparła niepewnie matka, jakby posługiwała się obcym językiem, którego dobrze nie знаła. — Wygląda na to, że znaleźli coś na zdjęciu mammograficznym. Chcą, żebym zrobiła biopsję.

Susan chciała coś powiedzieć, lecz nie była w stanie.

— To pewnie nic takiego — ciągnęła matka, mówiąc to, co powiedziałyby Susan, gdyby zdołała wydobyć z siebie głos. — To jest coś małego. Powiedzieli, że takie rzeczy okazują się zazwyczaj łagodne, więc nie powinnam się martwić.

— Kiedy masz tam być? — spytała Susan, zmuszając do wysiłku odporne struny głosowe.

— Jutro o dziesiątej rano.

— Pójdę z tobą. — W kalendarzu miała zaznaczone kolejne zebranie, lecz Peter Bassett będzie musiał zrozumieć. A może nie?

— Dziękuję, kochanie. — W głosie matki zabrzmiała wyraźna ulga. — Będę ci bardzo wdzięczna.

— Przyjadę po ciebie o wpół do dziesiątej. Czy to nie za późno?

Matka zapewniła ją, że to aż nadto, i rozłączyły się. Susan odłożyła słuchawkę i zamknęła oczy. Proszę, niech mamie nic nie będzie, wypowiedziała w myślach modlitwę.

— Moja praca się nie liczy — szepnęła z ustami wtulonymi w żółtozielony golf. Tylko niech moja matka będzie zdrowa. Poczwała na policzkach łzy.

Potrzebowała kilku minut, by odzyskać panowanie nad sobą. Dla pewności zaczęła jeszcze chwilę, po czym Podniosła się z miejsca. Dokładnie dziesięć minut po telefonie od Petera Bassetta stała przed szklaną ścianą jego gabinetu.

Rozmawiał przez telefon, lecz dał jej znak, by weszła.

— Zamknij drzwi — szepnęła, przykrywając słuchawkę dłonią. — Usiądź. Zaraz skończę.

Zamknęła drzwi, odsunęła od biurka krzesło z wysokim oparciem i wolno usiadła, starając się nie podsłuchiwać rozmowy.

— Wprost przeciwnie—mówił — to jest zadanie szkoły. Jeżeli zabronię Kelly wychodzić z domu w weekendy za to, że ucieka z lekcji, tylko przysporzę sobie dodatkowych kłopotów w domu i niczego nie osiągnę. To wy musicie wyciągać konsekwencje. Konsekwencje nic nie znaczą, jeżeli narzuca je ktoś z zewnątrz. Doskonale pani o tym wie.

Wzniósł oczy do sufitu w geście zniecierpliwienia i obrócił w stronę Susan fotografię przedstawiającą trójkę sympatycznych nastolatków: dwóch uśmiechniętych chłopców z nachmurzoną dziewczynką w środku. Skąd ja to znam? — pomyślała i natychmiast poczuła sympatię do Petera, bo najwyraźniej borykał się z tymi samymi kłopotami co ona, jeśli nawet zamierzał ją zwolnić.

— Co proponuję? — spytał. — Proponuję, żeby wypełniała pani swoje obowiązki. Następnym razem, gdy córka ucieknie z lekcji, proszę za karę zamknąć ją w klasie. Jeżeli i stamtąd ucieknie, proszę ją zawiesić. Tak się postępuje w świecie dorosłych.

Susan zamknęła oczy. Uciekła z porannego zebrania, więc będzie zawieszona, i to na stałe.

— Przepraszam — powiedział, odkładając słuchawkę, i spojrział na fotografię. — Kelly ma piętnaście lat i jest prawdziwym utrapieniem. Jej bracia również, ale przynajmniej nie uciekają z lekcji. Tak, a w ogóle co słyhać?

— Dziękuję. Wszystko w porządku.

— Brakowało nam ciebie dziś rano.

— Przepraszam za nieobecność. Opowiadałam o swojej pracy u córki w szkole. To dzień poświęcony różnym zawodom, czy coś w tym rodzaju. Uprzedzałam o tym Marszę. Wyraziła zgodę — dodała, mając na myśli kobietę, którą zastąpił Peter.

— Mam nadzieję, że zareklamowałaś przy okazji nasze pismo.

Mrugnął do niej znacząco, co wprawiło ją w zachwyt.

— Najlepiej jak umiałam — odpowiedziała.

— To dobrze. Potrzebna nam każda pomoc.

— Tak jest, sir.

— O Boże, proszę nie mów do mnie „sir”, wystarczy Peter. — Wstał z fotela, obszedł biurko i przysiadł na jego brzegu. — Co według ciebie należałoby zmienić w piśmie? — spytał, zupełnie ją tym zaskakując.

— Według mnie?

— Ciekawi mnie twoja opinia.

— Dlaczego? — wyrwało się jej.

— Pytałem o to wszystkich na dzisiejszym zebraniu i nie otrzymałem satysfakcjonujących odpowiedzi. Chciałbym usłyszeć również twoją opinię, bo uważam, że jesteś bystra, a artykuły, które opracowujesz, są najlepsze w piśmie.

— Dziękuję — powiedziała, prostując się w krześle. A więc nie zostanie

zwolniona.

— No to co jest nie tak w „Victorii”? Dlaczego sprzedaż spada?

Susan wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Czy naprawdę może mu powiedzieć, co uważa za niedobre w piśmie?

— Sądzę, że profil jest zły — usłyszała swój głos.

— Odnoszę wrażenie, że staramy się naśladować „Cos-mopolitan”. Dlaczego kobiety miałyby nas kupować, skoro mogą kupić oryginał? Uważam też — ciągnęła śmielej, widząc jego uśmiech — że na rynku jest za dużo kobiecych pism, a my jesteśmy w niekorzystnym położeniu, bo zaczęliśmy w Cincinnati, a nie w Nowym Jorku czy Los Angeles.

— Jaki stąd wniosek?

Czy on się ze mną bawi? — pomyślała, zdenerwowana jego świdrującym spojrzeniem.

— Myślę, że powinniśmy przestać konkurować z wielkimi pismami i zacząć tworzyć własny rynek czytelniczek — zaczęła, powoli zapalając się do tematu. — To jest lokalne pismo. Powinniśmy skoncentrować się na zainteresowaniach kobiet z Cincinnati, zapomnieć o wywiadach z drugorzędnymi gwiazdkami i zacząć tworzyć własne znakomitości. Przestać robić rozkładówki z chudymi modelkami z Nowego Jorku prezentującymi ubrania, których nikt w tym mieście nie będzie nosił, i zacząć pisać o prawdziwych kobietach z prawdziwymi problemami. Te historie powinny mieć objętość większą niż tysiąc słów. Dlaczego boimy się sięgnąć w głąb duszy? Powinniśmy też zacząć drukować opowiadania — ciągnęła, nie dając mu szansy na wtrącenie własnego zdania. — Jeżeli mamy kogoś naśladować, niech to będzie „The New Yorker”. Moglibyśmy publikować jedno opowiadanie miesięcznie, a może nawet zorganizować konkurs literacki. Mamy prawie lata dziewięćdziesiąte. Współczesne kobiety interesują się nie tylko modą i horoskopami, lecz również literaturą, polityką i tym, jak decyzje podejmowane w Waszyngtonie wpłyną na nasze życie w Cincinnati. Musimy przestać schlebiać najniższemu gustowi i mierzyć wyżej. Musimy przestać iść za przewodnikiem, lecz stworzyć własny pochód i trąbić we własny róg. Niech inni zaczną nas naśladować. — Urwała gwałtownie. — Przepraszam. Pewnie pomyślałeś, że jestem kompletną wariatką. Wybuchnął głośnym śmiechem.

— Przeciwnie, podziwiam twój zapał. Nie we wszystkim się z tobą zgadzam, niektóre pomysły są według mnie niezyciowe, lecz warto się nad nimi zastanowić. Może omówilibyśmy je na jutrzejszym zebraniu?

— Wspaniale — odpowiedziała, lecz zaraz dodała: — Och, nie, nie mogę, przepraszam.

— O co chodzi?

— Moja matka musi iść jutro do szpitala na biopsję. Obiecałam, że z nią pojedę. — Przygotowała się na ostrą reprimendę: To jest interes, Susan. Jak mamy

wprowadzać w życie te wspaniałe pomysły, jeżeli ty stale przedkładasz osobiste życie nad pracę? Sprzedaż spada, a jednym z powodów tego spadku i kłopotów pisma jest to, że tacy ludzie jak ty, mówiący o czekających nas wyzwaniach, są zbyt zajęci wizytami w szkołach ich córek i towarzyszeniem matkom do lekarza, by uczestniczyć w ważnych zebraniach. To jest prawdziwy świat, Susan. Co wybierasz: rodzinę czy własną karierę?

— W porządku — powiedział Peter Bassett.

— Co?

Wzruszył ramionami.

— Nic nie szkodzi. Innym razem porozmawiamy o twoich pomysłach. Pismo nie zmieni przez noc swojego profilu, a najważniejsza jest teraz twoja matka. Potrzebuje twojego wsparcia.

— Dziękuję — wyszeptła. Ciekawe, czy wygląda na równie zaskoczoną, jak się czuje?

— Nie ma za co.—Zsunął się z biurka, pokonał dzielącą ich odległość i położył dłoń na ramieniu Susan. Poczła przez sweter ciepło jego palców. — Wszystko będzie dobrze — powiedział. — Myśl pozytywnie.

— Postaram się — odparła, wstrzymując oddech.

— Przekaż, proszę, twojej mamie wyrazy szacunku. Cofnął rękę, uśmiechnął się smutno, lecz zarazem uspokajająco, i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

Susan wstała, ruszyła do drzwi, po czym odwróciła się, by jeszcze raz mu podziękować za wyrozumiałość, cierpliwość i mądrość. Kiedy ostatni raz ktoś słuchał jej z takim zainteresowaniem? Lecz on pisał już coś na komputerze. Spojrzała na stojącą na biurku fotografię dzieci i dopiero teraz zauważyła drugą, przedstawiającą atrakcyjną kobietę, trochę młodszą od niej, z krótkimi czarnymi włosami i o ujmującym uśmiechu. Zapewne żona. Synowie byli bardzo do niej podobni, lecz sprawiająca kłopoty córka nie.

Jest pani szczęściarą, pani Bassett, pomyślała. Mam nadzieję, że pani to docenia. Potem odwróciła się i wyszła z gabinetu.

12

— Traccy, spójrz na to, kochanie. Wspaniale byś w tym wyglądała, nie sądzisz?

Traccy zamknęła książkę, którą czytała, przeszła przez Poczekalnię, usiadła obok matki i zajrzała do najnowszego numeru „Yictorii”.

— Chyba nie — odpowiedziała, patrząc na modelkę ubraną w niebiesko-białą trykotową bluzeczkę i obcisłe granatowe spodnie.

— Dlaczego?

— Spójrz na nią, mamó — wskazała na wdzięczącą się do kamery dziewczynę.
— Ona nie ma bioder, a ja, jeśli nie zauważyłaś, mam.

— To tylko dziecięcy tłuszczyk — zapewniła ją Barbara, chociaż nie była tego całkiem pewna. Ostatnio ciało Traccy uległo radykalnej zmianie. Po pierwszej miesiączce zmieniła się z chudej nastolatki w kogoś, kogo można by określić jako dobrze zbudowaną młodą kobietę. Nie była gruba, tylko zaokrągliła się nie w tych miejscach, co trzeba. Zrobiła się szeroka tam, gdzie powinna być wąska, a płaska, gdzie powinna nabrać ciała. Tę cechę z pewnością odziedziczyła po rodzinie Rona.

— Szybko go zrzucisz. Musisz tylko ograniczyć te frytki i hamburgery i zacząć właściwie się odżywiać. Mogłabyś wybrać się ze mną któregoś dnia na siłownię. Wiesz, co zrobimy? — spytała prawie jednym tchem, chociaż Traccy wróciła już do lektury książki. — Zamówię wizytę u dietetyka i pójdziemy tam razem. Mnie również przydałaby się dieta. Co o tym myślisz?

Traccy spojrzała na matkę niewidzącym wzrokiem.

— Jasne.

— Doskonale. Uważam, że to wspaniały pomysł. Nie wiem, czemu wcześniej o tym nie pomyślałam.

Prawdę mówiąc, myślała o tym od tygodni, zastanawiając się, jak poruszyć ten temat, nie raniąc uczuć córki. I udało się. Osiągnęła cel i nie uraziła Traccy. Popatrzyła na jej profil-Taka z niej ładna dziewczyna. Wstyd byłoby to wszystko stracić tylko dlatego, że stała się trochę niechlujna i nie zwracała uwagi na swój wygląd. A wygląd jest bardzo ważny, bez względu na to, co się ostatnio słyszy. Jeżeli wyglądasz, jakby ci na tobie nie zależało, to innym też nie będzie zależać.

Pogładziła córkę po policzku. Traccy uśmiechnęła się, nie podnosząc wzroku znad książki. Co ona właściwie czyta?

— Co czytasz? — spytała Barbara.

Traccy odwróciła książkę i pokazała matce okładkę. Barbara wzięła egzemplarz z rąk córki, otworzyła go na pierwszym rozdziale i przeczytała kilka linijek.

— Wygląda na ciekawą — powiedziała. Już miała ją oddać, gdy zauważyła podpis widniejący na wewnętrznej stronie okładki. Pam Azinger krzyczały wypisane czerwonym atramentem litery. Jak krew, pomyślała Barbara, odkładając książkę na kolana Traccy. Moja krew.

— Powiedziała, że mi się spodoba — mruknęła Traccy, kładąc egzemplarz na

krzesła obok. — Ale jest głupia. Nie będę jej czytała.

— Bzdura. Skoro ci się podoba... Traccy pokręciła przecząco głową.

— Nie, nie będę. Nie jest wcale dobra. Barbara wzięła głęboki oddech.

— Jak Pam daje sobie radę z dzieckiem? — spytała, z trudem wydobywając głos z krtani.

— Tak sobie. Ono ciągle płacze.

— To niedobrze. — Barbara uśmiechnęła się. Dzięki Bogu. — Jak on ma na imię? Stale zapominam.

— Brandon. Brandon Tyrone.

Głupie imię. Nic dziwnego, że nie mogła go zapamiętać.

— Jest miłutki. Cały czas płacze. — Traccy wpatrywała się bezmyślnie przed siebie.

Czy ona zawsze miała to wybrzuszenie na nosie? Skoro już tu są, poprosi doktora, by rzucił na to okiem.

— Przepraszam panią — powiedziała, wyrzucając z myśli Brandona Tyrone'a Azingera — czy długo będziemy jeszcze czekać?

— Tylko kilka minut. — Siedząca za szklaną przegrodą recepcjonistka popatrzyła na Barbarę, jakby jej nie widziała.

Cóż znaczy te kilka minut? — pomyślała Barbara. I tak nie mam nic innego do roboty. Nie musiała pędzić do domu, by opiekować się wrzeszczącym noworodkiem, przygotowywać mieszanki czy zmieniać pieluszki. Nie musiała szykować obiadu dla ciężko pracującego męża. Nie czekało ją nic Pilnego. Czemu więc nie miałyby spędzić deszczowego letniego popołudnia w poczekalni najlepszego chirurga plastycznego w Cincinnati? Czas się nie liczył. Po to tu przyszła: by zabić czas.

Pan doktor mógłby sobie sprawić wygodniejsze krzesła, pomyślała, strzepując niewidoczną nitkę z ciemnofioletowe-go pluszowego siedzenia. Musieli je odnowić od ostatniej jej wizyty przed dwoma laty. Przyjrzała się morelowym ścianom, usiłując przypomnieć sobie, jaki miały wówczas kolor. Najwyraźniej w życiu doktora Steevesa wszystko musiało być nowe.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i wyszła z nich kobieta z twarzą owiniętą niebieskim szyfonowym szalem. Powiedziała coś cicho do recepcjonistki, po czym opuściła poczekalnię, nie patrząc na Barbarę.

Nikt mnie już nie dostrzega, pomyślała Barbara, jakbym nie istniała.

— Pani Azinger — powiedziała recepcjonistka, patrząc gdzieś poza nią. — Może pani wejść.

— To nie potrwa długo — zapewniła córkę, która wpatrywała się w obraz z kwiatami, wiszący na przeciwległej ścianie. Skinęła głową, nawet nie patrząc na matkę. Jakbym nie istniała, pomyślała po raz drugi Barbara.

— Pani Azinger, miło panią widzieć — powiedział doktor Steeves, wyciągając

ku niej rękę.

— Mnie również miło widzieć pana — odpowiedziała. Nie mogła jednak nie zauważyć zmęczenia widocznego

w niebieskich oczach chirurga. Przytył też od ostatniej wizyty. Pod szpakowatą brodą utworzył się drugi podbródek.

— Świetnie pani wygląda. Jak się pani miewa?

— Całkiem nieźle. — Kochanka męża urodziła ponad trzykilowego syna imieniem Brandon Tyrone, a moja córka wyhodowała sobie biodra wielkości Ohio, ale czuję się wspaniale, dziękuję.

— A więc co mogę dla pani zrobić?

Doktor Steeves wskazał purpurowy fotel przed wielkim mahoniowym biurkiem. Barbara usiadła i zaczęła, aż chirurg również zajmie miejsce i będzie się mógł skupić wyłącznie na niej.

— Chodzi o mój brzuch — wyjaśniła. I o moje życie, dodała w myślach. — Zawsze mi trochę sterczał, ale ostatnio coraz bardziej.

Doktor Steeves zajrzał do karty.

— Ile ma pani lat?

— Czterdzieści cztery — odparła i odkaszlnęła, by złagodzić twarde brzmienie liczby.

— Ile dzieci?

— Jedno. — Spuściła oczy na kolana, starając się nie myśleć o małym Brandonie. — Myślałam o usunięciu fałd na brzuchu.

— W takim razie proszę się rozebrać. Obejrzymy sobie pani brzuch. Nie każdy nadaje się do tego typu operacji.

— Podał jej niebieską bawełnianą koszulę i podszedł do drzwi. — Może pani nie zdejmować majtek. Proszę powiedzieć pielęgniarce, gdy będzie pani gotowa.

Niecałe pięć minut później leżała na kanapce, z koszulą podciągniętą do góry i spuszczonej czarnymi majteczkami, a doktor Steeves wprawnymi dłońmi chirurga badał bliznę po cesarskim cięciu.

— Mięśnie w zupełnie dobrym stanie — powiedział.

— Moglibyśmy zrobić nacięcie w miejscu już istniejącej blizny.

Barbara skrzywiła się, przypominając sobie poprzednią operację. Upłynęło kilka miesięcy, nim wróciła do zdrowia. Czy naprawdę znowu chce przez to przechodzić?

— No i co pani sądzi o irackiej inwazji na Kuwejt? — spytał nagle chirurg. — Myśli pani, że Husajn zaatakuje również Arabię Saudyjską?

Barbara pomyślała, że musiała usnąć i śni jeden ze snów, które ostatnio ją nawiedzały. Czy naprawdę leżała naga, w drogich czarnych koronkowych majteczkach ściągniętych aż do łona, a jakiś mężczyzna pieścił jej brzuch i mówił o Saddampie Husajnie? Czy ona już w ogóle nie istnieje?

Na pewno potrafi jeszcze zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. Wystarczyło tylko stąd wyjść i zacząć wysyłać właściwe sygnały. Na pewno ktoś je odbierze.

— Może zastanowi się pani przez kilka dni i zapozna z literaturą — powiedział doktor Steeves po skończonych oględzinach. Skinęła potakująco głową, zastanawiając się, dlaczego lekarze nazywają broszury literaturą. — Proszę porozmawiać z mężem i dać mi znać, jaką podjęła pani decyzję.

Barbara skrzywiła się, lecz chirurg już podszedł do drzwi.

— Jak szybko będzie pan mógł to zrobić? — spytała.

— Musi pani sprawdzić u recepcjonistki. Ona ma mój grafik.

— Ile to...

— Jest w literaturze.

Muszę mieć kogoś, kto udowodni mi, że nadal jestem atrakcyjna, pomyślała.

— Co to za makulatura? — spytała chwilę później Traccy, wskazując na trzymane przez Barbarę broszury-

— Literatura — odparła ze śmiechem. — Zapomniałaś o książce—dodała, widząc, że Traccy nie trzyma jej w ręku.

— Zostawiłam ją w poczekalni — uśmiechnęła się Traccy. — To głupia książka. — Wzruszyła ramionami. — Powiem Pam, że ją zgubiłam.

— Dobra z ciebie dziewczyna — powiedziała Barbara. Potrzebuję mężczyzny, pomyślała.

Ów mężczyzna okazał się raczej młodzieńcem, i o to właśnie chodziło. Był mniej więcej w tym samym wieku co paskudna Pammy. Skoro wredny drań Roń znalazł szczęście z cizią o krowiej twarzy, to ona też mogła.

Miał na imię Kevin, w każdym razie tak jej się wydawało. Teraz większość chłopców miała na imię Kevin. Był wysokim śniadym przystojniakiem, równie bezbarwnym jak modele z reklam Cal'ina Kleina, pewnym siebie, o wspaniale umięśnionym ciele.

— Znam świetne ćwiczenia na górne i dolne mięśnie brzucha—powiedział, gdy po raz pierwszy zagadnęła go na siłowni, dzień po wizycie u doktora Steevesa. — Nie potrzebna pani operacja—dodał z łobuzerskim uśmiechem.

— Proszę poświęcić mi miesiąc, a doprowadzę pani brzuch do właściwego kształtu.

To wystarczyło za zachętę. Uznała, że muskularny Kevin to lekarstwo, które zalecił jej doktor.

Kevin pracował w siłowni mieszczącej się w tym samym budynku co kancelaria Vicki. — Prywatni instruktorzy są teraz w modzie — powiedziała Vicki — i są warki każdej ceny. — Natychmiast więc umówiła się z nim na osiem prywatnych lekcji, dwa razy w tygodniu, mimo że jej karty kredytowe dawno przekroczyły limit i Roń narzekał, że wydaje za dużo pieniędzy. Tak, zgodził się płacić jej rachunki przez pięć lat, ale w granicach rozsądku...

Pieprzę cię, wredny draniu, pomyślała. Nie, pieprz mnie, dodała ze śmiechem. Kevin robił to całkiem dobrze. Leżała na plecach i podziwiała jego muskularne nagie ciało. Uniosła się nieznacznie, by dostosować się do regularnych pchnięć wąskich bioder chłopaka. Trzeba przyznać, że nie brakowało mu wigoru. Zerknęła na zegarek stojący przy szerokim twardym łóżku w mieszkaniu Kevina. Czy on wszystko musi mieć tak cholernie twarde? Miała ochotę się roześmiać, lecz jej śmiech mógł być źle rozumiany.

Kogo ona oszukuje? Na pewno by go nie usłyszał. Pewnie nawet nie wie, że ona wciąż pod nim leży. Pompuje już od prawie czterdziestu minut, jeżeli wierzyć zegarkowi. Wskazywał drugą w nocy. Czy on nigdy się nie zmęczy? Straciła zainteresowanie seksem jakieś dwadzieścia minut temu, kiedy stało się oczywiste, że nie doświadczy orgazmu. Obiecujące mrowienie stało się boleśnie irytujące. Zamiast Podniecenia czuła rozdrażnienie. Jeżeli zaraz się nie prześpi, będzie miała wory pod oczami. Czas przyspieszyć bieg wydarzeń i wziąć sprawę w swoje ręce.

Chwyciła Kevina za pośladki i jęknęła, rozpoczynając wypraktykowaną przez lata grę końcową. Najpierw seria okrzyków i rzucanie głową na boki. Niezbyt gwałtowne, tylko by dać znać chłopcu, że jest gotowa i nie musi tak ciężko pracować. Lecz on nie ustawał w regularnych pchnięciach. Jęki zmieniły się w piski, piski w westchnienia, lecz on się w nią wbijał.

Jak pociąg dalekobieżny, pomyślała, opadając na poduszki i próbując znaleźć wygodną pozycję. Wygląda na to, że będzie musiała tu jeszcze zostać. Zastanawiała się, czy nie zsunąć się z łóżka i wyobrazić sobie, jak chłopak przywiera do niej niczym pies uwieszony u nogi człowieka. Na moim miejscu mogłaby być każda inna, pomyślała skonsternowana. Nie istniała dla Kevina, tak jak nie istniała dla Rona, doktora Steevesa czy Saddama Husajna. Zniknęła w piekle odrzuconych, mglistym świecie, który zapełniały kobiety po czterdziestce, funkcjonujące raczej jako statystki w filmach, robiące tło bez odwracania uwagi od głównych bohaterów. Plama w tle. Atrakcyjna plama, ale jednak plama.

Tymczasem leżący na niej Kevin zaciskał mocno powieki, nie ustając w pchnięciach.

On mnie nie widzi, pomyślała i też zamknęła oczy, przypominając sobie, co ją czeka jutro. O trzeciej po południu wraca do domu Traccy z weekendu spędzonego u Rona. Powinna zrobić zakupy, ogarnąć trochę dom, może ugotować Traccy jej ulubione macaroni z serem. Potem miały pojechać do Indian Hill na szkolne przedstawienie Oliver do liceum Kirsten Latimer. Nie, postanowiła, opasując Kevina nogami, pójdą z Traccy gdzieś na kolację. Na rachunek drogiego tatusia. A masz, ty wredny draniu, pomyślała, unosząc gwałtownie biodra. A masz, a masz, a masz.

W następnej chwili Kevin, zapewne wytrącony z rytmu jej energicznymi pchnięciami, krzyknął głośno, zeszywniał, jakby szykował się do skoku, i nagle

opadł na nią jak kukielka, której przecięto sznurki.

— Och! — westchnął, błyszcząc od potu. — To było niezwykle. Jesteś wyjątkowa, wiesz?

Uśmiechnęła się. Kiedyś była, pomyślała, czując, jak zalewa ją fala mgły. Teraz stała się jedną z wielu, kimś obcym, nawet dla samej siebie.

Opuściła małe mieszkanko Kevina o trzeciej w nocy, tłumacząc, że Traccy wraca wcześniej rano.

— Obudziłbym cię — powiedział, całując ją w szyję.

Tego się właśnie obawiała. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowało jej biedne ciało, był kolejny maraton z Kevinem. Już nie te lata.

Poza tym zostawiła w domu wszystkie kosmetyki, a nie miała zamiaru pokazywać się Kevinowi bez makijażu, tak samo jak nie chciała, żeby oglądał ją nagą.

— Tak będzie seksowniej—powiedziała, nie pozwalając mu zdjąć satynowej koszulki w różowym kolorze.

Kiedy otworzyła drzwi domu, pomyślała, że wcale jej się nie chce spać. Była zbyt niespokojna, zbyt zdenerwowana, zbyt obolała. Dostaną pewnie zapalenia pęcherza moczowego, pomyślała, idąc do kuchni. Albo czegoś gorszego. Zatrzymała się nagle. Dlaczego nie użyli prezerwatywy? Gazety pełne były ostrzeżeń o niebezpieczeństwach płynących z uprawiania seksu bez zabezpieczenia. Czy ona jest nietykalna, czy wiek średni chroni ją przed AIDS?

— Muszę się napić kawy — powiedziała głośno.

Jej słowa odbiły się echem w pustym domu. Włączyła czajnik i wsypała do kubka łyżeczkę kawy rozpuszczalnej. Nie znosiła, gdy Traccy nie było w domu, jakby nieobecność córki pozbawiała ją pewności siebie. Coraz częściej łapała się na tym, że mówi sama do siebie. Głos dawał jej pewność, że wciąż istnieje. Ostatnio Traccy nabrała zwyczaju przychodzenia do niej do łóżka. Powinna to przerwać, pomyślała, nalewając wody do kubka, nim zdążyła się zagotować. Lecz cóż w tym złego? Przyjemnie było się budzić z córką w objęciach. To dodawało jej sił na przetrwanie kolejnego dnia.

Kawa była gorzka mimo dwóch łyżeczek cukru, wsypała więc trzecią. Wówczas okazała się za słodka. Niech sobie będzie, pomyślała i otworzyła lodówkę w poszukiwaniu napoczętej truskawkowej tarty. Nie znalazła jej, co oznaczało, że zjadła ją Traccy. Powinnajak najszybciej umówić się na wizytę u dietetyka i zaaplikować Traccy dietę, póki nie jest za Późno.

— Za to też zapłacisz — mruknęła, myśląc o Ronię, i spojrzała na biały telefon wiszący na ścianie.

W następnej sekundzie już była przy nim i wystukiwała numer. Zadzwoił raz, potem drugi.

— Halo? — rozległ się zaspany damski głos, na wpół dziecięcy, na wpół

kobiocy. Biedna Pammy, pewnie dopiero co usnęła po nakarmieniu małego Brandona. To okropne, że ktoś musiał ją obudzić.

— Halo? — powtórzyła Pam.

— Kto mówi? — zabrzmiał jej w uszach głos Rona, wypełniając małą kuchnię.

Odwiesiła słuchawkę z bijącym sercem i zaczęła chodzić tam i z powrotem między telefonem a kuchennym stołem.

— To była kompletna głupota — powiedziała głośno i wybuchnęła śmiechem.

— Halo? — powtórzyła, naśladując dziecinny głosik Pammy.

Usiadła i dopiła kawę, czując się dziwnie ożywiona. Telefonowanie do Rona może było głupotą, ale dostarczyło jej świetnej zabawy. Już dawno tak się nie bawiła. To dotyczyło również dzisiejszej nocy. Przez jedną krótką chwilę to ona była górą, ona kontrolowała sytuację, ona decydowała, kto ma spać, a kto nie. Co prawda, Roń nie ucierpi zbytnio z tego powodu, bo przez kilka sekund będzie uspokajał przerażoną żoneczkę, a potem odwróci się na drugi bok i uśnie. Ale biedna mała Pammy to zupełnie inna historia. Zapadnie w niespokojny sen, może będzie śniła o mężczyźnie bez twarzy czekającym za drzwiami, a za chwilę obudzi ją płacz małego Brandona.

Kilka tygodni takiej zabawy i kto wie, może i jej będzie wkrótce potrzebna pomoc doktora Steevesa.

Nagle ogarnął ją strach. A jeśli Roń i Pam domyśla się, że to ona telefonowała? Nie, pomyślała po chwili zastanowienia, nie da się tego wykryć i nie mają powodów, by J3 podejrzewać. Często przecież zdarzają się takie pomyłkowe telefony. Ona jest czysta. Nikt się tego nie domyśli. Mogłaby to powtórzyć za jakiś tydzień i nadal nikt nie będzie jej podejrzewał. Albo jutro wieczorem. Albo w tej chwili...

Odczekała pięć minut, aż serce i wyobraźnia się uspokoją i ponownie wystukała numer Rona, wsłuchując się z zadowoleniem w sygnał wywoławczy.

— Halo! — rozległ się gniewny głos Rona. — Halo! Halo!

Odwiesiła słuchawkę z uśmiechem satysfakcji na twarzy. Dlaczego tylko ona ma nie spać tej nocy? Potem poszła do sypialni, rozebrała się i wsunęła pod kołdrę. Usnęła, nim zdążyła przyłożyć głowę do poduszki.

13

Vicki obudziła się ze snu, w którym usiłowała wydostać się z głębokiego ciemnego dołu. Drapała palcami ściany, a małe grudki ziemi wbijały się pod paznokcie.

— Au!

Otworzyła oczy. Mąż siedział na łóżku i rozcierał brzydkie zadrapanie na rękę.

— Chyba powinnaś obciąć paznokcie, kochanie — powiedział z uśmiechem.

— O Boże, przepraszam. Jak mogłam to zrobić? Biedne maleństwo.

Przytknęła rękę męża do ust i przesunęła językiem po czerwonej prędze.

— Trochę niżej też jest zadrapanie. — Łobuzerski uśmiech rozciągnął blade policzki Jeremy'ego Latimera.

Vicki roześmiała się i wstała z łóżka, udając, że nie dostrzega zaproszenia w oczach męża. Czy ten człowiek nigdy się nie męczy? Przecież ma już sześćdziesiąt pięć lat. Czy nie powinien trochę zwolnić?

Pomaszerowała nago do łazienki i weszła pod prysznic, znikając pod strumieniem gorącej wody. Zbyt dużo miała dziś na głowie, by delectować się porannym seksem. O pierwszej musi być w Louisville, a przedtem czekało ją coś, co odkładała od tygodni.

Usłyszała, jak drzwi łazienki się otwierają, zobaczyła cień. Poczowała powiew chłodnego powietrza, gdy mąż wszedł do kabiny.

— Pomyślałem, że przydałaby ci się pomoc. — Jeremy wziął mydło i odwrócił ją tyłem do siebie. — No wiesz, do tych trudno dostępnych miejsc.

Silnymi dłońmi zaczął masować jej kark, a potem zsunął je w dół na kościste pośladki. Czy oni nigdy nie dorosną? — pomyślała. Nie miało znaczenia, czy mieli szesnaście, czy sześćdziesiąt lat — wciąż byli tacy sami. No, niezupełnie. Przypomniała sobie szesnastoletniego chłopca, swojego pierwszego kochanka, i ciężar szczupłego muskularnego ciała na sobie. Poczowała, jak Jeremy wsuwa rękę między jej nogi. Ale muskularne ciało to nie wszystko. Spójrz na siebie, pomyślała i postanowiła, że lepiej nie. Każdego dnia zachodziły w niej zmiany, i to nie na lepsze, mimo wizyt osobistego instruktora dwa razy w tygodniu. Kevin powtarzał jej, że wygląda wspaniale, ale to należało do jego pracy. Miał za zadanie sprawić, by była 7 siebie zadowolona. I prawdę mówiąc, była. Czterdziestka okazała się wcale nie taka straszna. Nadal przyciągała wzrok wielu mężczyzn. Także i męża, który uważał ją za seksowną i godną pożądania. Postanowiła nie walczyć z przyjemnym mrowieniem rozchodzącym się po całym ciele i delectować się zaimprovizowanym interludium, mimo że wytrącało ją z planu dnia.

— Spieszysz się gdzieś? — spytał przy śniadaniu Jeremy.

— Mam kilka spraw do załatwienia.

Rzuciła poranną gazetę na stół i cmoknęła męża na do widzenia.

— Dokąd idziesz? — spytała Kirsten, wchodząc do kuchni z bratem

uwieszonym przy tylnej kieszeni dzinsów.

— Do pracy.

Posłała dzieciom całusy i ruszyła do drzwi.

— Przecież jest niedziela — przypomniała jej Kirsten.

— Niedługo wrócę.

— Sztuka zaczyna się o ósmej.

— Przyjadę. Nie martw się. Połamania nóg. Dopiero w samochodzie pozwoliła sobie na chwilę zastanowienia. Spojrzała na zegarek. Dziesiąta. Ma mnóstwo czasu. Nie denerwuj się, podjęłaś słuszną decyzję.

— Cieszę się, że pani przyszła—powiedziała pielęgniarka. — Pytał o panią.

Vicki szła za tęgą czarną pielęgniarką długim hallem w kolorze brzoskwiniowym, wstrzymując oddech, by nie czuć ciężkiego, stęchłego zapachu, jaki unosił się w domu opieki. Wszystko w tym trzypiętrowym budynku z żółtej cegły było przesycone atmosferą zgnilizny i rozpacz. Można było malować ściany na jasny kolor, szorować podłogi, lecz zapach smutku i odrzucenia czekających na śmierć pozostawał.

— Pytał o mnie? A co mówił?

— Pytał, dlaczego jego córka tak dawno u niego nie była. Vicki zignorowała delikatną przymówkę i postanowiła nie odpowiadać. Niby po co? Poza tym, co mogła odpowiedzieć? Pielęgniarka miała rację. Minęły miesiące od ostatniej wizyty u ojca, gdy wpatrywała się w obojętną twarz z nadzieją, że rozpozna własną córkę, że usłyszy, jak wymawia jej imię.

— Jak on się czuje?

— Dziś trochę lepiej. Zjadł całe śniadanie. Pospacerował trochę po korytarzu.

— Naprawdę o mnie pytał? — Zatrzymała się przed drzwiami do pokoju ojca.

— Nie dosłownie — przyznała pielęgniarka. — Ale popatrzył na mnie w ten charakterystyczny sposób, wie pani, tak ciepło, i wiedziałam wtedy, że myśli o pani.

— Dziękuję — powiedziała Vicki. Sama nigdy nie użyłaby określenia „ciepły” w stosunku do ojca.

— Jeżeli będzie pani czegoś potrzebować, jestem na końcu korytarza.

Vicki popatrzyła na wyszorowaną do czysta podłogę, wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi do pokoju.

Mężczyzna leżący na wąskim łóżku miał kredowożółtą twarz.

— Pasujesz do ścian, tato — powiedziała, podchodząc do łóżka i patrząc na kruchą postać mężczyzny, zaledwie 0 Pięć lat starszego od jej męża.

Spojrzał na nią wodnistymi orzechowymi oczyma, nieco jaśniejszymi od jej własnych, i uśmiechnął się sztywno, tym swoim charakterystycznym uśmiechem, który pamiętała z dzieciństwa. Była jednak pewna, że nie ma pojęcia, kim ona jest. Przestał ją poznawać jakiś rok temu.

— Jak cię tu traktują, tatusiu?

— Dobrze—padła natychmiastowa odpowiedź.—Bardzo dobrze.

— Przepraszam, że tak długo u ciebie nie byłam.

— Miałaś dużo pracy — odpowiedział, jakby ją rozumiał.

— Tak. Pamiętasz, czym się zajmuję, tatusiu?

— Miałaś bardzo dużo pracy — powtórzył, wpatrując się w śnieżny krajobraz wiszący na ścianie na wprost łóżka.

— Jestem prawnikiem, tato. Tak jak ty. Pracuję w kancelarii Peterson, Manning, Carlisle na Mercer Street. Pewnie ich pamiętasz.

— Oczywiście — powiedział, kiwając głową osadzoną na chudej szyi. Jabłko Adama wyglądało jak dziecięcy klocek, który utknał w tchawicy.

Pochyliła się, przyglądziła siwe pasma włosów sterczące na czubku łysiny i poprawiła kołnierzyk niebieskiej flanelowej piżamy.

— W zeszłym roku zostałam współlnikiem. Mówiłam d o tym?

— Miałaś dużo pracy.

— Nie muszę ci mówić, jakie szalone sprawy trafiają do tak wielkiej firmy prawniczej. Ale jest dobrze. Wygrałam wielką sprawę McCarthy'ego. Wszystkie gazety pisały o niej na pierwszych stronach.

Urwała. Co ona wygaduje? Ojciec nie ma pojęcia, o czym ona mówi. Pewnie od lat nie miał gazety w rękach.

— To bardzo dobrze — powiedział. — Dobrze dla ciebie.

Tak, dobrze dla niej, pomyślała, przysuwając sobie krzesło stojące pod ścianą. To chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek od niego usłyszała, chociaż nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Cóż za ironia! Omal nie wybuchnęła śmiechem—Popatrzyła na gałęzie uderzające w okratowane okno. Był październik i liście mieniły się różnymi odcieniami żółci.

— Ciepło jak na tę porę roku — zauważyła.

— Tak — zgodził się z nią ojciec.

— Powinni wyprowadzić cię na spacer.

— Na spacer — powtórzył. — Tak, jest ciepło jak na tę porę roku.

Naciągnęła mocniej na ramiona czerwony kardigan. Mimo wysokich temperatur i panującego w pokoju zaduchu zrobiło jej się zimno.

— Opowiem ci teraz o wszystkim — oznajmiła z udaną wesołością.

Uśmiechnął się z przymusem, jak kiedyś, gdy nie udało jej się otrzymać szóstki w konkursie czytania, gdy zajęła drugie miejsce w konkursie dyskusyjnym w liceum, gdy dostała tylko osiemdziesiąt siedem punktów na egzaminie z angielskiego w college'u. Nic, co robiła, nie było dla niego dość dobre. Miała ochotę zetrzeć mu z twarzy ten okropny uśmiech. Nikt nie był dla niego dość dobry. Pewnie dlatego matka od niego odeszła.

— Twoje wnuki świetnie sobie radzą — powiedziała głośno, usiłując odpędzić

nieprzyjemne myśli. — Kirsten rośnie jak na drożdżach. Ma trzynaście lat, a jest już prawie o głowę wyższa ode mnie. Zaczekaj, pokażę ci jej fotografię. — Sięgnęła do wielkiej czarnej torby firmy Bottega, wyciągnęła z portfela lekko sfatygowane zdjęcie i pokazała ojcu. — Nie jest już takie nowe. Cholera, myślałam, że mam gdzieś nowsze. — Była pewna, że Kirsten dała jej swoje aktualne zdjęcie. Co z nim zrobiła? — Ale i na tym widać, jaka jest ładna. Teraz ma trochę szczuplejszą twarz i dłuższe włosy. Zapuszcza je aż do pasa. I świetnie radzi sobie w szkole. W zeszłym roku była pierwsza w klasie. Byłbyś z niej bardzo dumny.

Miała jednak co do tego wątpliwości. „Osiemdziesiąt siedem?” — prychnął wówczas lekceważąco. — „Trudno być dumnym z takiego wyniku.”

— Nie ma jeszcze chłopca. No, ale jest jeszcze na to za młoda. — Odchyliła się na oparcie fotela. Ku swemu zaskoczeniu zebrało jej się nagle na płacz. Ona straciła Dziewictwo, gdy miała czternaście lat. Czy możliwe, by Kirsten też taka była? Żeby uprawiała seks?

Nie ma mowy, pomyślała, chociaż skąd mogła to wiedzieć? Nie wiedziałyby, że Kirsten miesiączkuje, gdyby służąca nie poskarżyła się, że ktoś wrzuca podpaski do sedesu. Kirsten była dość skryta w tych sprawach i rzadko zwierzała się matce, z czym Vicki było wygodnie. Jeśli chce się czegoś dowiedzieć, wie, gdzie mnie znaleźć, rozmawiała. Przynajmniej wie, gdzie jest jej matka, czego nie mogła powiedzieć o swojej.

— Dostała główną rolę w szkolnym przedstawieniu

— powiedziała głośno, przerywając wewnętrzny monolog.

— Nancy w Oliwne. Pamiętasz ten musical? Oliver, Oliver

— zaśpiewała cicho, a ojciec kiwał głową do rytmu. — Na szczęście ma lepszy głos niż ja, chociaż — przyznam szczerze — że na myśl trzynastolatce śpiewającej: „Dopóki mnie pragnie” ogarnia mnie przerażenie. Tak czy owak dziś wieczór ją zobaczę. To ostatnie przedstawienie. Nie mogłam być na premierze. Wypadała w środe, a ja musiałam do późna pracować, więc... — Urwała, bo zauważyła, że ojcu opadają powieki. — Tato, śpisz?

— Miałś dużo pracy — powiedział, jakby słuchał.

— Idziemy dziś całą rodziną — podjęła opowieść. — Je-remy i Josh, który nie bardzo przykłada się do nauki, lecz może to się zmienić. Kto wie, różne rzeczy się zdarzają. I moje przyjaciółki, Susan i Barbara, przyjdą z mężami i dziećmi. Z wyjątkiem Chris — dodała, słysząc, jak głos jej się załamuje. — Nikt jej nie widział, odkąd wyprowadzili się z Grand Avenue. Zupełnie jakby zniknęła z powierzchni ziemi.

Jak ktoś, kogo oboje znamy, pomyślała.

— Mam zamiar się z nią spotkać — powiedziała nagle-

— Co? Mów głośniej — zażądał ojciec, gdy groźące wypłynięciem łyzy zebrały się pod jej powiekami. „Słyszałaś? Powiedziałem: mów głośniej. Myślisz, że

pozwole ci pójść na zabawę z takimi ocenami?”

Zaczekała, aż się uspokoi, i dopiero wówczas ośmieliła się powtórzyć.

— Powiedziałam, że mam zamiar się z nią spotkać.

— Aha — mruknął, nie domagając się dalszych wyjaśnień.

— Z mamą — powiedziała, z trudem wymawiając to słowo.

— Masz dużo pracy — odpowiedział ojciec.

— Jest w Louisville — ciągnęła, jakby mówiła do siebie.

— W każdym razie tak sędzę. Nie będę pewna, póki jej nie zobaczę i nie porozmawiam z nią. Wynajęłam detektywów, by ją znaleźli. Wciąż szukają. Kilka lat temu myśleli, że znaleźli ją u wybrzeży Hiszpanii. Lecz to nie była ona. Tamta kobieta była co prawda Amerykanką i wygląd pasował do opisu, lecz gdy zobaczyłam jej zdjęcia, wiedziałam, że to nie ona. Tamta kobieta była znacznie wyższa. Ale ta, która mieszka w Louisville, może być nią. Jest w tym samym wieku, ma podobny wzrost i nazywa się Rita Piper. To panińskie nazwisko matki. Jest niezamężna i mieszka sama. Więc to może być ona. Fotografie, które przysłał mi detektyw, wskazują, że to może być ona. Oczywiście nie pamiętam jej dobrze, byłam bardzo mała, gdy odeszła, ale... — Urwała.

— Nie obchodzi cię to, prawda? — spytała z goryczą w głosie. — Nic cię nie obchodzi. Dlatego odeszła, prawda?

Tylko dlaczego i ją zostawiła? Dlaczego nie zabrała jej ze sobą?

— Cholera wie, czemu to robię — powiedziała, wyrzucając ręce w górę i z głośnym plaśnięciem opuszczając je na uda. — Nie starała się ze mną skontaktować. Przecież wiedziała, gdzie mnie szukać. — Nawet nie próbowała. Ani razu przez te wszystkie lata. — Więc nie jestem pewna, po co to robię, ale... mamy przecież takie ładne popołudnie i chętnie się przejadę.

— Ładne popołudnie — powtórzył ojciec. Spojrzała na zegarek.

— Robi się późno. Powinam już iść. Muszę zdążyć na ostatnie przedstawienie Kirsten. Nie mogę nie być. Mówiłam ci, że gra główną rolę w Oliverze. — Poderwała się z krzesła. Teraz to ona zapomniała. Musi stąd wyjść, póki jeszcze może. Pochyliła się nad ojcem, cmoknęła go na odległość, poklepała po ramieniu i poczuła, jak wstrząsa się od jej Dotyku. Nawet teraz, pomyślała. — Wkrótce znowu wpadnę. Dam ci znać, jak mi poszło.

— Tak — odpowiedział.

Stała chwilę w drzwiach i patrzyła, jak ojciec wpatruje się w ścianę, czując, jak lata obojętności wypychają ją z pokoju.

— Do widzenia, tatusiu — powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Po godzinie z okładem dotarła do białego oszalowanego domku w Louisville. Przejechała obok niego trzy razy, zastanawiając się, jak ma się zachować w stosunku do kobiety, która mogła być jej matką. Może powinna najpierw zatelefonować i dać jej czas na przygotowanie się do spotkania. I dać jej czas, by

spakowała manatki i uciekła? Dlatego postanowiła nie dzwonić. Matka była świetna w pakowaniu rzeczy i uciekaniu. Nie da jej po temu okazji.

Lepiej było ją zaskoczyć, spotkać się z nią bezpośrednio. Lecz właściwie, co jej powie? Zastanawiała się nad tym od chwili, gdy Bili Pickering zadzwonił do biura z wiadomością, że znalazł kobietę odpowiadającą rysopisowi o nazwisku Rita Piper, która nie mieszkała u wybrzeży Hiszpanii, nie zaszła się w wiejskiej chacie w Wyoming i nie uciekła do Kanady. Matka mieszkała niemal po sąsiedzku, w Louisville w stanie Kentucky, o rzut kamieniem od córki, którą zostawiła przed trzydziestu laty. Wystarczająco blisko, by mieć na nią oko, by śledzić jej dokonania w gazetach, by jej pilnować.

— Cześć, mamó. Pamiętasz mnie? — powiedziała głośno, zatrzymując samochód w połowie ulicy. Nie mogła przecież zaparkować przed domem. Nowy czerwony jaguar zbyt mocno rzucał się w oczy. Nie chciała wzbudzać podejrzeń matki i pozwolić jej uciec tylnymi drzwiami.

Wyłączyła silnik, głęboko odetchnęła i popatrzyła na małą kwadratową mgielkę na przedniej szybie samochodu.

— Pewnie mnie nie poznajesz — zaczęła, po czym urwała. — Przepraszam, czy pani jest moją matką? — Przewróciła oczami. Wspaniale. Super. Tylko tak dalej.

Co ja jej powiem? — zastanawiała się, patrząc na schludny biały domek, który nie wyróżniał się niczytym szczególnym od innych stojących wzdłuż ulicy zamieszkaną bez wątpienia przez klasę pracującą. Czemu nie próbowała się ze mną skontaktować? Musisz wiedzieć, kim jestem, za kogo wyszłam za mąż, co osiągnęłam. Nie ma powodu, byś mieszkała tak skromnie, kiedy możesz żyć w luksusie. Jeremy to bardzo szczodry człowiek. Zrobi wszystko, by mnie uszczęśliwić.

— I nie musisz się już martwić o niego—dodała głośno, nie od dzisiaj wiedząc, że to przez ojca matka odeszła. Nie chodzi o to, że stosował fizyczną przemoc jak mąż Chris. Wątpiła, by ojciec musiał kiedykolwiek podnosić rękę w gniewie, żeby dać wyraz swojemu niezadowoleniu. Wystarczyło, by spojrział tymi chłodnymi orzechowymi oczami, i wiedziałaś, że zostałaś osądzona i zawsze będziesz dla niego rozczarowaniem, bez względu na to, jak bardzo będziesz się starać.

Nic dziwnego, że matka odeszła.

Spojrziała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Bili Pickering mówił, że ta kobieta w każdą niedzielę pracuje w miejscowym szpitalu jako wolontariuszka i wraca do domu około pierwszej. Oczywiście mogła zrobić jeszcze zakupy lub pojechać coś zjeść. Poczula, że burczy jej w brzuchu. Powinna była wstąpić do McDonalda na big maca oraz koktajl truskawkowy i może na porcję frytek. Wnętrze samochodu wypełniły kuszące zapachy.

Pojadę kupić coś do zjedzenia, pomyślała i już miała włączyć silnik, gdy

zobaczyła starego zielonobrazowego Plymoutha skręcającego w ulicę. Po chwili wjechał na mały Podjazd przed białym domkiem. Vicki wstrzymała oddech i patrzyła, jak z samochodu wysiada kobieta.

— Mama... — wyszeptała, patrząc przez przednią szybę Jaguara na drobną kobietę o kasztanowych włosach, która śmiejąc się zamknęła drzwi samochodu. Dlaczego ona się śmieje?

Nagle otworzyły się drzwi od strony pasażera i pojawiła się druga kobieta. Była wyższa i grubsza od Rity Piper. Jasne włosy miała zebrane w kok na czubku głowy i też się śmiała. Pewnie któraś musiała powiedzieć coś śmiesznego. Może jakiś kawał? Jakiego typu poczucie humoru miała jej matka? ^6 miała o tym pojęcia. Ojciec po ucieczce żony nie chciał nic na jej temat mówić. Zniszczył wszystkie fotografie, zapomniał tylko o jednej, stojącej na komodzie w pokoju Vicki, na której była razem z matką. Schowała ją potem pod materacem, czując, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Sięgnęła teraz do torebki i wyjęła małe zdjęcie ukryte za prawem jazdy. Przedstawiało piękną, zaledwie dwudziestoletnią kobietę. Długie do ramion rude włosy przyciskała do gładkiego policzka dziecka. W jej żywych zielonych oczach widać było radość i smutek.

Mam oczy ojca, pomyślała, zakładając za uszy rude włosy, odziedziczone po matce. Szczęściara ze mnie. Patrzyła, jak kobiety wchodzą do domku i drzwi się za nimi zamykają.

I co teraz? Nie mogła tak po prostu zapukać i oznajmić, kim jest, kiedy matka miała gościa. Będzie musiała poczekać, aż ta druga kobieta wyjdzie. Oparła głowę o czarne skórzane oparcie, zastanawiając się, jak długo to potrwa. Zamknęła oczy, usiłując zapanować nad uczuciem głodu, i po chwili usnęła.

Obudziło ją uderzenie w bok samochodu.

— Przepraszam! — zawołał dziecięcy głos, gdy Vicki wyprostowała się na siedzeniu. Jakiś chłopiec przebiegł przed samochodem, by podnieść leżącą na ulicy niebieską gumową piłkę, po czym rzucił ją drugiemu chłopcu czekającemu po drugiej stronie.

Co się stało? Gdzie ona jest? Która godzina?

Odpowiedzi następowały jedna za drugą. Siedzi w samochodzie w Louisville i czeka na spotkanie z matką. Jest prawie czwarta. Czwarta?! To niemożliwe. Nie mogła spać trzech godzin. Nigdy nie ucinęła sobie drzemek w środku dnia. Pewnie zegarek się popsuł. Przeklęty jaguar. Bez przerwy coś się w nim psuje.

Spojrzała na zegarek. Nie, to niemożliwe. Jej wzrok poszybował w stronę białego domku. Niemożliwe. To na pewno jej się śni.

Zrozumiała jednak, że to nie był sen i zielonobrazowy plymouth naprawdę zniknął z podjazdu.

— Dokąd pojechałaś?! — krzyknęła, waląc dłońmi w kierownicę i

uruchamiając klakson, który ściągnął uwagę dwóch chłopców grających w piłkę po drugiej stronie ulicy. Machnęła ręką w odpowiedzi na ich zdziwione spojrzenia, wrócili więc do gry, chociaż co chwila rzucali ku niej ukradkowe spojrzenia. — Idiotko! Jak mogłaś usnąć?

Nie potrafisz niczego zrobić dobrze? — usłyszała głos ojca.

— I co teraz?—Znowu podniosła głos. — Dobra, dobra — szepnęła, na wypadek gdyby chłopcy ją obserwowali.

Dokąd ona mogła pojechać? Może odwiozła przyjaciółkę do domu, a to znaczy, że za chwilę wróci. Nie wiedziała jednak, o której odjechała. Może poszły do kina? O Boże, nie zniosę tego. Jak mogłam być taka głupia? Już ją miałaś. Byłaś tak blisko.

Ponownie spojrziała na zegarek. Minęła czwarta. Musi być w Cincinnati o ósmej. Najpóźniej o ósmej. Przecież obiecała Kirsten. Jak długo może jeszcze czekać? Godzinę, postanowiła. Do tego czasu Rita Piper na pewno wróci.

Była za dziesięć piąta, gdy zielonobrazowy plymouth wjechał na podjazd. Wysiadła z niego Rita Piper z wielką torbą zakupów.

Dzięki Bogu, pomyślała Vicki, zamykając z ulgą oczy, lecz natychmiast je otworzyła, bojąc się, by kobieta znowu jej nie zniknęła. No dobrze. Czas rozpocząć przedstawienie. Co ona ma zrobić? Podbiec i pomóc jej zanieść zakupy do domu? Czy to nie będzie miłe? Matka i córka poznają się podczas uzupełniania zapasów w lodówce. Nie, lepiej pozwoli kobiecie wejść do domu, da jej trochę czasu na rozpakowanie, na złapanie oddechu. Mnie też to się przyda, pomyślała. Otworzyła drzwi i wciągnęła w płuca świeże powietrze.

Pięć minut później zapukała do drzwi białego domku. Cześć, jestem Vicki Latimer, twoja córka. Poznajesz mnie?

— Chwileczkę — dobiegło z wnętrza domu.

Miły głos, pomyślała, szukając porównań ze swoim.

— Kto tam? — spytała kobieta, nie otwierając drzwi.

— Rita Piper? — spytała Vicki, czując, jak serce jej wali. Drzwi się uchyliły i zaciekawione zielone oczy wyjrzały za próg. Tak.

— Nazywam się Vicki Latimer. Czy mogłabym z panią chwilę porozmawiać?

— Ale nie sprzedaje pani niczego? Pokręciła przecząco głową.

— Nie — odparła i omal się nie roześmiała.

— W czym mogłabym pani pomóc?

Jeszcze nim drzwi się otworzyły, zrozumiała, że atrakcyjna, sześćdziesięcioletnia kobieta z ciemnorudymi włosami i zielonymi oczami, w których widać było pytanie, nie jest jej matką.

— Przepraszam — powiedziała. — Pomyliłam się.

I wybuchnęła płaczem, w którym brzmiały gorzyc i gniew.

Kobieta, która nie była jej matką, objęła ją i bez słowa wprowadziła do domu.

14

Ramiona drżały jej z wysiłku. A nie zaczęłam jeszcze ćwiczyć, pomyślała Barbara, stawiając ciężkie torby na zielonej marmurowej podłodze i usiłując otworzyć imponujące szklane drzwi do centrum rekreacyjnego „Piękne ciało”, mieszczącego się na piętnastym piętrze Sylvan Tower Complex na Mercer Street w centrum Cincinnati.

— Ktoś tu zrobił niezłe świąteczne zakupy — zaszczębiotała recepcjonistka o blond włosach i smagłej twarzy, siedząca za brązowym kontuarem, gdy Barbara mijiała ją w drodze do siłowni na tyłach ośrodka.

— Święta racja — odpowiedziała ze śmiechem. Niech no tylko Roń dostanie miesięczny rachunek. Tak,

święty Mikołaj był w tym roku wyjątkowo hojny dla jego byłej rodziny. Garsonka od Armaniego dla niej, kurtka od Gucciego dla Traccy, dwa identyczne zegarki od Cartierai niestety, ze skórzanymi paskami, pomyślała z niechęcią mijając salę pełną spoconych białych kobiet w średnim wieku, usiłujących nadażyć za niezmordowaną młodą, czarną instruktorką od aerobiku. Nie miała odwagi kupić złotych pasków, które bardziej jej odpowiadały. Może w przyszłym roku.

Będzie to świt nowej dekady, początek lat dziewięćdziesiątych. Jeden Bóg wie, jakie niespodzianki przyniosą następne lata.

— Nie mogę się już doczekać — mruknęła do czarnego kołnierza z lisa, zdobiącego zieloną tweedową jesionkę — zesłoroczny prezent od wściekłego eksmałżonka. Nie wiedziałeś, że jesteś takim hojnym człowiekiem, co? — pomyślała i uśmiechnęła się, chociaż jej twarz pozostała nieruchoma.

— Jeszcze cztery razy! — zawołała instruktorka do mikrofonu umieszczonego na szyi, wyciągając w górę najpierw jedno, potem drugie opalone ramię. — Jeszcze trzy!

Jeszcze dwa, zaśpiewała w myślach Barbara, poprawiając trzymane w rękach torby i zmierzając bez przekonania w stronę siłowni w zimowych botkach na wysokich obcasach. Ciekawe, czy Susan i Vicki jeszcze tam są? Była spóźniona już pół godziny. Susan nigdy się nie spóźniała, a Vicki pracowała w tym budynku dwa piętra niżej. Mimo że była sobota, na pewno rano przyjechała do biura. I wróci tam po ćwiczeniach na siłowni. Vicki ciągle pracowała.

Nie przyjechała nawet na przedstawienie córki w zeszłym miesiącu. Tłumaczyła coś mętnie, że miała spotkanie z klientem i zupełnie nie zdawała sobie sprawy z upływającego czasu. Czyżby kolejny romans? Nie po raz pierwszy okłamywałyby męża i nie zwierzyła się przyjaciółkom.

Ona również nie przyznała się do spotkania z Kevinem. Właściwie dlaczego? Czy czuła się skrepowana, zawstydzona? Może bała się ich reakcji i litościwych spojrzeń?

Czasy się zmieniły, pomyślała ze smutkiem, chociaż Wszystkie udawały, że nie.

Wielkie damy jakoś przeżyły Przeprowadzkę Vicki z Mariemontu do Indian Hill, lecz odejście Chris miało dla nich fatalne skutki. Powoli, niezauważalnie, lecz nieubłagane, grupa się rozpadała. Nikt się tego nie spodziewał. Była ich teraz trójka, a nie czwórka, lecz

Barbara miała wrażenie, jakby i trójki nie było, zwłaszcza od jej rozvodu.

Czuła, że ani Vicki, ani Susan nie chciały jej wykluczać ze swego grona. Po prostu lepiej do siebie pasowały—obie były wykształcone, miały mężów, którzy je uwielbiali, dobrze zarabiałały i znajdowały satysfakcję w pracy. Nie rozumiały, co to znaczy być niewykształconą i niekochaną kobietą. Nigdy nie powiedziały tego głośno, lecz czuła, że według nich najwyższy czas, by wreszcie się otrząsnęła i zrobiła coś sensownego ze swoim życiem, bo Roń nigdy nie wróci.

Ona jednak nie mogła się ruszyć. Utknęła w martwym punkcie i nie wiedziała, jak wyplątać się z tej łamigłówki, którą było jej życie. Gdyby tylko mogła porozmawiać z Chris. Chris by zrozumiała. Chris jednak odeszła, porwana w środku nocy przez potwora, który sprzedał dom przy Grand Avenue i uwięził ją w małym domu na przedmieściach Cincinnati w Batavii. Wynajęty przez Vicki detektyw szybko ją odnalazł. Wszystkie trzy natychmiast pojechały na Elm Street i stanęły twarzą w twarz z Tonym, a potem wezwały policję, gdy nie pozwolił im zobaczyć się z Chris. Policjanci poinformowali je, że nie mogą nic zrobić, skoro Chris nie wniosła skargi, i poradzili, by pilnowały własnych spraw.

Barbara zignorowała ich ostrzeżenia i przez kilka tygodni prawie codziennie jeździła do Batavii, parkując przed małym drewnianym domem w nadziei, że zobaczy Chris. Zastłony były jednak zawsze zasłonięte i nie dostrzegła żadnych oznak życia. Kiedy przyjechała miesiąc później, zobaczyła, że drzwi są otwarte, a dom pusty. Chris odeszła.

Nie podjęły już następnych prób, by ją odnaleźć.

— Nic nie możemy zrobić — powtarzały w następnych latach, chociaż Barbara w to nie wierzyła i była pewna, że one też nie.

W miarę upływu czasu ich poczucie winy rosło i umacniało się jak warstwa ochronnego lakieru. Nie całowały się już na powitanie, tylko cmokały powietrze. Kiedy się obejmowały, poczucie winy trzymało je na odległość ramienia.

Wielkie damy nie były już wielkie bez Chris.

Barbara dotarła do siłowni mieszczącej się na końcu długiego hallu i dostrzegła Susan męczącą się na jednej z sześciu bieżni, a Vicki na stepperze. To nie miejsce dla dębie, pomyślała Barbara i pchnęła ramieniem szklane drzwi. W nozdrza uderzyła ją fala gorącego powietrza.

— Przyszła! — krzyknęła ćwicząca bliżej Vicki, a pięć spoconych głów zwróciło się w jej stronę. — Zastanawialiśmy się, co cię mogło zatrzymać.

— Zaczęłyśmy się już martwić — dodała Susan.

— Przepraszam, straciłam poczucie czasu. Postawiała torby na podłodze i

zsunęła z ramion palto, ukazując świeżo nabyty trykot w niebiesko-czarne pasy. Uświadomiła sobie, że zapomniała o tenisówkach.

— Piękny strój — zauważyła Susan. Sama ubrana była w szare spodnie od dresów i bezkształtny biały podkoszulek. Sięgające brody kasztanowe włosy były mokre od potu. — Kiedy to kupiłaś?

— Dziś rano.

Susan pokręciła głową, uwalniając kilka wielkich kropeł potu, które spływały z czoła na czubek nosa.

— Coś mi mówi, że pewien profesor nie będzie zadowolony.

Kropla potu zatrzymała się na górnej wardze.

— Następnym razem, gdy będzie się rozwodził, powinien uważnie przeczytać umowę — powiedziała Vicki, zeskakując ze steppera. Ścisnęła Barbarę za ramię i podeszła do sztang na środku sali. Miała na sobie czarne szorty i czarny podkoszulek z logo ośrodka nad lewą piersią.

— Ona znowu jest w ciąży — oznajmiła Barbara. Słowa zadźwięczały jej w uszach, wywołując zawrót głowy.

— Co?

— Kto?

— Wredny drań Roń i paskudna Pammy — wyjaśniła, °pierając się o ławkę. — W czerwcu oczekują drugiego dziecka. Możecie w to uwierzyć? Przecież ona karmi jeszcze tego okropnego Brandona.

— Kiedy się o tym dowiedziałaś?

— Traccy zadzwoniła do mnie z rana.

— Jak to przyjęła?

— Wspaniale — odparła z zachwytem Barbara.— Znacie Traccy. Jest taka opanowana.

— A ty? — Susan zwolniła tempo biegni i spojrzała z troską na Barbarę.

— Ja? W porządku. — Barbara wzruszyła ramionami, chociaż tak naprawdę nic nie było w porządku. Od tygodni źle sypiała. Najtrudniejsze były weekendy, które Traccy spędzała u Rona. Przyzwyczaiła się, że córka śpi obok niej. Wiadomość o ciąży Pammy uderzyła ją z siłą stukilowej sztangi. Wydawanie pieniędzy byłego męża przyniosło jedynie krótkotrwałą ulgę. Nawet świadomość, że to jej była teściowa zapłaciła za rachunki przyniosła jedynie chwilową satysfakcję.

Narobiłam strasznego zamieszania, pomyślała, wiedząc, jak Roń będzie się awanturował z powodu tych jej ciągłych ekstrawagancji. Groził już, że wniesie sprawę do sądu, jeżeli nie ograniczy wydatków. Co ona chciała przez to osiągnąć? Przecież doprowadzając go do ostateczności, może tylko pogorszyć sprawę.

Odwróciła się, nie chcąc patrzeć na swoje odbicie w otaczających ją lustrach. Cóż by zobaczyła? Żalostną kobietę w średnim wieku, w idiotycznym trykocie w niebiesko-czarne paski, które tylko ją poszerzały. Co ona w ogóle tu robi?

Ćwiczenia jej nie pomogą. Nic już jej nie pomoże.

— Słyszałyście, co się stało z Kevinem? — spytała nagle Vicki.

— Z Kevinem? — powtórzyła Susan.

Barbarze zamarło serce. Na pewno ma AIDS. Już nie żyje•

— Moim instruktorem — wyjaśniła Vicki. — Naszym instruktorem — sprecyzowała, wyciągając sztangę w stron? Barbary. — Powinnam raczej powiedzieć — byłym instruktorem.

— Nie żyje? — wyjąkała Barbara.

— Nie żyje? Skąd, po prostu go zwolniono. Dlaczego myślałaś, że nie żyje?

— Dlaczego go zwolniono? — spytała Barbara, ig” norując jej pytanie i starając się odzyskać równowagę.

— Podobno sypiał z połową swoich klientek. Kierownictwo się o tym dowiedziało i wylało uroczego dupka.

— A ty? — spytała Barbara, przerażona myślą, że obie mogły spać z tym uroczym dupkiem.

— Co ja? Spałam z Kevinem? Żartujesz? Mam zasadę nigdy nie sypiać z kimś ode mnie ładniejszym. A ty?

— Co? Oczywiście, że nie.

— Wielka szkoda — stwierdziła Vicki, odstawiając na podpórki pięciokilową sztangę i biorąc dwa ciężarki po dwa i pół kilo.—Więcej chyba nie mam poco pytać—powiedziała, patrząc na Susan, która tylko wzniosła oczy do sufitu. —Tak myślałam. Niedługo będę musiała kończyć. O drugiej przychodzi klient.

— Przecież jest sobota — przypomniała jej Susan.

— To jest interes — odpowiedziała Vicki. — Co powiecie na lunch w piątek? Sprawdziłam w kalendarzu i mam wolną godzinę.

— Nie mogę — odparła Susan. — W piątek jem lunch z moim szefem.

— Brzmi interesująco. Jaki on jest?

— Bardzo miły. Niezwykle bystry.

— I uroczy.

— Nie zauważyłam.

Tym razem Vicki wzniosła oczy do sufitu.

— Boże, Susan, nie znasz się na żartach. Prawda, Barbaro?

Barbara wzruszyła ramionami, czekając, aż Vicki i ją zaprosi na lunch, lecz ona dalej pracowała ciężarkami i więcej nie wspomniała o lunchu.

— Dobra, muszę iść. Na razie, dziewczyny — oznajmiła Vicki dziesięć minut później. Odłożyła ciężarki, zebrała swoje rzeczy i wyszła z siłowni energicznym krokiem, który sprawiał, że wyglądała jak na rozmazanej fotografii.

Już niedługo wyrzuci mnie ze swojego życia, pomyślała Barbara, patrząc, jak drzwi się za nią zamykają. Najpierw zostawiła ją Chris, potem Roń. Teraz Vicki i Susan zbliżyły się do siebie, dzieliły czas i sekrety, zapominając o niej. Cholera,

nawet uroczy dupek Kevin odszedł. Nim się obejrzy, Traccy uzna, że woli mieszkać z ojcem. Nim się obejrzy, zostanie sama.

— Barbaro!

Zobaczyła, że Susan zeszła z bieżni i idzie w jej stronę.

— Barbaro, co się dzieje?

— Nie rozumiem.

— Mówię do ciebie od dwóch minut, a ty w ogóle mnie nie słyszysz.

— Przepraszam.

— Dobrze się czujesz?

— Jasne. W czym problem?

— To ty mi powiedz. Nie ruszyłaś się z miejsca od chwili, gdy zdjęłaś palto.

Stłumiła napływające do oczu łzy. Co się z nią dzieje?

— Chyba nie mam dziś nastroju do ćwiczeń.

— A na co masz nastrój?

— Na lody u Graetera—powiedziała półgłosem, czekając na wymówkę Susan.

Tymczasem Susan się roześmiała.

— Wspaniały pomysł.

— Też masz ochotę?

— Nie mogę — odrzekła. — Za pół godziny przyjeżdża po mnie Owen. Jedziemy odwiedzić moją mamę.

Barbara poczuła wyrzuty sumienia, że nie zapytała o matkę Susan, która leżała w szpitalu po operacji. Biedna kobieta — w zeszłym roku mastektomia, a teraz kolejna operacja usunięcia guza z węzłów chłonnych na szyi.

— Jak ona się czuje?

Susan usiłowała się uśmiechnąć, lecz wargi jej zadrżały-

— Wszystko będzie dobrze.

— Wiem. — Wsiadła na rower, lecz zaraz z niego zsiadła. — Do diabła z ćwiczeniami. Życie jest zbyt krótkie. Mam jeszcze pół godziny do przyjazdu Owena. Na co czekamy? Chodźmy do Graetera. — Objęła Barbarę ramie* niem. — Czy mówiłam ci, że cię kocham? — spytała smutnym uśmiechem.

— Ale możesz powiedzieć jeszcze raz — odparła Barbara.

Wychodziła od Saksa, gdy go zobaczyła.

Nie, pomyślała, kryjąc oczy przed ostatnimi promieniami słońca i czując wilgoć na policzkach. Co się z nią dzieje? Dlaczego płacze? Ta sprzedawczyni nie chciała jej urazić. Przecież to jeszcze młoda dziewczyna. Co ona wie o dyplomacji, takcie i życiu? „Lalique wypuścił właśnie nową serię kosmetyków dla dojrzałej cery”, powiedziała, kiedy Barbara zapytała o nowy krem do twarzy. I nagle Barbara wybuchnęła płaczem, w samym środku działu kosmetycznego u Saksa, na oczach przerażonej sprzedawczyni i ciekawskich klientów.

Ostatnio płakała z byle powodu: bo ktoś źle na nią spojrział, coś nie tak

powiedział, a nawet pomyślał i natychmiast katowała oczy łzami, co doktor Steeves uznałby za wysoce niewłaściwe.

Czuła się zmęczona dniami, a jeszcze bardziej nocami. Zmęczona walką, zmęczona zadawaniem bólu, zmęczona kupowaniem. Zmęczona udawaniem, że wszystko jest w porządku, że Roń odzyska rozum i wróci do domu. On nigdy nie wróci, wiedziała o tym. Miał Pammy, Brandona i następne dziecko w drodze. A co ona miała? Blizny po poprzednim.

Czasami myślała, że byłoby dobrze, gdyby któreś nocy zasnęła już nigdy sennie obudziła. Podczas ostatniej operacji plastycznej przemknęło jej przez myśl, że gdyby anestezjolog ją uspił i coś poszło nie tak, nigdy by się już nie obudziła. To się zdarza. Często o takich przypadkach czytała. Wówczas Vicki mogłaby wnieść sprawę do sądu i uczynić z Traccy bogatą kobietę. Przyjaciółki zaopiekowałyby się jej córką, a ona nie musiałaby walczyć o młodość i udawać, że świetnie sobie radzi w życiu. Jakim życiu?

Stanała jej przed oczami buteleczka z tabletkami przeciwbólowymi. Gdyby połknęła wszystkie, byłby to koniec łopotów. Nie czułaby bólu. Żałosna egzystencja dobiegłaby końca i nie musiałaby już czekać, aż ciało połączy się z duszą. Tylko że to Traccy by ją odnalazła i pewnie uznałaby, że to jej ^ina, że zawiodła matkę. Nie mogła jej tego zrobić, nie ^ogła narazić na taki strach osoby, która znaczyła dla niej więcej niż cokolwiek na świecie. Przypomniała sobie, jaka była załamana po śmierci matki. Czuła się wtedy samotna, świat wydawał się ponury, a życie bezsensowne.

Wtedy to Traccy ją ocaliła. Nie mogła sobie pozwolić na luksus samobójstwa, bo miała córkę, którą musiała się opiekować. Teraz też tak było. Traccy była już nastolatką, lecz pozostała jej dzieckiem. I potrzebowała matki. W tym samym stopniu co przedtem, a może nawet bardziej. Razem przez to przejdą. Razem ze wszystkim sobie poradzą.

Dlaczego nie mogła być taka jak Susan, która z łatwością radziła sobie z trudnymi sprawami, albo jak Vicki, która jak buldożer parła przez kłopoty, lub też jak Chris, która zaakceptowała trudy i poniżenie, jakie przyniosło jej życie. Biedna Chris. Biedna słodka, wspaniała Chris. Czemu ostatnio tak często o niej myśli? Bo do Gwiazdki pozostał zaledwie miesiąc, a Chris cieszyła się jak dziecko ze świąt. Utrata Chris była jak amputacja. Nogę obcięto, lecz nawet po kilku latach wciąż odczuwała ból.

Dlatego pewnie widzi duchy. Wychodząc od Saksa, ze świąteczną muzyką brzmiącą w uszach, zobaczyła przechodzącego przez ulicę mężczyznę z twarzą ukrytą w kołnierzu ciepłej kurtki. Myśli o Chris wirowały w głowie jak płatki śniegu, którymi wiatr sypał jej w oczy. W pewnym momencie promienie słońca nałożyły rysy Tony'ego na twarz mężczyzny. Jednak nieznajomy zniknął w tłumie i widmo się rozwiało. To nie mógł być Tony.

Ponownie go zobaczyła, gdy wyjeżdżała z parkingu za pocztą na Piątej i Main. Tym razem to nie mogła być pomyłka, to był on, ten podły, zły człowiek.

— Boże! — szepnęła, czując, jak serce jej wali, a oddech tworzy małe splachetki pary na przedniej szybie. — Co mam teraz zrobić? — spytała głośno, zwalniając, po czym opuściła głowę, żeby Tony jej nie zobaczył.

Szedł szybko, długim, pewnym siebie krokiem i skręcił w lewo w Szóstą Ulicę. Barbara pojechała za nim, starając się zachować bezpieczną odległość. Staneła, gdy Tony pochylił się, by zawiązać sznurowadło. Oczywiście nie nosi wysokich butów, pomyślała z ironią. Był na to zbyt wielkim macho.

Dokąd szedł? Jak długo będzie go śledzić?

Na Race skręcił w lewo. Znajdowali się w dzielnicy hotelowej. Mieściły się tu takie hotele, jak Cincinnatian, Garion, Terrace Hilton. Czy to możliwe, by mieszkał w którymś z nich? Może powinna wysiąść z samochodu i śledzić go na piechotę? Doszła jednak do wniosku, że to głupi pomysł. Nigdy za nim nie nadaży, zwłaszcza na takich obcasach. A co będzie, jeśli wsiądzie do samochodu i odjedzie?

Znów byli przed Saksem. Dokąd on idzie? Czyżby chodził w kółko? A może domyślił się, że go śledzi. Skuliła się na siedzeniu i nacisnęła na hamulec. Kierowca w samochodzie za nią wyraził niezadowolenie głośnym klaksonem. Jej oddech zmienił się w szybkie, urywane spazmy. Bała się wyprostować, bała się podnieść wzrok. A jeżeli on stoi przy jej samochodzie i patrzy na nią z tym swoim okropnym uśmiechem zadowolenia na twarzy?

Stojące za nią samochody zaczęły niecierpliwie trąbić. Powoli uniosła głowę, jak żółw wysuwający się ze skorupy. Tony zniknął.

— Cholera! — wykrzyknęła, waląc dłonią w kierownicę i słuchając z przerażeniem dźwięku własnego klaksonu.

Nagle znowu go zobaczyła. Siedział za kierownicą starego niebieskiego nissana i włączał się do ruchu. Skręcił w prawo w Elm. Zajeżdżała drogę czarnemu volkswagenowi, którego właściciel pokazał jej palec, i następnemu wyjeżdżającemu z bocznej drogi. Tony skręcił w Szóstą, potem w Central Avenue i w Siódmą. Znaleźli się w dzielnicy Fountain Square i na Gilbert Avenue. Minęli dworzec autobusowy, dzielnicę Mount Adams i dotarli do Eden Park historycznej dzielnicy zajmującej powierzchnię stu osiemdziesięciu czterech akrów.

Dokąd on jedzie?—zastanawiała się, okrążając miejskie ujęcie wody i przejeżdżając obok pawilonu Murraya, wybudowanego w 1959 roku dla upamiętnienia dawnego burmistrza miasta. Jeszcze kilka skrętów i minęli Cincinnati Art Museum, ujęcie wodne Eden Park i roгатkę Ohio Valley, która nie działa od 1908 roku. Minęli konserwatorium Irwina M. Krohna, kamienne orły zdobiące stary most Melan Arch i wejście do Twin Lakes, części Eden Parku. Niegdyś był tu kamieniołom. Z tego miejsca rozciągały się piękne widoki na rzekę Ohio, zwłaszcza wiosną i latem. Teraz drzewa były nagie, a alejki brudne. Nad

wodą nie bawiły się dzieci, zaglądali tu jedynie nieliczni biegacze. Dokąd ten Tony jedzie?

Minęli Edgecliff College przy Alei Zwycięstwa, wspaniałe stare kościoły przy Madison Road, szkołę i Klub Cincinnati i dojechali do tarasu widokowego przy Grandin Road. Czy Tony zamierza podziwiać widoki? Jeśli tak, to co ona zrobi?

Pojechał jednak dalej do malowniczej dzielnicy willowej z wielkimi rezydencjami, lasami i rzeką. Czy możliwe, by on i Chris tu mieszkali? Wstrzymała oddech. Czy to możliwe, by zaprowadził ją do Chris?

Minęli jednak piękne wille oraz malownicze tereny i wjechali na strome wzgórze do Alms Park, gdzie mieściły się tereny rekreacyjne, po czym zawrócili. Kilka przecznic dalej, przy wjeździe w Aleję Kolumbia, Tony nagle zjechał z drogi, zatrzymał się i wyłączył silnik. Chwilę później zobaczyła, że wysiada i podchodzi do niej.

Zamarła. Przez krótki moment zastanawiała się, czy nie wjechać prosto w niego, potem, czy nie wyskoczyć z samochodu i uciekać pieszo, lecz zrezygnowała z obu pomysłów. Zamiast tego zatrzymała samochód i spuściła szybę, patrząc, jak głupi uśmiešek na twarzy Tony'ego robi się coraz szerszy, w miarę jak do niej podchodził. Pomyśleć, że uważała go kiedyś za atrakcyjnego mężczyznę. Nieoszlifowany diament, uznały wtedy wszystkie.

— Cześć, laleczko Barbie — powiedział, wypuszczając z ust kłęby pary. — Podobała ci się przejażdżka? Normalnie robię to za opłatą.

— Wiedziałaś, że cię śledzę — odrzekła po części do siebie.

— Trudno nie zauważyć takich włosów, kotku — zaśmiał się. — Zamierzałem cię zgubić już kilka razy, ale musiałem to dla ciebie zrobić. Wiernie się mnie trzymałaś. Lubię takie kobiety.

— Gdzie jest Chris? — spytała, ignorując szyderczy ton i pożądlive spojrzenie.

— Chris jest w domu, gdzie jej miejsce. Opiekuje się dziećmi i gotuje kolację dla męża. Czy po to mnie śledziłaś? Miałaś nadzieję, że zobaczysz moją połowicę? A ja myślałem, że to mój zwierzęcy magnetyzm rozpalił cię do białości. — Uśmiechnął się szerzej i pochylił ku niej. — Może pokazałabyś mi, jak się rozpalasz.

— Idź do diabła. Zesztywniał.

— Wracaj do domu — powiedział. — I pilnuj własnego nosa. Różne rzeczy spotykają ludzi, którzy wtrącają się w nie swoje sprawy.

— Grozisz mi? — spytała z niedowierzaniem.

Lecz on już odszedł. Usłyszała jeszcze, jak woła coś przez ramię. Chwilę później dotarło to do jej uszu.

— Jedź ostrożnie.

15

Chris schodziła po schodach do małej pralni przy garażu. Nie spieszyła się, stawała na każdym dobrym stopniu i oddychała urywanie, bo płytkie oddechy sprawiały jej mniej bólu. Przyciskała do obolałych żeber koszule Tony'ego. Nie patrzyła na boki, jedynie w dół na stopy. Nie chciała się potknąć, nie mogła ryzykować kolejnego upadku. Przecież to właśnie powiedziała lekarzom w czasie ostatniej wizyty na pogotowiu: że poślizgnęła się na oblodzonym stopniu.

— Jest pani pewna? — spytał młody internista. Był pierwszym lekarzem, który nie uwierzył w jej wyuczone wyjaśnienie. — Jest pani pewna, że ktoś nie maczał w tym palców?

Zajrzał za zasłonę, za którą spacerował tam i z powrotem |Tony. Głuchy stuk obcasów niósł się echem po korytarzu.

Wiedziała, że on słucha. Słucha i czeka. Czeka, by popełniła błąd, by powiedziała coś niewłaściwego.

Ciągle mówiła coś niewłaściwego. Przynajmniej pod tym względem nigdy go nie rozczarowała.

— Poślizgnęłam się na oblodzonym stopniu — powtórzyła, gdy młody lekarz zmarszczył czoło. — Nikt nie maczał w tym palców.

— Co się tam, u diabła, działo? — spytał Tony w drodze powrotnej. — Sterczałaś tam prawie pół godziny. Co wyście tam robili?

Chris wpatrywała się w boczne okno i milczała.

— No co? Teraz nie chcesz ze mną rozmawiać? Zawiozłem twój leniwy tyłek do szpitala, a ty nie chcesz rozmawiać? Wszystko zostało już powiedziane, tak? Twój nowy chłopak był zbyt zmęczony, by rozmówić się z twoim mężem? Co się z tobą dzieje? Musisz uganiać się za każdym facetem, którego zobaczysz? Musisz mnie tak poniżać? Co ty, u diabła, wyprawiasz?

— Przepraszam.

Łzy spływały jej po posiniaczonej twarzy. Myślami była już w ich sypialni, usiłując przygotować się na atak brutalności, który bez wątpienia ją czekał. Sama myśl o niej z innym mężczyzną go podniecała. Bezpodstawne oskarżenia służyły jako środek pobudzający. Takie tyrady były dla niego grą wstępną. Następujący po nich akt seksualny był zawsze gwałtowny i odrażający. Wciskał jej pięść w usta, by nie krzyczała. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Nikt jej nie słyszał.

Po wyprowadzeniu się z Mariemontu często zmieniali miejsce zamieszkania. Najpierw wynajmowali dom w Batavii, potem w Anderson Township, w Amelii, a teraz ten — umeblowany jednopiętrowy domek w New Richmond. Im bardziej oddalali się od przyjaciół, tym gorzej Tony J4 traktował. Teraz kiedy nikt się już o nią nie martwił, mógł bez obaw pokazać, do czego jest zdolny. Dlaczego nie? Nie było nikogo, kto by go powstrzymał.

Zeszła ze schodów, wsunęła bose stopy głębiej w miękkie różowe kapcie i

uśmiechnęła się do dzieci zgromadzonych wokół ojca w raczej skąpo umeblowanym salonie. Montana odrabiała lekcje, Wyatt bawił się na podłodze grą, a Rowdy leżał na kolanach ojca i oglądał Roseanne.

— Dokąd idziesz? — spytał Wyatt głosem ojca, patrząc na nią oskarżycielsko.

— Do pralni. — Uniosła na dowód trzy męskie koszule.

— Zrobisz to później, kochanie — powiedział Tony i wyciągnął do niej rękę. — Usiądź i odpocznij chwilę. — Poklepał puste miejsce przy sobie na zniszczonej sztruksowej kanapie w kolorze granatowym.—No chodź, Chrissy. Pralnia nie ucieknie.

Wyglądał na takiego troskliwego, kochającego męża. Gdyby tylko go nie prowokowała, wszystko byłoby dobrze. Znów byliby szczęśliwi jak na początku ich małżeństwa. Zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie, kiedy czuła się choć odrobinę szczęśliwa.

— Co jest, Chrissy? Nie chcesz dotrzymać mężowi towarzystwa?

W na pozór ciepłym głosie zabrzmiała groźba. Nie bądź głupia, ofuknęła się w duchu. To nie jest żadna groźba. Po prostu słyszę różne rzeczy. Tak twierdził Tony. Że wkłada mu słowa w usta, wyciąga fałszywe wnioski. I sprowadza na siebie kłopoty.

Stała w korytarzu niezdolna zrobić jednego kroku. Przystąpiła z nogi na nogę, patrząc na zgromadzoną w pokoju rodzinę. Gdzie jest moje miejsce? — pomyślała. Czy już zawsze będę sama?

— Rób, jak chcesz — powiedział Tony, wycofując zaproszenie i przenosząc wzrok na ekran telewizora.

Stała jak przymurowana, zastanawiając się, jak powinna Postąpić, by potem nie płacić za swoją decyzję zbyt wysokiej ceny.

— Na co czekasz?—spytałTony, wpatrując się w telewizor. — Na Boże Narodzenie?

Rowdy zachichotał radośnie.

— Boże Narodzenie! — powtórzył uszczęśliwiony. ~ Na co czekasz? Na Boże Narodzenie?

Boże Narodzenie! Zupełnie o nim zapomniała, a to już za niecałe trzy tygodnie. Tony wspominał coś, że w tym tygodniu pojedą wybrać drzewko. Może uda się go przekonać, by dał jej trochę pieniędzy. Wysłałaby kartki świąteczne przyjaciółkom. Tak długo ich nie widziała. Nie miały pojęcia, gdzie jest, że nadal mieszka w Cincinnati i nadal żyje.

— Skoro pierzesz te koszule — powiedział, gdy odwróciła się z zamiarem odejścia — mogłabyś uprać koszulę nocną, którą masz na sobie. Wyglądasz jak fleja.

— Fleja! — powtórzył Rowdy. — Fleja, fleja, fleja!

— Zamknij się, głupolu! — krzyknął Wyatt i przez chwilę Chris sądziła, że

znalazła obrońcę. Odwróciła się ze łzami wdzięczności w oczach, lecz zobaczyła, że Wyatt macha gniewnie grą przed nosem młodszego brata. — Przez ciebie się pomyliłem! Wszystko popsuliście!

— Mamo! — zaprotestował Rowdy. Zsunął się z kolan ojca, pobiegł do niej i objął ją za kolana z takim impetem, że koszule wypadły jej z rąk na podłogę.

Tony natychmiast do nich podszedł i siłą oderwał synka od matki.

— Co ty jesteś taki maminsynek? Biegiesz do mamy, zamiast sam się bronić? Wracaj i daj bratu w nos.

— Tony!

— Zdaje się, że miałaś zrobić pranie — powiedział, gdy Rowdy pobiegł do salonu.

Popatrzyła z niepokojem na przepychankę braci, a potem podniosła koszule z podłogi. Tony na odchodnym klepnął ją w siedzenie. Pewnie planuje coś specjalnego na wieczór, pomyślała, otwierając drzwi do pralni i zamykając je za sobą, by nie słyszeć, jak chłopcy się biją. Za chwilę Montana trzaśnie książkami i wybiegnie wściekła z pokoju, krzyząc: „Co z tobą? Nie możesz coś z tym zrobić?” Cóż mogłaby jej na to odpowiedzieć? Nic. Była po prostu bezużyteczna.

Nalała ciepłej wody do wielkiej umywalki przy pralce i suszarce, następnie zamoczyła w niej koszule męża. Tony już dawno zdecydował, że pranie na sucho to niepotrzebny wydatek i woli, by jego koszule były prane ręcznie i prasowane. Chris ma dużo wolnego czasu i może spokojnie włączyć pranie koszul do domowego rozkładu zajęć. Ręczne pranie koszul, podkreślił, gdy pokazała mu, że można je prać w pralce i suszyć w suszarce. Dyskusja skończyła się siarczystem policzkiem. Poczula ból, promieniujący aż do oka i przez trzy dni nosiła na twarzy czerwoną pręgę.

Początkowo Tony towarzyszył jej podczas prania, krytykując każdy ruch. Woda była albo za gorąca, albo za zimna, wysypała za dużo albo za mało proszku, szorowała kołnierzyki albo za mocno, albo za słabo. Nie potrafisz nic dobrze zrobić?

Po jakimś czasie znudziło mu się i dał jej spokój. Nawet polubiła pranie męzkowskich koszul. Tak przyjemnie było zanurzyć dłonie w ciepłej wodzie, czuć rytmiczny ruch palców, szelest mokrego materiału ocierającego się o brzeg umywalki. Spokój i cisza. Świadomość, że jest sama. Pralnia stała się jedynym miejscem, gdzie czuła się bezpieczna, gdzie mogła robić, co chciała.

Własny pokój, pomyślała, przypominając sobie powieść Yirguirii Woolf, którą pożyczyła jej Susan. Bardzo jej się podobała. Jak dawno to było? Całe wieki temu. W innym życiu, gdy nie była głupia i bezużyteczna. Gdy mogła czytać książki, chodzić do kina i miło spędzać czas. Gdy miała poczucie humoru, gdy potrafiła rozśmieszać ludzi i sama się śmiać. Kiedyś miała takie życie, miała szczęście, miłość i przyjaciółki.

Wielkie damy. Uśmiechnęła się, przypominając sobie cztery młode kobiety siedzące na brzegu piaskownicy w małym parku na Grand Avenue. Co się z nimi stało?

Starła się śledzić ich losy. Wydarzenia z ich życia docierały do niej we fragmentach i bardzo sporadycznie. Czasami trafiała się wzmianka w gazetach o dokonaniach Vicki, a wieczorne wiadomości informowały o kolejnych nabytkach Jeremy'ego. Kiedyś, gdy siedziała w szpitalnej Poczekalni, zobaczyła nazwisko Susan w stopce wydawniczej magazynu „Yictoria”. Tony z satysfakcją w głosie Powiedział jej o rozwodzie Barbary. Płakała, wiedząc, przez co przyjaciółka musiała przejść, żałując, że nie może być przy niej, chociaż i tak nie mogłaby jej pomóc. Niby jak, skoro samej sobie nie umiała pomóc?

Wykręciła koszule, odłożyła je na pralkę i wypuściła wodę z mydlinami, patrząc, jak piana tańczy wokół odpływu, nim zostanie wessana do środka. Życie tak jak ta piana przeciekało jej przez palce i znikało na jej oczach.

— Co tam robisz, Chris? — usłyszała wołanie Tony'ego. — Ile czasu potrzeba, by uprać dwie koszule?

— Już kończę. — Szybko naląła zimnej wody do umywalki.

— Zjadłbym coś. Mogłabyś zrobić mężowi kanapkę.

— Za chwilę.

— Uważaj, byś nie pogniotła kołnierzyków jak poprzednim razem.

Robiła, co mogła, by wygładzić zagniecenia na kołnierzykach jasnoniebieskich koszul Tony'ego. Były jednak stare i łatwo się gniotły. Bez względu na to, jak ostrożnie je prała, jak starannie prasowała, zagniecenia pozostawały.

— Cholerne koszule — szepnęła, czując rosnącą panikę, gdy bezskutecznie ugniatała uparty materiał.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Co tam tak długo robisz, kochanie?

Po chwili drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich uśmiechnięta twarz męża. Chris wstrzymała oddech.

— Mam dla ciebie prezent — powiedział, uśmiechając się figlarnie.

— Prezent?

— Na później.

Poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić, a w ustach robi się sucho.

— Położę go na łóżku. Kiwnęła głową.

— Pospiesz się z tymi koszulami — powiedział.

Po wiadomościach o dwudziestej trzeciej Tony oznajmił, że czas spać. Montana jęknęła, lecz nie zaprotestowała. Chłopcy byli już w swoich pokojach, chociaż Chris wątpiła, czy Wyatt śpi. Pewnie siedział pod kołdrą i manipulował przyciskami przy grze. Może i dla mnie znajdzie się taffl miejsce, pomyślała, żałując, że nie może tak łatwo zniknąć-

Dla niej nie było jednak miejsca. Zwłaszcza w życiu dzieci. Tony się o to postarał. Była dla nich kimś trochę lepszym niż służąca, komu rzucali rozkazy lub ignorowali.

Nie dziwiła się, jeśli chodzi o chłopców — spodziewała się, że wezmą przykład z ojca. Rowdy miał siedem lat i rósł jak na drożdżach. Wprawdzie przybiegał do niej, gdy działa mu się krzywda, lecz i to wkrótce się skończy. Już czuła, że go traci. Jeszcze pół roku, może rok i odsunie się od niej. Wyatt nigdy nie był jej, od dnia narodzin należał do ojca.

Najbardziej jednak dziwiło ją zachowanie Montany. Czuła, że córka przejrzała grę ojca, to subtelne zastraszanie i otwarte obrzucanie obelgami. Może nie wtedy, gdy była w wieku Rowdy'ego czy Wyatta, lecz niedawno. Była już na tyle duża, by zrozumieć, co się dzieje. Tymczasem przelykała każdą żalospną historyjkę o niezdarności matki, przyjmując za fakt, że jest po prostu pechowa. Nie przyjmowała do wiadomości tego, co widać było gołym okiem, i z uporem ignorowała strach w oczach matki. Brakowało jej cierpliwości i zrozumienia dla jej sytuacji. Jeżeli komukolwiek okazywała sympatię, to raczej ojcu. Jak to możliwe?

Kiedys czytała jakiś artykuł, że kobiety wybrane do ławy przysięgłych rzadziej solidaryzują się z ofiarami gwałtów niż ich mężczyźni odpowiednicy. Autorzy artykułu twierdzili, że w ten sposób starają się zachować dystans w stosunku do ofiary. Gdyby mogły znaleźć jakiś dowód, że ofiara gwałtu choć w niewielkim stopniu jest winna tego, co się stało, czułyby się bezpieczniejsze i pewniejsze, że tak straszny los nie będzie ich udziałem. Okazywanie współczucia ofierze było oznaką słabości, a identyfikowanie się ze sprawcą gwałtu — oznaką siły. Bezradność czy kontrolowanie sytuacji? Przed takim właśnie wyborem stała jej córka.

Nic dziwnego, że Montana wzięła stronę ojca. Nie miała innego wyboru.

— Na co czekasz? — spytał Tony. Siedział na brzegu łóżka i patrzył, jak Chris obraca w dłoniach małą paczkę. — Otwórz ją.

Pospiesznie rozerwała szaropurpurowy papier z wydrukowanym dużymi różowymi literami napisem „gorące chwile”. Zamknęła oczy, żeby to chociaż był szalik, pomyślała i omal nie wybuchnęła śmiechem. I kto twierdzi, że nie ma poczucia humoru?

— Podoba ci się?

Zmusiła się, by otworzyć oczy, chociaż i tak wiedziała, co znajdzie w środku. Szufłady miała pełne tanich czarnych trykotów, plisowanych pasków do podwiązek, pończoch, niewygodnych czerwonych biustonoszy. Tony stale coś jej kupował. Potem kazał to wkładać i paradować przed nim w pozach rodem z „Penthouse'a”, traktując to jako wstęp do perwersyjnego seksu. Co tym razem wymyślił? Popatrzyła na przezroczysty lawendowy staniczek i skąpe majteczki obszyte sztucznym futerkiem. Do ramiączek stanika przyszyta była szyfonowa pelerynka. On chyba żartuje, pomyślała i wybuchnęła śmiechem, gdyby nie była

taka przerażona.

— Nie mogę tego włożyć—wyrwało jej się, nim zdążyła pomyśleć.

Tony zerwał się z łóżka i podszedł do niej.

— Dlaczego? Nie podoba ci się? Zaczęła się cofać.

— Jest na mnie za mały. Wystarczy spojrzeć.

— Im mniejszy, tym więcej przyjemności. — Przywarł do niej całym ciałem i wsunął jej dłoń między nogi.

— No, włóż to.

Zaczekała, aż cofnie rękę, po czym ruszyła niepewnie do łazienki. Co ona robi? Dlaczego znowu mu się sprzeciwia? Przedłuża jedynie to, co nieuniknione.

Głos Tony'ego zatrzymał ją w drzwiach łazienki.

— Myślałem o twojej przyjaciółce Barbarze. Odwróciła się wolno, bojąc się coś powiedzieć. Cóż on znowu wymyślił?

— Wpadłem na nią przed kilkoma tygodniami. Nie mówiłem ci?

— Widziałeś Barbarę?

— Nie wspominałem ci o tym?

Pokręciła głową, wiedząc, że on nigdy niczego nie zapomina.

— Jak ona się miewa?

— Wygląda wspaniale.

Uśmiechnęła się, przywołując obraz przyjaciółki. Ciekawe, jak czas się z nią obszedł.

— Co mówiła? Pytała o mnie?

— Co mówiła? Pytała o mnie? — powtórzył Tony, przedrzeźniając jej głos. — Posłuchaj tylko siebie. Można by pomyśleć, że jesteście kochankami.

— Ja tylko...

— Może zatelefonowałabyś do niej — zaproponował nagle.

— Co? — Musiała chyba źle usłyszeć.

— Zadzwoń do niej i spytaj, jak się miewa.

— Nie rozumiem.

— Musi czuć się samotna w tym okropnym starym domu, mając za towarzystwo jedynie nastolatkę. Pewnie rozpaczliwie potrzebuje męskiego towarzystwa. Jak myślisz, jak długo nie miała faceta?

Nie odpowiedziała, zastanawiając się, dokąd ta rozmowa prowadzi.

— Jak długo? — powtórzył Tony.

— Nie wiem.

— Założę się, że długo. Wielka szkoda. Muszę przyznać, że wgląda cholernie dobrze.

Ścisnęła w palcach cienką bieliznę.

— Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym do niej zadzwoniła?

— Niby dlaczego? Zadzwoń do laleczki Barbie i zaproś ją do nas.

— Mam ją zaprosić? Kiedy?

— A jak myślisz? Dziś wieczorem. Teraz.

— Teraz? — Do czego on zmierza? — Jest późno. Nie Przyjedzie.

— Przyjedzie. Jak tylko usłyszysz twój głos, przyleci jak na skrzydłach. Zjawi się tutaj, nim zdążysz odłożyć słuchawkę.

A potem co? — pomyślała.

— A potem co? — spytała.

— A potem niech przemówi natura. — Urwał i przesu-nął językiem po zębach.

— Bylibyśmy we trójkę.

Pokręciła głową. On chyba żartuje. Czy naprawdę myśli o zabawie z nią i jej najbliższą przyjaciółką? Czy sądzi, że istnieje choć cień nadziei, że Barbara się zgodzi?

— Co jest, Chrissy? Chcesz zatrzymać swoją przyja-ciółeczkę tylko dla siebie?

— Chyba nie mówisz poważnie — szepnęła, chociaż pragnęła pobiec do telefonu i zadzwonić do Barbary, choćby tylko po to, by usłyszeć jej głos.

— Czy matka nie nauczyła cię, że należy się dzielić? Że to niegrzecznie trzymać wszystkie zabawki dla siebie?

— Ta rozmowa nie ma sensu, Tony.

— Słucham? Coś ty powiedziała?—Przechylił głowę na bok. — Co jest, Chrissy? Czy znowu mam dać ci nauczkę? Tego chcesz?

Przeniosła wzrok z jednej pomalowanej na musztardowe ściany na drugą. Na czole i górnej wardze pojawiły się kropelki potu.

— Może przebiorę się w tę ładną bieliznę, którą mi kupiłeś. — Rozprostowała ją i wygładziła na kolanach.

— Nie potrzebujemy towarzystwa, by dobrze się bawić.

— Widzę, jak patrzysz na inne kobiety. Wiem, że chciałabyś tego spróbować. Ja tylko chcę sprawić ci przyjemność.

— Tylko ciebie pragnę, Tony.

— Czyżby?

— Przecież wiesz.

— Czasami trudno mi w to uwierzyć — powiedział, jakby mówił do siebie. — Wychodzę z siebie, by kupić ci coś ładnego... — Wskazał na zgniecioną bieliznę w jej dłoniach — a ty się krzywisz. Dlatego pomyślałem, że może poczujesz się szczęśliwsza, jeżeli będziemy się kochać we trójkę.

O Boże! — pomyślała. Od jak dawna nosił się z tyffl pomysłem?

— To nie musi być laleczka Barbie, jeżeli miałoby ci? to krępować. Możemy znaleźć kogoś innego.

— Daj spokój, Tony. Nie chcę nikogo innego. Tylk° ciebie pragnę.

— Naprawdę?

Kiwnęła z zapalem głową.

— Udowodnię ci to. Proszę, pozwól mi to udowodnić.

— Przebierz się — polecił.

Wbiegła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi. Łzy spływały jej po policzkach, gdy drżącymi palcami rozpiniała guziki koszuli nocnej. Co ona ma zrobić? Zbyt dobrze знаła Tony'ego, by wiedzieć, że ten pomysł nie pojawił mu się w głowie przed chwilą. Nosił się z nim od jakiegoś czasu i czekał na właściwy moment. Nie zrezygnuje z niego. To że przestawał o czymś mówić, nie znaczyło, że o tym zapomniał. Ściągnęła koszulę przez głowę i włożyła przezroczyste fioletowe majteczki ze śmiesznym futrzanym obszyciem. Tony nie zrezygnuje z tego plugawego pomysłu, póki jej nie zmusi.

— Nie mogę tego zrobić — szepnęła, wciągając źle dopasowany staniczek ze śmieszną pelerynką. — I nie zrobię.

Zmusi ją do tego. Będzie ją poniżał i bił, dopóki się nie zgodzi. Przecież błagała go, zapewniała, że tylko jego pragnie.

— Brzydzę się tobą. — Plunęła na swoje odbicie w lustrze i patrzyła, jak ślina spływa po szkle. — Rozkoszna wróżka — prychnęła, szarpiąc za pelerynkę obszytą sztucznym futerkiem. Co by jej dzieci pomyślały, gdyby zobaczyły matkę ubraną jak z obscenicznego rysunku? Do diabła z tym! Otworzyła drzwi do łazienki i wskoczyła do sypialni, jakby spadała z wysokiej skały.

— Supermamuśka! — wykrzyknęła.

Wiedziała, że Tony nie znajdzie w tym żarcie nic zabawnego, że wydała na siebie wyrok, przypieczętowała swój los. Czyżby zrobiła to specjalnie?

Przygotowała się na wybuch wściekłości Tony'ego i uderzenie pięści. Niech to się wreszcie skończy. Niech mnie załatwi. Jedno celne kopnięcie w głowę i będzie po wszystkim. Lawendowa wróżka odleci w krainę mroku.

On jednak stał spokojnie i wpatrywał się w nią czarnymi jak noc oczami. Zrozumiała, że widzi przed sobą najgorszy z koszmarów, że wszystko to, co już się zdarzyło, nie da się porównać z tym, co nastąpi.

— Myślisz, że to zabawa? — spytał niskim, zimnym głosem.

— Ja tylko chciałam...

— Jestem dla ciebie tylko zabawką, tak?

— Nie, oczywiście że nie.

— Zadzwoń do laleczki Barbie.

— Co?

— Udowodnij, że nie jestem dla ciebie zabawką. — Sięgnął po telefon. — Dość mam twoich głupich gier. Dzwoń do Barbie. Zaproś ją do nas. Natychmiast.

— Nie mogę — usłyszała swój cichy głos, po czym już głośniejszym głosem powtórzyła: — Nie zrobię tego.

— Nie możesz? — powtórzył zdziwiony, jakby po raz pierwszy usłyszał to

słowo. — Nie zrobisz? — Skrzywił się, jakby zjadł coś kwaśnego.

Pokręciła przecząco głową. Nie zadzwoni do Barbary. Bez względu na to, jakie groźby Tony zastosuje, bez względu na to, co zrobi, bez względu na to, jak bardzo pragnęła usłyszeć jej głos.

— Odchodzę — szepnęła.

To słowo zabrzmiało jej w uszach jak potężny krzyk. Natychmiast chciała je cofnąć, wepchnąć z powrotem do gardła, lecz było za późno. Tony już szedł w jej kierunku z wyciągniętą ręką i gniewnie zaciśniętymi palcami, a z jego ust wylatywały słowa z szybkością karabinu maszynowego.

— Coś ty powiedziała? Chcesz odejść?

— Tony, proszę...

— Chcesz odejść? Teraz? Tak ubrana? Proszę bardzo. Chwyił ją za rękę i pociągnął na korytarz.

— Co ty robisz? Tony, przestań! Puść mnie.

— Przestań wrzeszczeć. Chcesz obudzić dzieci?—Pchnął ją w stronę schodów.

— Chcesz, żeby zobaczyły cię w tym stroju? Chcesz, żeby tak cię zapamiętały? — Zarzucił jej szyfonową pelerynkę na głowę. Opadła na oczy niczym welon.

Chris złapała za poręcz, starając się utrzymać równowagę, lecz Tony oderwał jej palce i podciął nogi.

— Zapamiętały? O czym ty mówisz?

— Myślisz, że jeszcze zobaczysz dzieci? — Złapał za pelerynkę i podniósł Chris w górę. — Wstawaj! Chcesz odejść? To idź, wynoś się z mojego domu!

- Co ty robisz? Nie możesz mnie wyrzucić w takim odpowiedział, tylko trzymając ją mocne , zaczął

Stt°

On ak chwycił ją za ramiona i pchnął w stronę drzwi. Boże czy on naprawdę chce ć na mroź

jedynie z tą przeklętą pelerynką na plecach?

— Nie możesz tego zrobić!

— Zaraz się przekonasz.

Otworzył drzwi i pchnął ją w ich stronę.

Wiatr ze śniegiem dmuchnął jej w twarz, smagając nagie

- Nie, Tony! - krzyknęła. - Nie rób tego! Przynaj-mniej pozwól mi się ubrać!

na

-spokojnie, po czym chwycił ją pod pachami i dwór.

Tony!

i. czując pod stopami

ko w tył i/ozejrzała się PO pustej, pokrytej śniegiem ulicy, zastanawiając się, co robią Dygo cząc z zimna spojrziała w górę i zobaczyła, że Montana

^atpatrzyłabezradnie,jakcórka odwraca się od okna i jedno po drugim gasną światła w całym domu.

Barbara leżała w łóżku, próbując przebrnąć przez pierwszy rozdział książki, którą wszyscy się zachwycali, lecz nie mogła się skoncentrować. Cztery razy przeczytała ostatni akapit i nadal nie wiedziała, o czym on mówi. Zamknęła książkę i położyła na kolanach. Obok niej spała Traccy z poduszką na oczach, by nie raziło ją światło nocnej lampki.

— Kochana dziewczynka — szepnęła Barbara. — Co ja bym bez niej zrobiła?

Odłożyła książkę na szafkę nocną, zgasiła lampkę, zdjęła ostrożnie poduszkę z twarzy Traccy, odsunęła córce włosy z czoła i chwilę się jej przyglądała. Traccy poruszyła się i przewróciła na plecy. Powieki zadrgały, jakby miały się otworzyć.

— Traccy? — spytała z nadzieją w głosie Barbara. Czasami córka podświadomie wyczuwała, że matka nie może zasnąć, siadała wtedy na łóżku i rozmawiały. O filmach, o modzie, o kosmetykach, o sławnych ludziach. Właściwie mówiła Barbara, a Traccy jedynie słuchała. Czasami Barbara posuwała się dalej i zwierzała się ze swoich obaw, rozczarowań, niepewności, a Traccy ją uspokajała. Niekiedy Barbara miała wątpliwości, czy nie za dużo zrzuca na barki nastolatki, lecz ona nigdy się nie skarżyła. Sprawiała wrażenie, jakby dobrze się czuła w roli osoby dorosłej. Kiedy zamieniły się rolami? Kiedy trzynastolatka we flanelowej piżamie w niebiesko-białe kropki stała się matką, a ona dzieckiem? Czy to nie ona powinna wszystko wiedzieć, być mądra, cierpliwa i silna? Tymczasem była głupia, słaba i nie miała o niczym pojęcia. Czy Traccy to wyczuwała? Czy dlatego tak niewiele o sobie mówiła?

Nie chodziło o to, że była skryta, szorstka czy trudna. Nie, była niebywale uprzejma, troskliwa i słodka. Szczerze i otwarcie odpowiadała na wszystkie pytania matki dotyczące szkoły, przyjaciółek, chłopców. Ogólnie rzecz biorąc, w szkole dało się wytrzymać, miała wspaniałe przyjaciółki i kilku chłopców na horyzoncie. Kiedy matka domagała się czasami więcej szczegółów, Traccy natychmiast przedstawiała fakty z precyzją i starannością, jakby recytowała wiersz na akademii. Nie miała żadnych ambicji, żadnych pragnień, by być tym lub tamtym, i w konsekwencji rzadko bywała rozczarowana czy załamana. Bez problemu pogodziła się z rozwodem rodziców i nową powiększającą się rodziną. Radziła sobie z życiem w sposób, który matka mogła tylko podziwiać, bo sama tak nie potrafiła.

— Traccy? — spytała ponownie, lecz oczy córki pozostawały uparcie zamknięte.

Pogładziła ją po policzku, myśląc, że właściwie niewiele wie o swoim dziecku.

Jesteś wspaniałą matką, zapewniały ją przyjaciółki, a Traccy jest cudownym dzieckiem.

Co można było powiedzieć o córkach dam z Grand Avenue? Kirsten, córka Vicki, nadzwyczaj ładnie się prezentowała, biorąc pod uwagę fakt, że wychowywały ją zastępy nianie i rzadko widywała matkę, co można tłumaczyć

tym, że i Vicki tak właśnie została wychowana. Ariel starsza córka Susan, była, delikatnie mówiąc, ponurym dzieckiem i często okropnie grubiańskim. Była buntowniczką szybko wpadającą w gniew i niechętnie wybaczącą — słowem zupełnym przeciwieństwem matki. Jeśli zaś chodzi o Montanę, córkę Chris...

Barbara zmówiła cichą modlitwę i zamknęła oczy. Od spotkania z Tonym przed kilkoma tygodniami często myślała o Chris. Teraz jednak nie mogła sobie na to pozwolić, bo było już późno, czuła się zmęczona i powinna już spać. Położyła się na plecach. Myśli o Chris krążyły jej w głowie jak samolot szukający w ciemności lądowiska.

Musisz się odprężyć, pomyślała. Zaczynaj od palców stóp, jak doradzali w ostatnim numerze „Victorii”. Palce, rozluźnijcie się, rozkazała w myślach, czując, jak poruszają się Pod kołdrą. Teraz posuwaj się w górę ciała. Najpierw stopy. Stopy, rozluźnijcie się. Teraz kostki. Kostki, rozluźnijcie się. Pewnie gdyby zaczęła nosić wygodniejsze buty, nie narzekałaby na ból w stopach. Łydki rozluźnijcie się. Teraz kolana. Potem uda. Moje wielkie grube uda. Kiedyś miała wspaniałe nogi. Dzięki nim wygrała bez trudności konkurs w kostiumie kąpielowym. A teraz, tylko spójrz na nie! Nie, nie patrz. Zobaczysz cellulitis, żyłaki i podskórne włoski.

— Nogi, rozluźnijcie się — powiedziała głośno, kręcąc się niespokojnie w łóżku.

Teraz tyłek, pomyślała. Ten to mi się udał. Moje wielkie, nieustannie rosnące siedzenie. Jeżeli pozwoli mu się rozluźnić, zajmie całą szerokość łóżka.

— Odpręż się, do diabła — syknęła, przenosząc myśli na brzuch.

Mój wielki, tłusty brzuch, pomyślała z obrzydzeniem. Opasłe brzuszysko. Jutro z rana zadzwoni do doktora Steevesa i umówi się na wizytę. Do diabła z bólem, do diabła z kosztami, do diabła ze wszystkim.

Usiadła i odrzuciła kołdrę. To relaksacyjne ćwiczenie zamiast ją uśpić, odniosło przeciwny skutek. Poczowała, że adrenalina zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Równie dobrze mogłaby zaaplikować sobie dawkę kofeiny. Teraz już na pewno nie zaśnie.

— Niech to szlag! — Poszukała po omacku Traccy. — Traccy, śpisz?

Traccy westchnęła i obróciła się twarzą do ściany.

— Cholera! — Barbara pokręciła głową na boki. Pomyślała, że wstanie i pójdzie do łazienki, lecz zamiast tego sięgnęła po książkę i złapała za telefon. Prawie pomoc, pomyślała z satysfakcją i wystukała znajomy numer. Już pewnie wszyscy tam śpią.

Telefon zadzwonił raz, potem drugi.

— Halo? — rozległ się zaspany kobiecy głos. Uśmiechnęła się. Och, biedne maleństwo, obudziłam cię?

— Halo? — spytał ponownie głos.

Głupia dziewczyno. Myślałaś, że się czegoś nauczyłaś?

— Barbaro, czy to ty? — spytała nagle Pam. Barbara odruchowo odłożyła słuchawkę. Palce paliły ją, jakby polano je kwasem, serce kołatało w piersi, grożąc, że wyskoczy. Dobry Boże, co ona zrobiła? Uspokój się. Odpręż się.

— Serce, odpręż się—powiedziała i zaśmiała się głośno, piskliwie.

— Mamo? — mruknęła Traccy, zwracając głowę w stronę matki.

— Nic, nic, kochanie. — Poklepała córkę po ramieniu. — Miałam zły sen. Śpij.

Nic się nie stało, powtórzyła w myślach. Pam tylko zgadywała, rzuciła pierwsze imię, które wpadło jej do głowy. Niczego jej nie udowodni. Już dobrze. Połóż się i spróbuj zasnąć.

Po kilku minutach serce wróciło do normalnego rytmu. Wyczerpana i przerażona zapadła w końcu w niespokojny sen, w którym gonił ją po Grand Avenue rozjuszony doberman. Pies był tuż-tuż, już miał chwycić ją za kostki, gdy nagle zatrzymał się, odwrócił głowę i zaczął nasłuchiwać. Czego on słucha? — zastanawiała się we śnie.

Wtedy usłyszała ten hałas.

Usiadła na łóżku i spojrzała na zegarek. Dziesięć minut po pomocy. Czekala, przekonana, że hałas jest częścią snu, modląc się, by telefon do Pam też był jego częścią. Już miała się położyć, gdy znowu go usłyszała.

Co to było?

Najpierw pomyślała, że to Traccy zeszła do kuchni, by zrobić sobie coś do zjedzenia, lecz córka spokojnie spała obok niej. A więc ktoś obcy kręci się w hallu na dole. Włamywacz?

Dlaczego miałby wybrać właśnie jej dom, kiedy w okolicy jest tyle ładniejszych, lepiej zadbanych?

Chyba że ten człowiek wiedział, kto tu mieszka. Chyba że miał osobisty powód, by złożyć jej wizytę.

Tony.

To musi być on, pomyślała, wstrzymując oddech. Przecież jej groził. „Różne rzeczy spotykają ludzi, którzy wtrącają się w nie swoje sprawy”, powiedział. A teraz przyszedł, by spełnić groźbę.

Boże, co ona zrobi? Jeżeli tknie Traccy...

Sięgnęła po telefon, by zadzwonić na policję, gdy usłyszała głuchy stuk kroków na schodach i znajomy głos.

— Barbaro! — zawołał głos. — Barbaro! — powtórzył nagle.

Zamknęła oczy, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. Nie musiała pytać, kto to. Znała ten głos równie dobrze jak swój własny. Wstała i włożyła granatową podomkę na niebieską koszulę nocną. Zerknęła na pogrążoną we śnie Traccy i wyszła na korytarz.

Czekał na nią u szczytu schodów, gniewnie wyprostowany, w grubym zimowym palcie.

— Co ty tu robisz? — spytała.

— A co ty, do cholery, robisz?—odpowiedział pytaniem na pytanie.

Przytknęła palec do ust.

— Traccy śpi — szepnęła. — Zejdźmy na dół.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? — spytał, nim zdążyli dojść do salonu.

— O to samo mogłabym spytać ciebie — odparła, czując dziwny spokój w starciu z eksmężem. Czyż Vicki nie mówiła, że najlepszą obroną jest atak? — Jak tu wszedłeś?

— Mam klucz — odpowiedział.

— Więc mi go zwróć.

— To jest mój dom.

— Już nie. Nie masz prawa włączyć tu w środku nocy.

— Ja nie mam prawa?

— Mógłbyś mówić ciszej? Chyba nie chcesz, by Traccy cię usłyszała?

— Może i chcę. Może czas, by Traccy dowiedziała się, co jej matka robi w wolnym czasie.

O Boże!

— Roń, to nie jest konieczne.

— Nie jest konieczne?

— Proszę, uspokój się.

Chodził tam z powrotem po salonie, wymachując rękami i rozsypując śnieg, który przykleił mu się do palta, przenosząc w ten sposób pogodę do domu. Nawet gdy się złości, jest przystojny, pomyślała wbrew sobie Barbara. Miała ochotę rzucić się w te gniewne ramiona i błagać, by wrócił. Co się z nią dzieje? Czy nie ma za grosz szacunku dla samej siebie?

— Co ty sobie, u diabła, myślisz, wydzwanając w środku nocy do mojego domu i denerwując żonę?

— Nie wiem, o czym mówisz. — Czy naprawdę sądziła, że jej uwierzy?

— Nie pleć bzdur, Barbaro. Wiem, że to ty dzwonisz. Tylko nie wiem, po co to robisz. Znajdujesz jakąś zboczoną przyjemność w niepokojeniu mojej rodziny? O to chodzi? W takim razie mam tego dość. Wszyscy mamy tego dość. Przyjechałem cię ostrzec, że jeżeli nie przestaniesz, pójdę na policję.

— Na policję?

— I do sądu.

— Do sądu? O czym ty mówisz? — Co się dzieje? Kiedy przestała panować nad sytuacją? Co się stało z jej linią obrony?

W rękach Rona pojawiła się umowa rozwodowa. Machnął nią przed jej nosem.

— To nie jest wyryte w kamieniu. Jeżeli będę musiał, założę sprawę...

Barbara usłyszała kroki Traccy na górze i domyśliła się, że córka słucha.

— Uspokój się.

— Mam tego dość, Barbaro. Ostrzegam cię. Jeszcze jeden telefon, a dzwonię, gdzie trzeba.

— Nie będzie więcej żadnych telefonów — odpowiedziała cicho, patrząc, jak Roń opuszcza rękę.

— Ale tu bałagan — powiedział jakby do siebie. Popatrzyła na porozrzucane po podłodze magazyny

mody, na plamy po kawie na stoliku, na wymiętą zieloną kanapę w kwiaty. On ma rację — nawet po ciemku widać było panujący tu bałagan.

— Musiałam zrezygnować ze sprzątaczkii. Nie mam pieniędzy...

— Dostajesz mnóstwo pieniędzy.

— Nie dość.

— To jest więcej niż dość.

— Utrzymanie domu drogo kosztuje.

— To go sprzedaj.

— I dać ci połowę?

— Taką podpisałiliśmy umowę.

— Umowa zakłada, że mogę tu mieszkać, dopóki Tracey nie ukończy liceum.

— W domu, którego nie jesteś w stanie utrzymać?

— W domu, który kocham.

— Mogłabyś znaleźć coś mniejszego.

— Nie chcę niczego mniejszego.

— Mogłabyś wynająć albo kupić mieszkanie. Jest teraz tyle możliwości.

— Nie chcę mieszkania, nie chcę niczego wynajmować

— odrzekła, starając się nadażyć za tokiem jego rozumowania. — Nie chcę przenosić Tracey.

— Nic się jej nie stanie. Nie będzie miała żadnych problemów z przeprowadzką.

— Ale ja będę miała problemy.

— Dlaczego? Połowa twoich przyjaciółek się przeprowadziła. Co cię tuż trzyma prócz chęci zrobienia na złość.

— Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

— Jestem nauczycielem akademickim, Barbaro — powiedział, usiłując zaapelować do jej rozsądku. — Nie zarabiam dużo pieniędzy. Nie stać mnie na utrzymywanie dwóch rodzin.

— Może powinieneś o tym pomyśleć, nim odszedłeś?

— rzuciła z goryczą w głosie. — Nim zdecydowałeś się mieć więcej dzieci?

— Czy o to chodzi? — W jego oczach litość walczyła z pogardą. — Że mam syna? Ze Pam i ja oczekujemy następnego dziecka?

— Tracey też jest twoim dzieckiem—przypomniała mu.

— Wiem o tym. I będę ją utrzymywał. Bądź rozsądna, Barbaro. Nie proszę cię,

byś mieszkała na ulicy.

— Nie wyprowadzę się z Grand Avenue.

— Robisz to specjalnie.

— Co robie? Staram się przeżyć?

— Przeżyć całkiem nieźle, sądząc po moich kartach kredytowych.

— To był twój pomysł.

— Pomysł był taki, że miałaś ich używać tylko w nagłych wypadkach.

— Doprawdy? Nie tak to rozumiałam.

— Nieważne — odpowiedział, kręcąc głową. — Od tej chwili unieważniam ci kredyt.

— Co?

— Nie masz już kart kredytowych, kobieto.

— Nie możesz tego zrobić.

— Chcesz się przekonać?

— Zadzwoń do mojego adwokata.

— A ja do swojego. Jestem pewny, że sąd ze zrozumieniem przyjmie rachunek od Armaniego na trzy tysiące dolarów z zeszłego miesiąca, zwłaszcza w świetle tych nocnych telefonów do mnie.

Barbara zerknęła w stronę schodów.

— Mógłbyś mówić ciszej?

— Zrobisz coś dla mnie? Następnym razem, gdy pójdziesz robić sobie lifting twarzy, poproś, żeby obejrzeni ci głowę.

Jadowity przytyk Rona uderzył w nią z taką siłą, że aż się cofnęła.

— Wynoś się stąd — powiedziała cicho, nie mogąc się ruszyć. — Chcę, żebyś natychmiast opuścił mój dom.

Naciągnął palto na ramiona i ruszył do drzwi.

— Potrzebna ci pomoc, Barbaro. Zmieniłaś się w zgorzkniałą pijawkę, stare pudło i żadna operacja plastyczna tego nie zmieni.

Wejściowe drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Poczuła, że robi jej się słabo i kolana odmawiają posłuszeństwa. Osunęła się na podłogę i leżała jak pozostawiona przez kogoś sterta bielizny do prania.

Trwała w tej samej pozycji, gdy kilka minut później Tracey ośmieliła się zejść na dół.

— Mamo? Mamo, nic ci się nie stało? Pokręciła głową, bo nie ufała głosowi.

— On był tylko zły — powiedziała Tracey, klękając przy niej. — On wcale tak nie myślał. Mamo?

Za tym pytaniem kryły się niewypowiedziane zdania. Mamo, co tata tutaj robił? Dlaczego był taki zdenerwowany?

O jakich telefonach mówił? Mamo, proszę, porozmawiaj ze mną. O co w tym wszystkim chodzi? Czy to moja wina?

— Mamo?

Uśmiechnęła się do córki oczami pełnymi łez, po raz kolejny dziwiąc się, jak mogła stworzyć kogoś tak cudownego. Traccy wpatrywała się w nią ciemnymi oczami, które niczego nie wyrażały. Co ona tak naprawdę o mnie myśli, zastanawiała się, gładząc córkę po włosach. Palce zaplątały się w gęstwinie potarganych loków. Czy ona też tak ją widzi? Jako żalostną rozwódkę w średnim wieku, porzuconą przez męża, siedzącą w ciemności, zapatrzoną w wyblakłe sny o minionej chwale? Zgorzkniałą pijawkę, stare pudło?

— Powinnaś się położyć — powiedziała do córki.

— Ty też.

Może powinna pójść za radą Rona, co prawda rzuconą w zjadliwy sposób, i odwiedzić psychoanalitka, który pomógłby jej uporać się ze wszystkimi problemami i ułożyć sobie życie. Tylko że taki specjalista kosztował, a Roń dał jej jasno do zrozumienia, że drzwi banków są dla niej zamknięte.

— Powinnaś wrócić do łóżka — powtórzyła.

— Ty też.

— Idź, kochanie. Zaraz przyjdę.

— Zaczekam.

— Nie, idź — powtórzyła. — Proszę cię, skarbie. Nic mi nie będzie. Potrzebuję tylko kilku minut.

Traccy była zbyt zmęczona, by protestować, wstała więc z klęczek.

— Obiecujesz, że zaraz przyjdiesz?

— Za dwie minutki.

Traccy cmoknęła matkę w policzek i ruszyła do drzwi.

— Dziękuję — powiedziała Barbara.

— Za co?

— Za to, że tak się o mnie troszczysz.

— Nie myśl o tym, co powiedział tata — poradziła Traccy, jakby czytała w jej myślach, jakby miała je wypisane na czole, jakby świeciły w ciemności.

— Już zapomniałam — skłamała i zamknęła oczy, gdy Traccy niechętnie opuściła salon. Ciemność otoczyła ją miękkim aksamitem.

— Mamo! — zawołała z góry córka. — Już minęły dwie minuty. Idziesz?

Ze zmęczonym uśmiechem na twarzy wstała z podłogi i jak w transie ruszyła w stronę schodów. Gdy postawiła nogę na pierwszym stopniu i chwyciła się poręczy, usłyszała wjeżdżający na podjazd samochód i kroki na ścieżce. Czyżby to Roń wracał, by cisnąć w nią kolejną serię przesyconych nienawiścią wyzwisk, o których zapomniał podczas pierwszego starcia? Zapuka tym razem czy posłuży się kluczem? Jutro każe zmienić wszystkie zamki, a potem prześle rachunek wrednemu draniowi. Pokaże mu, że stare pudło ma jeszcze kilka pomysłów w zanadru.

Pukanie do drzwi było ciche i nieśmiałe, lecz coraz bardziej niecierpliwe. Barbara wolno podeszła i wyjrzała przez wizjer.

— O mój Boże!

— Mamo! — zawołała z góry Traccy. — Kto to jest? Barbara otworzyła drzwi i wyciągnęła ramiona, w które osunęła się Chris.

— Boże, co ci się stało?

Dłonie Barbary obieżyły sylwetkę Chris, nie bardzo wiedząc, gdzie mogą spocząć. W końcu dotknęły jej drżących ramion, mokrych od śniegu włosów i twarzy ze śladami łez.

— Traccy, przynieś koce, prędko!

Chris obejrzała się na podjazd, gdzie stał kierowca taksówki, opierając się o drzwi samochodu i spoglądając nerwowo w ich stronę.

— To jego marynarka — szepnęła ochryłym głosem, zsuwając z ramion czarną skórzaną kurtkę. Barbara złapała ją, nim spadła na podłogę. — I nie mam czym zapłacić.

— Zajmiemy się tym.

Co za noc?—pomyślała. Czy wszyscy poszaleli? Przecież nie ma nawet pełni.

Tymczasem Tracey zbiegła ze schodów ze stosem niebie-sko-zielonych kocy, którymi Barbara natychmiast opatulila Chris. Boże, co ona ma na sobie?

— Oddaj tę kurtkę taksówkarzowi i wyjmij portmonetkę z mojej torebki — poleciła córce, a sama poprowadziła Chris do salonu. — Przynieś też grube skarpety — dodała, gdy Tracey pobiegła na górę po torebkę. — Nie mogę uwierzyć, że wyszłaś na ten mróz z bosymi stopami. Twoje biedne palce

— powiedziała, energicznie je rozmasowując.

— Zrobię gorącej herbaty — zaproponowała Tracey kilka minut później. Zapłaciła taksówkarzowi i zapewniła go, że wszystko jest w porządku. Patrzyła teraz, jak matka wciąga grube skarpety w szaro-białe paski na sine stopy Chris. — Dobre przyniosłam skarpety? — spytała.

— Doskonale, kochanie — odpowiedziała Barbara, bo Chris trzęsła się tak mocno, że nie była w stanie nawet kiwnąć głową. — I herbata to świetny pomysł.

Barbara objęła przyjaciółkę i kołysała ją jak małe dziecko. Nie mogła uwierzyć, że trzyma ją w ramionach. Tak bardzo za nią tęskniła. Wcale się nie zmieniła mimo upływu lat i koszmaru, jaki musiała przeżywać. Ucałowała lodowate czoło i policzki. Nagle czas się cofnął i znów były w piaskownicy na końcu Grand Avenue. Śmiały się, szczęśliwe i beztroskie, jak dzieci bawiące się u ich stóp. Nic złego nie mogło im się przydarzyć, dopóki trzymały się razem.

— Opowiesz mi, co się stało?

Chris popatrzyła na nią zażenowanym i przerażonym wzrokiem.

— Tony i ja strasznie się pokłóciliśmy. — Zadrzała, lecz Barbara nie wiedziała czy z zimna, czy na wspomnienie tego, co zaszło. — Kupił mi to... — Rozchyliła koc i spojrzała na swój strój. — Uparł się, bym to włożyła. Wyobrażasz sobie?

— spytała z niedowierzaniem. — Czulałam się jak idiotka z tym głupim futerkiem i pelerynką. Nie mogłam uwierzyć, że mówi poważnie.

Barbara spojrzała w stronę kuchni. Tracey nalewała właśnie wodę do czajnika.

— I co było dalej?

— Zażartowałam. „Oto supermamuśka”, powiedziałam. Myślałam, że wybuchnie śmiechem, a on się wściekł. Nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego.

— Pobił cię?

Chris spojrzała na nią z zaciekawieniem. Minęła dłuższa chwila, nim to pytanie zdołało się przebić przez skostniałą z zimna skórę.

— Nie — odpowiedziała w końcu. — Czy to nie dziwne? Nie uderzył mnie.

— Czemu to takie dziwne?

— Bo on ciągle mnie bije — odpowiedziała Chris, czerwieniąc się ze wstydu.

— Co się stało, Chris? Dlaczego uciekłaś z domu bez pieniędzy i bez ubrania? Możemy zadzwonić na policję i...

— Proszę, nie dzwoń na policję.

— Dlaczego? Jeżeli ci groził...

— Nie groził mi.

— Co ci zrobił?

— Wyrzucił mnie z domu. — Zaśmiała się krótkim, urywanym śmiechem, który przypominał dźwięk sopła lodowego odrywającego się od dachu.

— Wyrzucił cię z domu praktycznie naga?

— Proszę, nie dzwoń na policję.

— Dlaczego? Ten człowiek to szaleniec. Mogłaś zamarznąć na śmierć.

— Powiedział, że nigdy nie zobaczę dzieci.

— Gówno prawda — stwierdziła zdecydowanie Barbara. — Jeżeli już ktoś ich nie zobaczy, to na pewno on.

Chris usiłowała się uśmiechnąć.

— On nie może zabronić mi widywania się z dziećmi, prawda?

— Oczywiście, że nie. Z samego rana zadzwonimy do Vicki. Będzie wiedziała, z kim trzeba porozmawiać.

— Jeżeli zawiadomimy policję, tylko pogorszymy sprawę.

— Dlaczego? Aresztują drania. Wsadzą do więzienia.

— On wyjdzie i wróci. Moje słowo przeciw jego i dzieci

— powiedziała cicho Chris. — On nie może zabronić mi widywania się z dziećmi, prawda? — spytała ponownie.

Barbara usłyszała pisk gwizdka.

— Nie, on nie może zabronić ci widywania się z dziećmi

— odrzekła.

Po chwili pojawiła się Traccy z dwoma kubkami parującej herbaty.

— Owocowa — poinformowała, odsuwając pisma i stawiając kubki na stoliku przed kanapą. — Truskawka i kiwi. Nowość.

— Dziękuję. — Chris pochyliła się i ogrzała dłonie nad unoszącą się parą.

Powietrze wypełni! przyjemny zapach egzotycznych owoców.

— Dziękuję, skarbie — powiedziała Barbara, czując dumę ze swego jedyne­go dziecka. Niech Roń płodzi sobie dzieci ze swoją nową żoną. Ona już otrzymała najlepsze z jego nasion. — Może wróciłabyś do łóżka, kochanie? Jutro rano musisz wstać do szkoły.

— Czy przynieść pani coś jeszcze, pani Malarek? Może ciasteczka?

— Nie, dziękuję ci, Traccy. Jesteś bardzo miła. Traccy zawahała się, przestąpiła z nogi na nogę, jakby

zastanawiała się, jak to jest dotykać bosymi stopami śniegu.

— Dobranoc, pani Malarek. Dobranoc, mamó. Będ? w swoim pokoju, gdybyś mnie potrzebowała.

Cmoknęła matkę w policzek i poszła na górę.

Barbara wzięła jeden z kubków i przytknęła Chris do ust, patrząc, jak przyjaciółka wolno wciąga powietrze, smakując gorący płyn.

— Smaczna—powiedziała Chris, po czym wzięła kubek z rąk Barbary i objęła dłońmi.

— Więc wyrzucił cię na ulicę — ponagliła ją Barbara, pragnąc zebrać fakty i ułożyć je w sensowną całość. Czenru Chris nie pobiegła do sąsiadów? Może nie chcieli jej wpuścić?

Jak złapała taksówkę, która prawie o pierwszej w nocy zawiozła ją na Mariemont i to w takim stroju?

— Nie wiedziałam, co robić. — Chris spojrzała przed siebie, jakby szukała właściwych słów. — Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało: że Tony wyrzucił mnie z domu praktycznie naga i że naprawdę stoję na mrozie bez palta, butów i pieniędzy, a on nie chce mnie wpuścić do środka. Zaczęłam walić w drzwi. Pobiegłam do tylnych. Myślałam nawet o rozbiciu szyby, ale bałam się, że jeszcze bardziej się rozżłości. A potem pomyślałam... Boże, to straszne, bo tam zostały dzieci... Pomyślałam, że nie wrócę do tego domu. Jestem wolna. On nie stoi już nade mną, nie dmucha mi w szyję. Nie wbija się we mnie siłą...

— Boże!

— Jestem wolna — powtórzyła, rozglądając się z niedowierzaniem po salonie Barbary.

W oczach Barbary pojawiły się łzy.

— Tak, jesteś wolna. Nigdy więcej tam nie wrócisz.

— Ale dzieci...

— Wyciągniemy je stamtąd. Żaden sąd na świecie nie przyzna opieki temu potworowi.

Chris skinęła głową i wypila łyk herbaty.

— Pomyślałam, że zapukam do sąsiadów — podjęła opowieść. — Ale była prawie pomoc. We wszystkich domach było ciemno. Nie mogłam budzić ludzi,

których prawie nie znałam, i pokazać się w takim stroju. Zaczęłam więc po prostu biec.

— Biegłaś? Dokąd?

— Nie wiem. Krążyłam. Ślizgałam się, parę razy upadłam, w końcu znalazłam się na głównej ulicy. Kilka samochodów zatrafiło na mnie, ale żaden się nie zatrzymał. Pewnie się bali. I nagle pojawiła się ta taksówka. Stanęła. Taksówkarz słabo mówił po angielsku, ale domyślił się, że •nam kłopoty. Powiedział, że podwiezie mnie do szpitala ^bo na policję. Ja jednak poprosiłam go, by zawiózł mnie na Mariemont do przyjaciółki, i obiecałam, że ty mu zapłacisz. A potem zdjął marynarkę i okrył mnie. — Spojrzała w stronę drzwi.

— Wszystko załatwione — zapewniła ją Barbara.

— Tak. Dziękuję.

Dopiła herbatę i odstawiła kubek na stolik. Barbara natychmiast podała jej drugi.

— Czy dzieci słyszały, co się dzieje?

Pomyślała o Traccy stojącej na schodach w czasie jej kłótni z Ronem. Można mu było wiele zarzucić, ale nie postąpiłby tak jak Tony.

— Chłopcy spali.

— A Montana?

Chris pokręciła głową, jakby nie wiedziała. Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach.

— Wszystko w porządku — zapewniła ją Barbara. — Jesteś bezpieczna. On nie może cię już skrzywdzić.

— Ma dzieci.

— Nie na długo. Z samego rana zadzwonimy do Vicki. Będzie wiedziała, co robić. Przez ten czas zostaniesz u mnie. Jak tylko wyciągniemy dzieci, one też tu zostaną, przynajmniej dopóki wszystko się nie ułoży. A na pewno tak będzie, obiecuję. Teraz chodźmy na górę. Musisz zdjąć to śmieszne przebranie, a ja przygotowuję ci gorącą kąpiel i porządnie się wyśpisz. Co ty na to?

Chris uśmiechnęła się.

— Zbyt piękne, by było prawdziwe.

Barbara siedziała na brzegu wanny, patrzyła na lejącą z kranu wodę i od czasu do czasu zanurzała dłoń, by sprawdzić temperaturę. Powinna być ciepła, lecz nie za gorąca, żeby Chris mogła się w niej spokojnie zanurzyć. Nie może sprawić jej bólu. Boże, przez co ona musiała przejść. To, co od niej usłyszała, było zapewne tylko czubkiem góry lodowej. Ale czemu jej to nie dziwi? Przecież Tony od lat znęcał się nad Chris. Czyż nie obciął jej włosów? A ona siedziała, wszystkie siedziałyśmy i nie zrobiłyśmy absolutnie nic.

Wielkie damy. Przyjaciółki od serca. Ładne mi przyj* ciółki.

Zamknęła oczy ze wstydu i żalu. Tak łatwo pogodziły się z tym, że nic nie

można zrobić. Tak łatwo zrzuciły odpowiedzialność na wątłe barki Chris, a winę na brutalne pięści Tony'ego. Wszyscy jesteśmy winni. A jednak cóż mogła zrobić?

— To nie twoja wina — powiedziała nagle Chris, wchodząc do łazienki i siadając obok niej na brzegu wanny. Miała na sobie jej obszerny biały szlafrok z aksamitu. Włosy, które zdążyły odrosnąć do ramion, założyła za uszy.

Koński ogon zniknął na zawsze, pomyślała Barbara i uświadomiła sobie, jak bardzo go jej brakowało.

— Powinam być przy tobie — szepnęła.

— Byłaś — odpowiedziała Chris, ściskając dłoń Barbary.

— Nie. Przestałam cię szukać.

— A co innego mogłaś zrobić?

— Myślałam o tobie przez cały czas.

— Wiem.

— Wszystkie myślałyśmy — dodała. — Grand Avenue już nie było takie same bez ciebie.

— A jak tam inni? — spytała Chris nagle spragniona wieści. — Vicki i Susan? Owen i Jeremy? Dzieci?

— Wszyscy mają się dobrze.

— Wciąż razem?

— Wciąż razem — odpowiedziała Barbara.

— Tak się cieszę. A ty, jak się miewasz? Uśmiechnęła się.

— Teraz już lepiej, skoro ty tu jesteś. — Poglądziła śliczną twarz Chris, jakby chciała się upewnić, że naprawdę istnieje, że to nie wymysł jej samotnej wyobraźni. — Proszę, powiedz mi, że nigdy do niego nie wrócisz — powiedziała, bojąc się głośno wymawiać te słowa w obawie przed tym, co Chris jej odpowie.

— Nigdy do niego nie wrócę. — Głos Chris brzmiał zaskakująco pewnie.

— Bez względu na to, co powie lub zrobi.

— Nigdy do niego nie wrócę — powtórzyła Chris * jeszcze większą mocą.

— Obiecujesz?

— Obiecuję — skinęła głową Chris.

— No to wchodź do wanny—poleciała Barbara, wstając. Chris rozwiązała pasek i zsunęła z ramion za duży

szlafrok. Jak motyl wyłaniający się z kokonu, pomyślała Barbara i odwróciła oczy z zamiarem wyjścia z łazienki, lecz głos przyjaciółki zatrzymał ją w miejscu.

— Nie odchodź.

Opuściła pokrywę sedesu, usiadła na niej i patrzyła, jak Chris zanurza się w wannie. Czy ona zawsze była taka szczupła i delikatna? — pomyślała Barbara, krzywiąc się na widok całego mnóstwa siniaków, które pokrywały ciało Chris, sinożółtych plam na wewnętrznej stronie rąk, purpurowych kręgów na udach i niebieskich cieni w różnych miejscach. Były również inne ślady: zadrapania na

szyi i żebrach i coś, co wyglądało jak ugryzienia na lewym ramieniu i piersi, tuż pod małą ziemistobrązową brodawką.

— Jak woda? Nie za gorąca? Nie za zimna? — spytała tylko po to, by usłyszeć własny głos. Bała się, że jeżeli nie będzie mówić, to zaraz się rozplacze.

— Jest świetna.

— Musisz być wykończona.

— To samo pomyślałam o tobie.

— Nie martw się o mnie.

— A ty o mnie — odpowiedziała Chris. Kiwnęły ze zrozumieniem głowami.

— Umyć ci plecy? — spytała po chwili Barbara.

Chris uśmiechnęła się, wzięła mydło i podała przyjaciółce. Potem podciągnęła kolana do piersi i oparła się o nie. Barbara zamoczyła myjkę w wodzie i zaczęła masować jej plecy. Chris jęknęła, wygięła szyję na boki i zamknęła oczy.

— Nie za mocno?

— Wspaniale.

Barbara namydliła myjkę i pozwoliła, by ślizgała się po plecach i szyi Chris. łagodny ruch zahipnotyzował je.

— Obiecuj, że nigdy do niego nie wrócisz — poprosiła znowu Barbara.

— Nigdy do niego nie wrócę — powtórzyła jak poprzednio Chris.

Jakiś czas później siedziały na brzegu łóżka w pokoju Barbary. Chris miała na sobie biały aksamitny szlafrok i gruby biały ręcznik na głowie. Nagle Barbara zauważyła, że Chris wpatruje się w nią z zaciekawieniem, jakby po raz pierwszy ją zobaczyła.

— O co chodzi?

— Twoja twarz. — Chris dotknęła jej policzka. — Coś się w niej zmieniło.

Barbara przesunęła palcami wzdłuż linii włosów.

— Zrobiłam sobie lifting jakiś czas temu.

— Operację?

— Tylko kilka fałdek. Kobieta musi pięknie wyglądać.

— Ty zawsze pięknie wyglądasz — odpowiedziała Chris. Barbarze łzy napłynęły do oczu.

— I jesteś piękna. — Chris otarła jej delikatnie łzy z twarzy.

— Dziękuję. — Barbara zagryzła wargę, by nie wybuchnąć płaczem.

— Tak mi ciebie brakowało.

— A mnie ciebie — odparła Barbara, obejmując Chris. Rozplakały się, lecz po chwili odsunęły się od siebie i zaczęły sobie nawzajem wycierać łzy.

— Kocham cię — powiedziała Chris.

— Ja też cię kocham.

Nagle Chris pochyliła się i dotknęła wargami ust Barbary. Zrobiła to tak delikatnie, że Barbara nie miała pewności, czy w ogóle je poczuła.

Co się dzieje? — pomyślała, wmawiając sobie, że śni, że ta szalona noc również jest częścią snu. Wiedziała jednak, że to nie jest sen. Tylko jak ma zareagować, co teraz zrobić? Kochała Chris. Kochała ją całym sercem i duszą, nigdy jednak nie myślała o niej jako o kochance. Chris była Przerazona, zraniona i zagubiona. Właśnie uciekła od szaleńca. Była wdzięczna, szczęśliwa i tęskniła za ciepłem, za uczuciem, za miłością. To wszystko. Jedna zagubiona dusza szukała drugiej.

Nagle usłyszały jakiś hałas i szybko odsunęły się od siebie.

— Co to było? — spytała Chris ze strachem w oczach. Podbiegły do okna, potem wyjrzały na korytarz i znowu podeszły do okna.

Barbara ostrożnie odsunęła ciężkie zasłony i zerknęła przez okno na podwórze, usiłując zobaczyć coś w ciemnościach. Dostrzegła jedynie zasypane śniegiem podwórko i oszronione gałęzie drzew uginające się po naporem zimnego wiatru. Może to gałąź pękła i spadła na ziemię albo ktoś rzucił śnieżką w szybę? Omiotła wzrokiem ziemię i obejrzała okno, lecz nic niezwykłego nie zobaczyła. Może Tony odkrył, dokąd uciekła Chris? Może stoi gdzieś tam w ciemności i obserwuje dom?

— Nie ruszaj się stąd — poleciła Chris i wyszła na korytarz.

A może to Roń wrócił i szuka jakichś swoich rzeczy, których zapomniał zabrać?

— Dokąd idziesz?

— Zaraz wracani.

Zajrzała do pokoju Traccy. Może to córka wstała do toalety? Traccy jednak mocno spała. Świadczył o tym spokojny, rytmiczny oddech.

— Śpij dobrze, moja słodka dziewczynko — szepnęła Barbara, złożyła pocałunek na ciepłym czole, otuliła córkę kołdrą i wyszła na palcach z pokoju.

Zeszła na dół schodami, trzymając się ściany i oczekując na atak wrogich rąk. Nic się jednak nie stało. Żaden nieproszony gość nie zakradł się do domu, żaden duch nie wyłonił się nagle z ciemności. Frontowe i tylne drzwi były zamknięte. Mimo to wyjrzała na dwór.

— Odejdź, kimkolwiek jesteś — powiedziała do złowieszczej ciszy. — Trzymaj się z dala od tego domu.

— Barbaro! — dobiegł ją głos Chris, stojącej u szczytu schodów.

— Wszystko w porządku. Nikogo nie ma.

— Pewnie deska skrzypnęła — powiedziała Chris, gdy Barbara wróciła na górę. — Wiesz, jak domy czasami trzeszczą, gdy jest mróz.

Barbara rozejrzała się ostrożnie po pokoju.

— Może rzeczywiście to deska.

Zapadła niezręczna cisza. Po raz pierwszy czuły się skrepowane w swoim towarzystwie.

— Barbaro — zaczęła Chris i urwała.

— Powinnaś się przespać — powiedziała Barbara, starając się nie myśleć o tym,

co zaszło między nimi. —Musisz być wykończona.

— Tak — przyznała pospiesznie Chris.

— Ja też — kiwnęła głową Barbara.

— Jeśli chodzi o to, co zaszło...

— Rozumiem — powiedziała szybko Barbara.

— Tak? Bo ja nie jestem pewna.

Barbara chciała zaprezentować Chris swój wypróbowany olśniewający uśmiech, lecz wargi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Czy możemy porozmawiać o tym rano?

— Jasne.

Bez dalszych słów położyły się do łóżka: obie na tym samym boku, Chris tyłem do Barbary. Jak dwie łyżki, pomyślała Barbara, obejmując przyjaciółkę ramieniem.

— Dobranoc — mruknęła sennym głosem Chris. Zabrzmiało to jak westchnienie, bo niemal natychmiast usnęła.

— Śpij dobrze — szepnęła Barbara, czując, jak mięśnie Chris się rozluźniają. Ona sama nie chciała usnąć. Leżała do świtu, patrząc, jak noc blednie i niebo się rozjaśnia, czuwając nad spokojem ukochanej przyjaciółki.

— Ariel, widziałaś mój purpurowy sweter?

Susan stała przed otwartą szafą, a przed nią piętrzył się stos rozrzuconych swetrów. Z pokoju córki dobiegała głośna muzyka, była więc tam i pewnie leżała jeszcze w łóżku. I Spojrzała na zegarek: ósma trzydzieści pięć. Oznaczało to, że Ariel znowu spóźni się do szkoły. W tej chwili nie miała jednak czasu z nią walczyć. O dziewiątej musiała być w pracy na zebraniu, teraz więc ważniejszy był sweter od chronicznie spóźniającej się córki.

— Ariel!

Zza drzwi szafy wyłoniła się głowa Owena.

— Coś się stało?

— Nie mogę znaleźć mojego purpurowego swetra. Jestem pewna, że Ariel go wzięła.

— Niczego nie załatwisz, stojąc tu i krzycząc — powiedział Owen.

Susan uśmiechnęła się, chociaż miała ochotę rzucić w niego butem. Czy on zawsze musi być tak cholernie logiczny? Poza tym wcale nie krzyczała.

— Ariel, kochanie! — zawołała tym razem głośniej. — Nie widziałaś mojego purpurowego swetra?

Tym razem odpowiedź uderzyła w ścianę łączącą ich pokoje z siłą dynamitu.

— Skąd mogę wiedzieć, gdzie jest twój głupi sweter?!

— Nic nie mów — ostrzegła męża, który natychmiast się wycofał.

Wzięła głęboki oddech i wróciła do przeszukiwania półek.

— Nie możesz walczyć, jeżeli nie gryziesz—powiedziała głośno, cytując zdanie, które zalecił jej powtarzać doktor Slotnick, kiedy tylko poczuje chęć uduszenia swojej nieznośnej córki lub łagodnego męża. Według cenionego rodzinnego psychoterapeuty, do którego Susan przez krótki czas chodziła, Ariel, buntując się, badała jedynie grunt, co było cechą charakterystyczną osobników w jej wieku. W ten sposób starała się uniezależnić od rodziców, odnaleźć własną osobowość, dowieść swej wyjątkowości. Susan nie powinna brać tego do siebie. Może usłuchałaby rady pana doktora, gdyby ta wyjątkowość Ariel objawiała się w nieco przyjemniejszej formie.

Owen nie miał natomiast kłopotów ze stosowaniem się do rad wybitnego specjalisty. Traktował ich kłótliwą córkę z takim samym spokojem jak swoich pacjentów. Był łagodny, wyrozumiały i zawsze uprzejmy, bez względu na to, jak niegrzecznie i lekceważąco zachowywała się Ariel. Był wzorem ojcowskiego postępowania i zaczął działać Susan na nerwy.

Wysunęła dolną szufladę komody i przeszukała schludnie ułożone staniki i majtki. Nie zdziwiło jej, że nie znalazła tam swetra. Niby dlaczego miałyby go włożyć właśnie tu, a nie na miejsce, gdzie leżały wszystkie swetry? Zasunęła energicznie szufladę, zapominając cofnąć palce.

— Cholera! Cholera! Cholera!

Zacząła skakać w kółko wymachując dłonią, jakby chciała pozbyć się tkwiącego w niej żądła.

— Co się znowu stało? — spytał Owen z sypialni. Nie: „Co się stało”? lecz: „Co się znowu stało”? Gdzie się

podziała ta jego słynna cierpliwość? Weszła nieśmiało do sypialni.

— Przytrzasnęłam sobie palce. Wyciągnęła do niego obolałą dłoń.

— Nic ci nie będzie. — Zerknął przelotnie na jej palce.

— I przestań tak nią wymachiwać.

— Boli mnie. — Nie mógłbyś przynajmniej pocałować? — miała ochotę spytać, lecz zrezygnowała. Miała dość zdawkowych pocałunków znaczących pory dnia. Pocałunek na dzień dobry przy śniadaniu, pocałunek na do widzenia, gdy wychodził do pracy, pocałunek na powitanie, pocałunek na dobranoc, gdy zmęczeni kładli się do łóżka. Przypominały znaki interpunkcyjne. Kiedy w ich małżeństwie uprzejmość zajęła miejsce namiętności? Kiedy kochanie się stało się rutyną, czymś, co robili, bo tego od nich oczekiwano, podobnie jak grzeczności? Osiągali spełnienie, lecz stracili zdolność do zaskakiwania. Kiedy ostatnio próbowali nowej pozycji lub techniki? Kiedy ostatni raz kochali się rano? Czemu nie teraz? — pomyślała, robiąc krok w stronę męża. Może mogłaby rozpiąć mu guziki koszuli, a potem czarny skórzany pasek...

— Nie powinnaś się ubrać? — spytał Owen. Znieruchomiała i spojrzała na cielisty stanik i majteczki.

Poczuła się tak, jakby wylano jej na głowę wiadro zimnej Wody.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

— Dobrze.

— Trochę późno, co?

— Cholera! — zakłęła, gdy uświadomiła sobie, która godzina.

Wróciła do szafy i zaczęła zmagać się z rajstopami, zdjęła z wieszaka beżową jedwabną sukienkę, wciągnęła ją przez głowę, wsunęła ręce w długie rękawy i wygładziła materiał na biodrach. Potem pomaszzerowała do łazienki, przeczesала szczotką niesforne włosy i rzuciła krytyczne spojrzenie w lustro. Znowu przytyła. Nic dziwnego, że Owen przestał zwracać na nią uwagę. Co prawda, sam nie miał najlepszej sylwetki. Nie to co Peter Bassett, który ciężko pracował, by zachować linię, i chodził trzy razy w tygodniu na siłownię.

— Powinnaś wybrać się tam ze mną — powiedział w zeszłym tygodniu, a ona roześmiała się, chociaż nie była pewna, dlaczego się śmieje, i odparła, że się zastanowi. Nie miała nad czym się zastanawiać. Za nic w świecie nie pozwoliłaby, by Peter zobaczył ją w przeupoconych dresach lub, co gorsza, w trykotach. Była bez formy, nie wytrzymałaby dziesięciu minut na bieżni. Dawno nie ćwiczyła, co nie było mądre. Regularna gimnastyka nie tylko pozwoliłaby zrzucić zbędne

kilogramy, lecz oderwałaby ją od codziennych problemów. Zbyt dużo czasu poświęcała na zamartwianie się o matkę, walkę z córką i zjedanie wszystkiego, co tylko wpadło jej w ręce.

— Wyglądam okropnie — powiedziała głośno.

— Wyglądasz całkiem dobrze — odpowiedział Owen, stając za nią i całując ją w policzek.

— Dzięki — odparła apatycznie. „Całkiem dobrze” nie było satysfakcjonującym komplementem.

— Miłego dnia — powiedział i wyszedł z pokoju. Chwilę później usłyszała łoskot otwieranych i zamykanych drzwi do garażu.

— Tobie również — mruknęła.

— Znowu gadasz sama do siebie? — spytała oschle Ariel, pojawiając się w polu widzenia. Jej świeżo nastroszone niebiesko-czarne włosy wyglądały jak kolce farbowanego jeżozwierza.

Drgnęła nerwowo, jak zwykle na widok starszej córki, tego delikatnego aniołka, którego tuliła kiedyś do piersi. Złociste włoski tak słodko pachniały i tak dobrze wróżyły na przyszłość. No i co zostało z tego aniołka? — pomyślała, usiłując zastosować się do rady doktora Slotnicka i myśleć pozytywnie.

Ariel miała piękne oczy, chociaż obrysowywała je kreskami, które wyglądały jak sadze; miała piękną karnację, chociaż czasami trudno ją było dostrzec pod warstwą białego fluidu; miała kształtną sylwetkę, chociaż obszerne ciuchy starannie ją skrywały; miała też bystry umysł, lecz cięty język. Myśl pozytywnie. Miała też własny rozum. Czy to jest pozytywne myślenie?

— Skąd wzięłaś tę sukienkę? — spytała oskarżycielskim tonem Ariel.

Z tego samego sklepu co purpurowy sweter, pomyślała Susan.

— Nie powinnaś być w szkole? — spytała zamiast tego i natychmiast skłęła się w duchu. Niezbyt fortunne pytanie, gdy się chce uniknąć konfrontacji. Czy doktor Slotnick nie powiedział, że to szkoła powinna zająć się nagminnym spóźnianiem Ariel? To ich zadanie, stwierdził łysiejący terapeuta, nie twoje.

Nagle przypomniała sobie, jak Peter Bassett po raz pierwszy wezwał ją do swego gabinetu. Rozmawiał przez telefon na ten sam temat z nauczycielką córki. Nic dziwnego, że tak dobrze ją rozumiał. Mieli ze sobą wiele wspólnego, Pomyślała z uśmiechem.

Ku jej zaskoczeniu Ariel też się uśmiechnęła, ukazując dołeczki przebijające się przez warstwę białego fluidu, która Pokrywała jedynie twarz, nie szyję, co wyglądało, jakby cierpiała na jakąś straszną chorobę skóry.

— Tak — przyznała, wyłamując stawy w palcach, a Susan aż skuliła się wewnątrz na ten dźwięk. — Jestem spóźniona, a na pierwszej lekcji mam test z matematyki z całego semestru.

— To lepiej się pospiesz.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Nawet gdyby Ariel wyszła już teraz, i tak nie zdąży. A nie była jeszcze ubrana. A może była? Starła się nie patrzeć na poplamiony podkoszulek i workowate spodnie córki.

— Coś nie tak? — spytała wyzywającym tonem Ariel. Susan pokręciła przecząco głową i utkwiała wzrok w palcach stóp. Nie możesz walczyć, jeżeli nie gryziesz.

— Myślałam, że mnie podrzucisz.

— Podrzucę?

— Do szkoły, żebym zdążyła na test.

Susan wstrzymała oddech i w duchu policzyła do dziesięciu, apotem otworzyła usta, zamknęła je i znowu policzyła do dziesięciu. Ile razy już przez to przechodziły?

— Rozmawialiśmy już o tym — powiedziała.

— Ale to już ostatni raz...

Nigdy się nie nauczy, jeżeli będziesz jej pomagać, ostrzegł doktor Slotnik. Ona musi sama stawić czoło konsekwencjom.

— Nie mogę — usłyszała swój głos.

— Jak to nie możesz?

— Ariel, mam ważne spotkanie o dziewiątej. Nie zdążę cię odwiedzić.

— Ale to potrwa tylko minutę.

— Nie mogę.

— Nie możesz czy nie chcesz?

— Muszę się ubrać...

— Jesteś ubrana.

— Wyglądam okropnie.

— No to co?

Pytanie zaskoczyło ją swoją prostotą. Kogo obchodzi, że wygląda okropnie? — mówiło. Kto będzie na ciebie patrzył? Jesteś przecież kobietą w średnim wieku i nikt nie zwraca na ciebie uwagi.

— No to niestety będziesz musiała sama jakoś dotrzeć do szkoły.

— I spóźnić się na test?

— Może powinnaś o tym pomyśleć pół godziny temu-

— Może powinnaś iść do diabła! — wypaliła Ariel.

— Chwileczkę, moja panno — zaczęła Susan, lecz Ariel wybiegła z łazienki jak chmura gradowa, a potem z rumorem po schodach. Drzwi wejściowe otworzyły się i trzasnęły, wprawiając w drżenie cały dom. Susan popędziła do pokoju córki i wychyliła się przez okno.

— Zapomniała parasolki — mruknęła z rozpaczą, patrząc, jak córka wyciąga z kieszeni paczkę papierosów i zapala jednego, zupełnie nie zwracając uwagi na kwietniowy deszcz padający jej na głowę. — Pada deszcz, a ona nawet tego nie

zauważyła.

Powinna była odwiedzić ją do szkoły. Jeszcze ten jeden raz. Miałaby o jednego papierosa mniej na sumieniu. Przecież pada. Teraz jej córka spóźni się do szkoły, obleje test i dostanie zapalenia płuc.

Rozejrzała się po pokoju córki, który wyglądał jak po przejściu tornada, i miała ochotę się rozplakać. Cóż za okropny bałagan! Na łóżku, biurku, podłodze i gdzie tylko było wolne miejsce wałały się ubrania, kosmetyki i kasyety magnetofonowe. Na dywanie leżało kilka monet, które wyglądały jak okruchy. W nogach łóżka dostrzegła porzucony pusty pojemnik po tamponach. Zamknęła oczy, modląc się w duchu, by nie natrafiła na drugą połowę ze zużytymi tamponami, po czym podniosła go i wrzuciła do pustego kosza na śmieci. Był to chyba jedyny nie wypełniony przedmiot w pokoju.

— Boże, jak można tak mieszkać?

Zaczęła automatycznie zbierać z podłogi części garderoby i starannie je układać. Otworzyła szafę, odsunęła na bok brudne rzeczy, robiąc miejsce dla niewiele lepszych.

Wtedy właśnie go zobaczyła. Leżał zwinięty w kłębek na samym tyle półki. Purpurowy sweter, którego szukała przez cały ranek, do którego przywłaszczenia Ariel się nie przydała, a który chciała włożyć na dzisiejsze zebranie, bo Peter powiedział, że dodaje głębi jej oczom.

— Zamorduję ją — szepnęła, dostrzegając jeszcze jeden swój sweter — biały golf z angory — wystający spod stosu Pogniecionych podkoszulków.

Zabrała oba swetry i wróciła z nimi do sypialni. Wiedziała, że i tak ich nie włoży, bo są brudne i przesiąknięte dymem papierosowym. Myśl pozytywnie, upomniała się. Może to oznaczało, że Ariel zmienił się gust.

Okłamała mnie, przypomniała sobie nagle i znieruchomiała. Zabrzmiał jej w uszach głos córki: „Skąd mogę wiedzieć, gdzie jest twój głupi sweter”? Nie bierz tego do siebie, radził doktor Slotnick.

— Odpieprz się — odpowiedziała słynnemu terapeutce i włożyła nowe brązowe pantofelki na obcasach. Były trochę wyższe niż te, które dotąd nosiła, i mniej wygodne, doszła jednak do wniosku, że musi się trochę podwyższyć. I nie tylko w dosłownym znaczeniu. Koniecznie musiała się dowartościować.

— Susan, czy mógłbym zamienić z tobą parę słów? — spytał Peter Bassett, gdy wychodziła z sali konferencyjnej po zakończonym zebraniu.

— Oczywiście.

Skuliła palce w butach, które uwierały ją przez cały ranek, i patrzyła, jak pozostali redaktorzy wychodzą z sali.

— Zamknij drzwi.

Sala konferencyjna była jednym z dwóch pomieszczeń, które nie miały oszklonych ścian. Peter zwoływał tu zebrania, twierdząc, że w tym miejscu nic ich

nie będzie rozpraszać, sala nie miała bowiem żadnych okien. Pomalowane na beżowo ściany otaczały długi drewniany stół i szesnaście bezkształtnych krzeseł w podobnym kolorze. Na jednej ze ścian wisiały oprawione w ramki okładki „Victorii”, pozostałe były puste. Na stoliku w końcu sali stał ekspres do kawy, a obok na talerzu leżały nietknięte drożdżówki.

Ż trudem powstrzymała się, by nie sięgnąć pojedna zaraz po wejściu do sali, lecz była spóźniona dziesięć minut i trwało już zebranie. Poza tym zauważyła, że nikt z uczestników spotkania niczego nie je. Pewnie zjedli w domu śniadanie w przeciwieństwie do tych, którzy nie mieli na to czasu. Niech diabli wezmą te wszystkie szczupłe uda, zaklęte

w duchu i pomyślała, że zaczyna mówić jak Barbara. Kiedy zaczęła przejmować się takimi rzeczami?

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała, nim Peter zdążył ją skarcić.

— Wszystko w porządku?

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Jak zwykle te same problemy”.

— Córka nie daje ci spokoju? Uśmiechnęła się.

— Nie powinnam jej pozwolić na wyprowadzenie mnie z równowagi.

— To czasami trudne, wiem coś o tym.

— Tak czy owak, nie powinnam się spóźnić.

Czy nie on powinien to powiedzieć? — przemknęło jej przez myśl.

— Nie ma sprawy — usłyszała zamiast tego. — To jeszcze nie koniec świata. Jak się czuje twoja matka?

— Niezbyt dobrze.

— Współczuję ci.

— Dziękuję.

Usiadła na krześle, nie bardzo wiedząc, co tu właściwie robi. Przypuszczała, że Peter chce ją ochrzanić za spóźnienie i przypomnieć, że co prawda rozumie jej problemy, ale przecież wydają magazyn i nie można pozwolić, by sprawy osobiste przeszkadzały w pracy. Czy nie dlatego Judi Butler dostała przed kilkoma miesiącami wymówienie? Tymczasem usłyszała, że nie musi się martwić, że to nie koniec świata. W dodatku Peter uśmiechał się, zamiast marszczyć gniewnie czoło, siedział z nogami wyciągniętymi przed siebie i rękami założonymi za głowę.

— Chciałeś o czymś porozmawiać? — spytała ostrożnie.

— Chciałem zdać ci raport z postępów.

— Raport z postępów? — O czym on mówi?

— Myślisz, że zapomniałem o twoich pomysłach na Podniesienie poziomu pisma?

Potrzebowała dobrej chwili, by zrozumieć, o co mu chodzi. Tyle czasu minęło od tamtej rozmowy, że już ^pomniała, co mu wtedy mówiła.

— W tym interesie sprawy posuwają się bardzo wolno. Kierownictwo pisma nie lubi zmieniać dobrych przepisów nawet gdy trącą myszką. Ciężko się napracowałem, by przekonać szefostwo do zmiany profilu, zwłaszcza w świetle rosnącej sprzedaży. Rada uważa, że te wyniki będą rosły jedynie wówczas, gdy „Yictoria” pozostanie błyszcząca i elegancka oraz przede wszystkim, płytka. — Pokręcił głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że razem w tym siedzą. — Chcę jednak, żebyś wiedziała, że się nie poddałem i zamierzam upierać się przy konieczności podniesienia poziomu pisma. Postanowiłem więc przemyścić kilka poważniejszych artykułów.

— Jak zamierzasz to zrobić?

— Bardzo ostrożnie — odpowiedział, mrugając do niej. — Stronę tu, stronę tam. Dać więcej tła, więcej treści, więcej głębi. Kto wie, może uda nam się wcisnąć coś poważniejszego.

— To byłoby wspaniałe. Mam mnóstwo pomysłów.

— Na przykład jakich?

— Miałam nadzieję, że uda nam się wydrukować coś na temat tej nowej kuracji hormonalnej, którą tak się ekscytuje cały medyczny świat. Mówi się o tym już od dłuższego czasu, ale nagle ten temat zrobił się modny. Wiem, że nie zainteresuje to naszych młodych czytelniczek, ale...

— Czy możesz znaleźć w tym coś seksownego? — wszedł jej w słowo.

— Słucham?

— Seksownego — powtórzył. — Jak twoje buty. — Puścił do niej oko.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Dobrze, że nie włożyła purpurowego swetra, bo kolory strasznie by się gryzły.

— Moglibyśmy dać jakiś seksowny tytuł. — Zawahała się, usiłując się skupić.

— Na przykład: „Nowe źródło młodości”.

Peter przechylił głowę, jakby wyobrażał sobie ten nagłówek.

— Całkiem niezłe.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

Wstał, obszedł stół, usiadł obok Susan, ocierając się o nią kolanami, lecz najwyraźniej tego nie dostrzegł.

Przeszył ją dreszcz podobny do tego, jakiego doznała dziś rano, gdy przycięła sobie palce szufladą, tylko że tym razem poczuła mrowienie między udami.

— Może sama spróbowałabyś go napisać?

— Słucham?

— To twój pomysł. Dlaczego go nie rozwiniesz?

— Naprawdę?

— Oczywiście niczego nie obiecuję.

— Oczywiście. — Chciała wstać, lecz siedział tak blisko niej, że nie miała

gdzie się odsunąć. — Zaraz się do niego zabiorę.

— Po co ten pośpiech?

Roześmiała się jak głupiutka uczennica i natychmiast znienawidziła się za to.

— Czy powiedziałem coś śmiesznego? — spytał. Pokręciła przecząco głową, a on pochylił się ku niej.

Boże, czy on ma zamiar ją pocałować?

— Masz coś w oku — powiedział i zwilżył palec językiem. — Nie ruszaj się.

Przysunął się tak, że ich usta znalazły się blisko siebie. Jedną ręką przytrzymał jej brodę, a środkowym palcem drugiej przesunął wzdłuż dolnej powieki. Miała wrażenie, że jej skóra mięknie pod wpływem tego dotyku, a reszta ciała zmienia się w gorącą lawę. Kiedy dotyk Owena działał na nią równie elektryzująco?

— Już — powiedział. — Gotowe.

Czy teraz ją pocałuje? A jeśli tak, to co ona zrobi?

Odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął.

Boże, co się z nią dzieje? Był przecież jej szefem i mógł mieć każdą kobietę. Plotki głosiły, że miał już kilka. Nie 2 nadwagą, w średnim wieku, matkę dwójki dzieci, która nosiła beżowe sukienki upodabniające ją do mebli, lecz atrakcyjne kobiety, takie jak Rosa Leoni i Judi Butler. Obie °ie pracowały już w piśmie. Nie wierzyła biurowym plotkom. Uważała, że częste lunche i prywatne spotkania Judi z szefem

miały wyłącznie roboczy charakter. Z drugiej jednak strony nie czuła się nieszczęśliwa z powodu odejścia Rosy Leoni czy Judi Butler. O zazdrości nie mogło tu być mowy. Była przecież mężatką. Szczęśliwą mężatką, upomniała siebie i splotła dłonie na kolanach. Co się z nią dzieje? Skąd te dziwne myśli?

— Opowiedz mi coś o sobie — poprosił Peter Bassett. Zawahała się, nie bardzo wiedząc, dokąd on zmierza.

— Nie bardzo rozumiem. Co chciałbyś wiedzieć?

— Cokolwiek — odparł. — Jesteś zagadkową kobietą, Susan Norman.

Wybuchnęłyby głośnym śmiechem, gdyby nie czuła się tak mile połechtana.

— Wątpię.

— Nie mogę cię rozgryźć.

— Nie możesz?

— Jak długo razem pracujemy? Prawie dwa lata. A ty wciąż mnie intrygujesz.

— Ja cię intryguję? — powtórzyła, zahipnotyzowana jego słowami. Miała czterdzieści trzy lata. Nigdy w życiu nikogo nie zaintrygowała.

— Jesteś fascynującą kobietą.

Zagadkowa, intrygująca, a teraz fascynująca. Nie było co do tego wątpliwości — Peter Bassett z nią flirtował. Wiedziała o tym, a on wiedział, że ona wie. To wszystko było takie oczywiste i takie głupie, że powinna przewrócić oczami i roześmiać mu się w twarz, gdyby całą siłą woli nie powstrzymywała się przed

wskoczeniem mu na kolana i otoczeniem go nogami w pasie. Co się z nią dzieje?

— Bardzo chciałbym cię pocałować — szepnął Peter Bassett.

Nie odpowiedziała. Usłyszała, że ktoś ma kłopoty z oddychaniem, i zrozumiała, że zdradza ją własne ciało. Peter przysunął się tak blisko, że niemal czuła smak jego oddechu na końcu języka. Musnął rzesami jej rzęsy i dotknął ustami jej warg. Ujrzała błysk, jakby ktoś zapalił zapalniczkę, i jej ciało stanęło w ogniu. Co ty robisz?—przemknęło jej przez głowę?, gdy przywarł do jej ust i wsunął język do środka.

Jestem na to zbyt mądra, pomyślała, patrząc jakby z boku, jak otacza ją ramionami. Kim jest ta kobieta? Na pewno nie zasadniczą, praktyczną Susan Norman z lekką nadwagą, żoną dobrego lekarza. Czy nie powiedziała kiedyś Vicki, że nawet przez myśl by jej nie przeszło oszukiwać męża? „Nigdy nie mów: nigdy”, ostrzegła ją wówczas Vicki.

Oderwało ich od siebie pukanie do drzwi.

— Tak? — spytał Peter, wstając i podchodząc do drzwi.

— Jason Elliott czeka w pańskim biurze — zabrzmiał głos sekretarki.

— Już idę. — Odwrócił się do Susan, która wciąż siedziała, nie mogąc się ruszyć. — Później do tego wrócimy.

Dźwięk telefonu wyrwał Vicki ze snu, w którym goniła ulicą jakąś kobietę bez twarzy. W momencie gdy kobieta zatrzymała się i odwróciła, Vicki uderzyła w przysłowiowy mur. Zobaczyła gwiazdy, usłyszała dzwony, zorientowała się, że to telefon, i niechętnie wróciła do rzeczywistości.

— Halo! — szepnęła do słuchawki, rozcierając czoło, by stłumić nasilający się ból głowy. Za dużo czerwonego wina, pomyślała. Ile to butelek wczoraj opróżnili?

— Dzień dobry. Godzina szósta trzydzieści. Automatycznie spojrzała na zegarek stojący przy łóżku.

Wskazywał szóstą trzydzieści. Zgodnie z zamówieniem. Kto powiedział, że hotele Holiday Inn nie oferują czterogwiazdkowych usług?

— Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, usiadła na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Białe prześcieradło zsunęło jej się z ramion, odsłaniając małe nagie piersi. Jak to możliwe, że jest Już szósta trzydzieści? Przecież dopiero się położyli.

— Hej, śpiochu — powiedziała do nagiego mężczyzny śpiącego obok niej. — Wstawaj. Czas rozpocząć dzień.

— Kto tak mówi? — wychrypiął zaspany męski głos.

— Ja.

Wyskoczyła z łóżka i poszła do łazienki. W porządku, to nie jest Ritz, pomyślała, odkręcając kran i wchodząc pod prysznic. Poczula, jak jej ciało powoli się budzi pod wpływem gorącego strumienia wody. Westchnęła, namydlając się drogą kostką mydła Chanel, którą wzięła z domu, i wolno odchyliła głowę, pozwalając, by woda pieściła jej szyję jak język kochanka.

Usłyszała hałas, poczuła powiew chłodnego powietrza i ujrzała zbliżający się ku niej cień. Zasłona się rozsunała i cień zmienił się w nagiego mężczyznę, który stanął za nią i wyjął jej mydło z ręki.

— Pozwól, że ja to zrobię — powiedział.

Jeremy zawsze lubił się kochać pod prysznicem, pomyślała z uśmiechem. Mówił, że to przypomina mu ich miesiąc miodowy na Hawajach, gdzie znaleźli prywatny wodospad niedaleko hotelu i co noc się kochali pod gwiazdami.

Tylko że teraz nie była na Hawajach, a ten mężczyzna nie był Jeremym.

Westchnęła, gdy śliskie dłonie przesunęły się w przód i objęły jej piersi. Jeremy był na Florydzie i prowadził rozmowy z jakąś lokalną stacją telewizyjną, a ona spędziła noc w hotelu Holiday Inn w Erlanger w Kentucky z zastępcą prokuratora stanowego Michaelem Rose, z którym od trzech miesięcy łączył ją gorący romans. Nadszedł czas, by go zakończyć, pomyślała, gdy Michael wszedł w nią od tyłu, wbijając palce w małą stokrotkę na wewnętrznej stronie uda, którą niedawno kazała sobie wytatuować. Wbijał się w nią z takim wigorem, że poślizgnęła się i byłaby upadła, gdyby nie oparła się dłońmi o białe kafelki przed sobą.

Tego jeszcze by brakowało, pomyślała, dostosowując tempo do pchnięć kochanka. Złamanej ręki lub nogi. Jak zdołałaby to wytłumaczyć? Chociaż Jeremy i tak nie zażądałby wyjaśnień. Nie pytaj, a nie usłyszysz kłamstw. Czy n*6 tak brzmiała ich niepisana umowa? Wątpiła, by mąż sp?” dzał samotnie liczne noce z dala od niej, ostatnio jednak zwolnił tempo, więc może seks nie był już dla niego taki ważny.

— Cudownie — usłyszała swój głos, zadowolona, że wziął ją od tyłu, bo nie musi na niego patrzeć i udawać, że jest kimś więcej niż był. Wystarczy, że był młody, co najmniej pięć lat od niej młodszy, i nie trzeba go było nakłaniać pieszczotami do działania. Kochała swojego męża, lecz czasami ciężko go było rozruszać. Dwadzieścia minut na kłęczkach i co z tego miała? Trzydziestosekundową chwilę przyjemności. Mężczyźni tacy jak Michael Rose pozwalali jej wyrównać ten chwiejny bilans.

— Jesteś wyjątkowa — wyszeptał jej do ucha. Dlaczego mężczyźni muszą tyle gadać? Zwłaszcza wtedy,

gdy nie mają nic do powiedzenia. Jesteś wyjątkowa. Co to, u diabła, ma znaczyć? Jęknęła z zadowoleniem, lecz tak naprawdę wcale nie czuła się specjalnie dowartościowana. Cóż ona takiego wyjątkowego robiła? Po prostu stała i trzymała się kurczowo życia. Nie było to nic wystrzałowego, jakby powiedział jej syn Josh. Ciekawe, co by powiedział, gdyby zobaczył teraz swoją matkę? A co by powiedziała Kirsten?

— Nie rozumiem. Dlaczego nie wrócisz dziś do domu? — spytała córka z oburzeniem, gdy dowiedziała się, że matka nie będzie nocować w domu.

— Już ci mówiłam. Z Nowego Jorku przylatuje klient. Mamy się spotkać na lotnisku. Spotkanie może się przeciągnąć do bardzo późna, będzie więc prościej, jeżeli przenocuję w hotelu.

— Nie rozumiem — powtórzyła Kirsten, chociaż pewnie rozumiała, i to aż za dobrze. W końcu miała już prawie Piętnaście lat. Była dokładnie taka sama jak ona w jej wieku: chude nogi, sterczące kolana, małe piersi, wklęsły brzuch. Tylko włosy miała inne. Rude włosy Kirsten były o ton lub dwa ciemniejsze od włosów matki, przykrywały plecy i czoło, okalając raczej ciekawą niż ładną twarz, która wciąż się formowała. Pewnie chciałaby mieć większe oczy i mniejszy nos, tak jak ona w jej wieku.

Czy jej matka też miała podobne marzenia?

Potrząsnęła głową, by pozbyć się nieoczekiwanych myśli o matce. Od miesięcy o niej nie myślała. Zwolniła prywatnego detektywa, informując, że rezygnuje z jego usług. Dość tego. Nie miała czasu ani cierpliwości bawić się w tę trwającą w nieskończoność grę w kotka i myszkę. Jeżeli matka chciałaby się z nią zobaczyć, to teraz ona powinna coś zrobić. Vicki wycofała wojska i wywiesiła białą flagę, jakby mówiła: Wygrałaś, poddaję się.

Skąd się tu teraz wzięła, nieproszona i niezapowiedziana? — pomyślała niecierpliwie Vicki, potrząsając głową tak mocno, że wprawiła ciało w drżenie. Michael Rose opacznie zrozumiał jej ruch, sądząc, że zaczyna szczytować, i przyspieszył, wbijając ją w ścianę z taką siłą, że ledwo mogła oddychać. Po chwili zadrżał, musnął wargami jej ramię i wysunął się z niej bez wysiłku.

— Jesteś wyjątkowa — powtórzył.

Tylko to potrafi powiedzieć? Chwyciła mydło i zmyła z nóg to, co po nim pozostało. Nic dziwnego, że jego mowy końcowe są bez wyrazu. Nic dziwnego, że bez trudu wygrywała z nim w sądzie. Jesteś wyjątkowa, powtórzyła w myślach, wznosząc oczy w stronę strumienia wody.

W porządku, jestem wyjątkowa, pomyślała i wyobraziła sobie Jeremy'ego śpiącego w Brazilian Court w Palm Beach. Trzeba było z nim jechać. Kilka dni na Florydzie dobrze by jej zrobiło. Potrzebowała odpoczynku, a kancelaria dałaby sobie radę bez niej. Ale wówczas ominąłby ją telefon od Susan i sprawa nie cierpiąca zwłoki. Miały się dziś spotkać o ósmej rano u niej w kancelarii.

Zakręciła wodę i wyszła spod prysznica. Co było tak cholernie ważnego, z czym Susan nie mogła zaczekać?

Była już prawie gotowa, gdy Michael wyszedł z łazienki z ciemnymi włosami opadającymi na szerokie czoło i ręcznikiem owiniętym wokół szczupłych bioder. Wysoki, ciemny i przystojny, pomyślała, nie patrząc na niego, zgodnie z zasadą, by nie zwracać uwagi na szczegóły. Dzięki mogła zachować dystans i powiedzieć do widzenia.

— Muszę już iść — oznajmiła.

— Teraz? Myślałem, że coś zamówimy.

— Nie mam czasu.

Poprawiła szarą spódnicę tak, by szwy leżały równo na biodrach, i zdjęła z obitego niebieskim pluszem krzesła żakiet w tym samym kolorze.

— Jest przecież wcześniej. — Spojrzał odruchowo na nadgarstek, na którym zazwyczaj miał zegarek.

Udała, że nie dostrzega pytania w jego oczach i pretensji w głosie.

— Mam spotkanie z klientem o ósmej. Przeczesała krótkie wilgotne włosy.

— Co byś powiedziała na kolację w „Dee Felice Cafe”?

— Nie mogę.

Wsunęła ręce w rękawy żakietu i zapięła perłowe guziki.

— Myślałem, że twój mąż wraca dopiero pod koniec tygodnia — powiedział z urazą głosie.

— Bo tak jest. Ale nie zapominaj, że mam jeszcze dwoje dzieci.

— No to powiedz im, że dłużej pracujesz.

— Nie mogę.

— Vicki...

— Michael...

Roześmiał się, lecz w jego śmiechu wyczuwało się ton porażki.

— No to może jutro.

— Michael...

— Vicki...

Tym razem to ona się roześmiała, lecz w jej śmiechu brzmiała groźba złych wieści.

— Myślę, że czas, byśmy zrobili sobie przerwę.

— Przerwę? — Zaskoczenie, niepokój i niedowierzanie odbiły się zarówno w jego oczach, jak i w głosie. — My?

— Nie ma nas, Michael. — Przestała się szykować i po raz pierwszy tego dnia spojrzała mu w oczy. — Ja mam męża. Ty masz żonę.

— Więc?

Uniosła w górę dłonie, jakby chciała spytać: Czy to nie wystarczy?

— Przedtem jakoś ci to nie przeszkadzało. — Zaskoczenie w jego głosie zmieniło się szybko w gniew.

Poczuła ucisk w piersi.

— Przepraszam. Nie chciałam cię zranić.

— Gównu de obchodzi, co ja czuję.

— Michael, proszę. Czy to konieczne? Rozejrzał się bezradnie po pokoju.

— Myślałem, że coś tu przeżyliśmy.

— Bo przeżyliśmy. — I na tym koniec, pomyślała. — To nie ma z tobą nic wspólnego.

— Chyba nie zamierzasz wciskać mi starej śpiewki w stylu: To nie twoja wina, lecz moja?

— Oczywiście, że nie — skłamała. — Naprawdę bardzo mi przykro.

— Nie rozumiem, jak to się mogło stać — powiedział, przeczesując włosy palcami, gdy ruszyła do drzwi. — To chyba ja powinienem się spieszyć do pracy, a ty powinnaś stać owinięta w ręcznik i błagać mnie, bym został.

A więc o to mu chodzi, pomyślała z rozbawieniem. Nie o miłość czy choćby pożądanie. Nie o rozczarowanie czy rozpacz, lecz o zranione ego, o to, że nie on dyktuje warunki.

— Przykro mi, Michael—powtórzyła, chociaż wcale nie było jej przykro, po czym dodała, nie mogąc się oprzeć: — Pewnie spotkamy się w sądzie.

— Dobra, w czym problem?

Vicki usadowiła się za biurkiem z filiżanką gorącej czarnej kawy w ręku i spojrzała na przyjaciółkę, unosząc świeżo umalowaną brew. Miała jedynie tyle czasu, by się umalować, bo Susan zjawiała się dziesięć minut przed czasem.

Teraz uśmiechnęła się, lecz sprawiała wrażenie speszzonej, co było do niej niepodobne. Wierciła się w fotelu, przenosiła spojrzenie z okna na kolana i z

powrotem, nie zwracając uwagi na stojącą przed nią filiżankę z kawą. Wyraźnie bała się powiedzieć, z czym przyszła. Miała na sobie elegancki garnitur w kolorze oliwkowym, a włosy miękkimi falami otaczały krągłą twarz.

To jeden z plusów nadwagi, pomyślała Vicki. Twarz jest pełniejsza i widać na niej mniej zmarszczek wokół oczu i ust. Jej bystry wzrok dostrzegł jasnobrzoskwiniową szminkę na pełnych wargach Susan, która dodawała im zmysłowości, a także delikatny róż na policzkach, przez co stały się bardziej wyraziste. Oczy płonęły dziwnym blaskiem. Vicki doszła do wniosku, że przyjaciółka po prostu promienieje.

- Chyba nie jesteś w ciąży? — spytała, gwałtownie wciągając powietrze.
- Oszalałaś? — spytała równie zaskoczona Susan. Vicki zaśmiała się z ulgą.
- Wiec o co chodzi? W czym problem?
- Właściwie to nie ma żadnego problemu.
- I dlatego chciałaś się ze mną zobaczyć z samego rana?
- Pomyślałam, że tu będziemy miały więcej spokoju.
- A potrzebujemy spokoju, bo...?
- Nie wiem, od czego zacząć.

Wymijające odpowiedzi nie były domeną Susan. Zazwyczaj od razu przechodziła do sedna sprawy. Była to jedna z cech, które Vicki u niej lubiła. Chris na przykład była zbyt wstydliva, a wielkim urokiem Barbary było to, że nigdy nie miała pewności, o co jej chodzi. Susan natomiast należała do tych rzadkich osób, które mówiły to, co myślą, i myślały to, co mówią.

- Jak dziewczynki? — spytała, dając Susan okazję do zebrania myśli.
- Dobrze.

Nie chodzi więc o dziewczynki.

- A Owen?
- Dobrze. Kolejne „dobrze”.
- A jak mama?
- Bez zmian.

— Przykro mi to słyszeć. — Nie chodzi też o matkę. — Nadal lubisz swoją pracę?

- Kocham moją pracę.

Vicki wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że to ona tu decyduje.

- Miałaś ostatnio jakieś telefony z groźbami od To-ny'ego?
- Ostatnio nie. A ty?

— Nie. Wygląda na to, że się uspokoił, gdy sąd przyznał mu czasową opiekę nad dziećmi.

Obie pokręciły z niedowierzaniem głowami.

- Jak to się mogło stać?
- Cholera wie — przyznała uczciwie Vicki, wciąż jeżąc się na wspomnienie

decyzji sędziego. — Myślę, że sprawę przypieczętowały dzieci, które powiedziały, że chcą zostać z ojcem.

— Dupek — mruknęła Susan.

— Pieprzony kutas — dodała Vicki. — Ale nie z tego powodu przysłaś.

— Nie.

— Powiesz mi czy mam dalej zgadywać? Susan westchnęła i spojrzała w okno.

— Jest pewien mężczyzna.

Vicki podążyła za jej wzrokiem. Jak ona mogła stąd kogoś zobaczyć?

— Mężczyzna? Gdzie?

Susan spuściła głowę i zaśmiała się cicho.

— Nie. Nie miałam na myśli...

— Ach! — Że też dała się tak zaskoczyć. Czy Susan naprawdę ma na myśli to, co ona przypuszcza? — Chcesz powiedzieć... mężczyzna?

Susan oblała się rumieńcem.

— Mężczyzna, który nie jest Owenem? — spytała ostrożnie Vicki, starając się nie wyciągać fałszywych wniosków.

— Mężczyzna, który nie jest Owenem — powtórzyła Susan, przykrywając usta dłonią, jakby chciała cofnąć słowa.

— Masz romans? — spytała Vicki z nieukrywanym zdziwieniem w głosie.

— Nie. Oczywiście, że nie — odparła pospiesznie Susan.

— Oczywiście, że nie — powtórzyła Vicki, starając się wyciągnąć jakieś wnioski z tej zagmatwanej rozmowy. Susan siedzi u niej od dziesięciu minut, a ona wciąż niema pojęcia, po co do niej przysłała. — Nie rozumiem.

— Potrzebuję rady.

— Potrzebuję więcej informacji.

— Przepraszam — odparła Susan. — Ale to dla mnie bardzo trudne.

— Nie spiesz się. — Vicki zerknęła ukradkiem na zegarek. O ósmej czterdzieści pięć przychodzi klient, ale, do diabła z nim, to było znacznie ciekawsze. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, klient zaczeka.

— Jest pewien mężczyzna...

— W pracy?

— Nie!

— To dobrze — stwierdziła Vicki, nie do końca przekonana. Odpowiedź Susan nastąpiła zbyt szybko i brzmiała zbyt zdecydowanie. — Nigdy nie sraj, tam gdzie jadasz.

— Słucham?

— Jeremy tak mówi: „Nigdy nie powinno się srać, tam gdzie się jada” — powtórzyła Vicki, odsuwając od siebie obraz nagiego Michaela. — To znaczy...

— Nie mieszaj interesu z przyjemnością — dokończyła Susan.

— Właśnie. No więc gdzie poznałaś tego mężczyznę?

— Czy to ważne? — spytała Susan po chwili wahania.

— Nie wiem. A jest ważne?

— Nie sędzę.

— Dobra. W czym rzecz?

— Nie rozumiem.

Vicki machnęła rękami w geście desperacji.

— Susan, musisz mi wreszcie coś powiedzieć.

— Jest pewien mężczyzna, który bardzo mi się podoba.

— W porządku.

— I nie jestem pewna, co mam z tym zrobić.

— A co chcesz zrobić?

— Nie wiem.

— Myślę, że wiesz.

Susan zaczęła wykręcać palce dłoni.

— Kocham mojego męża.

— To nie ma nic wspólnego z twoim mężem.

— Nie ma?

— Jeżeli nie zakochałaś się w tamtym mężczyźnie. A zakochałaś się?

— Boże, nie! Nawet nie wiem, czy go lubię.

Vicki omal nie wybuchnęła śmiechem. Susan bywała czasami strasznie naiwna.

— Dobra. Poznałaś faceta. Podoba ci się i chcesz się z nim przespać, tak?

— Nie wiem, czy chcę się z nim przespać. Nie wiem, czego chcę. Tylko że...

— Jesteś już długo mężatką — dokończyła Vicki.

— Tak.

— Pewne sprawy nie są już tak ekscytujące jak kiedyś.

— Nie chodzi o to, że Owen się nie stara.

— Ale ten facet sprawia, że czujesz się wyjątkowa. Śledzi każde twoje słowo.

Kiedy na ciebie patrzy, miękną ci kolana.

— Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył — przyznała Susan.

— Nie rób tego — powiedziała ku swemu zaskoczeniu Vicki. Już miała poradzić przyjaciółce, żeby się nie wahała, wyrwała z więzów i trochę zabawiła. Tymczasem powiedziała coś przeciwnego.

— Słucham? — spytała Susan.

— Nie rób tego. — Znowu to powiedziała. Co się z nią dzieje?

— Dlaczego? Myślałam, że powiesz...

— Że wszystko w porządku—dokończyła Vicki. — Bo jest. Dla pewnych ludzi.

— Lecz nie dla mnie?

— Nie dla ciebie.

Susan sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała czy ma się śmiać, czy płakać.

Zrobiła więc i jedno, i drugie.

— Spójrz na siebie—powiedziała Vicki. — Już płaczesz, a jeszcze nic nie zrobiłaś. A nie zrobiłaś? — spytała dla pewności.

— Pocałowaliśmy się — przyznała Susan.

— I nic więcej? Jesteś pewna? Susan skinęła głową.

— Dobra, pocałowałaś więc faceta, który nie jest Owenem, poczułaś w całym ciele mrowienie i pomyślałaś, że może chciałabyś spróbować czegoś więcej, przysłałaś więc do eksperta w sprawach zdrad małżeńskich...

— Nie chciałam cię urazić.

— Urazić? A kto tu mówi o urazie? Cholera, czuję się zaszczyciona.

— Potrzebna mi była rada.

— Myślę, że chcesz czegoś więcej.

— Czego?

— Pozwolenia.

— Pozwolenia?

— A ja ci go nie dam — powiedziała twardo Vicki.

— Nie możesz mieć romansu. Wracaj do domu, do Owena. Bądź grzeczną dziewczynką.

Susan zerwała się na równe nogi.

— Do diabła z tym! Mam dość bycia grzeczną dziewczynką. Przez całe życie jestem grzeczną dziewczynką.

— Dlatego za późno, by to zmieniać. Zaufaj mi, ty nie chcesz tego zrobić.

— Nie chcę?

— Nie. Ty szukasz romantycznej przygody, takiej jak w liceum. Chciałabyś trzymać się z nim za ręce, chodzić na długie spacery i może trochę poudawać w samochodzie, nim powiesz dobranoc. Znam cię, Susan. Ty chcesz delikatnych pocałunków, nie twardego penisa. Byłabyś nieszczęśliwa. Rano znienawidziłabyś siebie. I byłabyś tak opętana poczuciem winy, że wyznałabyś wszystko mężowi, a to mogłoby zniszczyć wasze małżeństwo. Jesteście dobrym małżeństwem i nie pozwolę ci go spieprzyć.

Susan uśmiechnęła się i pokręciła głową. Co tu jeszcze było do powiedzenia? Vicki miała rację. Obie o tym wiedziały.

— Czasami wprawiasz mnie w zdumienie.

— Czasami sama siebie zdumiewam—przyznała Vicki.

— A teraz wynoś się stąd, bym mogła wprawiać w zdumienie ludzi, którzy mi za to płacą. I nie zrób niczego głupiego

— dodała, gdy Susan sięgnęła do klamki u drzwi. — Jesteś moją bohaterką, pamiętaj o tym.

Susan zatrzymała się i odwróciła głowę. W oczach błyszczały jej łzy wdzięczności. — A ty moją — odpowiedziała.

— Susan, przyjdź do mnie, gdy będziesz miała wolną chwilę — powiedział Peter Bassett, przechodząc obok jej boksu.

Kiwnęła w milczeniu głową, lecz on już poszedł dalej. Pewnie chce, żebym za nim poszła, pomyślała, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Przez cały tydzień go unikała i pilnowała, by nigdy nie byli sami. Przychodziła do biura o dziewiątej, wychodziła o piątej i stale miała dużo pracy. Nie mogła wyjść na lunch, nie mogła zrobić sobie przerwy na kawę, nie miała czasu na skradzione pocałunki w zamkniętych salach konferencyjnych. Co ona opowiada? Musi wyrzucić takie myśli z głowy.

Wierciła się na krześle i wpatrywała w stos papierów na biurku. Kiedy ostatni raz widziała dębowy blat? Zaczynał przypominać podłogę w pokoju Ariel. Było na nim zbyt dużo rzeczy, których nie miała gdzie położyć. Tak często i głośno tłumaczyła się Ariel. Może zbyt surowo traktowała starszą córkę? Może powinna zwracać więcej uwagi na to, co mówi, czy raczej wykrzykuje? Może dlatego tak często krzyczy, bo myśli, że matka jej nie słucha? I może ma rację? Tymczasem Peter pewnie tam na nią czeka.

Podniosła oczy do sufitu i zauważyła pająka idącego wolno po górnej framudze japońskiego parawanu, który oddzielał jej boks od sąsiedniego. Był to jeden z tych zwodniczo kruchych osobników z cieniutkimi srebrzystymi nóżkami wychodzącymi pod dziwacznymi kątami z małego czarnego odwłoka. Jakim cudem te nogi mu się nie tamte, Patrzyła, jak sunie leniwie wzdłuż krawędzi beżowego przepierzenia. Wyobrazila sobie, jak miniaturowe mięśnie wiją pajęczaka w ruch. Ciekawe, czy pająki mają mózgi, czy myślą i czują.

— Znowu zaczynasz myśleć jak studentka — mruknęła, patrząc, jak pająk znika po drugiej stronie ekranu, doskonale zdając sobie sprawę, że przedłuża to, co nieuniknione. Dlaczego siedzi tu i zastanawia się nad sekretami życia pająków, zamiast iść do gabinetu Petera?—Przyjdź do mnie, rzekł pająk do muchy — powiedziała głośno.

— Mówiłaś coś? — usłyszała z sąsiedniego boksu. Pokręciła głową, lecz zaraz pomyślała, że przecież Carrie jej nie widzi.

— Nie, przepraszani.

Nad ścianką boksu pojawiła się głowa Carrie, koleżanki o szczupłej bladej twarzy, z grzywą niesfornych blond loków w odcieniu truskawkowym, które wyglądały, jakby ktoś powtykał je na chybił trafił. Miała dwadzieścia pięć lat, zdążyła się już dwa razy rozwieść, a lekki astygmatyzm w oku sprawiał wrażenie, jakby miała małego zeza.

— Dobrze się czujesz?

— Dobrze.

— Wielki wódz na wojennej ścieżce?

— Poradzę sobie — odpowiedziała Susan, lecz miała co do tego wątpliwości.
— Uważaj na pajaka — ostrzegła, gdy Carrie oparła głowę o ekran.

Nie zmieniając pozycji, Carrie uderzyła pięścią w ściankę, która zachwiała się niebezpiecznie, i z dumą pokazała na otwartej dłoni zwłoki pajaka, wyglądające jak abstrakcyjny tatuaż.

— Ty też — odparła Carrie i zniknęła.

Susan wzięła głęboki oddech, czując, jak wzbiera w niej gniew. Dlaczego ona zabiła tego pajaka? Przecież nic złego nie zrobił. Po prostu szedł sobie, a tu trach! Przed chwilą jeszcze żył, a w następnej już go nie było. Zmiażdżony na marmoladę, pomyślała melodramatycznie. Cóż za bezmyślność! Czy ci młodzi nie wiedzą, jak cenne jest życie? Czy ona również taka była w wieku Carrie? Zabicie pajaka przynosi Pecha. Jeżeli zabijesz pajaka, wkrótce zaczniesz padać, postarzała zawsze matka.

Spojrzała w stronę okien i zauważyła ciemne chmury gromadzące się na niebie. Czowała, jak się ku niej zbliżają. Natura odzwierciedla ludzkie myśli, przypomniała sobie wyrażenie z jednego z wykładów. Patetyczny sofizmat, chyba tak to się nazywało. Wiedza zdobyta na uniwersytecie powoli ulatniała się z pamięci. Tyle już rzeczy zapominała. I po co było tak się męczyć? Zdobyła tytuł magistra, lecz co z tego? Czy zwolni to bezlitosny postęp choroby u matki? Czy sprawi, że starsza córka ją pokocha? Czy ocali ją przed popełnieniem największego błędu w życiu? Na uniwersytecie powinni uczyć rozsądku.

Rozległ się dźwięk telefonu.

— Cześć, kochanie — usłyszała głos Owena. — Nie przeszkadzam ci?

— Czy coś się stało? — spytała w odpowiedzi.

— Wszystko w porządku — zapewnił. Niemal zobaczyła, jak uśmiecha się łagodnie. — Dzwonił Ed Frysinger i zaproponował kolację w piątek wieczorem. Powiedziałem, że porozumiem się z tobą i oddzwonię.

— Może być w piątek.

— Doskonale. Powiem mu.

— Dobrze. Do zobaczenia.

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach. Ponownie odezwał się telefon.

— Muszę się z tobą zobaczyć — burknął Peter Bassett. — Zaraz — dodał i rozłączył się.

Wstała niechętnie i mijając sąsiedni boks uśmiechnęła się do Carrie. Nim dotarła na koniec korytarza, zapięła górny guzik różowej bawełnianej bluzki. Potem wzięła kolejny oddech — robiła to już tyle razy, że zaczęło jej się kręcić w głowie — wyprostowała się i weszła do gabinetu Petera.

Drzwi były otwarte, a szef siedział za biurkiem i czytał coś z uwagą.

— Zaniknij drzwi — polecił nie podnosząc oczu. Odchrząknęła i z bijącym sercem zamknęła za sobą drzwi. Nie bądź głupia, pomyślała i zmusiła się, by spojrzeć na Petera, chociaż on nadal ją ignorował. Nie ma się czym martwić. Nic się nie stanie. Nie w tej chwili. Nie w środku dnia, w oszklonym gabinecie, na oczach ciekawskich pracowników.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa — powiedział, nie podnosząc wzroku.

Wstrzymała oddech i poczuła znajome mrowienie między udami.

— Przez cały dzień usiłuję skupić się na pracy i nic mi nie wychodzi, bo bez przerwy myślę o tobie. — Poniósł głowę i popatrzył na nią.

Nie jest nawet przystojny, przekonywała się w duchu. Jest za chudy i za spiczasty. Owen ma przyjemniejszy wygląd. Tylko kiedy po raz ostatni mąż patrzył na nią z takim pożądaniem? Cudzołóstwo, pomyślała. Niech licho porwie jej nadwrażliwy mózg. Czy on nigdy nie odpoczywa?

Nagle Peter wstał zza biurka i wcisnął jej jakieś papiery do ręki.

— Chodź za mną — polecił i wyszedł, nim zdążyła zapytać, po co.

Wiedziała, dokąd idą, jeszcze nim skręcili w stronę sali konferencyjnej. Oby była zajęta, pomyślała, gdy Peter zapukał, a potem otworzył drzwi.

— Droga wolna — szepnął z uśmiechem, po czym głośno się roześmiał, tak by inni go słyszeli. — Rozłóż te papiery na stole.

Zaczęła je rozkładać, gdy usłyszała, że Peter zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku.

— Co ty robisz? Myślałam, że chcesz...

— Wiesz, czego chcę.

Nagle stał tuż za nią. Poczuła jego ciężki oddech na szyi. Otaczał ją, krępując ręce niewidzialnymi więzami.

— Jesteś taka spięta — szepnął, wprawnie masując kciukami mięśnie na karku. — Rozluźnij się.

Przesunął ręce w przód i objął jej piersi. Nim zdążyła zaprotestować, zsunął je na uda i zaczął podciągać spódnice. Czy on naprawdę zamierza kochać się z nią tu, w tej sali? Czy pozwoli mu na to?

„Nie rób tego” — usłyszała głos Vicki.

— Nie — usłyszała swój szept, lecz nawet dla niej zabrzmiał nieprzekonująco.

— Chcę cię pocałować — powiedział. Obrócił ją twarzą do siebie i wsunął ręce pod spódnice. Odnalazł jej usta i rozsunał wargi językiem. — Chcę cię wszędzie całować.

Cholera! — pomyślała.

„Bądź grzeczną dziewczynką” — powiedziała Vicki.

— Rozluźnij się — wychrypiał Peter, zmagając się z suwakiem w spodniach.

„Wracaj do domu, do Owena”.

Owen, pomyślała, przypominając sobie głos męża, planującego kolację w

piątek. Owen, którego kochała od szkoły średniej — jej pierwsza i jedyna miłość. Dobry, miły, troskliwy, który nigdy by jej nie zdradził. Przecież zawsze nienawidziła mężczyzn oszukujących swoje żony. Pomyśl o Ronię, pomyśl, przez jakie piekło musiała przejść Barbara. Czy tego właśnie chciała? Vicki ma rację. Znienawidziłaby siebie za to. Cholera, już teraz nienawidziła.

— Nie — usłyszała swój głos. — Nie chcę. — Usiłowała wykręcić głowę, lecz nie odrywał od niej warg. — Przestań — powiedziała, wypluwając słowa kącikiem ust, bo tylko tam było trochę miejsca. Nie pomogło. Spróbowała odepchnąć go od siebie, lecz trzymał ją mocno. Czy musi zacząć krzyczeć, by go powstrzymać?

— Przestań! — Wreszcie udało jej się odepchnąć go na długość ramienia.

— O co chodzi? — W jego oczach pojawiło się zmieszanie.

— Nie mogę tego zrobić.

— Oczywiście, że możesz. — Jego ręce były wszędzie: we włosach, na piersiach, szarpały spódnice. — Nikt tu nie wejdzie.

— Nie o to chodzi.

— A o co?

— Po prostu nie mogę.

Odepchnęła go od siebie z taką siłą, że stracił równowagę i uderzył biodrem o kant stołu.

Popatrzył na nią zimnym wzrokiem.

— W co ty grasz, kobieto?

— Przepraszam — powiedziała, usiłując doprowadzić się do porządku. — Nie chciałam, żeby to posunęło się aż tak daleko. Czy nie możemy po prostu o tym zapomnieć?

— Zapomnieć? Od miesiący mnie zwodzisz i nagle chcesz o wszystkim zapomnieć?

— Przepraszam.

— Krygujesz się, trzepiesz rzęsami, gdy chcesz dostać wolny czas, nachylasz się nad moim biurkiem...

— Ja nie... — A może?

— Odgrywasz bezradną, załamana panienkę, zamartwiającą się o matkę...

— Naprawdę martwię się o matkę.

— Martw się lepiej o pracę — powiedział.

— Słucham?

— Nie lubię, gdy traktuje się mnie jak zabawkę.

— Wcale nie traktowałam cię jak zabawki. — Teraz okazuje się, że to ona jest wszystkiemu winna.

— Myślałem, że mnie lubisz. — W jego głosie zabrzmiała prośba. — Myślałem, że tego właśnie chcesz.

Usłyszała jakieś szepty za drzwiami.

— Przepraszam — powtórzyła.

Poprawił ubranie, podciągnął krawat, po czym spojrział na rozrzucone po podłodze papiery, które spadły podczas ich szamotaniny.

— Zbierz tę makulaturę — powiedział, otworzył drzwi i wyszedł, zostawiając ją samą z całym bałaganem.

Trzy tygodnie później na jej biurku zadzwonił telefon.

— Przyjdź do mnie tak szybko, jak to możliwe—powiedział Peter Bassett. — I przynieś ten artykuł o hormonalnej kuracji zastępczej, nad którym pracujesz.

Artykuł? Jaki artykuł? Zaczęła go szukać wśród papierów na biurku. Przez ostatnie tygodnie zarzucił ją taką radością pracy, że nie miała czasu na napisanie artykułu, mogła mu przynieść jedynie kilka notatek, jakiś ogólny szkic. Tylko gdzie je podziała?

Telefon znowu zadzwonił.

— Kiedy mówię, że tak szybko, jak to możliwe, nie znaczy, że jak przyjdzie ci na to ochota — powiedział Peter Bassett.

— Już idę. — Kaszlnęła nerwowo, przytykając palce do ust.

— Chyba nie zamierzasz się znowu rozchorować? — spytał.

— Rozchorować? — Znowu? Kiedy to ostami raz była chora?

— Przynieś ten artykuł.

Znalazła w końcu kartkę z notatkami i przeczytała ją pospiesznie, nim weszła do gabinetu.

— Zobaczmy, co tam masz — rzucił niecierpliwie. Podała mu kartkę, starając nie patrzeć na niego. Za

każdym razem, gdy to robiła, dostawała mdłości.

— Co to, u diabła, ma być? — spytał na tyle głośno, by usłyszeli kręcący się w pobliżu ludzie.

Poczuła, że oblewa się gorącym rumieńcem od czoła aż po szyję.

— To wszystko, co mam.

— Nazywasz to skończonym artykułem?

— Nazywam to szkicem, kilkoma notatkami...

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że ten artykuł ma się ukazać pod koniec tygodnia?

— Co? Oczywiście że nie. Nigdy nie rozmawialiśmy

o żadnych terminach.

— Masz przynieść mi ten artykuł na piątek rano.

— To niemożliwe. Przecież już zleciłeś mi opracowanie trzech innych.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś w stanie wykonywać swoich obowiązków?

— Oczywiście, że jestem w stanie, ale... Uśmiechnął się i odchylił na oparcie fotela.

— Słuchaj, Susan, starałem się być cierpliwy. O czym on mówi?

— Wiem, że masz kłopoty rodzinne, z matką, z córką i Bóg wiem, z kim jeszcze. Może zbyt dużo na siebie wzięłaś?

— Słucham?

— Chemioterapia działa na wszystkich. Spójrz na siebie. Nie wyglądasz dobrze. Opuściłaś się, utyłaś.

Poczuła, jakby dostała w twarz.

— Słucham? — Ile razy to już powtórzyła?

— Mogę ci jedynie dać jeszcze jedną szansę.

— O czym ty mówisz?

— Wiem, że kochasz swoją pracę. Twój zapał jest godny podziwu. Staralem się również brać pod uwagę twój brak doświadczenia. — Pokręcił głową. — Nie jestem jednak pewny, czy nadal mogę cię kryć.

— Kryć mnie?

— Twoja praca nie odpowiada standardom magazynu. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Czy on sądził, że

ktokolwiek w to uwierzy?

Uśmiech w jego oczach wystarczył za odpowiedź.

— Zwalniasz mnie?

— Nie. — Wziął do ręki czarno-białe pióro i zaczął obracać je w palcach. — Jestem miłym facetem. Postanowiłem dać ci jeszcze jedną szansę.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że poddam cię próbie.

— Próbie?

— Potrzebujesz trochę czasu, by wszystko przemyśleć, by zastanowić się nad tym, ile ta praca dla ciebie znaczy, czy możesz poświęcić jej całą swoją uwagę, stać się, jakby to powiedzieć, oddanym członkiem drużyny.

Jakby to powiedzieć, powtórzyła w myślach.

— Nie możesz tego zrobić.

— Ależ mogę — odparł słodkim głosem. — To wszystko. Ach, i nie zapomnij przynieść mi tego artykułu na piątek rano. I zamknij za sobą drzwi.

To niemożliwe, pomyślała, idąc do swojego boksu.

— Jak śmiesz, draniu! — mruknęła pod nosem.

Co ona ma teraz zrobić? Wróciła na swoje miejsce, nie patrząc na boki i udając, że nie dostrzega zdziwionego spojrzenia Carrie. Klapnęła na krzesło, mimowolnie strącając z biurka papiery. Patrzyła, jak wzbijają się w powietrze i dają nura na podłogę, jakby szukały schronienia. Niech cię diabli, Peterze Bassett! Co ona ma teraz zrobić? Jej pracy nic nie można było zarzucić i oboje o tym wiedzieli. Tu nie chodziło o pracę, lecz o to, że odrzuciła jego awanse. Odrzuciła jego awanse! Kim ona była — piękną młodą heroiną z dekoltem do pasa? Nie, żalowaną, grubą kobietą w średnim wieku, która dała się nabrać na pochlebstwa biurowego rozpustnika i

omal nie popełniła strasznego głupstwa, a teraz może stracić pracę. Vicki miała rację. We wszystkim.

Podniosła słuchawkę i wystukała numer Vicki.

— Chciałabym rozmawiać z panią Latimer — oznajmiła sekretarce.

— Ma teraz spotkanie. Może coś przekazać?

— Mogłaby pani jej powiedzieć, że jej przyjaciółka Susan Norman musi z nią natychmiast porozmawiać. Zaczekam tak długo, jak będzie trzeba.

Trzydzieści sekund później usłyszała głos Vicki.

— Susan, gdzie jesteś? Co się stało?

— Jestem w pracy — wyjaśniła. — Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy przed miesiącem?

— Niech to szlag — powiedziała wolno Vicki. — A więc srałaś, tam gdzie jadłaś.

21

— Cholera!—mruknęła Barbara, gdy wbiła sobie w oko szczoteczkę do tuszu. Zaczęła gwałtownie mrugać i rozmazała sobie dolną powiekę. Wyglądała teraz tak, jakby miała podbite oko. — Wspaniale. Tego tylko brakowało.

— Sięgnęła po wacik, wycisnęła na niego trochę mleczka kosmetycznego, po czym delikatnie zmyła czarną pręgę⁵ starając się nie naruszyć reszty makijażu. — Cholera!

— zakłęła ponownie, gdy okazało się, że będzie musiała zacząć wszystko od początku.

228

— Co się stało? — spytała Traccy, stając w drzwiach łazienki. Miała na sobie niebieski szlafrok, taki sam jak matka.

— Spójrz na mnie. Wyglądam, jakbym stoczyła dziesięć rund z Mikiem Tysonem.

Barbara sięgnęła po mleczko i wprawnymi ruchami zaczęła rozprowadzać gęsty biały płyn po policzkach i czole.

— Według mnie wyglądasz ładnie.

— Dziękuję, kochanie, ale chciałabym wyglądać trochę lepiej niż ładnie.

— Wielka mi rzecz. Przecież będziemy tylko my dwie i Richard Gere.

Barbara popatrzyła na odbicie córki w lustrze. O czym ona mówi? Co ma do tego Richard Gere?

— Czy o czymś zapomniałam?

— O Oficerze i dżentelmenie, twoim ulubionym filmie. Prosiłaś, żebym wypożyczyła go na dzisiejszy wieczór.

— O Boże!

— Zapomniałaś?

— Przepraszam.

— Wychodzisz?

— Przepraszam — powtórzyła Barbara.

— Znowu z tym facetem?

— Z Howardem, tak.

— Miałyśmy oglądać film. Prosiłaś, żebym wypożyczyła kasetę. Kupiłam prażoną kukurydzę.

— Przepraszam, skarbie. Naprawdę o tym zapomniałam.

— Nie możesz tego odwołać?

Przez cały dzień czekała na ten wieczór — kolację w „The Maisonette”, najlepszej restauracji w mieście, z Howardem i kilkorgiem jego najbliższych przyjaciół. Nie odwoła tego, zwłaszcza w ostatniej chwili. Z pewnością Traccy to zrozumie.

— Nie mogę. Przepraszam, kochanie. Traccy westchnęła głośno.

— A jutro?

— A może w niedzielę? — zaproponowała Barbara.

— Jutro też wychodzisz?

— Firma Howarda organizuje doroczne przyjęcie. Na pewno ci o tym mówiłam.

— Nie mówiłaś. — Traccy oparła się o drzwi. — O co chodzi? Podoba ci się ten facet?

Barbara wzruszyła ramionami z obojętnym wyrazem twarzy. Nie będzie niepotrzebnie denerwować córki. Spotykała się z Howardem od prawie dwóch miesięcy. Nie wiadomo, jak ta znajomość się rozwinie.

— Bardzo go lubię—powiedziała zamiast tego i wróciła do malowania. Starła z twarzy mleczko, opłukała ją ciepłą wodą i osuszyła. — Może zaprosiłabyś którąś z twoich przyjaciółek — powiedziała, uświadamiając sobie, że właściwie nie zna żadnej koleżanki córki.

Traccy pokręciła lekko głową, nie wprawiając w ruch sięgających ramion ciemnych włosów.

— Chyba nie.

Czy to możliwe, żeby jej córka nie miała żadnych przyjaciół?

Barbara patrzyła, jak oczy Traccy śledzą każdy jej ruch. Nałożyła na twarz krem nawilżający i krem pod oczy, potem trochę korektora pod każde oko, następnie podkład, róż, jasnoniebieski cień na powieki, granatowa kreska wokół oczu i na koniec czarny tusz na rzęsy. Starannie obrysowała wargi wiśniową konturówką, a potem wypełniła kontur ciemnopomarańczową szminką.

— No i jak? — spytała.

— Pięknie.

— Naprawdę?

— Czemu tak się stroisz? — spytała Traccy, idąc za matką do sypialni. — Czy ten facet jest dla ciebie kimś ważnym? Zamierzacie się pobrać czy co?

Powiedziała to żartem, lecz w jej głosie zabrzmiała poważna nuta.

— Oczywiście, że nie. To po prostu znajomy. Barbara zdjęła z wieszaka czarną koktajlową sukienkę.

— Nowa?

— Niezupełnie — skłamała.

— Ma przyczepioną metkę.

Barbara natychmiast poczuła się winna, chociaż nie wiedziała dlaczego. Dlatego że idzie na randkę, że kupiła sobie nową sukienkę? Dlaczego skłamała Traccy?

— Właściwie to kupiłam ją w zeszłym miesiącu, więc nie jest już nowa — wyjaśniła, zastanawiając się, dlaczego w ogóle się tłumaczy.

— Ładna.

— Kupiłam ją na wyprzedaży w naszym sklepie. Pięćdziesiąt procent taniej

plus zniżka pracownicza. Nie mogłam powiedzieć nie.

— Nie musisz się tłumaczyć. — Traccy klapnęła na łóżko, patrząc, jak matka ostrożnie wkłada sukienkę. — Jakie buty włożysz?

— Jeszcze nie wiem — skłamała ponownie, myśląc o nowej parze czarnych pantofelków na wysokich obcasach, leżących w pudełku w szafie. — Może zadzwoniłabyś do Ariel?

— Do Ariel? A po co?

— Nie wiem. Może miałyby ochotę obejrzeć z tobą film.

— To świruska. Widziałaś, jak ona wygląda? Barbara skinęła głową, zastanawiając się, jak Susan to znosi, i ciesząc się w duchu, że Traccy nie czuje potrzeby ścinania włosów czy dręczenia ciała wstrętnymi tatuażami. Susan wyznała, że córka ma już trzy: pseudojapoński znak na prawej łopatce, coś, co wygląda jak zgnieciony ananas na lewej kostce, i najnowszy — pajęczyna na lewym udzie. Za kilka lat tatuaże zaczną się rozmazywać i pajęczyna będzie wyglądała jak żyłki.

Sprawdziła, jak wyglądają jej nogi z tyłu, i szczęśliwie nie znalazła żadnej niebieskiej żyłki, chociaż bez szkieł kontaktowych mogła ich nie zobaczyć. Jediną dobrą stroną starzenia się było to, że nie zawsze dostrzegało się zmiany zachodzące w ciele.

— A może Kirsten. — Stała jej przed oczami urocza córka Vicki z burzą ognistych włosów, lubiana i mądra, która już w wieku piętnastu lat postanowiła, że zostanie Prawnikiem.

Wyraz zaskoczenia na twarzy Traccy wystarczył za całą odpowiedź. Tylko dlatego, że ty i Vicky jesteście przyjaciółkami, wcale nie muszą przyjaźnić się z jej córką—mówiło spojrzenie.

To prawda, pomyślała ze smutkiem Barbara, siadając na łóżku i obejmując córkę. Traccy natychmiast oparła jej głowę na ramieniu. Barbara zawsze sądziła, że dzieci pójdą w ślady matek i też się zaprzyjaźnią. Przecież znały się całe życie. Mimo to nie stały się nawet koleżankami. Nie powinno to jej jednak dziwić, tak bardzo się przecież różniły.

O Montanie, córce Chris, nie wspomniała, bo nikt jej nie widział od ponad roku. Biedna Chris, pomyślała z bólem serca.

Czy naprawdę minęło już osiemnaście miesięcy od owej zimnej grudniowej nocy, gdy Chris zapukała do jej drzwi? Osiemnaście miesięcy temu siedziały razem na tym łóżku. Wtedy miał miejsce ten dziwny pocałunek.

Dotknęła palcami ust na wspomnienie delikatnego dotyku Chris. Zaraz jednak pokręciła głową. Nie ma czasu o tym myśleć. Za niecałe dziesięć minut będzie tu Howard. Musi skończyć się szykować.

— Jakie kolczyki powinienam włożyć?

Traccy wzruszyła ramionami, po czym wyszła z pokoju i zbiegła po schodach

do kuchni. Barbara usłyszała, jak szuka czegoś w lodówce, i zmarszczyła czoło.

— Trzymaj się z dala od lodów! — zawołała, spiesząc do łazienki, by uczesać się i włożyć soczewki kontaktowe.

Punktualnie o siódmej zabrzmiał dzwonek u drzwi i Barbara zbiegła na dół, by powitać nowego mężczyznę w swoim życiu.

— Nie wrócę późno — zapewniła Tracey, całując ją w czoło na pożegnanie.

Oczy Tracey zwięzły się oskarżycielsko.

— Masz nowe buty.

Barbara poznała Howarda przed sześcioma miesiącami, gdy zapisała się na wykłady z wiedzy o świecie współczesnym, organizowane przez dzielnicowy dom kultury. Mieścił się on na tej samej ulicy co butik z dużymi rozmiarami, gdzie

pracowała od prawie roku. Ten kurs był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Czy naprawdę obchodziło ją to, że Irak nie wycofał się piętnastego stycznia z Kuwejtu i połączone siły sojusznicze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Wielkiej Brytanii, Francji, Japonii, Włoch i Pakistanu, jak również państw Ligi Arabskiej rozpoczęły atak powietrzny? Albo że Litwini głosowali za odłączeniem się od Związku Radzieckiego? Musiała jednak coś zrobić ze swoim życiem. Roń nie pozostawił jej wyboru.

Poza tym jeżeli Chris zdołała ułożyć sobie życie mimo ciągłych gróźb Tony'ego, to ona też to potrafi.

Ku swemu zaskoczeniu po kilku wykładach uświadomiła sobie, że naprawdę interesuje ją to, co dzieje się na środkowym Wschodzie i w Związku Radzieckim, w Somalii i Afryce Południowej. Znajdowała prawdziwą przyjemność w poznawaniu świata, dzieleniu się swoją wiedzą z innymi, dyskusowaniu o bieżących wydarzeniach z Susan, Vicki i Chris.

Nie szukała mężczyzny. Prawdę powiedziawszy, na Howarda Kerble'a zwróciła uwagę dopiero na ostatnim wykładzie, gdy zrzucił na ziemię gazetę, a potem wylał na nią kawę.

— Jakież problemy? — spytała, pomagając mu się pozbierać.

— Całe mnóstwo — odpowiedział, po czym uśmiechnął się nieśmiało. — A to jest tylko jeden z nich.

Barbara roześmiała się głośno, tak jak od lat się nie śmiała, i nim się zorientowała, siedziała już z Howardem przy kawie. W następnym tygodniu umówili się na lunch, a w jeszcze następnym poszli razem na kolację.

Howard Kerble był wdowcem, miał dwóch dorosłych synów i małego wnuczka. Umawiam się z dziadkiem, pomyślała któregoś dnia, ciesząc się, że znalazła się w roli młodszej kobiety, chociaż między nimi było tylko osiem lat różnicy.

Początkowo patrzyła na niego, porównując z byłym mężem. Howard był wysoki, lecz nie tak wysoki jak Roń i lepiej od niego zbudowany. Włosy miał rzadsze od Rona i mocniej przyprószone siwizną. Miał niebieskie oczy, a Roń

brązowe, a także smuklejsze palce i mniejsze dłonie. Roń by} znacznie przystojniejszy, lecz Howard bardziej dystygowany, lecz mimo to mniej od niego wybredny i bardziej bezpośredni. Dorównywał Ronowi inteligencją, lecz nie starał się nią popisywać. Nigdy nie mówił o pracy — pracował w ubezpieczeniach — podczas gdy Roń stale o niej opowiadał. W przeciwieństwie do Rona nigdy nie dał jej odczuć, że jest od niego głupsza. Wprost przeciwnie, robił wszystko, by czuła się kimś ważnym. Przy Ronię zawsze uważała się za kogoś gorszego.

— Chciałabyś zobaczyć, jak mieszkam? — spytał Howard.

Siedzieli w jego czarnym lincolnie przed nowoczesnym apartamentowcem na Mehring Way.

— Chętnie, ale...

Ale co? Ale dochodzi jedenasta i powinna wracać do domu? Po co psuć taki piękny wieczór? Ale nie była z mężczyzną od tego straszego maratonu z Kevinem i nie pocałowała nikogo od... Od tamtego pocałunku z Chris, uświadomiła sobie nagle.

— Jesteś piękna—wyszeptła tamtej nocy Chris.—Tak mi ciebie brakowało.

— A mnie ciebie.

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

Potem był pocałunek przerwany nieoczekiwanym hałasem, który oderwał je od siebie, sprawił, że uciekły w przeciwnych kierunkach i poczuły się niezręcznie.

— Jeśli chodzi o to, co zaszło... — próbowała wyjaśnić później Chris.

— Rozumiem — odpowiedziała.

— Tak? Bo ja nie jestem pewna.

— Czy możemy porozmawiać o tym rano?

Tylko że nigdy do tego nie doszło. Pocałunek rozwiął się jak sen, pozostały jedynie fragmenty, które niepokoiły, domagały się głębszego zrozumienia, znikwały, znowu powracały, aż w końcu rozpląły się. żadna z nich nie była w stanie odnaleźć w nim jakiegoś sensu, zresztą nie miały odwagi próbować. Nigdy więcej nie rozmawiały ani nie wspominały o tym zdarzeniu. Zająły się własnym życiem i znów stały się bliskimi przyjaciółkami. Barbara uznała w końcu, że ten pocałunek nie był niczym więcej jak formą ekspresji dwóch samotnych, wrażliwych kobiet, które znalazły się w szczególnie trudnym i ciężkim okresie życia.

Tak naprawdę lubiła mężczyzn, chociaż często wmawiała sobie, że nie. Lubiła ich muskularne ciała, ich siłę, szorstkość skóry, zapach. Zbyt długo pościłam, uznała teraz, wyzbyła się rezerwy i uśmiechnęła do Howarda.

— Chętnie zobaczę, jak mieszkasz — odpowiedziała.

Trzypokojowe mieszkanie nie rozczarowało jej. Było proste, lecz nie przesadnie męskie. Miało duże okna od podłogi do sufitu, drewniane podłogi, miękkie skórzane meble, kolorowe dywany i efektowny widok na rzekę Ohio.

— Napijesz się czegoś? — spytał Howard. Pokręciła przecząco głową.
— Nie jestem pewna, czy mogę to zrobić — szepnęła. Nie zapytał, co ma na myśli.

— Chciałabyś, żebym odwiózł cię do domu?

— Nie — odparła. — Nie chcę wracać do domu.

— A czego chcesz? — spytał. — Zrobię, cokolwiek zechcesz.

— To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam

— odparła i oboje się roześmieli.

— A co powiesz na to, że chyba się w tobie zakochałem?

— spytał.

Poczuła wilgoć pod powiekami.

— To też jest bardzo miłe — odpowiedziała.

— No to dokąd pójdziemy?

— Nie pokazałeś mi jeszcze sypialni — powiedziała. Chwilę później stali przy szerokim łóżku, a on rozpiął jej sukienkę.

— Dawno tego nie robiłam — ostrzegła go. — Nie Jestem nawet pewna, czy pamiętam, jak to się robi. Czy Powiesz mi, że to jak jazda na rowerze?

— Skądże znowu — odrzekł szczerze przerażony. — Za każdym razem, gdy wsiadam na rower, przewracam się i łamię rękę.

Poczuła, jak suknia opada na podłogę i skrzyżowała ręce przed sobą, osłaniając czarny stanik i majtki.

— Te cycki nie są moje — wypaliła, gdy Howard pochylił się, by pocałować ją w szyję.

Spojrzał na nią zakłopotany.

— A czyje?

— Ja je... chirurgicznie podniosłam.

— Zapłaciłaś za nie?

Skinęła głową i wstrzymała oddech. Po co ona to powiedziała?

— Jeżeli za nie zapłaciłaś, to można powiedzieć, że są twoje — powiedział Howard, ukląkł i ucałował każdy z osobna.

— I miałam też operację brzucha—dodała Barbara, nie mogąc powstrzymać potoku wyznań, gdy Howard pchnął ją delikatnie na białą koldrę. — Mówię ci to, bo mam kilka blizn...

— Przed kilku laty usunięto mi wyrostek — oznajmił Howard, po czym zdjął koszulę, by pokazać długą bliznę.

W tym właśnie momencie Barbara nie miała już wątpliwości, że się zakochała.

Niespiesznie sunął dłońmi po jej ciele, chociaż była zbyt zdenerwowana, by odczuwać przyjemność, i bardzo starała się dobrze wypaść. Następnym razem się rozluźni, przyrzekła sobie. Następnym razem nie będzie tak skupiona na technice.

Howard był cierpliwym i troskliwym kochankiem. To nie jego wina, że ona nie odczuwa orgazmów. Po pięciu minutach jego zdecydowanej pracy wydała z siebie kilka westchnień i jęków, co z Ronem zwykle skutkowało, lecz nie oszukało Howarda. Może na Rona też to nie działało. Podśluchała kiedyś okropny kawał opowiadany sobie przez dwóch mężczyzn. Pytanie: Dlaczego kobiety nie doznają orgazmów? Odpowiedź: Bo myślą, że nam na nich zależy.

Howardowi zależało.

— Co ty robisz? — spytał z szelmowskim uśmiechem, gdy zaczęła się pod nim rzucać.—Przecież wiem, że nie jesteś gotowa.

Skąd on to wiedział?

— To nie twoja wina — zapewniła go pospiesznie. — Ja nigdy nie odczuwam orgazmu. To nie ma z tobą nic wspólnego.

— Nie sądzisz, że powinno? — Wysunął się z niej delikatnie. — Leż spokojnie — polecił. — Zamknij oczy i o niczym nie myśl.

Potem jego głowa zniknęła między jej nogami.

— Nie, Howardzie, nie musisz tego robić.

— Nie muszę? — mruknął, pieszcząc wewnętrzną stronę ud. — Chyba żartujesz.

Jego język był wszędzie, penetrował sekretne fałdki, raz delikatnie, to znowu mocniej i głębiej.

— O Boże! — usłyszała swój jęk. — O Boże! O Boże! — I nagle krzyknęła głośno z najczystszej przyjemności doznawanych wrażeń. — Nie przerywaj — wydyszała.

— Nie przerywaj. Nie przerywaj.

Nie przerwał, a kiedy ponownie w nią wszedł, była bardziej niż gotowa, a jej ciałem wstrząsnęła seria gwałtownych spazmów, o istnieniu których nie miała nawet pojęcia.

— O czym myślisz? — spytał, gdy leżeli mokrzy od potu w swoich ramionach.

Uśmiechała się tak szeroko, że z trudem mogła mówić.

— O tym, że nie mogę się już doczekać, by opowiedzieć o tym przyjaciółkom — odparła i oboje wybuchnęli śmiechem.

— Zostaniesz na noc?

Przypomniała sobie o Traccy, która pewnie na nią Bekąła, i pokręciła przecząco głową.

— Może innym razem.

Pocałowała Howarda, czując na jego ustach swój zapach.

Ubrali się. Odwiózł ją do domu, odprowadził pod drzwi, upewnił się, że je otworzyła, i pocałował na pożegnanie.

— Do jutra — powiedział, gdy zamknęła za nim drzwi.

Westchnęła głęboko, po czym pisnęła z radości, przyciskając dłoń do ust, by nie

obudzić córki. Dom tonął w ciemnościach. Telewizor był wyłączony. Traccy pewnie już spała. Barbara zdjęła buty i nagle zobaczyła, że coś się przed nią poruszyło.

W następnej chwili hali wypełniły przeraźliwe krzyki, najpierw Barbary, potem Traccy, potem znów Barbary i Traccy.

Barbara zorientowała się, że w domu prócz nich nikogo nie ma. Oddychała gwałtownie, gdy jej przerażona córka wyłoniła się z mroku z kijem golfowym w ręku. Zaraz jednak wypuściła go z dłoni i rzuciła się matce w ramiona, łkając spazmatycznie.

— Boże! — krzyknęła Barbara, trzymając ją w objęciach. — Co się stało? Nic ci nie jest?

— Tak się przestraszyłam.

Traccy trzęsa się tak mocno, że ledwie mogła mówić.

— Czego się przestraszyłaś? Co tu się stało?

— Byłam w kuchni, szykowałam sobie coś do zjedzenia i nagle usłyszałam hałas. Odwróciłam się i zobaczyłam t? twarz w oknie.

Barbara podbiegła do okna i wpatrzyła się w ciemność, lecz niczego nie zobaczyła.

— Twarz? Czyją twarz?

— Mężczyzny. Nie jestem pewna. To stało się tak szybko. I tak się przestraszyłam.

Tony! — pomyślała Barbara. To na pewno on. Bo któż inny? Nie wystarczało mu nękanie Chris, musiał jeszcze terroryzować bezbronne dziewczęta.

— Moje biedactwo.

Nie powinna była wychodzić. Nie powinna zostawiać Traccy samej. Pomyśleć, że gdy ona wiła się w ekstazie, jej córka kulila się ze strachu. Niech diabli wezmą Tony'ego Malarka! Niech zabiorą go prosto do piekła.

— Znalazłam w szafie stary kij golfowy taty. Pomyślałam, że mogę go użyć, no wiesz, do obrony, gdyby® musiała. Powinnam była zadzwonić na policję, ale pomyślałam o tym. Okropnie się bałam. — Mówiła raźnie i miała rozbiegany wzrok, jakby chciała nadażyć za słowami. — A potem zrobiło się cicho, więc wróciłam na górę. Chyba usnęłam. Nagle usłyszałam hałas za drzwiami. Złapałam kij i zaczęłam schodzić po schodach. Chyba nie myślałam jasno. Zapomniałam, że to pewnie ty wracasz do domu z randki.

— Och, skarbie, tak mi przykro, że wyszłam.

— To nie twoja wina.

Czy to był wytwór jej wyobraźni czy ktoś naprawdę myszkował pod domem?

— Zostanę jutro w domu.

— Nie, daj spokój, nic mi nie będzie.

— Zostanę w domu — powtórzyła Barbara]

Tracey i poprowadziła ją na górę.—Zrobimy sobie

Objęła prążoną

kukurydzę i będziemy patrzeć, jak Richard Gerb ratuje Debrę Winger z tej nudnej pracy w fabryce. Jak to ci się podoba?

— Brzmi wspaniale — odparła Tracey, uśmiechając się z wdzięcznością.

Dotarły do szczytu schodów.

— Chcesz dziś ze mną spać? — spytała Barbara, a Tracey kiwnęła z zapalem głową. Ostatnio znów sypiały razem.

— Będzie jak dawniej — powiedziała Tracey, odrzucając kołdrę i wchodząc do łóżka.

Kilka minut później Barbara położyła się obok niej. Rano zawiadomi policję, że ktoś włóczy się pod jej domem. Howard zrozumie, że jutro nie będzie mogła się z nim spotkać. Zresztą będzie musiał. Niedarowałyby sobie, gdyby Tracey coś się stało.

— Była raz sobie mała dziewczynka — zaczęła śpiewnym głosem, obejmując córkę i odsuwając jej włosy z twarzy — z małym loczkiem nad czołem.

— Gdy dziewczynka była grzeczna — podjęła zabawę Tracey — była bardzo, bardzo grzeczna.

— A gdy była zła...

— Była bardzo, bardzo złą dziewczynką! — zaśpiewały fazem matka i córka.

— Z początku uważałem, że jest wspaniała — mówił Peter Bassett do milczącego audytorium w sali konferencyjnej. — Może brakowało jej profesjonalizmu, lecz była bystra, pełna zapału i pomysłów. Sądziłem więc, że się nauczy. Poza tym wyraźnie się jej podobałem, co mi pochlebiało. Wiem, że głupio postąpiłem, nie czuję z tego powodu dumy, w końcu jestem żonaty. Lecz to Susan była inicjatorką, nie ja.

Susan chrząknęła, spuściła głowę, po czym znowu odchrząknęła. Ojejku! — pomyślała i spojrzała z nadzieją na Vicki. Ta jednak uśmiechnęła się enigmatycznie i nic nie powiedziała. Zachowywała się tak od chwili rozpoczęcia przesłuchania.

Czy ona musi być tak cholernie pewna siebie? — pomyślała Susan. Właściwie dlaczego nie? Była przecież w swoim żywiole. Siedzieli w sali konferencyjnej jednej z największych kancelarii adwokackich w Gncinnati. Na ścianach wisiały cenne obrazy, z okien roztaczały się piękne widoki, pośrodku stał ciężki dębowy stół, przy którym siedzieli, długi prawie na dwanaście metrów, a wokół krzesła w pastelowych kolorach z oparciami wysokimi na pięć metrów. Kosztowały pewnie więcej niż wszystkie meble w domu Susan. Mąż Vicki, Jeremy Latimer, był wyraźnie ubawiony całą sytuacją. Towarzyszyło mu trzech bardzo poważnych, nieskazitelnie ubranych adwokatów, którzy czekali na ruch Vicki.

Co oni tu robili? Dlaczego to zaszło tak daleko?

— Pozwiemy drania — oznajmiła Vicki, gdy Susan wyznała jej, co zaszło między nią a Peterem Bassettem.

— Co takiego?!

— To się nazywa molestowaniem seksualnym i jeśli nie jest to najlepszy tego przykład, to już nie wiem, co jest.

— Nie możemy go pozwać — zaprotestowała Susan.

— Dlaczego nie?

— Choćby dlatego, że musiałabyś pozwać swojego ro?" za. Przecież to jego pismo.

— No to co?

— Zostało nazwane twoim imieniem. Czy nie zachodzi tu konflikt interesów?

— Nie, jeżeli pozwolisz mi zająć się twoimi interesami.

— Czy moje interesy nie kłócą się z twoimi?

— Jeremy i ja nie jesteśmy ze sobą złączeni biodrami. Jest dorosły i potrafi o siebie zadbać.

— Ale co powie, kiedy zagroziysz mu procesem?

— Chyba żartujesz. Nie byłby w stanie kupić takiego rozgłosu. Będzie się cieszył każdą jego minutą.

— Ale...

— Ale co?

— Ale ja nie jestem taka zupełnie niewinna — przypomniała jej Susan. — Pozwoliłam pocałować się Peterowi.

— Tak. I wypalą ci na czole szkarłatną literę — odparowała Vicki. — Daj spokój, Susan. Przecież nie wykorzystyłaś tego pocałunku, by zmusić go do romansu. Dał ci wyraźnie do zrozumienia, że zwolni cię, jeżeli się z nim nie prześpisz.

— Naprawdę myślisz, że mamy szansę?

— Jedno musimy sobie wyjaśnić — powiedziała Vicki. — Nigdy nie ma stuprocentowej gwarancji. A to nie będzie sprawa łatwa do wygrania.

— W takim razie po co ryzykować?

— Bo następną kobietą, której ta gnida będzie grozić, może być twoja córka — odparła bez ogródek Vicki.

Na tym dyskusja się skończyła.

To było pięć miesięcy temu, jeszcze nim Anita Hill oskarżyła Clarence'a Thomasa o molestowanie seksualne i sprawiła, że sprawa Susan znalazła się na pierwszych stronach gazet.

— Mamy szczęście — oznajmiła Vicki.

— Szczęście? — powtórzyła Susan. — Jak możesz tak mówić? Straciłam pracę, mąż się do mnie nie odzywa, nie mogę otworzyć porannej gazety, by nie zobaczyć zdjęcia mojej tłustej twarzy. Sąd nigdy mi nie uwierzy, że nie narzucałam się Peterowi.

— Uważam, że wyszłaś ślicznie. Zaufaj mi. Ta sprawa nigdy nie trafi do sądu.

— Dziękuję, panie Bassett — powiedział jego adwokat. — Pani Latimer, przypuszczam, że ma pani jakieś pytania do mojego klienta.

W odpowiedzi Vicki sięgnęła do teczki i wyjęła z niej mały czarny przedmiot, który położyła delikatnie, lecz efektownie na stole. Włączyła przycisk magnetofonu, odchyliła się na oparcie krzesła i uśmiechnęła do Susan. Susan wstrzymała oddech, czekając na dobiegający z oddali skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi.

— No, no, co my tu mamy? — spytał męski głos. Wszyscy zwrócili się w stronę Petera Bassetta.

— Co to, u diabła, ma być? — spytał gniewnie Peter.

— Napisałam ten artykuł na temat zastępczej kuracji hormonalnej — powtórzyła bezdźwięcznie Susan za swoim głosem z taśmy. — Wiem, że z niecierpliwością na niego czekałeś.

— Co to za sztuczki, pani mecenas? — spytał najstarszy z doradców Jeretny'ego, podrywając się z miejsca.

— Siadaj, Austmie — powiedział zdecydowanym tonem Jeremy i poważny starszy mężczyzna natychmiast go usłuchał.

— Protestuję przeciw temu — odezwał się młodszy adwokat, machając przy tym rękami w różnych kierunkach, jakby nie był pewny, przeciw czemu protestuje.

— Daruj sobie tę komedię, Tom — rzucił oschle Jeremy. — Nie jesteśmy w sądzie. Wysłuchajmy tego diabelstwa.

Wszystkie oczy pospiesznie przeniosły się na mały magnetofon i wpatrzyły w niego, jakby był wielkim ekranem telewizyjnym.

— Może przejrzymy go w sali konferencyjnej — zaczął proponować głos Petera Bassetta. Jego leniwy baryton wypełnił pomieszczenie i zmusił słuchaczy do pochylenia się w przód. — Chyba nie masz nic przeciwko temu?

— Nagrywałaś to? — spytał oburzonym tonem Peter Bassett.

Susan zignorowała go i spojrzała na Vicki. Ona zaś uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: To był mój pomysł.

— Czy to legalne? — spytał Peter Bassett.

— Zamknij się, Peter — powiedział Jeremy Latimer. Peter cofnął się na oparcie i zamknął oczy. Salę wypełniła cisza gęsta jak czarny dym.

— Nie chcę żadnych kłopotów — zabrzmiał po chwili głos Susan. — Proszę, pozwól mi wykonywać moją pracę.

— Twoja praca stoi pod znakiem zapytania — padła zimna odpowiedź. Słowa bluznęły na słuchających jak jad z pyska kobry. — Miałem nadzieję, że zmadrzałaś. Lubię cię, Susan, i to bardzo. Sądziłem, że ty też mnie lubisz. Sądziłem, że lubisz tu pracować.

— Myślę, że spodoba ci się ten artykuł.

— Myślę, że nie.

— Może rzucisz na niego okiem.

— Przekonaj mnie.

— Słucham?

— Przekonaj mnie, że warto rzucić na niego okiem.

— Peter, proszę cię. Czy możemy z tym skończyć, nim nie będzie za późno?

— Myślisz, że możesz kręcić tym swoim tyłkiem, a ja na to nie zareaguję jak każdy pełnokrwisty Amerykanin?

— Przykro mi, jeśli zrobiłam coś, co mogłeś opacznie zrozumieć — odpowiedziała Susan głosem pełnym łez.

— Będzie ci jeszcze bardziej przykro, gdy otrzymasz wymówienie.

— Mówisz poważnie? Naprawdę zwolnisz mnie, jeżeli się z tobą nie prześpię?

— Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz — odpowiedział chytrze Peter.

Podniósł w górę ręce, jakby się poddawał, jakby to do niej należał następny ruch.

— Proszę, nie rób tego — poprosiła po raz ostatni.

— A więc załatwione — powiedział. — Jest pani zwolniona, pani Norman.

Wezwę ochronę, by panią wyprowadziła.

Vicki wyłączyła magnetofon. Do sali wpełzła cisza gęsta jak śmiercionośny gaz, który groził, że wybuchnie przy Pierwszym wypowiedzianym słowie.

— Czy ktoś chciałby jeszcze raz przesłuchać taśmę? — spytała Vicki słodkim, lecz pozbawionym satysfakcji głosem.

— Dziękuję. Myślę, że to wystarczy — odpowiedział Jeremy Latimer. W jego głosie porażka mieszała się ze źle skrywaną dumą i z trudem panował nad sobą, by nie uśmiechnąć się do żony. — Proszę przyjąć moje szczere przeprosiny, pani Norman — zaczął, kiwając głową w stronę Susan. — Za przykrości i ból, których pani doznała.

Susan kiwnęła z wdzięcznością głową. Wargi jej drżały, a w oczach błysnęły łzy.

— Może zrobimy sobie przerwę — zaproponował Jeremy, gdy Vicki schowała magnetofon do teczki. — Spotkajmy się tu, powiedzmy, o trzeciej. — Rozejrzał się po sali. Wszyscy obecni kiwnęli zgodnie głowami, jak pieski stawiane przez kierowców na tylnym parapecie. — Przez ten czas dojdziemy do porozumienia i podejmiemy satysfakcjonującą wszystkich decyzję.

Vicki natychmiast wstała.

— Doskonale.

Susan poczuła trącenie w łokieć i niepewnie podniosła się z krzesła. Szumiało jej w głowie. Czy ten koszmar wreszcie się skończy? Czy będzie mogła wrócić do pracy i dalej żyć? Przytrzymała się stołu. Dobry Boże, chyba tu nie zemdleje?

— Umieram z głodu — oznajmiła Vicki, wyprowadzając Susan na korytarz. Ciężkie dębowe drzwi zamknęły się za nimi.

— Kręci mi się w głowie — powiedziała Susan, opierając się o ścianę.

— Na to pomoże tylko lampka szampana—zaśmiała się głośno Vicki.

— Szampana?

— Szampana—powtórzyła Vicki, po czym zaśmiała się ostrym, drapieżnym śmiechem przypominającym szczekanie psa i pociągnęła Susan za sobą. — Wygrałyśmy, kochanie. Trzeba to uczcić.

— Ile osób przyjdzie?

Susan stała przy komodzie w salonie, szukając w jednej z szuflad świec, które nie byłyby wypalone przynajmniej w dwóch trzecich. Uniosła głowę i zaczęła głośno wymieniać osoby zaproszone na kolację.

— Ty, ja, Ariel, Barbara i Tracey, Vicki i Kirsten, Chris...

— I Montana?

— Montana ma inne plany.

Montana odkładała słuchawkę za każdym razem, gdy słyszała głos Chris.

— Dlaczego tata nie będzie z nami jadł? — spytała Whitney.

— Za dużo bab — wyjaśniła Susan, mając nadzieję, że to kłamstwo zadowoli

młodsza córkę, która była niezwykle mądrą dziewczynką jak na swoje trzynaście lat. Wysoka i smukła, z każdym dniem stawała się coraz ładniejsza. Ma oczy babci, pomyślała Susan, czując pod powiekami wzbierające łzy. Odwróciła się, udając, że szuka świec.

— Czy ty i tata pokłóciliście się?

— Nie. Skąd.

— To dlaczego ze sobą nie rozmawiacie?

— Rozmawiamy — zaprotestowała niepewnie Susan. Nawet niezwykle korzystna ugoda, którą uzyskała dzięki

Vicki, wydawała się niewystarczająca, by wynagrodzić zranione uczucia Owena i jego męskie ego. Zadrzała, przypominając sobie straszną scenę z mężem, gdy w końcu wyznała mu całą prawdę.

— Pocałowałaś go? — spytał Owen z wyrazem bólu i zmieszania na twarzy.

Pozwoliłam mu się pocałować, chciała powiedzieć. Nie powstrzymałam go. Zrezygnowała jednak z tego wyjaśnienia, bo nie odpowiadało prawdzie.

— Tak — przyznała, patrząc, jak ból w oczach Owena staje się intensywniejszy. — To było głupie, wiem. Ale to nie miało żadnego znaczenia. — Czy naprawdę to powiedziała?

— Co się dzieje, Susan? Czy coś się między nami zmieniło?

— Oczywiście, że nie—zapewniła go, przekonując, że to było chwilowe szaleństwo, i przysięgając, że to się nigdy nie powtórzy. Mówiła, jak bardzo go kocha, jak ceni swe małżeństwo. Prosiła, żeby jej wybaczył. W końcu po wielu staraniach i wylanych po obu stronach potokach łez po obu stronach powiedział, że rozumie, chociaż widziała, że nie. Whitney miała rację. Rozmowy z mężem w ostatnich kilku miesiącach stały się niezwykle krótkie i bezosobowe. Nie mogła spojrzeć mu w oczy, tak wyraźnie odbijała się w nich jej zdrada.

Nie mogła go za to winić. Miał prawo czuć się zraniony. Gazety miały swój wielki dzień, informując, że Vicki pozwała męża do sądu za molestowanie seksualne. Gdyby nie doszło do ugody, gdyby sprawa trafiła do sądu, gdyby wyszły na jaw wszystkie szczegóły... Zadrzała. Owen był wyrozumiały i opiekuńczy, ale miał też swoją dumę i mógł poczuć się upokorzony. Zawiodła go.

Vicki powiedziała, że musi mu dać trochę czasu. Owen ją kocha i w końcu dojdzie do siebie.

Co ona mogła wiedzieć? Czy nie zapewniała jej, że wróci do pracy?

— Przykro mi, Susan, ale chyba nie spodziewałaś się, że przyjmą cię z powrotem, po tym jak podałaś ich do sądu? Sprawiasz trochę kłopotów, no wiesz — dodała z figlarnym uśmiechem Vicki.

Ano wiem, pomyślała Susan, kręcąc ze zdumieniem głową. Omiotła wzrokiem salon: okrągły stół z drewna orzechowego, nad nim żyrandol ze szkła i mosiądzu, wokół stołu osiem krzeseł w kolorze wina, pod ścianami dwie komody i nieczynny

kominek, który Owen ciągle obiecywał uruchomić, kremowe zasłony z wielkimi kokardami po bokach wielkiego okna wychodzącego na ulicę. Stanowiło jakby ramę dla drzew, które straciły już większość liści. Nieliczne — czerwone, pomarańczowe i żółte — trzymały się kurczowo życia, reszta leżała już na ziemi. Stała jej przed oczami matka, blada i wychudzona pod szorstką szpitalną pościelą, która trwała przy życiu dzięki rurkom, kroplówkom i sile woli.

Wyjęła dwie ciemnoczerwone świece, nie większe niż ogarki, i wetknęła je w eleganckie szklane świeczniki, potem rozstawiła kryształowe szklanki, podczas gdy Whitney zajęła się sztucami. Nie chciała teraz myśleć o matce, Owenie, problemach ze znalezieniem pracy. Na szczęście Peter Bas-sett był w znacznie gorszej od niej sytuacji. Nie dość że go zwolniono i publicznie upokorzono, to jeszcze żona od niego odeszła, zabierając sprawiające kłopot dzieci i psa.

— Powinnam się przebrać? — spytała teraz Whitney.

— Po co? Ładnie wyglądasz.

— Jesteś kochana.

— Kto jest kochany? — zabrzmiał ponury głos, w którym czaiła się groźba, i do salonu weszła jej piętnastoletnia córka Ariel. Ubrana była na czarno, sterczące sztywno włosy zdobiły purpurowe pasemka, a usta miały odcień ciemnego różu. — Czyżby ta kosmitka?

— Nie zaczynaj — ostrzegła ją Susan.

Ariel spojrzała na świeżo nakryty stół z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

— Co tu się dzieje?

— Małe babskie przyjęcie — wyjaśniła Susan. — Mówiłam ci o tym w zeszłym tygodniu. Będą Chris, Vicki, Kirsten, Barbara, Traccy...

— By uczyć twoje zwycięstwo? — W głosie Ariel brzmiała irytacja. Przecież bez przerwy skarżyła się matce, że przez ten proces wszyscy w klasie się z niej śmieją.

— Właściwie to nie. Tak dawno się nie widziałyśmy, pomyślałam więc...

Ariel skrzywiła się, jakby ktoś zepsuł powietrze.

— Beze mnie.

— Co?

— Nie będę jadła kolacji z Traccy Azinger — burknęła.

— Co ci się nie podoba w Traccy? To urocza dziewczyna.

— Jest dziwna.

— Wcale nie jest dziwna.

— Potrafi tylko siedzieć z tym swoim głupim uśmiechem na twarzy.

— Odkąd to uśmiechanie się jest dziwne?

— Wygląda jak jedna z tych woskowych lalek Madame Trousseau.

— Tussaud — poprawiła Susan.

— Co?

— Tussaud, nie Trousseau. Trousseau to coś, co się dostaje, gdy się wychodzi za mąż.

— Wiem, co to jest trousseau — warknęła Ariel, czerwieniąc się z gniewu.

— Czy Barbara nadal spotyka się z tym facetem? — spytała Whitney.

— Z Howardem Kerble'em? Tak — odpowiedziała Susan, wdzięczna córce za zmianę tematu.

— Myślisz, że się pobiorą?

— Bardzo możliwe.

— To dostanie Tussaud—powiedziała z poważną miną Whitney.

Susan roześmiała się.

— Ze mnie się śmiejecie? — spytała oskarżycielskim tonem Ariel.

— Ależ skąd — odrzekła Susan znużonym głosem. Już czuła się zmęczona, chociaż przyjęcie jeszcze się nie zaczęło. Najwyraźniej Ariel tak na nią działała. — To był tylko żart.

— Whitney to jest dopiero żart.

— Przestań.

— Powinny być z Traccy siostrami.

— Powiedziałam: przestań.

— Traccy rzeczywiście jest trochę dziwna, mamó. Ku zaskoczeniu Susan powiedziała to Whitney.

— Co takiego?

Whitney wzruszyła ramionami.

— Dlaczego na nią nie krzyczysz? — spytała Ariel.

— Na ciebie też nie krzyczałam.

— Zawsze na mnie krzyczysz.

— Nieprawda... — Nie daj się sprowokować, pomyślała. — Dajmy temu spokój, dobrze?

— Dobrze — odparła Ariel. — W takim razie wychodzisz?—Susan natychmiast chwyciła przynętę.

— Co to znaczy wychodzisz?

— Mam swoje plany.

— Jakie plany?

— Nie twój interes.

Susan wzięła kilka głębokich oddechów, policzyła w duchu do dziesięciu, potem jeszcze raz, i jeszcze, i dopiero się odezwała.

— Nigdzie nie pójdziesz, moja panno. A teraz pomóż nam nakryć do stołu.

W odpowiedzi Ariel wyszła do hallu, otworzyła drzwi szafy i wyjęła kurtkę. Susan natychmiast znalazła się przy niej.

— Co ty robisz?

— Mówiłam ci, wychodzę.

— A ja powiedziałam, że zostaniesz.

Ariel pokręciła głową i wepchnęła ręce w rękawy starej czarnej kurtki.

— No to mamy problem. Susan próbowała zmienić front.

— Ariel, zrób to dla mnie, dobrze? Bardzo chciałam, żebyśmy spędziły ten wieczór razem. Chyba możesz wytrzymać z Traccy te kilka godzin?

— Nie — odpowiedziała z uporem Ariel.

— Czy proszę o tak wiele?

— Tak.

Otworzyła drzwi. Powiew chłodnego powietrza wpadł do środka.

— Pozwól jej iść! — zawołała z salonu Whitney. — Bez niej będziemy się lepiej bawiły.

Ma rację, pomyślała Susan, cofając się. Dlaczego tak jej zależy, by Ariel została w domu? Przez całe przyjęcie będzie musiała oglądać jej nadąsaną twarz, wysłuchiwać ciągłych zniewag pod adresem Whitney, patrzeć, jak lekceważy gości i zaraża ich ponurym nastrojem. Niech sobie idzie. Wróciła do salonu, słysząc za plecami trzask zamykanych drzwi.

— Tak będzie lepiej — powiedziała Whitney, po czym uśmiechnęła się, wskazując na stół. — Ładnie wygląda, prawda?

— Pięknie. Dziękuję ci, kochanie. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Nagle drzwi wejściowe otwarły się z hukiem i do domu wpadła Ariel z twarzą płonąca wściekłością.

— Co to znaczy, że beze mnie będziecie się lepiej bawiły?! Susan wybuchnęła śmiechem, gdyby wyraz twarzy

córki nie wskazywał, że mówi śmiertelnie poważnie. Whitney tylko przewróciła oczami.

— Nie wywracaj oczami, suko! — krzyknęła Ariel.

— Uspokój się — upomniała ją Susan. — Masz natychmiast przestać.

— Nie zwracaj na nią uwagi, mamó — powiedziała Whitney i odwróciła się do siostry plecami.

— Nie odwracaj się ode mnie, ty kretynko!

Ariel podbiegła do stołu, chwyciła kryształową szklankę i uniosła ją nad głowę.

— Natychmiast to odstaw — powiedziała Susan, lecz szklanka już opuściła dłoń córki i poszybowała w stronę Whitney. — Whitney, uważaj! — krzyknęła Susan.

Szklanka o włos minęła głowę Whitney, uderzyła w ścianę i rozprysła się na tysiące drobnych kawałków.

— Przepraszam — powiedziała ze strachem w oczach Ariel. — Nie chciałam jej rzucić. Wyleciała mi z ręki, nim zdążyłam ją zatrzymać.

— Wyjdź stąd — powiedziała niskim głosem Susan. Jak mogło do tego dojść? Jeszcze przed chwilą wszystko było w porządku, a teraz podłoga w całym pokoju

zasypana była szkłem. Whitney już klęczała, starając się zebrać kawałki szkła. Łzy spływały jej po policzkach, mimo że starała sieje ukryć. — Wyjdź stąd — powtórzyła Susan.

— Myślałam, że chcesz, żebym została — zaprotestowała Ariel.

— Zmieniłam zdanie. Wyjdź.

— A dokąd mam iść? — jęknęła Ariel.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparła Susan i w tej chwili tak myślała.

— To wszystko twoja wina! — zawołała Ariel do siostry.

— Jeszcze jedno słowo, a zadzwonię na policję i każę ci? aresztować za napaść — ostrzegła zimnym głosem Susan.

Ariel spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Może jeszcze za napaść seksualną, co? — warknęła.

— Bo to chyba twoja specjalność.

— Wyjdź stąd — powtórzyła Susan. — W tej chwili. Ariel wybiegła z pokoju, wykrzykując gniewne słowa, po

czym otworzyła drzwi i zamknęła je z trzaskiem. Dopiero po kilku sekundach dotarło do Susan, co to były za słowa.

— Pożałujesz tego! — zabrzmiał jej w uszach głos córki.

— Pożałujesz, pożałujesz, pożałujesz.

— Przepraszam, pani Hallendale, w jaki dzień tygodnia chciałaby pani przyprowadzić Charliego?

Emily Hallendale wzruszyła z irytacją ramionami.

— Mówiłam, że najwygodniejsza byłaby dla mnie środa. W jej głosie zabrzmiało niezadowolenie, że musi się

powtarzać. Na rękę trzymała małego białego pudełka, którego wsunęła pod półdługie czarne futro z norek. Była wysoką, energiczną kobietą po czterdziestce, z krótkimi czarnymi włosami, oliwkową cerą, wysokimi kośćmi policzkowymi i zupełnym brakiem tolerancji dla niekompetencji. Nienawidzi mnie, pomyślała Chris. I ze wzajemnością.

— Proszę bardzo — powiedziała, wpisując imię psa do terminarza doktora Marcusa. — Godzina pierwsza, czwartek, dwudziesty pierwszy marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi rok.

Przepisała datę na kartę wizytową, po czym podała ją Emily Hallendale. Ta popatrzyła na nią jak na idiotkę.

— Miała być środa — powiedziała beznamiętnym tonem, jakby dla Chris nie warto było się wysilać.

— Przepraszani. Tak, rzeczywiście mówiła pani o środzie.

— I to trzy razy.

— Bardzo przepraszam.

Zadzwoił telefon. Chris utkwiała w nim wzrok i założyła za ucho pasmo długich do ramion włosów.

— Nie powinna pani odebrać telefonu?

— Nie — odparła ze sztywnym uśmiechem Chris, chociaż miała ochotę krzyknąć. Jakim prawem ta kobieta mówi jej, co ma robić?

— Nie podoba mi się pani ton — powiedziała Emily Hallendale.

— Przepraszam — odparła pospiesznie Chris.

— Może powinnam porozmawiać z doktorem Marcusem na temat osób, które u siebie zatrudnia.

— Może powinna pani — przyznała Chris, wypisując następną karteczkę i nie podnosząc wzroku położyła ją na kontuarze. — Środa, dwudziesty marca, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi rok. Godzina pierwsza. Życzę miłego dnia.

Emily Hallendale stała przez chwilę, jakby zastanawiała się, co zrobić, po czym wsunęła kartkę do wielkiej czarnej torby z krokodylej skóry.

— Proszę nie zapomnieć zmienić daty w kalendarzu doktora — poradziła chłodno i pomaszerowała do drzwi ze szczekającym na do widzenia pieskiem za pazuchą.

— Czy ktoś mógłby odebrać ten przeklęty telefon? — zabrzmiał gdzieś z głębi gruby głos doktora Marcusa.

Chris skinęła głową i pomyślała, że doktor coraz bardziej upodabnia się do swoich pacjentów, lecz nie sięgnęła po słuchawkę. Po co? Wiedziała, kto dzwoni.

— Odbierz ten przeklęty telefon! Odbierz ten przeklęty telefon! — rozległ się wrzask w zatłoczonej poczekalni.

— Cicho, Lydio — powiedziała Chris do białej papugi kakadu siedzącej na dachu wielkiej klatki. Lydia była firmową maskotką, swarliwą papugą, którą przyniesiono tu przed sześcioma miesiącami i porzucono.

— Cicho, Lydio! — powtórzył za nią ptak, po czym zaczął chodzić po klatce i kiwać łebkiem w górę i w dół.

— Co ona robi? — spytała dziewczynka siedząca na jednym ze skórzanych foteli w poczekalni. Miała zadarty nosek obsypany piegami. Chris oceniła ją na jakieś osiem lat-Kołysała w objęciach szarego kotka, a w jej oczach czaiła się zupełnie niedziecięca troska. Towarzyszająca jej matka od-

chyliła głowę na jasnoróżową ścianę ze zdjęciem dokazującego delfina i zamknęła oczy.

— Gimnastykuje się—wyjaśniła Chris rudej dziewczynce, starając się odsunąć od siebie myśli o Montanie.

Dziewczynka wstała z fotela i podeszła do klatki.

— Uważaj, bo może udziobać — ostrzegła ją Chris. Dziewczynka cofnęła się i mocniej objęła kotka, patrząc

na Chris wielkimi jasnozielonymi oczami.

— Czy ona może udziobać Fluffy'ego?

Może zjeść go na śniadanie, pomyślała Chris, lecz nie powiedziała tego głośno. Jak wcześnie budzi się w dziecku instynkt obronny. Ponownie odsunęła od siebie myśli o Montanie, lecz jak zwykle córka była wszędzie —jej obraz wypełniał puste fotele, kładł się cieniem na oknach, pochłaniając światło z ulicy, a jej usta wciągały powietrze jak wodę ze stawu. Chris poczuła, że kręci jej się w głowie.

— Telefon! — warknął doktor Marcus.

— Telefon! — powtórzyła Lydia, kiwając łebkiem. — Odbierz ten przeklęty telefon!

Chris zamknęła oczy, starając się odsunąć od siebie obraz córki i odetchnęła głęboko. Poczowała, że tkwi jej w piersi jak nóż. Potem uniosła słuchawkę i odłożyła ją na widelki.

— Dlaczego pani to zrobiła? — spytała dziewczynka, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

— Bo to była pomyłka.

— Skąd pani wie?

Uśmiechnęła się. Cóż mogła jej powiedzieć?

— Czy długo jeszcze będziemy czekać? — spytała matka dziewczynki, nie otwierając oczu.

— Mam nadzieję, że nie. — Telefon znowu zaczął dzwonić. — Doktora wezwano dziś do wypadku — wyjaśniła nieco głośniejszym głosem, by zagłuszyć dzwoniący telefon. — Samochód potrafił psa. Dlatego mamy opóźnienie. Przepraszamy państwa — zwróciła się do dwóch innych osób: mężczyzny w średnim wieku, trzymającego w objęciach trzęsącego się owczarka niemieckiego, i starszej kobiety o siwych kręconych włosach, szepczącej coś do grubego perskiego kota. Pewnie przywykli już do czekania. Doktor

Marcus prowadził dobrze prosperującą praktykę. Zawsze panował w niej ruch. Pewnie dlatego przyjął ją do pracy, chociaż nie miała doświadczenia.

Poczuła się szczęśliwa, gdy dostała to zajęcie, i bardzo pragnęła tu zostać. Dlatego nie powinna tak się zachowywać. Później zadzwoni do Emily Hallendale i przeprosi ją za swoją nieuprzejmość. Nie może pozwolić sobie na roztargnienie. Nie może podskakiwać za każdym razem, gdy dzwoni telefon. Musi podnosić słuchawkę. Wyciągnęła rękę i zawahała się, żeby nie było tak jak ostatnim razem, żeby Tony jej nie odnalazł, żeby wreszcie zostawił ją w spokoju.

Do tej pory zawsze ją odnajdywał. Wiedziała też, że nigdy nie zostawi jej w spokoju. Bez względu na to, ile razy będzie się przeprowadzać — cztery w ciągu ostatnich sześciu miesięcy — ile razy będzie zmieniać numer telefonu — do tej pory sześć razy. Będzie za nią chodził, niepokoił w domu i w pracy. Nie mogła spać, nie mogła skupić się na pracy, nie dawała sobie rady z najprostszymi zadaniami, dlatego pracodawcy musieli ją zwalniać.

— Przykro nam — słyszała, gdy wyczerpały się granice wyrozumiałości i cierpliwości. — Wiemy, że to nie twoja wina, ale firma musi funkcjonować.

Najpierw pracowała jako kelnerka w restauracji urządzonej w stylu lat pięćdziesiątych. Tony dowiedział się, gdzie pracuje, i zaczął chodzić za nią do i z restauracji, siadać przy stoliku w rogu sali i obserwować każdy jej ruch, patrząc na nią z tym swoim uśmiechem na twarzy, który zapowiadał, że szykuje coś dla niej na później. Doprowadził do tego, że nie mogła przejść od stolika do stolika, nie potykając się lub nie rozlewając czegoś.

Zwolniono ją po trzech miesiącach. („Przykro nam-Wiemy, że to nie twoja wina...”).

Wtedy Barbara zasugerowała, że powinna poszukać pracy w wieżowcu strzeżonym przez ochronę. Znalazła w końcu taką pracę — recepcjonistki w agencji reklamowej na jedenastym piętrze trzynastokondygnacyjnego budynku ze stałą ochroną, lecz i stamtąd zwolniono ją po czterech miesiącach, gdy Tony zaczął bombardować biuro uciążliwymi telefonami. („Firma musi funkcjonować”).

Wtedy uzyskała nakaz sądowy, zabraniający mu zbliżać się do niej. Nic to nie pomogło. Drugi też okazał się bezużyteczny. Machnęła mu nim przed nosem, gdy pewnego wieczoru poszedł za nią do domu. Takie nakazy są warte tyle, ile ten papier, powiedział. Kule są mocniejsze od papieru, a pięści mają większy ciężar niż

postanowienia sądu. Nakazy tylko go rozzłościły i sprawiły, że z większą determinacją dążył do tego, by uczynić z jej życia piekło.

— Może będziesz musiała go zastrzelić — stwierdziła Vicki. Chris spojrzała na nią, sądząc, że żartuje, lecz przyjaciółka mówiła jak najbardziej poważnie.—Nie martw się—dodała. — Będę cię bronić. Nie spędzisz nawet jednego dnia w więzieniu. Obiecuję ci.

Czy to właśnie była odpowiedź na jej problemy? Czy jednak byłaby w stanie to zrobić? Wszystko jej zabrał: dzieci, dom i spokój. I to mu jednak nie wystarczało i nigdy nie wystarczy. „Zatańczę na twoim grobie”, powiedział. „Zatańczę na twoim grobie”, brzęczał telefon.

— Nie odbierze pani telefonu? — spytała dziewczynka.

— Odbierz telefon! — wrzasnęła Lydia. — Odbierz telefon! Odbierz ten przeklęty telefon!

— Na miłość boską, Chris, co tu się dzieje?—Z gabinetu wyszedł doktor Marcus i podniósł słuchawkę. — Lecznica weterynaryjna Mariemont — mruknął.

— No nareszcie! — wykrzyknął zniecierpliwiony kobiecy głos. — Dzwonię od pół godziny. Bez przerwy coś mnie rozłącza.

— Mieliliśmy kłopoty z telefonem — wyjaśnił doktor Marcus, patrząc na Chris z rozbawieniem. — Czym mogę służyć?

Chris opadła na fotel i zapatrzyła się bezmyślnie w okno. Doktor Marcus wyjął długopis i zapisał coś w kalendarzu. Jak długo utrzymam się na tej posadzie? — pomyślała.

— Tak, pani Newman, to rzeczywiście niepokojące. Proszę przyprowadzić Snugglesa około czwartej. I przepraszam za kłopoty z telefonem. — Odłożył słuchawkę i spojrzał pytająco na Chris. — Czy coś się stało? — spytał cicho.

— Stało?! — wrzasnęła Lydia.

— Nie, doktorze. Przepraszam, nic się nie stało — odpowiedziała.

— Telefon działa?

W tym momencie znowu zadzwonił telefon.

— Odbierz telefon! — krzyknęła Lydia. — Odbierz ten przeklęty telefon!

Chris poczuła, że wszyscy na nią patrzą. Podniosła słuchawkę.

— Lecznica weterynaryjna Mariemont — powiedziała niepewnie.

— Witaj, suko — odezwał się znajomy głos. Zbladła i rzuciła słuchawkę na biurko. Doktor Marcus

pospiesznie podniósł ją do ucha.

— Doktor Marcus przy telefonie. Czym mogę służyć? — Nastąpiła chwila ciszy. — Oczywiście. Leczymy tu wszystkie rasy. Kiedy chciałby pan przyjść? — Przerzucił niecierpliwie strony kalendarza. — Przyszły wtorek o dziesiątej. Pańskie nazwisko? Smith? Rzeczywiście bardzo proste.

Czy to możliwe, że się pomyliła? Czy to wyobraźnia płata jej figle? Czyżby

słyszała coś, czego nie było?

— A imię psa? Montana? — powiedział doktor Marcus, a Chris gwałtownie wciągnęła powietrze. — Ciekawe imię. Nie spotkałem się jeszcze z takim. — Odłożył słuchawkę i spojrzał na Chris, która znowu miała kłopoty z oddychaniem. — Mógłbym zamienić z tobą parę słów? Proszę? wybaczyć — zwrócił się do czekających. — Dobrze się czujesz? — spytał, prowadząc Chris do jednego z gabinetów. Przez chwilę myślała, że zacznie ją osłuchiwać stetoskopem zawieszonym na szyi.

Oparła się o wysoki metalowy stół stojący pośrodku pokoju. Co miała mu powiedzieć?

— Chris, co się dzieje? Źle się czujesz? Dostrzegła troskę w brązowych, przetykanych złocistym'

plamkami oczach doktora i rozpoznała w nich to sarno spojrzenie, które widziała w oczach poprzednich pracodawców, gdy ją zwalniali. Za tydzień lub dwa troska ustąpi miejsca rozsądkowi.

— Przykro mi. Żałuję, że muszę to zrobić — niemal słyszała, jak mówi. — Ale ja prowadzę tu interes.

— Może powinnaś wziąć sobie wolne na resztę dnia. Kathleen posiedzi w recepcji. — Machnął głową w stronę innych gabinetów, gdzie jego pomocnice opiekowały się zwierzętami. — Idź do domu, wyśpij się, a jutro na pewno poczujesz się lepiej.

Pokręciła przecząco głową. Jutro będzie tylko gorzej. Dziś to jedynie początek, pierwszy dzień doskonale wyreżyserowanej kampanii terroru Tony'ego. Pierwszy dzień z wielu, jakie ją jeszcze czekały. Tony był wcielonym diabłem. Tym razem dał jej prawie trzy miesiące spokoju, by rozejrzała się, odprężyła i poczuła bezpiecznie w nowym otoczeniu. O dwa tygodnie dłużej niż poprzednim razem. Dwa tygodnie, w czasie których przestała podskakiwać na widok własnego cienia i poczuła się wreszcie jak normalny człowiek. Zaczęła w niej nawet kiełkować nadzieja na spokojne życie.

Telefon zadzwonił, gdy tylko weszła o ósmej rano do lecznicy.

— Lecznica weterynaryjna Mariemont — powiedziała wesoło. Świeciło słońce, przyszła wiosna i czas na nowe życie i optymizm.

— Witaj, suko — usłyszała i wszelkie nadzieje prysły jak bańka mydlana.

— Chyba nie przyjdę jutro — powiedziała ze łzami w oczach. Kochała tę pracę, kochała zwierzęta. Myślała nawet o odłożeniu pieniędzy na kurs asystentki weterynarza.

Kogo ona chce oszukać? — pomyślała z goryczą. Ma prawie czterdzieści lat. Za późno na jakąkolwiek naukę, za późno, by zostać kimś innym, niż była, to znaczy nikim. Przecież Tony od lat jej to powtarzał.

— Źle się czujesz?

Doktor Marcus przyłożył jej dłoń do czoła, by sprawdzić, czy nie ma gorączki.

— Nic mi nie jest—odpowiedziała, łzy spływały jej teraz po policzkach. — Przepraszam, ale nie będę mogła tu pracować. — Przynajmniej zaoszczędziła mu przykrego obowiązku i przyspieszyła to co nieuniknione.

— O co chodzi, Chris? Może mógłbym ci jakoś pomóc.

— Dziękuję, doktorze. Nie, nie może mi pan pomóc. — Nikt jej nie mógł pomóc. — Lepiej będzie dla wszystkich, gdy odejdę.

Na kpiarskiej twarzy doktora pojawiło się niezdecydowanie. Czy powinien podnieść ją na duchu i spróbować dowiedzieć się, o co chodzi, czy dać jej spokój; uznać, że ma kłopoty, które jego nie dotyczą i pozwolić jej odejść, nim sprawy zbyt się skomplikują?

— Jak sobie życzysz — powiedział w końcu. Uśmiechnęła się smutno. Tak było lepiej. Znajdzie inną

pracę i może zyska następny miesiąc lub dwa, nim Tony znowu sienie pojawi. Może nadszedł czas na przeniesienie do innego miasta i rozpoczęcie nowego życia.

Życia bez dzieci i bez przyjaciół.

Właściwie to nie miała już dzieci. Rowdy ostatnio kopnął ją, gdy chciała wziąć go na ręce. Wyatt nie chciał z nią rozmawiać ani nawet spojrzeć na nią. Montany nie widziała od prawie dwóch lat.

Przyjaciółki też miały własne sprawy. Praktyka Vicki kwitła, z każdym dniem stawała się coraz sławniejsza. Susan ostatnio opublikowała kilka artykułów w „Cincinnati Post” i poproszono ją o wygłoszenie wykładu otwierającego sympozjum na temat seksu w pracy. Barbara była zajęta przygotowaniem do ślubu na jesieni.

Barbara. Uśmiechnęła się mimowolnie i otarła łzy. W pamięci wciąż miała dotyk jej ust na swoich. Czy to możliwe, że Tony jednak miał rację? Że odkrył prawdę, z której ona nie zdawała sobie sprawy?

Wzruszyła ramionami. To i tak niczego nie zmieni. Barbara najwyraźniej się tym nie przejęła. Za sześć miesięcy miała wyjść za mąż za wspaniałego, troskliwego mężczyznę. To, czego doświadczyła tamtej nocy w sypialni przyjaciółki, było wyłącznie jej udziałem. Pocałunek, które je połączył, był równie krótki jak niespodziewany. Lecz to on właśnie przypieczętował los Chris. Przekroczyła pewną granicę i nie było już odwrotu.

Zaskoczyła wszystkich, zwłaszcza Tony'ego, lecz najbardziej samą siebie. Spodziewano się, że wróci do męża. Początkowo okazywał skruchę, przysyłał kwiaty, wylewnie przeproszał. Starał się ją przekonać, że to była tylko taka gra, że chciał otworzyć drzwi, lecz jej już nie było. Powinna dostrzec zabawną stronę tego zdarzenia. Później będzie się z tego śmiać. Pamiętasz, jak wyrzuciłem cię na mróz w stroju wróżki?

Chris jednak nie widziała w tym nic śmiesznego i nie wróciła do domu.

— Nigdy więcej nie zobaczysz dzieci — zagroził i dotrzymał słowa.

Zadrzała, przypominając sobie wyraz twarzy Montany, gdy odwróciła się z obrzydzeniem od matki stojącej prawie nago na śniegu i błagającej, by wpuszczono ją do domu, w którym czekały kolejne upokorzenia. Nigdy więcej nie chciałyby zobaczyć tego wyrazu na czyjejkolwiek twarzy.

Poczuła ogromne znużenie i z trudem powstrzymała się, by nie zwinąć się w kłębek na metalowym stole i nie zasnąć. Miała dość bycia obiektem pogardy i drwin, litości i żalu. Miała dość zmartwionych spojrzeń przyjaciółek, zapewniania ich, że wszystko jest w porządku, przeprowadzania się z jednego okropnego mieszkania do drugiego, osvajania się z pracą, w której i tak nie będzie mogła pozostać, oglądania się za siebie, życia w strachu. Miała już dość rozczarowań, samotności i ciągłego zmęczenia.

Na co ona czeka?

— Cholera — szepnęła, gdy zrozumiała, co powinna zrobić.

— Panie doktorze! — zawołała jedna z pielęgniarek i Chris uświadomiła sobie, że on nadal stoi obok niej.

— Już idę! — Zawahał się, jakby czytał w myślach Chris.

— Proszę iść — powiedziała Chris — i nie martwić się o mnie. Dam sobie radę.

— Jesteś pewna?

— Dziękuję za wszystko.

Postała jeszcze chwilę w pustym pokoju, po czym podeszła szybko do szaf stojących przy ścianie. Otwierała jedną po drugiej, aż znalazła to, czego szukała. Czym różnią się środki uspokajające dla zwierząt od tych dla ludzi? Z pewnością jedna butelka wystarczy, by uśpić na zawsze zarówno człowieka, jak i zwierzę. Schowała do kieszeni najpierw jedną, potem drugą butelkę. Dla pewności. Może w następnym życiu powróci jako miniaturowy pudełek Emily Hallendale.

Wróciła do poczekalni po palto i torebkę i zastała przy ladzie Emily Hallendale.

— Chciałabym panią przeprosić—powiedziała kobieta.

— Przeprosić?

— Za moją nieuprzejmość, za to, co powiedziałam.

— Naprawdę niepotrzebnie.

— W przyszłą środę będę zajęta — ciągnęła niepewnie. Spod wielkiego czarnego futra wystawała biała główka pieska. — Po tej całej awanturze, jaką zrobiłam z pomyleniem dat, zupełnie zapomniałam o spotkaniu w środę. Przypomniałam sobie o nim, gdy wsiadłam do samochodu.

Chris się uśmiechnęła.

— Kathleen się panią zajmie — powiedziała, wkładając palto.

Do kontuaru podeszła jej zmienniczka.

— Doktor Marcus powiedział, że odchodzisz — zwróciła się do niej Kathleen,

jakby nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

— Odchodzi pani? — spytała Emily Hallendale.

— Odchodzi pani?! — skrzeknęła Lydia.

— Mam nadzieję, że nie z mojego powodu! — zawołała Emily Hallendale, przyciskając do piersi rękę w rękawiczce. Biały pudełek natychmiast zaczął ją lizać.

— Nie — odparła Chris. — Zapewniam panią, że to nie ma nic wspólnego z tym, co się stało.

— A co się stało? — spytała Emily. Zadzwoił telefon. Kathleen podniosła słuchawkę.

— Lecznica dla zwierząt Mariemont.

Chris wstrzymała oddech i poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

— Halo? — powiedziała Kathleen. — Halo? Jest tam kto?—Wzruszyła ramionami i odłożyła słuchawkę. —Pewnie pomyłka.

Chris chwyciła torbę.

— Muszę już iść.

Była już na ulicy, gdy poczuła, że ktoś chwyta ją za łokieć.

— Czego ty ode mnie chcesz? W porządku, wygrałeś. Poddaję się. Zostaw mnie wreszcie w spokoju.

Odwróciła się, nie mając pewności, co zobaczy najpierw: Tony'ego czy jego pięść. Zamiast tego zobaczyła Emily Hallendale.

— Och, przepraszam. Myślałam, że to ktoś inny.

— Ten sam, który dzwonił przez całe popołudnie? Nie odpowiedziała, bo nie ufała własnemu głosowi.

— Upuściła to pani — mówiła dalej Emily, wyciągając z kieszeni futra buteleczkę ze środkami uspokajającymi.

Oczy Chris rozszerzyły się z przerażenia.

— Myślę, że przydałaby się pani filiżanka kawy — powiedziała Emily.

Chris pomyślała, że przeżywa właśnie załamanie nerwowe, a Emily Hallendale i jej mały piesek nie istnieją, więc równie dobrze może zrobić to, co ta zjawa proponuje.

— Pójdziemy do mnie — zdecydowała Emily.

— Chcesz kawy?

— Nie, dziękuję.

Susan uśmiechnęła się do Vicki. Przyjaciółka miała na sobie złoty garnitur, który gryzł się z ciemnoróżowymi ścianami i plastikowymi krzesłami w kolorze burgunda stojącymi w szpitalnej poczekalni. Przez cienkie zasłony do wnętrza wpadało sierpniowe słońce, rzucając długie cienie, jak pasy na zebrze, na pokrytą białym linoleum podłogę. Na małych stolikach leżały stosy wyjątkowo aktualnych pism. Sztuczny nawiew dmuchał im w twarze z kilku wentylatorów.

Jak to możliwe, by w pomieszczeniu było jednocześnie gorąco, zimno i duszno?
— pomyślała Susan.

— Taka jestem ci wdzięczna, że przyszedłś — zwróciła się do siedzącej obok niej Vicki. — Wiem, ile masz pracy.

— Dziś mam wyjątkowo luźny dzień — odparła Vicki. Susan wiedziała, że kłamie, że pewnie odwołała kilka spotkań po to, żeby tu być.

— Jak ona się czuje?

— Nie za dobrze.

— A co mówią lekarze?

— Że nic nie mogą już zrobić i że prawdopodobnie nie przeżyje tygodnia.

Wzrok Susan pobiegł korytarzem do drzwi pokoju, gdzie spała jej matka. Trudno ją było rozpoznać w źle dopasowanej blond peruce. Susan kupiła ją, gdy matce zaczęły wypadać włosy. Liczne operacje, chemioterapia i naświetlania sprawiły, że schudła o połowę. Pozbawiły ją też sił niezbędnych do walki z bezlitośnie postępującym rakiem.

Vicki kiwnęła ze zrozumieniem głową i ujęła dłoń Susan.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Już zrobiłaś.

— Chcesz, żebym do kogoś zadzwoniła? Do brata lub siostry...

— Kenny przylatuje dziś wieczorem. A na Dianę muszę zebrać siły.

Stanęli jej przed oczami starszy brat i młodsza siostra, żółt i zając, jak żartobliwie nazywała ich matka. Kenny był wysoki, krepy i ocieężały, a Dianę chuda, żylasta i nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Kenny przechodził wolno i systematycznie przez różne etapy życia, podczas gdy Dianę biegała ciągle w kółko. Jakby stale przed czymś uciekała, pomyślała Susan, przypominając sobie, jak uciekła znad jeziora, gdy ona wyszła z wody z przyczepionymi do nóg pijawkami. I tak było przez całe życie. Jej młodsza siostra wciąż uciekała przed najdrobniejszą nawet przykrością.

— Kiedy ostatnio z nią rozmawiałam, powiedziała, że chciałyby zobaczyć się z mamą — wyjaśniła Vicki. — Ale to dla niej bardzo niedobry czas. Księżyc, czy

coś tam, jest w złym znaku.

— Może ja spróbuję do niej zadzwonić? — zaproponowała Vicki.

Susan zapisała numer telefonu do siostry mieszkającej w Los Angeles na kawałku kartki znalezionej w torebce i patrzyła, jak przyjaciółka podchodzi do aparatu w końcu korytarza. Biedna Vicki, pomyślała. Nie ma pojęcia, co ją czeka.

Dianę należała do osób przekonanych, że śmierć jest zaraźliwa. Kiedy przed pięcioma laty jej mąż zmarł we śnie na atak serca, wyrzuciła nie tylko całą pościel, lecz i łóżko. Potem wystawiła ich dom w Westwood na sprzedaż i przeniósła się do małego domu w Hollywood. Nie miała dzieci, bo była przekonana, że umrze w połogu. Nie latała samolotami, bo samolot mógł się rozbić. Bała się nawet przejeżdżać przez mosty.

— Nie sądzę, by lekarze dawali jej tyle czasu — usłyszała głos Vicki. — Rozumiem, ale...

Susan odetchnęła głęboko i wstała z krzesła. Jej brązowe bawełniane spodnie przykleiły się do plastikowego siedzenia i wydały nieprzyjemny odgłos przy odrywaniu.

— Lepiej ja z nią porozmawiam — szepnęła do Vicki, podchodząc do telefonu. Przyjaciółka doskonale radziła sobie z kryminalistami i przebiegłymi prokuratorami, nigdy jednak nie miała do czynienia z kimś takim jak Dianę.

— Wiesz, że bardzo bym chciała przyjechać — powiedziała jęczącym głosem Dianę, jak tylko usłyszała Susan. — Ale nie jest to dla mnie najlepszy czas.

Susan miała ochotę powiedzieć, że ten czas trwa już od wielu lat.

— Niewiele już tego czasu zostało.

— Czy musisz być taka melodramatyczna? Susan z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć.

— Przecież jej stan nie zmienia się od miesięcy — upierała się Dianę.

Susan usłyszała, jak siostra wydycha dym z papierosa.

— Teraz jest inaczej.

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Bo jestem przy niej codziennie.

— A ja nie, tak? O to ci właśnie chodzi?

— Chodzi mi o naszą matkę — odpowiedziała wolno Susan, wyobrażając sobie, jak popiół w papierosie siostry wydłuża się niebezpiecznie, a potem spada na podłogę, rozsypując w powietrzu jak kurz. — Ona umiera.

— Polepszy się jej.

— Raczej pogorszy.

— Ale jesteś uparta.

— A ty tępa.

— Skończ tę rozmowę — poradziła Vicki. — Na próżno strzepisz sobie język.

— Kto tam jest? — spytała Dianę. — Czy ona powiedziała, żebyś skończyła ze

mną rozmawiać?

— Muszę już kończyć, Dianę.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedziała niechętnie Dianę, wypuszczając chmurę dymu papierosowego prosto w ucho Susan.

— Byłoby wspaniale — odparła Susan i odwiesiła słuchawkę.

— Uroczą osobą — stwierdziła Vicki.

Susan roześmiała się i pomyślała o swojej starszej córce.

— Zawsze jest taka jedna w rodzinie.

— Nadal masz kłopoty z Ariel? — spytała Vicki, jakby czytała w jej myślach.

Susan wzruszyła ramionami i usiadła na krześle.

— Nie wiem, jakmoja matka to robiła. Zawsze była taka spokojna, opanowana. Nie pamiętam, by kiedykolwiek podniosła głos w gniewie. — Pokręciła w zdumieniu głową. — Tak bardzo się staram być taka jak ona.

— Po prostu bądź sobą — poradziła Vicki.

— Ja ciągle krzyczę. Nie przypominam sobie, by mama tak na mnie krzyczała jak ja na Ariel.

— Dlatego, że nie jesteś twoją mamą, a Ariel tobą. To różnica charakterów. Założę się, że twój a mama krzyczała na Dianę.

— Tak myślisz?

— Jesteś wspaniałą matką, Susan. Przestań tak surowo siebie oceniać.

— Ariel mnie nienawidzi.

— Jasne, że cię nienawidzi. Taka jest jej rola.

Susan uśmiechnęła się z wdzięcznością i położyła głowę na ramieniu przyjaciółki.

— Tak się cieszę, że tu jesteś.

— Ja też — odparła Vicki, obejmując ją i całując w czubek głowy.

Przez chwilę kołysały się w objęciach. Susan dopiero teraz zdała sobie sprawę z obecności innych ludzi i głosów — pary rozmawiającej szeptem w końcu sali, mężczyzny przeglądającego ilustrowane pismo, zapłakanej kobiety usiłującej czytać książkę.

— Nie jestem pewna, czy zdołam to wytrzymać.

— Poradzisz sobie.

— Nie jestem gotowa na to, by odeszła.

— Dzieci nigdy nie są gotowe na odejście rodziców

— powiedziała Vicki z dziwnym smutkiem w głosie, którego Susan nigdy u niej nie słyszała. — Napiałabym się kawy. A ty?

— Ja też — powiedziała Susan. — Ze śmietanką, bez cukru.

— Wracam za kilka minut.

— Będę u mamy.

Popatrzyła, jak Vicki znika za zakrętem korytarza, po czym wstała i poszła do

pokoju matki. Już dawno przyzwyczała się do szpitalnych dźwięków — dzwoniących dzwonek, skrzypienia wózków, ogłoszeń nadawanych przez głośniki, dochodzących zza uchylonych drzwi jęków pacjentów — i nie reagowała na nie. Były jak gwizd pociągu w oddali.

Doszła do pokoju matki i wolno otworzyła drzwi, bojąc się, co zobaczy.

— Dzień dobry, pani Unger — powiedziała do białowłosej kobiety o miłej twarzy, leżącej obok matki. Kobieta się uśmiechnęła, chociaż widać było, że jej nie poznaje.

— Cześć, mamó.

Usiadła na jednym z dwóch krzeseł stojących przy łóżku i powoli uniosła głowę, przygotowując się na to, co za chwilę zobaczy: szarą twarz o skórze napiętej tak mocno, że groziła pęknięciem, i oczy przepelnione bólem. Matka miała jednak zamknięte oczy i nieruchomą twarz. Susan wstrzymała oddech, nasłuchując oddechu matki. Na próżno. Dopiero gdy zobaczyła lekki ruch pod szpitalnym prześcieradłem, wiedziała, że chora wciąż żyje. Ucisnęła chudą dłoń leżącą pod prześcieradłem i pocałowała kredowobiałe suche czoło, przekrzywiając przy okazji źle dobraną perukę tkwiącą na głowie niczym берет. Przypomniała sobie naturalne włosy matki, zawsze starannie ułożone, wymagające jedynie przeczesań grzebieniem. Zawsze się nimi zachwycała. Delikatnie poprawiła perukę i usadowiła się wygodnie na krześle.

— Kenny przylatuje dziś wieczorem z Nowego Jorku. Rozmawiałam też z Dianę. Postara się przyjechać najszybciej, jak będzie mogła. Więc lepiej się postaraj — dodała, przelękając łzy. — Wiesz, jak Dianę reaguje na chorych ludzi.

— Dianę przyjeżdża? — spytała matka, nie otwierając oczu i nie poruszając wargami.

Czy to możliwe, żeby coś powiedziała?

— Tak. Zaczęła się pakować.

— W takim razie muszę być bardzo chora — stwierdziła matka, krzywiąc usta w uśmiechu.

— Nie — zaprotestowała Susan. — świetnie się trzymasz. Lekarz twierdzi, że widzi poprawę.

— Susan — powiedziała matka i otworzyła oczy, jakby to jedno słowo wyczerpało jej siły.

— Nie chcę słyszeć żadnych skarg — upomniała ją Susan. — Przecież wiesz, jak ważne jest pozytywne myślenie.

— Tylko że ono nie uśmierza bólu — wyszeptała wolno matka.

— Boli cię? Chcesz, żeby coś ci dali?

Chora skinęła wolno głową. Susan natychmiast zadzwoniła po pielęgniarkę.

— Zaraz coś ci dadzą.

Po kilku długich minutach zjawiała się pielęgniarka. Była wysoka i kanciasta. Na

czubku długiego nosa sterczały małe okulary w drucianej oprawie.

— Mamę bardzo boli — poinformowała ją Susan, starając się nie okazywać zniecierpliwienia. Czemu to tak długo trwało? — Potrzebuje środka uśmierzającego.

— Powiem lekarzowi — odpowiedziała pielęgniarka i wyszła, nim Susan zdążyła otworzyć usta.

— Chcesz pić, mamó?

Susan pomyślała, że jest równie bezradna jak w przypadku starszej córki. Matka i córka. Czy jest na świecie związek bardziej skomplikowany, bardziej brzemienisty w konsekwencje?

Nalała wody do szklanki z dzbanka stojącego na szafce przy łóżku i przytknęła ją do spierzchniętych ust. Chora wypła posłusznie, chociaż Susan miała wątpliwości, czy chociaż kropla przepłynęła przez gardło.

— Kocham cię, mamó — powiedziała.

— Ja też cię kocham, skarbie.

— Tyle chciałabym ci powiedzieć.

— Masz wdzięczną słuchaczkę. — Matka chciała się uśmiechnąć, lecz grymas bólu wykrzywił jej twarz.

Susan zamrużyła powiekami, starając się powstrzymać łzy i zapanować nad drżeniem brody. Czy zdoła powiedzieć to, co zamierzała, to co leżało jej na sercu?

— Chcę ci podziękować — zaczęła wolno — za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Za pomoc przy dzieciach, za to, że zawsze byłaś, gdy cię potrzebowałam, za to, że mnie kochałaś, za to, że opiekowałaś się mną przez całe życie.

Łzy wolno spłynęły matce po policzkach. Ona wie, że się z nią żegnam, pomyślała Susan.

— To dla mnie wielki zaszczyt być twoją córką — ciągnęła, nie kryjąc już łez. — O takiej matce marzy każde dziecko. Bardzo cię kocham.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedziała chora, usiłując się uśmiechnąć, lecz z jej ust wyrwał się jęk bólu.

Susan zerwała się z krzesła.

— Gdzie cię boli, mamó?

— Wszędzie.

Susan spojrzała niespokojnie na drzwi.

— Pielęgniarka powinna zaraz przyjść z lekarstwem.

Gdzie to cholerne babsko? Czemu tak długo nie przychodzi? Jeżeli zaraz nie przyjdzie, napiszę skargę do dyrekcji szpitala. Nie, wysmaruję artykuł do „Cincinnati Post”. Nadam temu odpowiedni rozgłos, nawet gdybym miała zaskarżyć szpital. Pacjenci nie powinni niepotrzebnie cierpieć. Mama nie powinna przeżywać ostatnich dni, wijąc się z-bólu.

W tym momencie ktoś pchnął drzwi do pokoju.

— Dzięki Bogu — mruknęła.

Nie była to jednak pielęgniarka, lecz salowy rozwożący posiłki. Był niskim czarnym mężczyzną z łysą głową błyszczącą jak kula do gry w kręgle.

— Kolacja — oznajmił.

Susan spojrzała na zegarek. Była dopiero czwarta.

— Specjalnie dla rannych ptaszków — dodał, widząc pytające spojrzenie w oczach Susan. — Spójrzmy, co panie zamówiły — powiedział, podnosząc przykrywki. — Rostbef w przepysznym beżowym sosie dla pani Unger i kurczak w przepysznym beżowym sosie dla pani Hill. Świetny wybór — stwierdził, stawiając jedzenie na tacach. — I proszę nie zapomnieć o galaretkę z limonki dla pani Unger i wiśniowej dla pani Hill. Osobiście wolę wiśniową. Smacznego. — I wyszedł z pokoju.

Susan popatrzyła na nieapetycznie wyglądające danie.

— Czyż to nie wygląda... okropnie? — powiedziała, nie mogąc zdobyć się na kłamstwo. Co prawda, rak dotarł do

mózgu matki, ale nie zrobił z niej idiotki. — Może zjadłabyś trochę galaretki?

Odpowiedzią był jęk bólu.

— Dość tego! Gdzie ta przekłeta pielęgniarka? — Rzuciła gorączkowe spojrzenie w stronę drzwi. — Wytrzymaj, mamó. Idę po doktora. Zaraz wracam. — Podbiegła do drzwi. — Zaraz wracam.

Rzuciła się biegiem do stanowiska pielęgniarek. Za kontuarem siedziały trzy kobiety zajęte rozmową. Żadna z nich nawet nie spojrzała na Susan.

— Przepraszam — powiedziała, uderzając w kontuar, by zwrócić ich uwagę. — Dziesięć minut temu prosiłam pielęgniarkę o środki przeciwbólowe. Moja matka umiera z bólu.

— Może pani mówić ciszej? — odezwała się jedna z pielęgniarek.

— Może pani ruszyć tyłek i dać coś mojej matce? — odparowała Susan.

Najstarsza z pielęgniarek podniosła się z miejsca i podeszła wolno do Susan. — Proszę się uspokoić. Nie chcemy przestraszyć innych pacjentów.

— Mamy gdzieś innych pacjentów — odpowiedziała Susan. — My tylko chcemy trochę morfiny dla mojej matki.

— Proszę mówić ciszej — zwróciła się do niej czarna pielęgniarka z ufarbowanymi na pomarańczowo krótkimi kręconymi włosami. — Pani matka to...

— Roslyn Hill, pokój czterysta siedem. Kobieta zajrzała do karty.

— Pani Hill dostała już porcję morfiny o drugiej po południu. Następną ma dostać dopiero o szóstej.

— Ale bardzo cierpi.

— Przykro mi — odparła pielęgniarka, kładąc kartę na kontuarze.

— Tylko tyle?

— Nic nie mogę zrobić.

— Chcę rozmawiać z doktorem Wertmanem.

— W tej chwili go nie ma.

— To z innym lekarzem. Z którymkolwiek.

— Rozmawiałam już z doktorem Zarbem — odezwała się ta sama koścista pielęgniarka, która zjawiała się na wezwanie. Wygląda na zmęczoną, pomyślała Susan, lecz nie pozwoliła sobie na współczucie. — Powiedział, że wolałby poczekać jeszcze godzinę.

— Doprawdy? A gdyby sam miał raka, też czekałby godzinę?

— Pani Hill...

— Nazywam się Norman. To moja matka ma na nazwisko Hill. To ona jest pacjentką. To ona ma raka. Ten rak przeniósł się z jej piersi na węzły limfatyczne, zaatakował płuca, kręgosłup i teraz mózg. Ona umiera. I potwornie cierpi. A wy tu siedzicie i palcem nie kiwniecie. — Rozejrzała się bezradnie po korytarzu i patrzyła, jak znika za zasłoną łóż. — Nie rozumiem was. Moja matka umiera. Czy stałaby się jej krzywda, gdyby dostała więcej morfiny? Boicie się, że się uzależni, tak? Boicie się, że umrze jako narkomanka?

— Susan — zabrzmiał tuż obok niej głos Vicki. — O co chodzi? Czy coś się stało?

— Moja matka ma straszne bóle, a nikt nie chce jej pomóc.

— Spróbuję znaleźć doktora Wertmana — zaproponowała jedna z pielęgniarek.

— Proszę się uspokoić, pani Norman — poradziła druga. — Pani histeryczne zachowanie nie pomoże pani matce.

— Odwal się!

Susan machnęła rękami, potrącając styropianowy kubeczek z kawą, który Vicki trzymała w ręku, i ruszyła korytarzem.

— Susan... — usłyszała głos Vicki.

— Tylko nie mów mi, żebym się uspokoiła.

— Nie chcę cię uspokajać. Chcę, żebyś poczekała. Susan zatrzymała się i głęboko odetchnęła.

— Przepraszam.

— Za co?

— Zalałam cię kawą.

— Nie. Prawie wszystko poleciało na podłogę.

— Myślisz, że wezwą ochronę?

— Niech tylko spróbują — odpowiedziała Vicki, wchodząc z Susan do pokoju.

Matka miała szyję i plecy wygięte w łuk i mocno zaciśnięte oczy. Chude ręce trzymały się kurczowo pościeli.

— O Boże, spójrz na nią — szepnęła Susan, przykrywając usta dłonią. — Jak ona cierpi.

Podeszła do łóżka, opadła na krzesło i rozplakała się cicho.

Matka otworzyła oczy i z wielkim trudem uniosła głowę.

— Co się stało, kochanie? — spytała córki.

W tej chwili chwycił ją kolejny atak bólu i krzyknęła przenikliwie. Nadbiegły pielęgniarki i młody lekarz ze strzykawką. Susan patrzyła z wdzięcznością, jak aplikuje matce porcję morfiny. Powoli ciało chorej się rozluźniło, a zmarszczki na twarzy wygładziły niczym zagniecenia na papierze po rozchyleniu zaciśniętej dłoni.

— Może powinna pani wrócić do domu i odpocząć — poradził lekarz.

Pokręciła przecząco głową i mocno ścisnęła dłoń Vicki.

— Susan? — spytała matka.

— Tak, mammo?

Lecz chora zapadła już w sen. Susan pochyliła się nad nią, poprawiła perukę i podciągnęła kołdrę pod brodę. Potem usiadła na krześle, czując na ramieniu dłoń Vicki, i patrzyła, jak matka oddycha.

— Jestem, mammo — szepnęła. — Jestem tu.

Matka Susan zmarła cztery dni później.

Susan z bratem chcieli, by pogrzeb odbył się jak najszybciej, musieli jednak czekać tydzień na przyjazd Dianę z Kalifornii, która zamiast wsiąść w samolot podróżowała pociągiem.

— To było okropne — opowiadała każdemu, kto chciał słuchać. — Trzy dni nie spałam. Wciąż czuję mdłości. Na myśl o powrocie... — Tu zawieszała głos, jakby więcej nie była w stanie znieść.

Narzekła od chwili, gdy Susan odebrała ją z dworca. Odmówiła przyjęcia do domu pogrzebowego, uznając takie przedstawienia za barbarzyńskie i nieczułe. Poza tym oświadczyła, że jest zbyt zmęczona, i położyła się do łóżka w pokoju gościnnym Susan. Oczywiście łóżko okazało się za małe, materac za miękki i przeszkadzała jej głośna muzyka Ariel.

— Wiem, dlaczego nie chciałam mieć dzieci — powtarzała przy każdej okazji, chociaż bez przerwy wysyłała po coś Whitney, a to po drinka, po kanapkę czy po pismo. — Boże, jakie te tygodniki są stare — oznajmiła zamiast podziękowania.

Na pogrzebie nie było lepiej. Ubrała się na czarno, włożyła grube czarne pończochy oraz filcowy kapelusz z piórem i woalką, która zakrywała jej twarz, mimo że na dworze panował sierpniowy upał.

— Skąd twoja siostra wzięła ten kapelusz? — spytała Barbara w kaplicy.

— Chyba zbyt długo mieszka w Hollywood — powiedziała Chris.

— Czy ona aby nie jest arabską terrorystką? — spytała Vicki.

Nawet na stypie wszystko musiało kręcić się wokół niej. Susan i Kenny dzielili się wspomnieniami o matce z zaproszonymi gośćmi, nawet Ariel wyglądała wyjątkowo czysto i nie burczała na wszystkich, składając tym hołd uwielbianej babci, natomiast Dianę zmuszała obecnych do wysłuchiwanie opowieści o najróżniejszych przeciwnościach losu, jakie ją dręczyły, wśród których śmierć matki była jedną z ostatnich na długiej liście.

— Chcesz kopię mojej mowy? — spytała Marilyn, żon? Kenny'ego, po powrocie z pogrzebu.

Susan zaprosiła wszystkich do siebie do domu na kawę i ciastka. Podczas gdy krzątała się po salonie, pilnując by wszystko szło sprawnie, Dianę brylowała na środku pokoju.

— Podróż pociągiem była istnym koszmarem —perorowała. — Te wszystkie przystanki i potem ruszanie. I te przeklęte gwizdki. Z trzech nocy przespałam najwyżej dwie godziny.

— Jest taka zapatrzona w siebie — stwierdziła Barbara.

— Nie daje sobie rady z własnym smutkiem — zasugerowała Chris.

— To zwykła cipa — podsumowała Vicki.

— Cicho! — krzyknęły jednocześnie Chris i Barbara. — Bo Susan jeszcze

usłyszy.

— Za późno—powiedziała Susan, wchodząco do kuchni, niewymownie szczęśliwa, że widzi razem przyjaciółki, stojące przed blatem zastawionym jedzeniem. Wszystkie trzy dotrzymywały jej towarzystwa każdego dnia po śmierci matki. Trzymały ją za rękę, słuchały, gdy odczuwała potrzebę mówienia, siedziały przy niej, gdy chciała posiedzieć w ciszy, płakały z nią i rozśmieszały. Przyniosły jedzenie, zrobiły kawę, przygotowały dom na przyjęcie gości. Dianę oczywiście nie ruszyła palcem. Czuła się zbyt przygnębiona, miała zawroty głowy, jednym słowem była bezużyteczna.

— Vicki ma rację — stwierdziła Susan. — To cipa. Chris wydała z siebie pisk, w którym obraza mieszała się

z podziwem. — Wiecie, że ja nigdy nie wymówiłam głośno tego słowa?

— No to do roboty — powiedziała Vicki. — Powiedz to teraz.

— Nie mogę.

Vicki spojrzała na nią zaskoczona.

— Po tym, co przesłaś z tym pieprzonym, skurwysyńskim zwyrodnialcem, który był twoim mężem, wstydzisz się powiedzieć „cipa”?

Chris ukryła twarz w dłoniach.

— Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś.

— Co? Pieprzony, skurwysyński zwyrodnialec czy cipa?

— Przestań!

— Tylko spójrz na siebie — zaśmiała się Vicki. — Czerwienisz się jak dziewczynka. Wyduś to z siebie.

— Nie mogę.

— Ja też nie powiedziałam tego na głos — przyznała ze wstydem Barbara.

— Nie wierzę. No to powiedzcie teraz. Zobaczycie, jak to wyzwała. Powiedzcie to razem, jeżeli nie możecie same.

— Susan, gdzie jesteś? — zabrzmiał gdzieś z drugiego pokoju głos Dianę.

— Powiedzcie — zwróciła się Susan do przyjaciółek. — Pozwalam wam.

— No, odważcie się wreszcie — ponagliła je Vicki. Chris i Barbara wzięły się za ręce, jakby miały skoczyć z wysokiej skały.

— Cipa! — krzyknęły w chwili, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich zaskoczona Ariel.

— Słucham? — spytała.

Miała na sobie spódnicę w szkocką kratę i białą bluzkę. Gdyby nie sterczące różowopurpurowe włosy wyglądałaby jak normalna nastolatka, która wróciła właśnie ze szkoły i czeka na mleko i ciasteczka.

Cztery kobiety wybuchnęły niepohamowanym śmiechem.

— Mamo, dobrze się czujesz?

Susan nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała Ariel tak zatroskaną. To jeszcze bardziej ją rozśmieszyło.

— Dobrze, kochanie. Potrzebujesz czegoś?

— Dianę chce jeszcze jedną filiżankę kawy.

Ariel podeszła niepewnie do stojącego na blacie ekspresu.

— Twoja mowa była wspaniała — odezwała się Chris piskliwym głosem, jak ktoś, kto desperacko usiłuje zapanować nad śmiechem.

Ariel przyjrzała im się podejrzliwie, jakby za chwilę miały się na nią rzucić.

— Dziękuję — odpowiedziała niepewnie.

— Nie mówiliśmy o tobie — wyjaśniła Vicki i wszystkie ponownie wybuchnęły śmiechem na głos.

— Co tu się dzieje? — zabrzmiał ostry niczym brzytwa

Do kuchni weszła młodsza siostra Susan. Wyglądała jak obłąkana pszczelarka rozpaczająca po stracie ula. Uniesiona woalka odsłaniała szczupłą twarz okoloną prostymi jasno-żółtymi włosami, o bezbarwnej karnacji i mocno czerwonych ustach. Ciemne oczy wyrażały oburzenie. Śmiech w jednej chwili zamarł w ustach Susan.

— Doprawdy, Susan, dopiero co pochowałyśmy matkę. Jak możesz okazywać taki brak szacunku? Twój śmiech słyhać w salonie.

Susan poczuła się tak, jakby dostała w twarz.

— Szacunek to coś, co okazuje się żyjącym—zauważyła Vicki.

— Poza tym śmiech łagodzi ból — dodała Chris.

— Nie gorąco ci w tym kapeluszu? — spytała Barbara.

— Cipa — mruknęła Ariel przez zęby.

— Co? — Dianę zachwiała się. — Co ty powiedziałaś?

— Spytałam, czy czarna, czy z mlekiem — wyjaśniła Ariel, unosząc dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

— Ach tak. Bez mleka. W głowie mi się kręci. Tyle osób trzeba zabawiać. — Poprawiła kapelusz, ściągając przypadkowo woalkę na twarz. Niecierpliwym ruchem odrzuciła ją w tył.

— Nie sądzę, by kogoś trzeba było zabawiać — powiedziała Susan.

— No cóż, każdy robi, co potrafi. Na szczęście wszyscy już niedługo wyjdą. — Popatrzyła znacząco na trzy przyjaciółki Susan. — Wtedy będę mogła odpocząć.

— Tak, wyglądasz na bardzo zmęczoną — stwierdziła Barbara.

— Naprawdę?

— Wszyscy to mówią — dodała Vicki.

— To pewnie przez tę okropną podróż — powiedziała Chris.

Ariel podała ciotce kubek gorącej kawy.

— Proszę, ciociu. Bez mleka.

Dianę wzięła od niej kawę, nie racząc nawet podziękować.

— Chyba powinnam wrócić do gości — oznajmiła, lecz nie ruszyła się z miejsca. — Muszę zapalić. — Wolną ręką sięgnęła do małej czarnej torebki, wiszącej jej na ręce.

Susan już chciała zaprotestować, lecz powstrzymała się. Dianę wiedziała, co ona myśli o paleniu. Wiedziała też, że Owen nie pozwala palić w domu. Widocznie mało ją to obchodziło. A niech tam, pomyślała. Dianę za kilka dni wyjedzie, nie warto więc robić jej sceny.

— W tym domu się nie pali — oznajmiła Ariel. Susan uśmiechnęła się do córki i stłumiła chęć obrzucenia

pocałunkami purpuroworóżowych włosów.

Dianę zbyła uwagę Ariel niecierpliwym machnięciem ręki, po czym wyjęła z torebki papierosa i podniosła do ust.

— Przepraszam — powiedziała Susan — ale będziesz musiała wyjść na zewnątrz.

— Jak ty możesz palić? — zdziwiła się Chris.

— To obrzydliwy zwyczaj — dodała Vicki, kręcąc z dezaprobatą głową.

— Od tego robią się zmarszczki. — Barbara wskazała swoją gładką twarz.

Dianę spojrzała w sufit, jakby tam szukała pomocy. Kiedy posiłki nie nadciągnęły, wrzuciła papierosa z powrotem do torebki i ruszyła w stronę drzwi.

— W takim razie wyjdę na zewnątrz. Zajmijcie się naszymi gośćmi — rzuciła przez ramię i z torebką w jednej ręce oraz kawą w drugiej pchnęła biodrem drzwi i wyszła do salonu.

Przyjaciółki odprowadziły ją wzrokiem, po czym popatrzyły na siebie.

— Cipa — powiedziały, poruszając bezdźwięcznie ustami.

— Słyszałam — powiedziała ze śmiechem Ariel. — Niezły dajecie przykład.

— Dziękuję, kochanie — zwróciła się do niej Susan.

— Za co?

Za to, że nie sprawiasz mi kłopotu, że zachowujesz się jak człowiek, że jesteś młoda, żywa i zdrowa, że jesteś moją córką.

— Za miłe słowa, które powiedziałaś o babci na pogrzebie — odparła.

Ariel kiwnęła głową, postąpiła krok w stronę matki, po czym zatrzymała się, bo drzwi do kuchni się otworzyły i stanęła w nich Traccy, córka Barbary.

— Tu jesteście — powiedziała, po czym szybko podeszła do matki i objęła ją w pasie. Barbara pocałowała córkę w czoło. — Zastanawiałam się, gdzieście zniknęły. Cześć, Ariel.

Ariel mruknęła coś niezrozumiale.

Susan popatrzyła na obie dziewczynki i zaczęła je w myślach porównywać, zastanawiając się, której by co odjęła, a której dodała. Ariel brakowało dojrzałości i ogłady Traccy. Traccy zaś przydałoby się trochę energii i ryzykanctwa Ariel. Buntowniczość Ariel złagodziłaby szacunkiem Traccy dla starszych, a rezerwę

Traccy wzbogaciłaby odwagą Ariel. Traccy była dobrze zbudowana jak na swój wiek. Matka określiłaby ją jako grubokościstą. Miała ładną buzię, chociaż nie tak piękną jak jej matka. Może gdyby obciąła włosy, nastroszyła je lekko, dodała kilka różowych pasemek? Susan omal nie wybuchnęła śmiechem. O czym ona myśli?

— Jak się miewa Kirsten? — spytała Traccy Vicki.

— Wspaniale. Jest opiekunką na obozie Walkie-talkie czy jak tam to miejsce się nazywa. Bardzo jej się tam podoba.

Traccy popatrzyła na Chris i zawahała się.

— Jak się pani miewa, pani Malarek?

— Dziękuję, dobrze, Traccy. — Nikt już nie pytał Chris o Montanę.

— Idziemy? — szepnęła Traccy do matki.

— Jeszcze nie — odpowiedziała Barbara.

— Och nie, proszę — wtrąciła pospiesznie Susan. — Nie musicie tu sterczeć całe popołudnie. Wiem, że macie sporo zajęć. Już i tak tyle dla mnie zrobiliście.

— Myślisz, że zostawimy cię z tą wampirzycą? — spytała Vicki i wszystkie znowu wybuchnęły gromkim śmiechem.

— Jesteście okropne — stwierdziła Ariel, kręcąc głową.

— Nie rozumiem — powiedziała Traccy. — Co was tak śmieszy?

— Ja też chciałabym wiedzieć — oświadczyła Dianę, wchodząc do kuchni i ciągnąc za sobą smugę dymu.

— To był szybki papieros — zauważyła Vicki.

— Wypaliłam go tylko do połowy — odpowiedziała Dianę — bo spotkałam kogoś przed domem. Przystojny mężczyzna. Elegancko ubrany. Szedł właśnie po schodach, gdy wychodziłam na ganek. Najwyraźniej nikt go nie zawiadomił o pogrzebie. — Rzuciła Susan karcące spojrzenie. — Chciałby złożyć wyrazy szacunku.

W salonie zrobił się jakiś ruch i posypały pytania: „Co ty tu robisz”? „To nie najlepszy pomysł”. „To nie jest czas i miejsce po temu”. Po chwili otworzyły się drzwi do kuchni i stanął w nich Tony Malarek.

— O Boże! — jęknęła Chris, cofając się w kąt i automatycznie łapiąc się za kark.

Susan wpatrywała się w Tony'ego bez słowa. Gdyby go nie znała, opisałaby go tak samo jak siostra. Przystojny, o trochę nieokrzesanej urodzie, ubrany w czarne spodnie i czarną koszulę z krótkimi rękawami, krótko ostrzyżone włosy poprządkowane siwizną, opalona twarz i barczyste ramiona. Sprawiał wrażenie wypoczętego, pewnego siebie, nawet szczęśliwego, pomyślała z drżeniem Susan, zastanawiając się, co on tu robi i jaki będzie jego następny ruch.

— Dobra, Tony — powiedział Owen, wchodząc do kuchni wraz z Jeremym Latimerem. — Nie chcemy tu żadnych kłopotów.

— O co tu chodzi? — spytała Dianę, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

— Spokojnie — odpowiedział Tony, nie spuszczać wzroku z byłej żony. — Nie zamierzam sprawiać kłopotów.

— Kim jest ten człowiek? — spytała Dianę.

— Przyszedłem tylko złożyć kondolencje.

— To nie jest konieczne.

— Myślę, że tak.

— W takim razie powiedz, co masz do powiedzenia, i wyjdź. — powiedziała Susan, starając się panować nad głosem.

— Ach, głos rozsądku. Jak zwykle—rzucił z sarkazmem Tony.—Przykro mi z powodu twojej matki, Susan—dodał, nie spuszczać wzroku z Chris.

Susan skinęła w milczeniu głową.

— Tak na marginesie, jestem Tony Malarek — zwrócił się do Dianę, jakby nagle przypomniał sobie jej pytanie. — A ta żalosna istota to moja żona Chris.

— Była żona — sprostowała zaskakująco pewnym głosem Chris.

— Była żona — powtórzył Tony. Ułożył z palców pistolet i wycelował nim prosto w głowę żony. — Chyba nie słuchała, gdy sędzia mówił: „Dopóki śmierć was nie rozłączy”. — Jego palec nacisnął wyimaginowany cyngiel.

— Dość tego! — wykrzyknął Jeremy Latimer, unieruchomił rękę Tony'ego i z pomocą Owena pociągnął natręta w stronę drzwi.

— Dupek — mruknęła Barbara.

— Skurwiel — powiedziała głośno Vicki.

— Uważajcie, dziewczęta! — zawołał Tony. — Ten pistolet ma dużo kul.

Jego śmiech odbił się echem od ścian. Chwilę później drzwi frontowe się otworzyły i zamknęły z trzaskiem. W kuchni zapanowała martwa cisza.

— Boże, cóż ty masz za przyjaciół? — spytała Dianę. Susan podeszła pospiesznie do Chris, nie zwracając uwagi na siostrę.

— Nic ci nie jest?

— Nie — odparła Chris.—Przepraszam. Nie przypuszczałam, że on tu przyjdzie.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał czyjś głos zza drzwi.

— Może powinniśmy wezwać policję — zaproponował inny głos.

— Tak — odpowiedziała Susan.

— Nie — zaprotestowała Chris.

— Dlaczego nie?

— I tak nic nie zrobią.

— Przecież ci groził. Wszyscy byliśmy świadkami.

— Ja nic nie widziałam — powiedziała szybko Dianę.

— Policja nic tu nie pomoże — odparła zdecydowanie Chris.

— To przynajmniej zostań u nas na noc — zaproponowała Susan.

- A gdzie będzie spała? — spytała Dianę.
 - Dam sobie radę.
 - Nie możesz go ignorować, Chris. To chodząca bomba zegarowa.
 - Nie mogę wiecznie od niego uciekać. Mam dość uciekania.
 - Tylko na kilka dni — przekonywała Susan. — Dopóki się nie uspokoi.
 - Dobra — wtrąciła Barbara. — Zabieram Chris do siebie. Koniec dyskusji.
- Chris uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć, że nie ma sensu protestować. „Nie mogę wiecznie od niego uciekać. Mam dość uciekania”.

Susan jeszcze wielokrotnie tego dnia powracała do słów Chris. Przebijały się przez głos Dianę szykującej się do podróży powrotnej do Kalifornii. Brzmiały jej w uszach późnym wieczorem, gdy kładła się spać i odpływała w sen, a także w niespokojnych snach o nagiej kobiecie biegnącej bezradnie w kółko i o zagubionych dzieciach przedzierających się przez gęsty las. „Nie mogę wiecznie od niego uciekać. Mam dość uciekania”.

Zadzwoił telefon.

Owen usiadł na łóżku, a Susan sięgnęła w ciemności po słuchawkę. Zegar wskazywał godzinę czwartą czterdzieści dwie.

— O Boże! — jęknęła Susan do słuchawki, nie czekając, aż usłyszy głos na drugim końcu linii.

- Susan, czy to ty?
- Tak. — Z kim ona rozmawia? — O co chodzi? Co się stało?
- Pomóż mi, proszę.
- Co się stało?

— O Boże! O Boże! O Boże! — zabrzmiał głos młodej dziewczyny przerywany rozpaczliwym szlochem. W tym momencie Susan rozpoznała głos Traccy.

- Traccy, co się stało? Powiedz mi!
- Nie mogę!
- Traccy, uspokój się. Powiedz, co się stało?
- Tony!
- Tony? Tony tam jest?

Owen zapalił lampkę i zaczął się ubierać.

— Nie. — Susan niemal czuła, jak Traccy kreci głową.

— Uciekł. On... on...

— Co? Co on zrobił? Coś się stało z Chris?

— Z Chris? — powtórzyła Traccy, jakby pierwszy raz słyszała to imię. —

Chris tu nie ma.

— Traccy, co się stało? Proszę, powiedz mi, co się stało?

— Oddech nagle zamarł jej w płucach. Dlaczego ona rozmawia z Traccy? Gdzie jest Barbara?

— Gdzie jest twoja matka?! — krzyknęła do słuchawki.

— Traccy, chcę rozmawiać z twoją matką!

W drzwiach sypialni stanęły Ariel i Whitney.

— Mamo? — spytała Ariel, trzymając kurczowo Whitney za rękę. — Co się stało?

— Traccy, odpowiedz mi—mówiła Susan. — Gdzie jest twoja mama?

W słuchawce rozległ się przeraźliwy krzyk, który poraził ją niczym piorun. Kiedy później wracała do niego myślami, wiedziała, że na zawsze pozostanie w jej pamięci.

O piątej trzydzieści rano w sypialni Vicki zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę zaraz po pierwszym sygnale, usłyszała drżący głos Susan, spokojnie wysłuchiwała informacji, odłożyła słuchawkę, przeszła do łazienki i zwymiotowała na marmurową podłogę. Czterdzieści minut później zajechała z Jeremym ich nowym czarnym jaguarem przed dawny dom na Grand Avenue. Policja była już na miejscu. Dom Barbary otaczała żółta taśma broniąca do niego wstępu.

— Jestem Vicki Latimer — poinformowała jednego z policjantów.

— Przykro mi, ale...

— Jestem Jeremy Latimer — zwrócił się jej mąż do młodego oficera, który natychmiast się odsunął i pozwolił im przejść.

Najpierw zobaczyła Owena. Siedział w fotelu przy kominku, kryjąc poszarzałą twarz w drżących dłoniach. Już miała zapytać, gdzie jest Susan, lecz w tej właśnie chwili przyjaciółka wyszła z kuchni. Miała na sobie długi biały podkoszulek i luźne brązowe szorty. Zapewne włożyła to, co miała pod ręką, pomyślała Vicki, i popatrzyła z niepokojem na dziewczynę, którą Susan obejmowała ramieniem.

Traccy szła wolno, miała szeroko otwarte oczy i nieruchomy wzrok, który jakby zamarł z przerażenia. Twarz dziewczyny była spuchnięta i mokra od płaczu. Na bawełnianej piżamie róż mieszał się z czerwienią. Vicki uświadomiła sobie, że ta czerwień to krew, i omal nie zwymiotowała. Podobnie gdy zobaczyła plamy krwi na rękach Traccy.

— Traccy — powiedziała, nie bardzo wiedząc, co ma mówić.

Traccy uniosła na chwilę głowę opartą na ramieniu Susan i znowu ją położyła, jakby w ogóle nie dostrzegła Vicki.

— Co z nią? — spytała Vicki. Susan pokręciła głową.

— Jest w szoku. — Wyraz twarzy Susan mówił, że ona z Owenem też.

— Powiedziała policji, co tu się stało?

— Niewiele.

Susan poprowadziła Traccy do starej zielonej sofy i usiadła przy niej. Vicki wzięła stojące obok krzesło i przysunęła je do nich.

Do hallu wszedł policjant. Był to wysoki, barczysty mężczyzna w wieku około czterdziestu, może czterdziestu

pięciu lat o grubym karku i bicepsach opiętych szarą sportową marynarką, rzadnych blond włosach i niebieskich oczach z ciężkimi powiekami. Wydał się Vicki znajomy, lecz ostatnio wszyscy policjanci wydawali jej się znajomi.

— Pani Latimer? — spytał, jakby ją poznał.

— Pan...

— Porucznik Jacobek. Zeznawałem w sprawie Keevila w zeszłym roku.

Szybko przypomniała sobie każde jego słowo. Był doskonały. Tak dobry, że omal nie przegrała przez niego sprawy.

— Rozumiem, że znała pani ofiarę.

Słowo „ofiara” przywróciło Vicki do rzeczywistości. Z trudem przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło.

— Była moją przyjaciółką.

Gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca, gdy uświadomiła sobie, z jaką łatwością przeszedł jej przez usta czas przeszły. Zobaczyła, że po policzku Susan spływa łza.

— Co tu się właściwie stało?

— Mamy nadzieję, że uda się pani namówić dziewczynę, by nam to wyjaśniła

— odpowiedział porucznik Jacobek.

W tym momencie przez hali przebiegło kilku policjantów, kierując się w stronę schodów.

Ekipa śledcza, pomyślała Vicki i uklękła przed Traccy. Usłyszała jeszcze, jak jej mąż rozmawia z Owenem.

— Widziałeś ją? — spytał Jeremy.

— Traccy, kochanie — zaczęła i już chciała wziąć ją za rękę, lecz cofnęła się, widząc na nich krew.—Traccy, słyszysz mnie?

Traccy kiwnęła głową, chociaż jej wzrok pozostał nieruchomy.

— Traccy, kochanie, możesz nam powiedzieć, co się stało?

Traccy zaczęła się kiwać w przód i w tył i zawodzić. Rozdzierające jęki wypełniły salon, uniosły się w górę i opadły niczym deszcz.

— Zachowuje się tak od chwili, gdy tu przyszliśmy — wyjaśniła Susan.

— Zadzwoiła do ciebie? — Vicki starała się ukryć zdziwienie, że Traccy zadzwoniła do Susan, a nie do niej.

— Nie wiedziała, co robi. Nie mogliśmy się dowiedzieć, co się stało. Owen zawiadomił policję i zaraz tu przybiegliśmy. Drzwi frontowe były szeroko otwarte.

Vicki zauważyła, że jeden z oficerów robi notatki.

— I co dalej?

— Pobiegliśmy na górę i znaleźliśmy Barbarę.

Po raz pierwszy ktoś wypowiedział głośno jej imię, które zawisło w powietrzu. Susan machnęła ręką w stronę schodów.

— To było straszne. Leżała na podłodze przy łóżku cała we krwi. Z początku w ogóle jej nie poznałam. Miała zmasakrowaną twarz. Boże, po tych wszystkich operacjach...

— Gdzie była Traccy?

Vicki spojrzała na dziewczynę, lecz ona patrzyła przez nią, jakby jej nie widziała.

— Siedziała na podłodze przy matce i trzymała ją za rękę. Wszędzie było pełno krwi. Usiłowaliśmy coś z niej wyciągnąć, ale...

— Traccy, odezwij się — powiedziała Vicki, lecz ona odwróciła wzrok. Vicki

ujęła dziewczynę pod brodę i zmusiła do patrzenia sobie w oczy. — Traccy, musisz nam powiedzieć, co tu się stało. Słyszysz? Musisz pomóc swojej mamie.

— Moja mama...

— Potrzebuje twojej pomocy. Chce, żebyś nam powiedziała, kto ją skrzywdził.

— Ona nie żyje — powiedziała Traccy.

— Tak — potwierdziła nieswoim głosem Vicki.

— On to zrobił.

— Kto?

— Tony.

— Pewnie myślał, że Chris tu jest — wtrąciła Susan. — Policja już go szuka.

— Chris tu nie spała — powiedziała Traccy, gdy wszyscy w pokoju podeszli bliżej. — Mama chciała, ale ona powiedziała, że sobie poradzi.

— Gdzie jest teraz Chris? — spytała Vicki. Z oczu Susan popłynęły łzy.

— Nie wiemy. Nie ma jej w mieszkaniu.

Vicki przemilczała to, o czym wszyscy pomyśleli — że Tony dopadł Chris i wkrótce mogą się spodziewać kolejnej strasznej wiadomości.

— Dobrze, Traccy — zwróciła się do dziewczyny. — Teraz musisz nam opowiedzieć, co się wydarzyło.

Traccy rozejrzała się po pokoju, jakby nagle oprzytomniała.

— Spałam — zaczęła dziwnie ożywionym głosem.

— Nagle usłyszałam jakieś hałasy. Z początku myślałam, że coś mi się śni, ale już się obudziłam. Usłyszałam walenie, jakieś kroki, krzyk mojej mamy, znowu jakieś hałasy...

— Uniosła ręce, po czym je opuściła. — Bałam się. Wstałam z łóżka. I wtedy go zobaczyłam.

— Zobaczyłaś Tony'ego?

— Tak. — Popatrzyła na Susan, potem na porucznika Jacobka i znowu na Vicki. — Jestem pewna, że to był on

— dodała, jakby wcale nie była pewna.

— Widziałaś jego twarz? — spytał porucznik Jacobek. Pokręciła przecząco głową.

— Miał gogle.

— Gogle? — zdziwiła się Vicki. W taki upał? — jakby słyszała głos Barbary.

— Miał je na ustach. Widać mu było tylko oczy.

— Więc mógł to być ktoś inny?

— A kto? — spytała Traccy. — Howard?

— Howard? — powtórzył porucznik Jacobek.

— Howard Kerble, jej narzeczony — wyjaśnił Owen.

— Niemożliwe — zaprotestowała Vicki. — On wielbił ziemię, po której stapała Barbara.

— Ktoś powinien go zawiadomić — wtrąciła Susan.

— Zajmiemy się tym — zapewnił ją porucznik Jacobek, dając znak swemu partnerowi.

— Howard uwielbiał moją mamę — powiedziała Tracey. — Żebyście widzieli, jaki pierścionek jej kupił.

— Miała go na palcu? — spytał porucznik Jacobek.

— W ogóle go nie zdejmowała — odparła Tracey.

— Brakuje pierścionka — zanotował jeden z policjantów.

— Gdzie stałaś, gdy zobaczyłaś tego mężczyznę? — spytał porucznik Jacobek Tracey.

— Co?

— Gdzie wtedy stałaś? — powtórzyła pytanie Vicki, żałując, że policjant je zadał. Jeżeli nie będą ostrożni, Tracey wróci do stanu bliskiego katatonii.

— Nie wiem — odpowiedziała Tracey. — Chyba w hal-lu.

— Czy on cię widział? Tracey kiwnęła głową.

— Patrzył prosto na mnie.

— Jakiego był wzrostu? — spytał porucznik Jacobek.

— Nie wiem. To siedziało tak szybko. On biegł pochylony.

— Zbiegał ze schodów?

Tracey pokiwała energicznie głową.

— Czy miał coś w ręku?

— Nie rozumiem.

— Kij baseballowy, może pogrzebacz.

— Nie wiem. Chyba nie. — W głosie Tracey zabrzmiało zdenerwowanie.

— Wszystko w porządku, kochanie — uspokoiła ją Vicki. — Świetnie ci idzie.

Co było dalej?

— Poszłam do sypialni mamy — wyjaśniła Tracey już spokojniejszym tonem. Mówiła wolno, jakby przypominała sobie zdarzenie po zdarzeniu. — Z początku jej nie zauważyłam. Zawołałam ją, ale mi nie odpowiedziała. I wtedy usłyszałam jęki. Obeszłam łóżko i wtedy ją zobaczyłam. Leżała na podłodze. Cała we krwi. Z początku nie byłam pewna, czy to ona. Jej twarz...

Vicki spuściła wzrok i przełknęła ślinę. Tracey użyła prawie tych samych słów co Susan.

— Podbiegłam do telefonu — ciągnęła Tracey — i za” dzwoniłam do Susan.

— A twój ojciec? — spytała Vicki.

— Mój ojciec? To nie on.

— Oczywiście, że nie.

— Tylko dlatego, że często się kłócili, nie znaczy...

— Oczywiście że nie — powtórzyła Vicki, zerkając na porucznika Jacobka.

— Gdzie jest twój ojciec? — spytał.

— To nie on — powtórzyła Tracey.
— Trzeba go zawiadomić, co tu się stało. Tracey niechętnie podała adres ojca.
— Mój tata jest bardzo zajęty. Ma dwoje małych dzieci i Pam znowu jest w ciąży. Nie chcę u nich mieszkać.
— Nie musisz — zapewniła ją Vicki.
— Zostaniesz u nas — wtrąciła Susan i spojrzała na porucznika Jacobka.
— W porządku. Może zamieszkać tam, gdzie chce.
— Nie chcę mieszkać u taty — powtórzyła Tracey. — Łóżko skrzypi i dzieci wczesnie wstają. Nigdy nie mogę się porządnie wyspać.

Przez jedną krótką chwilę Vicki miała wrażenie, jakby słyszała siostrę Susan, Dianę, lecz szybko odsunęła od siebie tę myśl. W stresie mówi się różne rzeczy. Niepewnie wstała z klęczek.

Tracey zachichotała.

— Kolana pani trzeszcza — powiedziała.

Na schodach zrobił się ruch i Vicki zobaczyła kilku ubranych po cywilnemu policjantów, którzy nieśli wielki zielony worek.

— O Boże! — szepnęła i odwróciła wzrok, domyślając się, że w środku jest ciało przyjaciółki.

— Była taka piękna — powiedziała Tracey. — Kiedyś zdobyła tytuł Miss Cincinnati.

Vicki kiwnęła głową.

— Miała kompletnie zmasakrowaną twarz — ciągnęła Tracey, jakby nie mogła przestać mówić. — Wyglądała, jakby w ogóle jej nie miała. — Wydała dźwięk przypominający mieszaninę śmiechu i płaczu. — Po tym wszystkim, co zrobiła, żeby nadal być piękną. — Urwała jak zabawka, którą trzeba nakręcić.

Vicki zamknęła oczy, odpychając od siebie obraz przyjaciółki leżącej na podłodze ze zmasakrowaną twarzą.

— Czy mogę już zabrać Tracey do domu? — spytała Susan, wyraźnie zmęczona wydarzeniami minionego tygodnia. Najpierw śmierć matki, teraz morderstwo przyjaciółki.

Porucznik Jacobek skinął twierdząco głową.

— Jeżeli pani pozwoli, później do państwa wpadniemy.

— Podał swoją wizytówkę Owenowi. — Gdyby państwo lub Tracey przypomnieli sobie o czymś...

— Damy panu znać — zapewnił go Owen.

— Pójdę na górę i zapakuję ci kilka rzeczy — zaproponowała Susan.

— Nie — odparła Tracey. — Ja pójdę. Pani nie będzie wiedziała, co chcę wziąć.

Młody policjant, który nie chciał przepuścić Vicki, poszedł z Tracey na górę.

— Nie mogę uwierzyć, że to się stało — powiedziała Susan. — Wciąż myślę,

że to zły sen i za chwilę się obudzę.

— Myślisz, że Tony byłby do tego zdolny? — spytała Vicki.

— Po Tonym wszystkiego można się spodziewać. Boże, biedna Barbara.

— Tego właśnie nie rozumiem — powiedziała Vicki.

— Dlaczego Barbara?

— O czym ty mówisz? — W głosie Susan zabrzmiała irytacja.

— To po prostu nie ma sensu.

— Wszystko, co Tony robi, jest bezsensowne — stwierdziła Susan. — To podły, brutalny człowiek. Słyszałaś, co dzisiaj mówił? Groził, że zabije Chris.

— Chris tak, ale nie Barbarę.

— Groził nam wszystkim — przypomniała jej Susan. Odwróciła się do porucznika Jacobka i opowiedziała o incydencie na przyjęciu. — Zrobił z palców pistolet i wycelował w Chris. Powiedział, że wystarczy kul dla wszystkich.

— Postawię policjanta pod państwa domem, dopóki go nie zatrzymamy — powiedział porucznik Jacobek, gdy skończył notować.

Nie sądzę, by to było konieczne, pomyślała Vicki, lecz nie powiedziała tego głośno. Nawet gdyby Tony był odpowiedzialny za śmierć Barbary, wątpiła, by chciał ją zamordować. Jemu chodziło o Chris, to ją chciał zniszczyć. Po co miałby mordować Barbarę? Może włamał się do niej, przypuszczając, że będzie tam Chris? Wpadł we wściekłość, gdy jej tam nie znalazł, i wyładował ją na Barbarze. Czy zamordowanie Barbary miało być ostrzeżeniem dla Chris i zapowiedzią tego, co ją czeka?

A potem co zrobił? Uciekł z miejsca zbrodni ze śladami krwi na rękach, pewny, że nikt go nie zauważy? Spokojnie wrócił do domu, do dzieci, przebrał się i zniszczył dowody, sądząc, że nikt nie będzie go podejrzewał, chociaż pozostawił świadka w osobie Traccy?

To nie miało sensu.

Zresztą wcale nie musiało. Miała już do czynienia z tyloma sprawami, by stwierdzić, że morderstwo rzadko ma sens, że ludzie kierują się własnym systemem sprawiedliwości, choćby był najhaniebniejszy. Nikt nigdy nie uważa siebie za złego człowieka. Zawsze znajdzie się jakieś wytłumaczenie, choćby najbardziej szalone i pokrętne. A mordercy — jak wszyscy, którzy łamią prawo — uważają, że są nietykalni. Pozostawiają dowody na miejscu zbrodni i wierzą, że nikt ich nie złapie.

Dlatego nie należało szukać sensu w tym, że Tony zabił Barbarę, a nie Chris. Ważne było to, że Tony wpadł w szal, a Barbara znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Tylko że to były jej dom i jej łóżko.

— Nie było żadnych śladów włamania — powiedziała do Jeremy'ego w drodze powrotnej do domu, osłaniając oczy dłonią przed promieniami wschodzącego słońca. Na czystym niebie rozsnuły się pasy różowych chmur podobne do długich

cukierków na choinkę. Czerwone niebo wieczorem — żeglarz się raduje, czerwone niebo z rana — żeglarz się frasuje. Był to wierszyk zapamiętany z dzieciństwa, którego nauczyła ją matka. Barbarze podobałoby się takie niebo, pomyślała, tłumiąc w sobie łzy. Zobaczyła, że mąż ociera zmęczone oczy.

— Płakałeś? — spytała z nieukrywanym zdziwieniem.

— A ty nie? — odpowiedział równie zaskoczony.

Nie uroniła ani jednej łzy od blisko czterdziestu lat, to znaczy od chwili, gdy zrozumiała, że matka ją zostawiła i nigdy nie wróci. Tego dnia wylała morze łez i dokąd ją to zaprowadziło? Donikąd. Jej łzy padły na nieludzki grunt. Matka ich nie zauważyła. Czy dzięki temu rozdzierającemu serce szlochowi poczuła się lepiej? Jeżeli już, to gorzej. Łzy pozbawiały człowieka sił, zasłaniały widok, zasklepiały w rozpacz, nie pozwalały iść naprzód i żyć dalej. W jej życiu nie było miejsca na rozpamiętywanie przeszłości, tego, co było i nie można zmienić, ani na łzy. Już nie.

— Nie było śladów włamania? — spytał Jeremy, jakby dopiero teraz to do niego dotarło.

— Sprawdziłam. — Sięgnęła do torebki po okulary przeciwsłoneczne i włożyła je na nos. — Nie było stłuczonej szyby, nikt nie próbował wyważać łomem drzwi frontowych, tylne zaś były zamknięte.

— Może Barbara po prostu wpuściła Tony'ego do środka?

— Niemożliwe.

— Może ją podszedł?

— Niemożliwe, żeby go wpuściła — powtórzyła z mocą Vicki.

— Jaki stąd wniosek?

— Nie wiem.

— Myślisz, że to był Howard lub Roń? Zdaje się, że żaden z nich nie miał klucza.

— Na schodach nie było śladów krwi.

— Co?

— Ktokolwiek zabił Barbarę, musiał mieć na sobie jej krew. Tymczasem ślady krwi były tylko w sypialni. I na Traccy — dodała, czując, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz.

— Na Traccy? Nic dziwnego. Przecież Susan mówiła, że Traccy siedziała przy matce i trzymała ją za rękę. Nic dziwnego, że miała na sobie jej krew. Do czego zmierzasz?

— Nie wiem.

— Myślisz, że Traccy kogoś kryje?

— Nie wiem.

— Myślisz, że Traccy wie więcej, niż mówi?

— Nie wiem. — Ile razy można powtarzać to samo zdanie?—Nie wiem— powiedziała jeszcze raz, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

— Czy wspomniałaś o tym policji?

— Z jakiej racji mam odwalać za nich robotę? Jeremy wjechał na podjazd przed domem, wyłączył silnik

i spojrzał na żonę.

— Jesteś zdumiewającą kobietą, pani Latimer. No to co teraz zrobimy?

— Wejdziemy do domu, weźmiemy prysznic, pojedziemy do pracy i będziemy czekać na telefon.

— A potem?

— Wstrzymamy oddech i będziemy się modlić, żeby moje podejrzenia okazały się niesłuszne.

— Jak długo ten policjant będzie tam stać? — spytała Ariel, wchodząc do kuchni i siadając przy okrągłym białym stole.

Miała na sobie stosunkowo czysty niebieski podkoszulek zawiązany na supeł pod biustem i luźne dzinsy. Susan starała się omijać wzrokiem małe złote kółeczko przy pępku.

— Dopóki nie znajdą Tony'ego — odpowiedziała.

— Nie podoba mi się, że sterczą przed domem przez cały dzień. Na ich widok dostaję gęziej skórki.

— To dla naszego bezpieczeństwa. Ariel rozejrzała się po kuchni.

— Traccy jeszcze śpi? Susan spojrzała na sufit.

— Niedawno słyszałam jej kroki na górze.

— Przespała cały dzień?

— Prawie.

— Kiedy Dianę wyjechała?

— Koło południa.

Kiedy wrócili z Owenem i Traccy do domu, walizka siostry stała już przy drzwiach. Dianę wymamrotała kilka nieszczerych słów, że rozumie, co Traccy musi czuć, bo sama właśnie straciła matkę, po czym zniknęła na cały ranek. Udało jej się nawet nie okazać irytacji, gdy Susan nie zgodziła się odwiedzić jej na dworzec i musiała zamówić taksówkę.

Whitney naturalnie zaproponowała, że nie pojedzie na obóz i zaopiekuje się Tracey, lecz Susan przekonała ją, by nie rezygnowała ze swoich planów. Kto wie, jak długo Tracey u nich zostanie i jak długo Whitney będzie musiała zmieniać ustalony porządek dnia.

Kiedy Ariel pojawiła się rano w kuchni i spojrzała na matkę, natychmiast uznała, że musi zniknąć z domu. Widocznie nie mogła znieść bólu, który dostrzegła w jej oczach. Nim Susan zdążyła zapytać, dokąd idzie, już jej nie było.

— Gdzie byłaś cały dzień? — spytała teraz córkę.

— Tu i tam. — Ariel wzruszyła ramionami i przeczesła żółtymi od papierosów palcami różowopurpurowe sterczące włosy.

Susan kiwnęła głową. Była zbyt zmęczona, by dalej ją pytać. Najważniejsze, że wróciła bezpiecznie do domu.

— Byłam u Molly — powiedziała Ariel.

Susan usiłowała dopasować twarz do imienia, lecz szybko zrezygnowała. Znajomi Ariel szybko się zmieniali. Zjawiali się i odchodzili. Nie miało więc znaczenia, kim była ta Molly.

— Molly to dziewczyna, którą poznałam w salonie tatuażu — wyjaśniła niepytana Ariel.

— Uhm — mruknęła Susan.

— To bardzo miła dziewczyna — dodała obronnym tonem Ariel.

— Na pewno.

— Ma śliczny tatuaż na lewej łopatce. Taki abstrakcyjny kwiat.

— Na pewno jest ładny.

Ariel wyglądała na zaskoczoną, a nawet przerażoną.

— Dobrze się czujesz?

Susan omal nie wybuchnęła śmiechem.

— Nie bardzo. — Znowu poczuła łzy pod powiekami. Boże, czy nigdy nie przestaną płynąć?

Wyraz twarzy Ariel dowodził, że nie jest pewna, czy ma pocieszać matkę, czy uciec z kuchni.

— Przepraszam — powiedziała, decydując się na kompromis. — Naprawdę mi przykro.

— Wiem, kochanie.

— Nie chciałam wychodzić na cały dzień. Ale to było ponad moje siły. Najpierw babcia, a teraz Barbara. Biedna Tracey. Miała taki okropny wyraz oczu.

— Rozumiem.

— Czy jestem taka jak Dianę? — spytała nagle Ariel.

— Co takiego? — Susan znowu omal się nie roześmiała.

— Ależ skąd. W ogóle nie jesteś do niej podobna.

— Nie nienawidzisz mnie? — W oczach Ariel błysnęły łzy i odwróciła głowę.

— Jak mogłabym cię nienawidzić? Jesteś moją córką i kocham cię. Zawsze będę cię kochać. Zapamiętaj to sobie.

Ariel skinęła w milczeniu głową.

— Mogę cię przytulić? — spytała Susan, czując, że przepełnia ją miłość do córki, jakiej od dawna nie doświadczyła.

Ariel natychmiast wtuliła się w matczyne ramiona. Stały tak przez kilka minut, kołysząc się lekko. Ariel płakała cicho na ramieniu matki, mocząc łzami jej szyję.

— W radiu podali, że Barbara została śmiertelnie pobita.

Susan kiwnęła głową, starając się wyrzucić z pamięci obraz przyjaciółki leżącej na podłodze w sypialni ze zmasakrowaną twarzą. Ktokolwiek to zrobił, musiał ją strasznie nienawidzić.

— Dlaczego policja nie odnalazła jeszcze Tony'ego?

— spytała Ariel, jakby czytała w jej myślach.

— Nie wiem.

— Masz jakieś wiadomości od Chris?

— Nie.—Dobry Boże, jeżeli Tony zrobił to Barbarze, to co może zrobić Chris? Rozpłakała się.

— Boże, przepraszam. Znowu coś nagadałam. Powinnam była zostać u Molly.

— Nie, kochanie... — Poklepała córkę po głowie, dziwiąc się, że te sterczące

druty są takie miękkie.

— Kto to jest Molly? — zabrzmiał czyjś głos.

Ariel natychmiast odsunęła się od matki. Susan odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach Tracey. Miała na sobie białą bluzkę i granatową plisowaną spódnicę. Ciemne włosy były świeżo umyte i zebrane w koński ogon. Susan założyła za uszy potargane włosy i wygładziła podkoszulek i szorty, których nie zdjęła od rana.

— Kto to jest Molly? — spytała ponownie Tracey, siadając przy kuchennym stole.

Ariel wzruszyła ramionami i usiadła obok niej.

— Dziewczyna, którą poznałam w salonie tatuażu.

— Tatuaze są wstrętne. — Tracey spojrzała na Susan, jakby czekała na pochwałę. — Czy mogłabym dostać szklankę mleka? — spytała.

Susan roztarła łyzy po policzkach, jakby nakładała puder.

— Co? A tak, naturalnie. — Nalała mleka do szklanki i postawiła przed Tracey. — Musisz być głodna. Zrobić ci coś do zjedzenia?

Na myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze i pewnie Tracey czuła się podobnie. Ale dziewczyna musi mieć siły.

— Chętnie zjadłabym kilka kanapek — odpowiedziała Tracey. — Takich jak wczoraj u pani na przyjęciu. Może coś z nich zostało?

Susan z trudem ukryła zaskoczenie. W końcu Tracey była normalną nastolatką. Miała apetyt, który najwidoczniej był silniejszy od przeżytej tragedii. Może w ten sposób radzi sobie ze strachem? Nie powinna jej osądzać. Każdy inaczej reaguje na ból. Otworzyła lodówkę, wyjęła tacę z kanapkami i postawiła ją na stole.

— Te najbardziej mi smakują.

Tracey ujęła w palce delikatną kanapkę i popatrzyła na grubą warstwę tuńczyka i jajka między dwoma kawałkami białego i czarnego chleba. Podniosła ją do ust, ugryzła raz, potem drugi i było po kanapce. Oblizwała palce, te same, na których dziś rano była krew matki.

— Są przepyszne — powiedziała, biorąc następną kanapkę i podnosząc do ust.

Susan odwróciła wzrok, bojąc się, że nie zdoła ukryć niechęci. Nie wolno ci jej osądzać, nakazała sobie.

— Jak możesz jeść w takiej chwili? — spytała Ariel, nie mając takich oporów jak matka.

— Co? — Tracey wyglądała na zaskoczoną. Ariel pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Nie rozumiem, jak możesz mówić o kanapkach, gdy zamordowano twoją matkę.

— Ariel! — rzuciła ostrzegawczo Susan, chociaż myślała tak jak córka.

— O Boże, moja mama! — jęknęła Tracey. Rzuciła kanapkę na talerz,

chwyciła się za brzuch i zaczęła się kiwać w przód i w tył. — Moja mama! Moja biedna mama!

Ariel zerwała się z miejsca.

— Boże, przepraszam, Tracey. Przepraszam, mamó.

— Już dobrze, skarbie. Może wyszłabyś i zaczekała na autobus Whitney?

— A gdzie jest Whitney? — spytała Tracey, gdy Ariel wybiegła z kuchni.

Kiedy to Ariel tak się spieszyła na spotkanie z siostrą? — pomyślała Susan.

— Na półkoloniach — wyjaśniła Tracey, z trudem dostosowując się do tych nagłych zmian nastroju.— Jest tam pomocą wychowawcy. — Czy ta rozmowa jej się nie śni?

— Ja nigdy nie byłam na półkoloniach.

— Nie?

— Chciałam, ale mama...

— Lubiała mieć cię przy sobie.

— Powiedziała, że w tym roku mogę. Pewnie z powodu Howarda. — Skrzywiła się. — Jeszcze do niego nie dzwoniłam. Nieładnie z mojej strony, ale nie chcę z nim rozmawiać. Zacznie mnie pytać, co się stało, a ja już mam dość. Nie chcę więcej o tym mówić.

Jedno zdanie goniło następne. Susan z trudem za nimi nadążała.

— Mama była taka podekscytowana ślubem, żeby pani ją widziała. Myślała nawet o kupnie białej sukni. Mówiła coś o tym?

— Wspomniała, że ładnie wyglądałaby suknia w kolorze kości słoniowej.

— A to nie jest biały?

— Raczej pochodny białego.

Tracey kiwnęła głową i sięgnęła po kanapkę.

— Chciała, żebym wystąpiła w sukni koloru mięty lub lila. Miałam być jej świadkiem.

— A my drużkami — powiedziała Susan, wyobrażając sobie, jak idzie środkiem kościoła z Vicki i Chris.

Boże, gdzie ta Chris?

— Pamiętam ślub taty—ciągnęła Tracey. — Był bardzo ładny. Pam miała na sobie piękną białą suknię od Very Wang. Wszystkie gwiazdy filmowe ubierają się u Very Wang. Tata mówił, że kosztowała fortunę.

— Na pewno była piękna — odparła Susan, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Tracey rozejrzała się po kuchni.

— A kto da mi moje kieszonkowe? — spytała.

— Co?

— Moje kieszonkowe. Co piątek dostawałam dziesięć dolarów.

— Na pewno twój tata... — zaczęła Susan i urwała.

— Rozmawiała z nim pani?

— Nie. Policja nie może go znaleźć. Chyba wyjechał z miasta.

Traccy wyglądała na zmieszaną. Jej wielkie brązowe oczy skupiły się na czubku nosa.

— Ach, prawda. Wyjechał z Pam na dwa dni do Atlantic City.

— Do Atlantic City? — Susan sięgnęła po słuchawkę telefonu. — Trzeba zawiadomić policję.

— Ja nie chcę u nich mieszkać.

Łóżko skrzypi i dzieci wczesnie wstają, pomyślała Susan.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć—powiedziała Traccy. — Dzieci są wspaniałe. Ale to dzieci. Robią strasznie dużo hałasu. Poza tym — zniżyła głos, a w kącikach oczu błysnęły łzy — moja mama nie chciałaby, żebym tam mieszkała.

— To jest twój ojciec, Traccy—przypomniała jej Susan.

— No tak — mruknęła Traccy i sięgnęła po następną kanapkę.

Ariel miała rację, pomyślała Susan, patrząc, jak szybko z oczu Traccy znikają łzy. Ona rzeczywiście jest dziwna. Zadzwoił telefon. Susan z ulgą sięgnęła po słuchawkę.

— Halo?

— Czy pani Norman? — zapytał młody kobiecy głos. Pewnie to któraś z koleżanek Ariel. Może tajemnicza Molly?

— Tak.

— Mówi Montana Malarek, córka Chris.

— Dzień dobry, Montano. Skąd dzwonicz? Czy coś się stało?

Słowa wysypywały się z ust Susan jak piasek z wiaderka.

— Policja właśnie zabrała tatę. — W głosie Montany brzmiało niedowierzenie. — Powiedzieli, że zamordował panią Azinger.

— Czy policja jeszcze tam jest?

— Przeszukują dom. Mają nakaz. Ale on tego nie zrobił. Wiem, że nie. Przez całą noc był w domu. Wyszedł wczesnym rankiem, bo miał spotkanie w Lexington. Leczą policja w to nie wierzy. Oni myślą, że zamordował panią Azinger.

— Chcesz, żebym przyjechała?

— Nie — powiedziała szybko Montana.—Tata powiedział, że wróci, jak tylko wyjaśni sprawę. Pani Norman...

— Tak, kochanie?

— Czy rozmawiała pani z mamą? — spytała Montana po chwili wahania. — Długa cisza. — Bo policja mówiła, że zaginęła. Zastanawiałam się, czy skontaktowała się z panią...

Susan usłyszała niepokój w głosie Montany i wyczuła kryjącą się za nim miłość, nawet jeśli Montana nie zdawała sobie z tego sprawy.

— Nie wiem, gdzie ona jest — przyznała ze smutkiem. — Do nikogo nie

dzwoniła.

— Chyba nie myśli pani, że coś jej się stało? To znaczy że ten, kto zabił panią Azinger, mógł... — Urwała.

— Może przyjechałabyś do mnie razem z braćmi — zaproponowała Susan, zastanawiając się, jak Tracey zareagowałyby na widok córki człowieka, który zamordował jej matkę.

— Nie, dziękuję. Tata powiedział, że wkrótce wróci. Powiedział, żeby nie wychodzić, że będzie w domu na kolację.

— Może nie zdążyć.

— Zadzwoń pani do mnie, gdy się czegoś dowie o mamie? — spytała Montana.

— Oczywiście.

— Proszę nie mówić tacie, że dzwoniłam, dobrze? Może Ariel by zadzwoniła, udając koleżankę ze szkoły, na wypadek gdyby odebrał telefon.

— Montano, twój ojciec nie może zabronić ci widywania się z matką.

— Nie chcę jej widzieć — padła natychmiastowa odpowiedź, lecz głos mówił co innego. — Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. Powie pani Ariel, żeby do mnie zadzwoniła?

— Oczywiście — powtórzyła Susan.

Montana podała swój numer i rozłączyła się. Susan stała jeszcze przez kilka sekund ze słuchawką przy uchu, nie zwracając uwagi na drażniący sygnał.

— To była córka Chris? — spytała Tracey.

— Policja właśnie aresztowała Tony'ego. Dlaczego nie czuję ulgi? — pomyślała Susan.

— To dobrze. Niech zgnije w więzieniu. Nigdy nie zapomnę jego wzroku. Myślałam, że mnie zabije.

— Co? — Tracey dotąd o tym nie wspominała.

— Popatrzył na mnie, a potem zrobił kilka kroków w moją stronę.

— Czy coś powiedział?

— Nie. Tylko tak dziwnie się uśmiechał, jakby się zastanawiał, czy mnie zabić, czy nie.

— Jak mogłaś zobaczyć wyraz jego twarzy?

— Nie rozumiem.

— Powiedziałaś policji, że miał maskę.

— Zgadza się. Gogle. Czarne gogle.

— Jak więc mogłaś zobaczyć wyraz jego twarzy? — spytała ponownie Susan.

Tracey wzruszyła ramionami.

— Widziałam to w jego oczach.

Susan kiwnęła głową, uznając, że Tracey mogła dostrzec morderczy zamiar w oczach Tony'ego. Jeżeli nie, to się tego domyśliła.

— I co było potem?

- Odwrócił się i zbiegł po schodach.
- Jesteś pewna, że to był Tony? Montana mówi, że przez całą noc nie wychodził z domu.
- Jasne, że tak mówi.
- Ale jesteś pewna, że to był Tony — Susan stwierdziła raczej, niż spytała. Tracey wzruszyła ramionami.
- Jakiego wzrostu był ten mężczyzna?
- Nie wiem. Chyba średniego.
- Tony jest raczej niski.
- On się pochylał.
- Dlaczego?
- Nie rozumiem.
- Dlaczego się pochylał?
- Nie wiem. Uciekał.
- Ale powiedziałaś, że się zatrzymał i popatrzył na ciebie, że zrobił kilka kroków w twoją stronę. Czy wtedy się też pochylał?
- Nie wiem. Czemu pani zadaje mi te pytania? Bałam się. Nie pamiętam. — Z oczu Tracey trysnęły łzy, jakby uderzono ją w twarz.
- Przepraszam—powiedziała pospiesznie Susan, wzięła z blatu chusteczkę i delikatnie otarła łzy z twarzy Tracey. —Nie chciałam cię zdenerwować. Usiłuję jedynie poukładać fakty. Nie chcę, żeby Tony'ego zwolniono z powodu... — Z powodu nieścisłości w twojej relacji, dokończyła w myślach.
- Nie zwolnią go — powiedziała z zadziwiającą pewnością w głosie Tracey.
- Czy ona przyjedzie?
- Kto?
- Montana. Przyjedzie tu?
- Nie.
- Szkoda. Dawno jej nie widziałam.
- Susan kiwnęła głową, bojąc się cokolwiek powiedzieć. Przywykła, że dziewczęta potrafią przeskakiwać z tematu na temat, nigdy jednak nie spotkała się z czymś takim. Może to szok po nagłej śmierci matki. Najwyraźniej nie potrafiła jasno myśleć. A może zbyt wiele po niej oczekuje.
- Tylko czego właściwie oczekiwała?
- Jeżeli już, to tego, że przytłoczona smutkiem Traccy przeleży cały dzień w łóżku. Tymczasem po kilku godzinach snu wykapała się, ubrała i poczuła głód. W ogóle nie płakała, chyba że ją do tego zmuszono. Łzy wysychały jej jednak zaskakująco szybko. Jakby w ogóle jej to nie dotyczyło. Czy ona zawsze taka była? Ariel i Whitney uważały, że tak. Dlaczego ona nigdy tego nie zauważyła?
- Chyba pójdę na górę — powiedziała Traccy.
- Oczywiście. — Pewnie chce się położyć, pomyślała Susan. Dopiero teraz

zaczyna docierać do niej to, co się stało.

— Czy mogę włączyć telewizor?

— Co? A tak, naturalnie.

Tracy grzecznie wstawiła tacę z kanapkami do lodówki, pustą szklankę po mleku do zlewu i wyszła spokojnie z kuchni. Po chwili Susan usłyszała jej kroki na schodach. Wtedy sięgnęła po słuchawkę telefonu.

— Vicki — powiedziała, jak tylko usłyszała głos przyjaciółki. — Możesz przyjechać? Chyba mamy kłopot.

Dochodziła szósta wieczorem, gdy Vicki zjawiała się w domu Susan. Z lekką konsternacją zauważyła, że przyjaciółka ma na sobie to samo ubranie, w którym była rano, a na białym podkoszulku widnieją brązowe smugi — zapewne zaschniętej krwi.

— Przepraszam, ale nie mogłam przyjechać wcześniej — powiedziała. Przyjęła od Susan filiżankę kawy, usadowiła się przy kuchennym stole i rozejrzała wokół. — Śmieszne, że zawsze lądujemy w kuchni.

— Możemy przejść do salonu.

— Nie. Dobrze mi tutaj. A gdzie Traccy? Susan wskazała wzrokiem na sufit.

— Śpi?

— Ogląda telewizję.

Vicki podniosła filiżankę do ust.

— Dziwna dziewczyna.

— Właśnie.

— Domyślam się, że to ona jest tym problemem, o którym mówiłaś przez telefon.

Susan usiadła obok Vicki przy stole i zniżyła głos do szeptu.

— Może jestem paranoiczką...

— Ale to wszystko do siebie nie pasuje, tak?

— Jej reakcje są jakieś dziwne. Ciągłe powtarzam sobie, że ona jest w szoku, ale...

— Myślisz, że to coś więcej?

— Może gdy policja wyciągnie od Tony'ego zeznanie...

— Policja wypuściła Tony'ego — powiedziała Vicki, patrząc, jak z twarzy Susan odpływa cała krew.

— Co takiego?!

— Nie mieli wystarczających dowodów, by go zatrzymać.

— Nie rozumiem.

Vicki zauważyła, że ręce Susan zaczynają drżeć, i przykryła je swoimi.

— Tony twierdzi, że był w domu przez całą noc. Dzieci go kryją.

— Oczywiście, że go kryją.

— Wygląda na to, że Rowdy mocno się przeziębził i budził wszystkich swoim kaszlem. Montana przysięga, że ojciec dawał Rowdy'emu lekarstwo na kaszel w czasie, gdy Barbarze rozwalano głowę. Przepraszani za tę niedelikatność — dodała, gdy Susan się skrzywiła.

— I to wystarczyło policji?

— Tak. Poza tym nie znaleziono żadnego dowodu, który łączyłby Tony'ego z tym morderstwem. Żadnej broni, żadnych gogli.

— Mógł się ich pozbyć.

— Żadnych śladów krwi—ciągnęła Vicki—włosów czy kości na jego ubraniach.

— O Boże!

— Ekipa śledcza dokładnie sprawdziła jego samochód. Jest czysty.

— Może nie wziął samochodu, może umył się, może...

— Może tego nie zrobił.

— O rany! —jęknęła Susan.

Vicki dopiła kawę, wstała i nalała sobie następną filiżankę.

— Więc kto to zrobił? Roń?

— Roń był w Atlantic City. Policja w końcu go odnalazła. Jest teraz w drodze do domu.

— Chyba nie myślisz, że to mógł być Howard?

— Nadał go przesłuchują — odpowiedziała Vicki. — Nie ma alibi na czas śmierci Barbary.

— W takim razie to może być on.

— On nie ma motywu — przypomniała jej Vicki.

— Więc jaki stąd wniosek?

— Myślę, że wiesz.

— Nie wiem.

— Sądzę, że tak. Dlatego do mnie dzwoniłaś. Powiedziałaś, że mamy problem, i prosiłaś, żebym przyjechała.

— Chodziło mi o to, że możemy mieć problem, bo Traccy ma kłopoty ze swoją wersją wydarzeń.

— Ludzie, którzy mówią prawdę, nie mają z tym kłopotów.

— Myślisz, że ona kłamie?

Nad ich głowami rozległ się wybuch śmiechu.

— Myślisz, że to normalne śmiać się z jakiegoś głupiego programu, gdy zaledwie dwanaście godzin temu jej matce zmiażdżono głowę?

— O Boże!

— Przepraszam. Ciągle zapominam, że ją widziałaś.

— To było potworne.

Susan ukryła twarz w dłoniach, jakby chciała odgrodzić się od potworności, których była świadkiem, i rozplakała się.

Vicki podeszła i objęła przyjaciółkę. Przez sufit przebił się kolejny wybuch śmiechu.

— Przepraszam. Wiesz, że w ten sposób reaguję na sprawy, z którymi wolałabym nie mieć do czynienia.

— Może podobnie reaguje Traccy. Może nie chce o tym myśleć. — Upierała się Susan. — Może jej uczucia uległy stepieniu...

— A może ona w ogóle nie ma uczuć.

Susan uniosła głowę i spojrzała Vicki w oczy, jakby błagała o litość.

— Co ty mówisz? Myślisz, że Traccy mogła zamordować własną matkę?

— Czy ty tak nie myślisz? Zapadła cisza.

— Ale to by dowodziło, że jest jakimś potworem. Vicki wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że nic jej już nie zdziwi.

— To niemożliwe — stwierdziła Susan. — Dlaczego Traccy chciałyby skrzywdzić własną matkę? Przecież Barbara kochała ją ponad wszystko. Traccy była jej życiem. Zrobiłaby wszystko dla tej dziewczyny. To nie ma sensu.

Vicki znowu wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, a co ma?

— Chyba powinniśmy ją tu ściągnąć i porozmawiać z nią przed przyjazdem policji.

— Zawiadomiłaś policję?

Vicki potarła czoło. Co się dzieje z tą Susan? — pomyślała niecierpliwie. Jak kobieta w jej wieku może być taka naiwna?

— Oczywiście, że nie zawiadomiłam policji. Nie sadzisz jednak, że będą chcieli jej zadać te same pytania, jakie my zadajemy? Że dojdą do tych samych wniosków co my?

— O Boże!

— Mogłabyś przestać to powtarzać? — spytała Vicki, lecz natychmiast się zreflektowała. — Przepraszam. Nerwy mi puszczają.

— Nie szkodzi. Rozumiem. Rozległ się kolejny wybuch śmiechu.

— Mogłabyś to wytłumaczyć? — spytała Vicki. Susan pokręciła przecząco głową, wciągnęła powietrze

w płuca i uniosła brodę do sufitu.

— Traccy! — zawołała. — Mogłabyś przyjść tu na chwilę?

Usłyszały kroki, potem zamilkł telewizor i znowu kroki.

— A gdzie Owen? — spytała Vicki, uświadamiając sobie jego nieobecność.

— Traccy poprosiła o chińskie jedzenie na kolację — wyjaśniła Susan. Niedowierzanie w jej głosie brzmiało teraz głośno jak dzwon.—Owen pojechał je kupić i zabrał ze sobą dziewczynki.

— Jest już chińszczyzna? — spytała Traccy, wchodząc do kuchni. Wyraz radosnego oczekiwania zniknął, gdy zobaczyła Vicki.

— O, dobry wieczór, pani Latimer. Jak się pani miewa? W innych okolicznościach byłoby to normalne pytanie, pomyślała Vicki, patrząc w pogodną twarz dziewczyny.

— Dziękuję, dobrze. A ty jak się trzymasz?

— Dobrze — odparła Traccy, po czym dodała: — No, wie pani.

— Nie, nie wiem. Powiedz mi.

— Nie rozumiem.

— Usiądź. — Vicki odsunęła krzesło stojące przy Susan i patrzyła, jak Traccy

na nim siada.

— Czy coś się stało? — spytała Traccy.

Dziwne pytanie, pomyślała Vicki. Sądząc po wyrazie twarzy, Susan była tego samego zdania.

— Właściwie to nie — odpowiedziała, siadając na trzecim krześle. — Policja przez całe popołudnie przesłuchiwała Tony'ego, a potem go zwolniła.

— Zwolniła go? — spytała z niedowierzaniem Traccy. — Dlaczego?

— Widocznie nie mieli wystarczających dowodów, by go zatrzymać.

— Ale to śmieszne. Wszyscy wiedzą, że Tony to zrobił.

— Wiedzą? — powtórzyła Vicki. — A skąd?

— Nie rozumiem.

— Opowiedz mi, co stało się wczoraj w nocy.

— Już mówiłam.

— Opowiedz jeszcze raz.

— Nie chcę. — Traccy poruszyła się niespokojnie na krześle. — Nie chcę znowu przez to przechodzić. — W kącikach jej oczu pojawiły się łzy, lecz ani jedna nie spłynęła po policzku.

— Wiemy, że to trudne, kochanie — wtrąciła łagodnie Susan — lecz chyba zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to ważne. Inaczej Vicki by nie pytała.

— Przejdźmy przez to jeszcze ten jeden raz — poprosiła Vicki. — Więc spałaś, kiedy usłyszałaś hałas.

— Usłyszałam hałas — powtórzyła Traccy.

— Jaki to był hałas?

— Nie wiem. Głośny. Walenie.

— Jakie walenie?

— Nie wiem.

— Walenie w podłogę, w łóżko, w ścianę?

— Nie wiem.

— Bo nie było żadnych śladów na podłodze ani na ścianach.

— Może było to raczej szuranie — odpowiedziała Traccy, wierząc się na krześle.

— Szuranie na tyle głośne, by wyrwać cię ze snu?

— Tak.

— Przedtem mówiłaś, że słyszałaś walenie. Między waleniem a szuraniem jest ogromna różnica.

— Nie wiem, co to był za hałas. Po prostu mnie obudził.

— I co było potem?

— Usłyszałam krzyk mamy.

— Najpierw usłyszałaś walenie, a potem krzyk mamy?

— Tak.

- Co potem?
- Znowu hałasy. Zawołałam mamę, ale nie odpowie działa.
- Mów dalej.
- Przestraszyłam się. Zobaczyłam mężczyznę w nych goglach. Wpatrywał się we mnie, jakby chciał zabić. Nie mogłam się ruszyć z miejsca.
- Byłaś w łóżku?
- Tak.
- Powiedziałaś policji, że wyszłaś na korytarz.
- Co?
- Dziś rano powiedziałaś policji, że wyszłaś na korytarz i tam zobaczyłaś tego mężczyznę.
- To prawda.
- Przed chwilą powiedziałaś, że byłaś w łóżku.
- Skołowała mnie pani.
- Kiedy zobaczyłaś tego mężczyznę?
- Na korytarzu.
- Jesteś pewna?
- Tak. Teraz sobie przypominam. Usłyszałam hałas. Usłyszałam, jak mama krzyczy. Wstałam z łóżka i wyszłam na korytarz.
- I wtedy zobaczyłaś tego mężczyznę w goglach?
- Tak. Patrzył na mnie, jakby chciał mnie zabić, a potem odwrócił się i zbiegł po schodach.
- I drzwiami na dwór?
- Chyba tak.
- A jak wszedł do domu?
- Co? Nie wiem. Chyba się włamał.
- Nie było żadnych śladów włamania.
- Mogłam nie zamknąć drzwi frontowych. — Traccy nerwowo rzuciła wzrokiem na boki. — Czasami zapominani je zamknąć.
- Vicki starała się ukryć rosnącą odrazę. Niewinni ludzie nie spekulują, jedynie winni wymyślają coraz to nowe historyjki.
- Czy miał broń?
- Nie wiem. Było ciemno, nie widziałam.
- Ale wyraz jego oczu widziałaś.
- Nie widziałam broni. — W oczach Traccy zabłyśły łzy.
- Traccy, nie mogę ci pomóc, jeśli nie będę wiedziała, co zaszło.
- Już to mówiłam.
- Usłyszałaś krzyk mamy i obudziłaś się — zaczęła ponownie Vicki.
- Tak.
- Przedtem powiedziałaś, że to jakiś hałas cię obudził.

— Usłyszałam hałas, a potem krzyk mamy.
— I wybiegłaś na korytarz.
— Tak.
— I zobaczyłaś tego mężczyznę.
— Tak.
— I pomyślałaś, że to Tony.
— Tak. Ale bałam się, a on się pochylał. To mógł być każdy.
— Na przykład twój ojciec?
— Nie. Nie wiem. Może.
— Nie poznałabyś ojca?
— Miał na twarzy gogle.
— Nawet w goglach?
— To był Howard — stwierdziła Traccy. — Howard Kerble. Pokłócili się z mamą tego wieczoru.
— Nie wspominałaś o tym.
— Bo zapomniałam.
— Zapomniałaś powiedzieć policji, że twoja mama pokłóciła się z narzeczoną tego wieczoru, gdy została zamordowana?
— Byłam skołowana i zdenerwowana. Bałam się, że on wróci i dopadnie mnie.
— Przedtem twierdziłaś, że to był Tony.
— Myliłam się!
— Teraz mówisz, że to Howard?
— Nie wiem, kto to był! — Traccy zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że przewróciła je na podłogę.
Susan natychmiast wstała i podniosła krzesło.
— Traccy, już dobrze. Nie denerwuj się—próbowała ją uspokoić.
— Dlaczego ona mi to robi? — Traccy spojrzała oskarżycielsko na Vicki. — Moja mama nie żyje. Jakiś obłąkaniec ją zabił. Nie wiem, kto to był. Pani chce, żebym co powiedziała?
Usłyszały zgrzyt klucza w zamku. Drzwi otworzyły się i zamknęły, potem w hallu zadudniły kroki i do kuchni weszły Ariel i Whitney z papierowymi torbami w rękach. Powietrze wypełnił przenikliwy zapach chińszczyzny.
— Super — powiedziała Traccy. — Umieram z głodu. Vicki ze zdumieniem pokręciła głową. Jeszcze przed chwilą ta dziewczyna krzyczała, że jakiś obłąkaniec zabił jej matkę, a teraz ślini się na widok jedzenia.
— Gdzie tata? — spytała równie zszokowana Susan.
— Rozmawia z jakimiś ludźmi przed domem — wyjaśniła Whitney, stawiając torbę na stole.
Traccy natychmiast podeszła do sióstr i zajrzała ciekawie do toreb.

— Ludzie? Jacy ludzie?

— Wyglądają na gliny — odpowiedziała Ariel. Vicki podniosła się z krzesła w momencie, gdy do kuchni wszedł Owen w towarzystwie porucznika Jacobka i ubranej po cywilnemu kobiety.

— Dobry wieczór, poruczniku — odezwała się Vicki, przejmując rolę gospodyni, jakby to był jej dom, a nie Susan.

— Dobry wieczór, pani Latimer, pani Norman — odpowiedział policjant, po czym wskazała kobietę o ciemnych włosach i ciemnej karnacji. — To jest moja partnerka, porucznik Gili.

— Podobno zwolniliście Tony'ego Malarka — wtrąciła Susan.

— Niestety, nie mieliśmy innego wyjścia.

— Myślę, że to był Howard Kerble — oznajmiła Traccy.

— Cicho bądź, Traccy — poleciła Vicki, nie odrywając wzroku od funkcjonariuszy policji. — Właściwie w jakim celu państwo tu przyszli?

— Chcielibyśmy zadać Traccy kilka pytań — odpowiedział porucznik Jacobek.

— Czy to jakiś problem? Wygląda na to, że chce nam coś powiedzieć.

— Czy nie można z tym poczekać do kolacji? — spytała Traccy.

Owen wyprowadził córki z kuchni.

— Dlaczego myślisz, że to Howard Kerble zabił twoją mamę? — spytał porucznik Jacobek.

— Bo on i mama pokłócili się wczoraj wieczorem. Zapomniałam o tym powiedzieć.

— Traccy — upomniała ją Vicki.

— Właśnie mówiłam o tym pani Latimer i pani Norman — ciągnęła Traccy. — Okropnie się pokłócili, bo moja mama powiedziała mu, że nie chce za niego wyjść. Oddała mu nawet pierścionek. Dlatego nie miała go na palcu.

— O której ta kłótnia miała miejsce? — spytała porucznik Gili, starannie notując każde słowo Traccy.

— Nie wiem. Chyba koło siódmej.

— Howard Kerble był wczoraj o siódmej na kolacji z synem — odpowiedział porucznik Jacobek.

— To musiało być później — natychmiast sprostowała Traccy. — Bliżej dziewiątej.

— Rozstał się z synem dopiero o dziesiątej.

— W takim razie to była dziesiąta. Zresztą co za różnica?

— Bądź cicho, Traccy — powtórzyła Vicki. — Do czego pan zmierza, poruczniku?

— Próbuujemy tylko dowiedzieć się, co zaszło — odparł policjant dokładnie tak, jak przewidywała Vicki.

— Czy moja klientka jest podejrzana? — spytała Vicki.

— Ona jest pani klientką?

— Czy jest podejrzana?

— W szafie Tracey znaleziono zakrwawiony kij golfowy, a w szkatułce na biżuterię pierścioneł z brylantem.

— Dlaczego grzebałiście w moich rzeczach?—zaprotestowała Tracey. — Nie powinniście mieć nakazu?

— Zamknij się, Tracey — rzuciła Vicki. Spojrzała na Susan i zobaczyła, że przyjaciółka wstrzymuje oddech. — Pytam jeszcze raz, czy moja klientka jest podejrzana?

— Powiem więcej, pani mecenas — odpowiedział porucznik Jacobek. — Jest aresztowana.

Susan głośno wciągnęła powietrze w płuca. Tymczasem policjanci podeszli do Tracey.

— Masz prawo milczeć — zaczęła porucznik Gili. Tracey zachichotała.

— Zupełnie jak w tym serialu.

— Nic nie mów — poleciła Vicki, kiedy policjantka wypowiadała zwyczajową formułkę. — Zadzwoń do jej ojca — poleciła Susan, gdy policjanci wyprowadzili zdumioną Tracey z kuchni. — Jeżeli nie będzie go w domu, zostaw wiadomość. Powiedz, żeby przyjechał na posterunek tak szybko, jak to możliwe.

— A co potem? — spytała Susan.

— Zjedzcie kolację i połóżcie się spać. Coś mi mówi, że sprawy się skomplikują.

Chris siedziała w ciemnym pokoju przed migającym ekranem telewizora z wyłączoną fonią. Przed jej oczami przesuwały się z zawrotną szybkością obrazy Barbary, Tracey, domu na Grand Avenue: Barbara z uśmiechem Mony Lisy na twarzy, jakże delikatnym, lecz wyrażającym niepohamowaną radość; Barbara z matczyną dumą w oczach trzyma w ramionach Tracey wpatrującą się beznamiętnym wzrokiem w obiektyw. Tracey jako pulchny berbecz z burzą kręconych loczków, jako dziewczynka w sukience z różowej tafty, loczkiem na czole i wielkimi pustymi oczami. Dlaczego dopiero teraz dostrzegła tę pustkę w spojrzeniu? A może to z perspektywy czasu oczy Tracey wydają się pozbawione uczuć? „Była raz sobie mała dziewczynka — usłyszała śpiewny głos Barbary — z małym loczkiem nad czołem...”

Poczuła w piersi ostry ból, jakby wbito jej nóż w serce, i uświadomiła sobie, że zbyt długo wstrzymywała oddech.

Jak mogło do tego dojść? Jak coś tak potwornego mogło przydarzyć się tak cudownej istocie jak Barbara? Jak Tracey mogła być w to zamieszana? Nie, to po prostu niemożliwe. Musiała zajść jakaś pomyłka. Barbara żyje, a Tracey nie oskarżono o morderstwo. Nic z tego, co powiedziała Susan, nie było prawdą. Susan okrutnie z niej zażartowała. Rozgniewała się na nią za to, że nie została po przyjęciu u Barbary, że zniknęła na cały dzień i pół wieczoru.

— Gdzie byłaś? — spytała Susan, jak tylko Chris podniosła słuchawkę. — Przez cały dzień do ciebie wydzwaniam.

— Co się stało? — spytała, czując, że za chwilę usłyszy coś strasznego.

— O niczym nie wiesz? Gdzie ty, u diabła, byłaś?

— Co się stało?

— O Boże!

Żołądek podszedł Chris do gardła. Natychmiast pomyślała o dzieciach. Doszło do wypadku, w którym ucierpiała Montana lub któryś z chłopców. Montana była już w tym wieku, że mogła prowadzić. Boże, jeżeli coś jej się stało...

— Co się stało? — spytała schrypniętym głosem, z trudem wymawiając wyrazy przez ściśnięte gardło.

— Barbara.—Głos Susan brzmiał w jej uszach jak echo. Barbara. Barbara. — Nie żyje.—Nie żyje. Nie żyje. Nie żyje.

Nie mogła sobie przypomnieć, co było potem. Jak przez mgłę usłyszała, że ktoś krzyczy, lecz nie była pewna, czy to Susan, czy ona. Ktoś przekazał jej te wszystkie straszne szczegóły. Może Susan. Może telewizor. Nie pamięta, kiedy go włączyła, ale pracował, oślepiając ją jak światło reflektora, hałaśliwy i drażniący nawet bez dźwięku. Kiedy zdążyła go włączyć?

Na podłodze leżały torebka i fioletowy sweter. Musiała je tam rzucić, gdy biegła do telefonu. Czowała też słaby zapach wymiocin, chociaż tylko nieprzyjemny smak w

ustach wskazywał, że źle się poczuła.

— Kto to zrobił? — przypomniała sobie swoje pytanie. — Czy już wiadomo?

— Policja aresztowała Tracey.

To musiała być pomyłka. Albo jeden z szalonych żartów Tony'ego. No właśnie. Dlaczego wcześniej o nim nie pomyślała? To nie z Susan rozmawiała, lecz z Tonym, który naśladował jej głos. Przez tyle lat nauczył się świetnie udawać głosy wszystkich jej przyjaciółek. Dlaczego od razu go nie poznała?

Tylko jak wyjaśni obrazy przesuwające się na ekranie! telewizora, cisnące się do oczu, zatykające nos i usta jaki poduszka bez względu na to, ile razy zmieniała kanały? Jaki wyjaśni zmieniających się reporterów, z obojętnością grani-j czącą z okrucieństwem przekazujących te same mrożące krew w żyłach informacje z miejsca zbrodni? Wyłączyła głos, by uciszyć ich wystudiowaną nonszalancję, chociaż coś powstrzymało ją przed wyłączeniem odbiornika.

Więc to nie był Tony. I to nie był żart.

Barbara nie żyje, a o jej zamordowanie oskarżono Tracey.

— Gdzie jest teraz Tracey? — spytała Susan.

— W Zakładzie Penitencjarnym dla Kobiet Helen Mar-shall. Roń miał złożyć kaucję, lecz widocznie jego żona nie chciała, by Tracey u nich zamieszkała.

Pewnie kryło się za tym coś więcej, lecz Chris była zbyt zmęczona i zszokowana, by się nad tym zastanawiać. Musi się z tym oswoić, powoli, etapami. Niech to do niej dotrze, a potem zniknie.

Czy to się działo naprawdę? Ostatnia noc była taka cudowna. Wszystko wreszcie znalazło swoje miejsce. I nagle to...

Oparła głowę o niebieskozielone oparcie kanapy. Był to wyjątkowo ohydny i równie niewygodny mebel. Czego jednak można się spodziewać po umeblowanym mieszkaniu w jednej z biedniejszych dzielnic miasta? Kiedy je wynajmowała, planowała, że zostanie w nim najwyżej kilka miesięcy. Jak tylko Tony odkryje, gdzie mieszka, znowu zacznie ją nękać telefonami o najróżniejszych porach dnia i nocy, wystawać godzinami pod jej oknem, opowiadać niestworzone rzeczy gospodarzom i zostawiać psie kupy pod drzwiami mieszkania. Bez względu na to, jakie środki bezpieczeństwa by podjęła, zawsze potrafił je ominąć. Nie było dla niego przeszkód. „Wstań i uśmiechnij się — śpiewał do słuchawki o czwartej nad ranem—i ukaż Panu swoje oblicze”.

Tymczasem był już koniec sierpnia i z wyjątkiem tej niespodziewanej wizyty w domu Susan ani razu nie pojawił się u niej, ani nie zadzwonił. Może chodziło mu o to, żeby miała się na baczności, a może uznał, że to mieszkanie jest już wystarczającą torturą. Nie mógł wiedzieć, że czuła się w nim szczęśliwsza niż na Grand Avenue, że w końcu znalazła spokój.

Gekawe, co by powiedział, gdyby odkrył, gdzie była ostatniej nocy? Gekawe, co inni by powiedzieli? Co powiedziałyby Barbara? Gdzieś w głębi piersi znowu

wezbrał w niej krzyk. O Boże, Barbara! Dlaczego ona? Czym sobie zasłużyła na tak potworną śmierć?

— To ja powinnam być na jej miejscu — załkała. Przecież to o jej życie wszyscy się obawiali. Od lat

wstrzymywali oddech, czekając na telefon w środku nocy z informacją, że ich przyjaciółka została śmiertelnie pobita. Kiedy w końcu zadzwonił, to nie jej imię zabrzmiało w słuchawce. To nie jej zmaltratowane ciało leżało na podłodze w kałuży krwi.

A co ona robiła, gdy głowa przyjaciółki zmieniała się w krwawą miazgę? Była w uroczym małym zajeździe pod miastem, w przytulnym łóżku, i słuchała słodkich słów miłości. Gdy Barbara krzyczała z przerażenia, ona krzyczała z rozkoszy, doprowadzona do orgazmu najdelikatniejszymi pieszczotami dłoni i języka. Odplynęła w sen, gdy Barbara umierała na podłodze, i obudziła się w ramionach kochanki, gdy jej najlepszą przyjaciółkę wkładano do plastikowego worka i zabierano do kostnicy.

Zjadła śniadanie w łóżku, poszła na długi spacer, chłoneła w płuca świeże powietrze i rozkoszowała się ciszą, pilnując, by nikt nie zakłócił jej spokoju. Żadnych gazet, żadnej telewizji, żadnego radia. Nawet podczas powrotnej podróży słuchała jedynie utworów fortepianowych w wykonaniu Glenna Goulda.

— Wejść z tobą na górę i utulić cię do snu? — spytała jej kochanka.

— Nie. Czuję się wspaniale — odparła i rzeczywiście tak było. Po raz pierwszy mogła to szczerze powiedzieć. Uspokoila się, nareszcie wiedziała, kim jest, i przestała się bać.

Telefon zadzwonił, gdy wychodziła z windy. To pewnie Tony, pomyślała, idąc niespiesznie korytarzem. Znalazł ją. Świetnie. Już się nie boi.

Otworzyła drzwi, zamknęła je za sobą i zaczęła się zastanawiać, czy podnieść słuchawkę, czy niech sobie dzwoni. Kto mógłby do niej telefonować o jedenastej w nocy? Tylko Tony. Już miała zamiar nie podnosić słuchawki, lecz coś ją ku niej pchnęło. A jeżeli to coś ważnego? Przytknęła słuchawkę do ucha i usłyszała gniewny głos Susan.

— Gdzie byłaś? Przez cały dzień do ciebie wydzwaniani. Może to był tylko sen? — pomyślała, wciąż nie mogąc

uwierzyć w to, co się stało. Zamknęła oczy i ujrzała Barbarę. Jej śliczna twarz z upływem czasu stawała się coraz młodszą. Barbara nie potrzebowała grubych warstw makijażu ani operacji plastycznych. Na przekór sobie pozostawała piękna. Dlaczego nigdy nie potrafiła zrozumieć, jaka jest piękna?

— Moja słodka, śliczna Barbara — zatkała Chris w twardą poduszkę kanapy. — Nawet się z nią nie pożegnałam.

Te słowa wywołały potok gorzkich łez. Musiała zagryźć zęby na poduszce, żeby nie krzyczeć.

— Nie! — jęknęła, wijąc się na kanapie, jakby cierpiała z bólu, i przykryła twarz poduszką, jakby chciała odgrodzić się od całego świata. — Nie! — krzyknęła w mokrą od łez poduszkę. — Nie, nie, nie, nie!

Nagle jak przez mgłę usłyszała ciche pukanie do drzwi. Z początku sądziła, że to jej myśli tłuką się po głowie, jakby chciały się uwolnić. Kiedy dotarło do niej, że ktoś stuka do drzwi, nie miała dość siły, by wstać z kanapy. Pewnie to Susan przyszła sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. A może sąsiedzi usłyszeli jej stłumiony płacz. Może to Tony przyszedł przekazać jej dobre wiadomości albo skrócić raz na zawsze jej cierpienia.

— Kto tam? — spytała, usiłując wstać z kanapy.

W odpowiedzi usłyszała kolejne pukanie. Podeszła do drzwi, nawet nie troszcząc się o to, by wytrzeć twarz. Nie zapytała też po raz drugi „kto tam?” i nie spojrzała przez wizjer. Niech będzie, co ma być, pomyślała, otworzyła drzwi i zamarła.

— Boże! — wyszeptała.

— Mogę wejść?

Chris cofnęła się i patrzyła na gościa szeroko otwartymi oczami.

— Dobrze się czujesz?

Skinęła głową, potem pokręciła nią w zdumieniu, szukając odpowiednich słów.

— Przyszłam tylko na chwilę. Tata myśli, że jestem u koleżanki.

Chris otarła łzy niecierpliwym ruchem ręki. Przeszkadzały jej patrzeć na wspaniałą dziewczynę, która przed nią stała.

— Montana — wyszeptała ledwo dosłyszalnie, nie mogąc napatrzeć się na córkę: długie jasne włosy, jasna cera, rumiane policzki, piękne granatowe oczy. Stała przed nią młoda kobieta.

— Dobrze się czujesz? — spytała ponownie Montana.

— Dobrze — odpowiedziała.

Montana zamknęła za sobą drzwi i weszła niepewnie dalej.

— Straszny tu bałagan — przeprosiła Chris, patrząc na pokój oczami córki. Stary dywan na podłodze w tym samym zimnym kolorze co kanapa, mały stół ze szklanym blatem, dwa niepasujące do siebie krzesła i mała wnęka kuchenna.

— Nie, w porządku.

— Jak mnie znalazłaś?

— Susan dała mi twój adres — wyjaśniła Montana. — Dzwoniłam dziś do niej po południu. Zatelefonowała do mnie po rozmowie z tobą.

— Dzwoniłaś do niej?

— Barbara nie żyje. Myśleli, że to tata... — Urwała, przełknęła ślinę i spuściła oczy na podłogę, jakby raził ją wzrok matki. — Nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

— Martwiłaś się o mnie?

— Gdzie byłaś?

Chris nie mogła oderwać oczu od córki, jakby obawia się, że dziewczyna zniknie, jeśli choćby na sekundę odwróci wzrok.

— Może usiądziesz? — zaproponowała. Montana pokręciła przecząco głową i oparła się o drzwi.

— Może coś zjesz albo się czegoś napijesz?

— Nie — odpowiedziała Montana. — A może ty napiłabyś się wody?

Chris kiwnęła głową i usiadła na kanapie, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Podążyła wzrokiem za córką, która poszła do kuchni, patrzyła, jak nalewa wody do szklanki i wraca do pokoju. Jej ciało przeniknęła dreszcz, gdy ich palce na krótko się zetknęły. Musiała użyć całej siły woli, by nie rzucić się córce w ramiona i nie obsypać jej słodkiej twarzyczki pocałunkami.

— Gdzie byłaś? — ponowiła pytanie Montana. Pokręciła głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Po pogrzebie matki Susan pojechałam za miasto. Przenocowałam w małym zajezdni, spędziłam dzień, spacerując po okolicy, zaglądając do sklepów z antykami...

— Sama?

— Nie. Z koleżanką. — Ile mogła jej powiedzieć? Boże, tyle miała jej do powiedzenia.

— Więc nie słyszałaś, co się stało?

— Dowiedziałam się dopiero przed godziną.

Piła powoli wodę, nie spuszczać wzroku z pięknej młodej kobiety, która przestępowała niepewnie z nogi na nogę. Miała na sobie białe dżinsy i różową bluzkę bez rękawów, odsłaniającą szczupłe opalone ręce. Jak bardzo pragnęła, by te ręce ją objęły.

Montana odsunęła krzesło od małego okrągłego stołu i usiadła.

— Z początku myśleli, że tata to zrobił.

— Wiem.

— Ale on był przez całą noc w domu i opiekował się Rowdym.

— Rowdy jest chory?

Montana pokręciła przecząco głową.

— Tylko się przeziębził. Bez przerwy kaszle. Nie daje nikomu spać.

— Czy był u lekarza?

— To tylko przeziębienie. — Montana natychmiast się najeżyła. — Tata się nim opiekuje. Wstaje w nocy, by dać mu lekarstwo.

Moje dziecko jest chore, a Tony je leczy.

— Jest dobrym ojcem — dodała Montana. — Dobrze się nami opiekuje.

— Cieszę się.

— Pewnie mi nie wierzysz.

— Wierzę ci.

— Wiem, że macie z tatą problemy... Nic nie wiesz, pomyślała.

— Odkąd odeszłaś...

— Tyle razy chciałam się z tobą zobaczyć. Czy wiesz, że...

Montana zerwała się z krzesła.

— Muszę już iść. Chris również wstała.

— Nie, proszę. Nie odchodź.

Montana spojrzała nerwowo na drzwi, jakby zastanawiała się, czy zdąży do nich dobiec, nim matka jej nie złapie. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, stała nieruchomo, aż w końcu usiadła.

— On jest dobrym ojcem — powtórzyła.

Chris skinęła głową, zastanawiając się, co powiedzieć, żeby Montana znowu nie zerwała się z krzesła.

— Jak tam Wyatt? — spytała po długim wahaniu.

— Dobrze.

— A co u ciebie?

Montana spojrzała na nią zaskoczona.

— U mnie? Dobrze.

— Ślicznie wyglądasz.

— Dziękuję.

— Jak tam w szkole?

— W porządku. Jeszcze rok, a potem idę do college'u.

— Tylko rok?

— Zastanawiam się nad Dukiem lub Cornellem. Duke czy Cornell, powtórzyła w myślach Chris, nie mogąc wyjść z podziwu.

— Jeszcze nie wiem, jaki wybiorę kierunek. Może nauki polityczne, a może literaturę angielską.

Czy one naprawdę siedzą i rozmawiają? Czy to dzieje się naprawdę?

— Masz chłopaka? — ośmieliła się zapytać, czując ogromny głód informacji.

— On nie jest właściwie moim chłopakiem — odparła Montana. — Po prostu spędzamy razem czas.

— Jak ma na imię?

— David.

— David — powtórzyła Chris. — Zawsze podobało mi się to imię. Jaki on jest?

— Wysoki, zabawny, bardzo bystry.

— Dobry?

— Co?

— Czy jest dobry?

Montana wzruszyła ramionami wyraźnie zirytowana rozmową.

— Chyba tak.

— Najważniejsze, żeby był dobry — powiedziała Chris.

Montana spojrzała na matkę. Jeżeli nie wyniesiesz niczego z tej wizyty, zrozumiem, mówiły oczy Chris.

— To gdzie teraz pracujesz? — spytała Montana, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Założyła nogę na nogę, by po chwili opuścić ją na podłogę.

— Jestem recepcjonistką w agencji reklamowej Smith--Hallendale. Może słyszałaś o niej? Mieści się na rogu Viae i Fourth.

Montana pokręciła przecząco głową.

— Moja szefowa to wspaniała kobieta. Nazywa się Emily Hallendale. Poznałam ją, gdy pracowałam w lecznicy weterynaryjnej Mariemont.

Przypomniała sobie tamten okropny dzień, gdy wybiegła z lecznicy z kieszenią pełną środków uspokajających i głową zaprzątniętą myślami o samobójstwie. Poczula czyjaś rękę na ramieniu, obejrzała się i zobaczyła Emily Hallendale. Niechętnie zgodziła się pójść z nią na kawę, a potem z wdzięcznością przyjęła propozycję pracy. Właśnie w agencji poznała wielką miłość swojego życia. To zabawne, jak wszystko nagle się układa, pomyślała wtedy.

To zabawne, jak wszystko nagle się układa, pomyślała teraz.

— Myślisz, że Traccy naprawdę zamordowała swoją matkę? — spytała Montana, niszcząc głos, jakby się bała, że ktoś je usłyszy.

— Nie wiem, co o tym myśleć — przyznała Chris.

— Nigdy dobrze jej nie znałam.

— To prawda — zgodziła się z nią Chris.

— Ale zawsze wydawała się miłą.

— To prawda.

— Nie sądzę, żeby to zrobiła — stwierdziła Montana. — No bo jak można zabić własną... — Urwała i rozejrzała się niespokojnie po pokoju. — Naprawdę muszę już iść. — Wstała z krzesła. — Nie powiesz tacie...

— Oczywiście, że nie. — Odprowadziła córkę do drzwi, wiedząc, że nie ma sensu protestować. — Mogłybyśmy to kiedyś powtórzyć? — spytała, czując się jak petentka.

Montana wolno skinęła głową, stojąc tyłem do matki.

— Zadzwoń do ciebie. Otworzyła drzwi.

— Montano. Znieruchomiła z ręką na gałce.

— Czy mogę cię przytulić?

Montana odwróciła się w stronę otwartych ramion matki, zawahała się, po czym cofnęła i pokręciła głową.

Chris niechętnie opuściła rękę. Widocznie córka nie była jeszcze gotowa na tak doniosły krok. Wymagało to od niej wielkiej energii i odwagi, by nawiązać zerwany kontakt. Chris poczuła lekkie ukłucie w okolicy serca.

— W porządku. Rozumiem.

Montana odwróciła się do drzwi.

— Cieszę się, że nic ci się nie stało — powiedziała. — Zadzwoń do ciebie. —
I już jej nie było.

Chris wyciągnęła rękę, by zatrzymać delikatny zapach pudru dla dzieci zmieszany z zapachem cytryny. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca, wchłaniając słodko-gorzki aromat.

— Będę czekała — powiedziała do pustego pokoju.

Vicki wjechała na zatłoczony parking przed Zakładem Penitencjarnym dla Kobiet Helen Marshall, ustawiając czarnego jaguara na linii dzielącej dwa miejsca. Niech sobie wrzeszcza, pomyślała, wysiadła z samochodu i skierowała się ku przynębiającemu nowoczesnemu budynkowi o siedmiu piętrach, gdzie mieściło się więzienie dla kobiet. Dwa górne piętra zarezerwowano dla oczekujących na proces. Przynajmniej nie ma toyoty camry, buicka leSabre lub innego pseudoluksusowego pojazdu, których właściciele często zajmowali dwa miejsca parkingowe w obawie przed zarysowaniem.

Wbiegła po schodach do szerokiego hallu wyłożonego różowym granitem i czarnym marmurem, podała strażnikowi do sprawdzenia brązową torbę z krokodylej skóry i walizeczkę, po czym przeszła przez bramkę. Odebrała swoje rzeczy, wpisała nazwisko do rejestru i ruszyła ze spuszczoną głową do wind, dając tym do zrozumienia, że nie ma czasu na pogaduszki.

— Vicki! — usłyszała mimo to czyjeś wołanie.

Uniosła wzrok i zobaczyła koleżankę po fachu o imieniu zdaje się Grace, Joy, Hope czy może Faith, które to nazwy powinny być źródłem natchnienia^{3*}, tymczasem prawie zawsze przynosiły rozczarowanie. Machała do niej spod pomarańczowo-czerwonego gobelinu zdobiącego jedną ze ścian.

— Widziałam twoje zdjęcie w gazecie. Świetnie wyszłaś. Vicki kiwnęła głową, chociaż wcale nie ucieszył jej ten

komplement. Zdjęcie wcale nie było takie dobre. Miała na nim srogą minę i sterczącą brodę. Powinna teraz zwracać baczniejszą uwagę na prezencję, trzymać wysoko głowę i spuszczać wzrok, co da wrażenie pewnej siebie, lecz nie zarozumiałej, lekko kokieteryjnej, intrygującej, lecz nie odpychającej. Było to trudne, ale wykonalne. Nie tylko Traccy stała przed wielką próbą.

Powinna też trzymać się ciemniejszych kolorów. Całe szczęście, że był koniec września i zaczynały dominować barwy jesieni. Przy szczupłej sylwetce ciemne kolory wyglądały bardziej dramatycznie, zwłaszcza na papierze. Teraz często będzie oglądać siebie w gazetach. Już stała się tematem dwóch artykułów, jednego w „Cincinnati Enquirer”, a drugiego w konkurencyjnym „Post”. Bardziej pochlebny był ten z „Cincinnati Enquirer”. „Post” postrzegał ją jedynie jako ambitny dodatek do męża. Luksusowa atrapa, pomyślała, gniewnie wruszając ramionami. Kwestionowano w nim jej motyw, kompetencje, a nawet rozsądek, skoro postanowiła bronić dziewczyny oskarżonej o zamordowanie z zimną krwią jej przyjaciółki.

³ * Grace (ang.) — łaska; Joy (ang.) — radość; Hope (ang.) — nadzieja; Faith (ang.) — wiara.

Nie tylko oni tak uważali. Susan, Chris, nawet Jeremy podawali w wątpliwość sens jej decyzji.

— A jeżeli ona jest winna? — pytały zgodnym chórem Susan i Chris.

— A jeżeli nie? — ripostowała.

— A jeżeli przegrasz? — pytał Jeremy.

— Czy to coś zmieni? — odpowiadała, wiedząc, że świat i tak zapamięta jej nazwisko bez względu na to, czy wygra, czy przegra.

Zresztą nie miała zamiaru przegrać. Weszła do windy, wbijając wzrok w brązowe pantofelki. Kilka osób otarło się o jej brązową zamszową marynarkę.

— Siódme, proszę — powiedziała, nie kierując prośby do konkretnej osoby. Zerknęła tylko kątem oka, czy został wciśnięty właściwy guzik. Podniosła wzrok dopiero, gdy usłyszała, że drzwi się zamykają. Winda drgnęła, ruszyła wolno w górę i prawie natychmiast stanęła. Vicki spojrzała na panel z numerami pięter i ze zniecierpliwieniem zauważyła, że to dopiero drugie. Z windy wytoczyła się gruba kobieta, najwyraźniej nie spiesząc się do miejsca przeznaczenia. Nic by jej się nie stało, gdyby skorzystała ze schodów, pomyślała Vicki, wciskając guzik zamykający drzwi i tupiąc niecierpliwie, gdy drzwi zareagowały nie dość szybko.

— Ważna randka?—usłyszała za plecami znajomy głos. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, do kogo należy.

— Michael—powiedziała i obróciła się wolno, raczej po to, by sprawdzić, kto jeszcze jest w windzie, niż zobaczyć zastępcę prokuratora stanowego i byłego kochanka. Oprócz nich była jeszcze kobieta w dżinsach i luźnym żółtym swetrze, która czytała gazetę i nie zwracała na nich uwagi.

— Jak się masz? — spytała Vicki.

— Świetnie — odpowiedział.

Rzeczywiście wygląda świetnie, pomyślała. Przedziałek miał teraz w innym miejscu niż wtedy, gdy byli razem. Wchłonęła w nozdrza znajomy zapach wody po goleniu i poczuła mrowienie między nogami. Michael Rosę wyglądał bardzo elegancko w granatowym garniturze, jasnoniebieskiej koszuli i czerwonym krawacie. Wzięty prokurator w każdym calu, pomyślała, walcząc z pokusą, by przesunąć mu, jak za dawnych czasów, dłońią po rozporku. Zbyła machnięciem głowy nedorzeczną myśl. Nie było sensu wracać do tego romansu, zwłaszcza że już wkrótce spotka się z Michaeliem w sądzie.

— Czy „Time” szykuje już wstępny artykuł z twoim zdjęciem na okładce? — spytał z sarkazmem w głosie.

— Jeszcze nie — odparła z uśmiechem.

Prawdę mówiąc, zastanawiała się, czy przyjąć propozycję „Yanity Fair” zrobienia z nią wywiadu w związku z wcześniejszym artykułem i zgodzić się na wspólną fotografię z jej młodą klientką. Wielka nowojorska kancelaria adwokacka proponowała jej przedstawicielstwo na Cincinnati i zapraszała na lunch w

dogodnym dla niej terminie. Holly-

woodzki agent ofiarowywał pomoc, gdyby zdecydowała się rozwinąć skrzydła na Zachodzie. Pewnie już niedługo znajdzie się wśród pięćdziesięciu najślawniejszych osób magazynu „People” i na okładce „Time'a”. Nawet jeżeli przegra tę sprawę, i tak wiele zyska.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Czytająca gazetę kobieta błyskawicznie ją złożyła i wyszła.

— Spotkanie z klientką? — spytał Michael, gdy drzwi wolno się zamknęły.

Vicki spojrzała na panel i zauważyła, że Michael również jedzie na siódme piętro.

— Ty też?

— Ze słodką młodą damą, która wynajęła płatnego mordercę, by zabił jej byłego chłopaka. Jego nowa dziewczyna mówi, że jest gotowa pójść na ugodę.

— Rozumiem, że ten płatny morderca był podstawionym gliną.

— Przecież zawsze tak jest.

Vicki pomyślała, że dziewczyna powinna zdecydować się na proces. Michael Rosę był niezłym prokuratorem, lecz na sali sądowej, podobnie jak w łóżku, zupełnie bez wyobraźni. Dobry adwokat mógł go sobie owinać wokół małego palca. A ona była bardzo dobrym adwokatem.

— Gdybyś była sprytna, przyznałabyś się do winy w zamian za złagodzenie kary — zasugerował Michael.

Vicki uniosła brew. Przyznanie się do winy zamiast procesu jej życia? Czy on oszalał?

— Co proponujesz?

— Najwyższy wymiar kary.

— Chciałbyś. Poza tym ona tego nie zrobiła. Czemu miałabym się przyznawać?

— Dowody świadczą przeciwko niej. Nagłówki w gazetach to jedno, a materiał dowodowy drugie.

— Mnóstwo ludzi czyta tylko nagłówki — zauważyła. Boże, jak długo można jechać na siódme piętro?

— Tylko to się dla ciebie Uczy? Nagłówki? Zdawało mi się, że ta zamordowana kobieta była twoją przyjaciółką.

— Moje motyw i moje przyjaźnie to nie twoja sprawa, Michael.

— Boże, pamięta moje imię. Milcz, serce. Vicki wzięła głęboki oddech.

— Darujmy to sobie, dobrze? — rzuciła pojednawczo.

— Moja żona złożyła pozew o rozwód — poinformował z pretensją w głosie.

— Wiedziałaś o tym?

— Coś mi się obilo o uszy. Przykro mi.

— Czyżby?

— Właściwie to nie — warknęła, tracąc cierpliwość. — Nie chcę wyjść na...

— Na sukę?

— Skończmy tę rozmowę, dobrze?

— Jestem zwolniony? — spytał, gdy drzwi windy się otworzyły.

Vicki minęła go bez słowa.

— Już nie mogę się doczekać, by sprać ci tyłek—zawołał za nią.

Roześmiała się, odrzucając głowę w tył.

— Daleko ci do mojego tyłka — odparowała, nie oglądając się za siebie.

— Już się cieszę na spotkanie z tobą.

Vicki weszła do małego pomieszczenia bez okien na końcu długiego korytarza, ściany w nim miały chorobliwy odcień przejrzałego melona, który podkreślała jarzeniówka wbudowana w sufit. Na środku stał prostokątny drewniany stół z popisanim blatem. Grawitacja nie istnieje; Martin kocha Cindy. Cindy kocha Joannę. Pieprzę was; Kurwa. Chuj; Pieprzyć adwokatów. Kurwa. Kurwa. Kurwa. To ostatnie słowo powtarzało się tyle razy, że Vicki straciła rachubę, gdy była tu poprzednim razem.

Usiadła na drewnianym krześle naprzeciwko Traccy. Dziewczyna wyglądała wyjątkowo dobrze, chociaż w jej zachowaniu wyczuwało się zrozumiałe zniecierpliwienie miesięcznym pobyt w więzieniu. Nie była blada, mimo widmowego światła, miała czyste, starannie wyszczotkowane włosy. Pod oczami nie widać było cieni ani żadnych znaków wskazujących na przeplakane noce. Jasnoniebieski więzienny uniform pasował do jej urody. Mięśnie ramion nabrały kształtu, jakby się regularnie gimnastykowała, co zapewne robiła. Vicki z drżeniem uświadomiła sobie, że Traccy wspaniale wygląda, jakby pobyt w więzieniu dobrze jej robił.

— Wszystko w porządku?

— Tak — odparła Traccy. — Chodzi mi tylko o dziewczynę, z którą mieszkam. Dlatego do pani zadzwoniłam. Musi pani coś zrobić, żeby ją przenieśli.

Vicki wbiła pomalowane paznokcie w walizeczkę z krokodylej skóry leżącą przed nią na stole.

— Iz tego powodu mnie tu ściągnęłaś? Traccy wyglądała na autentycznie zaskoczona.

— Ona siedzi na łóżku i przez cały dzień płacze. To okropnie denerwujące.

— Czemu tak płacze?

Traccy wzruszyła ramionami. Kilka pasemek spadło jej na twarz. Odsunęła je na bok, lecz jedno pozostało na czole.

— Cały czas jęczy. No, wie pani, żałuje tego, co się stało. Nie chciała tak mocno kopnąć tego dziecka. Chce do mamy i takie tam gadanie.

— I to gadanie o matce tak cię denerwuje — podsunęła Vicki.

— No tak. Jak już mówiłam, działa mi na nerwy.

- Tęsknisz za mamą, Traccy? Wyraźnie zaskoczyło ją to pytanie.
- Chyba tak — odparła ze wzruszeniem ramion.
- Chyba?
- Myśli pani, że da się ją przenieść? Vicki skinęła głową.
- Zobaczę, co się da zrobić.
- Dzięki — uśmiechnęła się Traccy.
- A poza tym? — Vicki otworzyła walizeczkę i wyjęła z niej kilka kartek.
- Świetnie.

Vicki pokręciła głową, bojąc się spojrzeć na swoją klientkę, by nie zobaczyła, co ona myśli. Ile osób określiłoby w ten sposób życie za kratkami i naprawdę tak myślało?

- Jak przebiegło spotkanie z Nancy Joplin?

Traccy popatrzyła na nią pustym wzrokiem.

— Z psychiatrą — odpowiedziała Vicki. — Miałaś siei z nią spotkać dziś rano.

- A tak. Była bardzo miła.

— Miła — powtórzyła Vicki, jakby nie mogła strawić tego słowa. — O co cię pytała?

Traccy odsunęła z czoła pasmo włosów.

- O różne rzeczy dotyczące mojej mamy. No, wie pani.

— Nie wiem.

— No... Jakie łączyły nas stosunki, czy byłyśmy sobie bliskie, co myślałam o jej zaręczynach, takie tam rzeczy.

- Co jej powiedziałaś?

— Prawdę. Jak pani mi radziła. Że byłyśmy sobie bardzo bliskie, że lubiłam Howarda.

- O co jeszcze cię pytała?

— Nie chcę o tym mówić.

— Traccy, czas ucieka. W styczniu jest proces. Jak mogę ci pomóc, skoro nie chcesz ze mną rozmawiać?

Traccy wyciągnęła przed siebie nogi i spojrzała w sufit.

- Pytała mnie o tę noc, gdy umarła mama.

— Co jej powiedziałaś?

— Wie pani, co — odparła Traccy, krzyżując ręce na piersi i wydymając wargi.

— Nie wiem — odparła Vicki z nieukrywaniem zniecierpliwieniem. Ile razy można to samo wałkować? — Powiedziałaś jej, że zamaskowany napastnik zabił twoją matkę?

- Tak.

— Dlaczego więc nie ma na to żadnych dowodów?

— Nie wiem.

— Wyjaśnię ci, co przeciwko temu przemawia—zaczęła Vicki. Robiła to już setki razy. — Nie ma żadnych śladów włamania ani śladów krwi, z wyjątkiem tych w sypialni i na tobie. Policja znalazła narzędzie zbrodni w twojej szafie z twoimi odciskami palców i pierścioneł zaręczynowy twojej matki w twojej szkatułce na biżuterię...

— Wiem o tym.

— Jakim cudem narzędzie zbrodni znalazło się w twojej szafie?

— Nie wiem — powtórzyła Traccy. — Może on je tam włożył.

— Kto? Samotny jeździec? Traccy zachichotała nerwowo.

— Kiedy je tam włożył?

— Nic jestem pewna.

— Mówiłaś, że nie wchodził do twojego pokoju, że zobaczyłaś go na korytarzu.

— No to musiał wejść później, gdy byłem u mamy.

— Powiedziałaś, że zbiegł po schodach, a potem na dwór.

Traccy zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

— Nie wiem, co on zrobił. Już nic nie wiem. Tak mnie pani skołowała, że wszystko mi się pomyliło.

— To nie wystarczy.

— Dlaczego nie?

— Dlaczego?—powtórzyła zaskoczona Vicki. — Bo nie możesz ciągle zmieniać wersji wydarzeń. Nie możesz mówić jednego, a potem drugiego. Prokurator przyczepi się do najdrobniejszej nawet niekonsekwencji. Michael Rose może nie jest najlepszym prokuratorem, ale w tym wypadku nie będzie musiał. Ma mnóstwo dowodów, ma motyw...

— Motyw? Jaki motyw?

— Powie, że byłaś zazdrosna o Howarda Kerble'a.

— To nieprawda. Lubię Howarda.

— Że przyzwyczyłaś się mieć mamę wyłącznie dla siebie...

— No i co z tego?

— Że zabiłaś ją w szale zazdrości.

— Nie zabiłam jej w szale zazdrości!

— W takim razie dlaczego? — spytała Vicki.

— Dlatego! — krzyknęła Traccy, gwałtownie wciągnęła oddech, jakby chciała cofnąć to, co powiedziała, i wbiła wzrok w ścianę.

Vicki poczuła, że całe jej ciało drży. Boże, czy Traccy właśnie przyznała się do zamordowania matki? Czy za chwilę usłyszy prawdziwą wersję wydarzeń? Mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Przytrzymała się stołu, by nie zsunąć się z krzesła na podłogę.

— Dlatego—powtórzyła Traccy. W jej oczach pojawiły się łzy i spłynęły po

policzkach.

— Powiedz mi, co zaszło tamtej nocy? Traccy pokręciła przecząco głową.

— Nie mogę.

— Proszę.

Vicki powoli wstała i podeszła do Traccy na niepewnych nogach. W odpowiedzi dziewczyna zaczęła się kręcić w kółko. Vicki przytuliła ją, a z ust Traccy wyrwał się spazmatyczny szloch.

— Nie mogę pani powiedzieć. Nie mogę. Proszę, niech mnie pani nie zmusza.

Vicki podprowadziła ją do krzesła, zmusiła, by na nim usiadła, po czym uklękła przed nią. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzała muskularna strażniczka.

— Wszystko w porządku? — spytała.

— Tak, dziękuję — odpowiedziała Vicki wbrew prawdzie, bo nic nie było w porządku. Odtąd nic już nie będzie w porządku. Wszystko wskazywało na to, że będzie znacznie gorzej. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Strażniczka skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi.

— Traccy, powiedz mi, co wtedy zaszło.

— Znienawidzi mnie pani.

— Nie znienawidzę.

— Nie chciałam tego zrobić.

— Wiem, że nie chciałaś.

— Nie chciałam jej skrzywdzić. Błagałam, żeby przestała.

— Przestała? Co takiego?

Traccy pokręciła głową. Pasma włosów smagneły Vicki po twarzy. Łzy napłynęły jej do oczu. Przełknęła je, czekając na reakcję Traccy.

— Było koło dziewiątej — zaczęła Traccy. — Chris już wyszła. Mama powiedziała, że weźmie ciepłą kąpiel i położy się do łóżka. — Urwała i wbiła wzrok w ścianę przed sobą, jakby wpatrywała się w ekran kinowy. — Poprosiła, bym umyła jej plecy. Potem spytała, czy chciałabym spać razem z nią. Kiedyś często razem spałyśmy, ale teraz już nie. Przestało mi się to podobać.

Vicki poruszyła się niepewnie. Do czego ona zmierza?

— Powiedziałam: „Dobrze”, ale nie chciałam. Nie chciałam, żeby ona...

— Nie chciałaś, żeby co? — spytała nieswoim głosem Vicki.

— No, wie pani.

— Nie wiem. — Co Traccy insynuuje?

— Nie chciałam, żeby mnie dotykała.

— Dotykała? Co przez to rozumiesz?—Vicki podniosła się z klęczek i zacisnęła ręce ze zdenerwowania.

— Gniewa się pani na mnie—powiedziała nagle Tracey.

— Nienawidzi mnie pani. Wiedziałam, że tak będzie. Oczywiście, że cię

nienawidzę, ty głupia, kłamliwa idiotko, pomyślała Vicki.

— Nie nienawidzę cię, Tracey — powiedziała głośno.

— Mów dalej. Proszę, powiedz mi, co wówczas zaszło.

— A potem idź do diabła, ty kłamliwa mała suko!

— Ona zawsze mnie dotykała.

— Była twoją matką. Matki zawsze dotykają córek.

— Ale nie w ten sposób. Nie piersi. Nie między nogami.

— Twoja matka dotykała cię między... — Nie mogło jej to przejść przez usta.

Całą siłą woli powstrzymała się, by nie wymierzyć Tracey policzka i nie skreślić tego głupiego, kłamliwego karku.

— Nazywała to naszą małą zabawą. Od lat się w to bawiłyśmy. Powiedziałam, że już nie chcę się w to bawić. Odpowiedziała, że nie mam wyboru, bo jest moją matką i może robić, co jej się podoba. Błagałam ją, by przestała. Błagałam, by mnie zostawiła. Ale nie chciała. Zdjęła pierścionek zaręczynowy, włożyła mi go na palec i powiedziała, że jestem jej jedyną prawdziwą miłością...

Vicki uciekła spojrzeniem w bok.

— Co było potem?

— Dokładnie nie pamiętam. Chyba wymazałam to z pamięci. Kiedy było po wszystkim, zasnęła. A ja leżałam i się trzęsłam. Czasami w nocy schodzę na dół i wyjmuję kij golfowy z szafy w hallu. Tak jakbym była w jakimś transie, jakbym to nie była ja. Wróciłam do sypialni. Pamiętam, jak stałam nad nią. Otworzyła oczy i wyciągnęła ręce. Pomyślałam, że nie pozwolę, by znowu mnie dotknęła. Muszę ją powstrzymać. Jesteś moją matką i kocham cię, ale nie pozwolę, byś dalej mnie krzywdziła. Muszę cię powstrzymać.

Vicki opadła na najbliższe krzesło i zacisnęła mocno zęby, by nie wybuchnąć. Wiedziała, że wszystko, co przed chwilą usłyszała od Tracey, to stek plugawych kłamstw. Barbara nigdy nie byłaby zdolna do molestowania własnej córki, podobnie jak do ogolenia sobie głowy czy kupienia niemarkowych butów. Nie było nawet cienia szansy, by coś z tego, co powiedziała Tracey, odpowiadało prawdzie. A może.

— Mama zawsze powtarzała, że jeżeli komuś o tym powiem, nikt mi nie uwierzy i wszyscy mnie znienawidzą — dodała Tracey. — Już widzę to w pani oczach. Nie wierzy mi pani. Nienawidzi mnie pani.

Vicki milczała. Czuła się tak, jakby Tracey ponownie zaatakowała, tym razem wymierzając morderczy cios w jej głowę. Potarła czoło zimnymi jak lód palcami.

Dobry Boże, co ona ma teraz zrobić?

31

— O czym ty, u diabła, mówisz?

Vicki cofnęła się za nowe masywne biurko.

— Susan, uspokój się.

— Nie mów mi, żebym się uspokoiła.

— Więc nie podnoś głosu.

— Powiedz mi, o co tu, u diabła, chodzi?

— Z przyjemnością, tylko daj mi szansę.

— Co znaczą te wszystkie bzdury, o których piszą w gazetach?

— To nie są bzdury.

— Tracey zabiła Barbarę w samoobronie? Nie nazwałabyś tego bzdurą?

— Raczej rozsądną Unią obrony.

— To jest niedopuszczalna linia obrony — odparowała Susan, depcząc nowy indyjski dywan leżący przed biurkiem Vicki.

Vicki zrobiła kolejny krok w tył i uniosła rękę.

— Może byś usiadła...

Ku jej zaskoczeniu Susan klapnęła na jeden z dwóch nowych foteli z czerwonej skóry stojących niczym wartownicy przed biurkiem Vicki. Miała na sobie elegancki czarny garnitur i biały golf. Jasnokasztanowe włosy okalały łagodnie brodę i policzki płonące szc/erym oburzeniem.

— Mów — powiedziała. W tym momencie zadzwonił telefon.

Vicki nie zwróciła na niego uwagi i odetchnęła głęboko, pozostając w pozycji stojącej, która zapewniała większą siłę przebicia. Natychmiast jednak pożałowała, że nie włożyła butów na płaskim obcasie. Łatwiej byłoby w nich uciekać.

— Wiesz, że nie zrobiłabym tego...

— Dlaczego to robisz?

— ...gdybym nie miała powodu.

— Zamieniam się w słuch.

Drzwi gabinetu uchyliły się i do środka zajrzała sekretarka Vicki.

— Dzwoni Marina Russell z Global TV. Mówi, że obiecałaś oddzwonić do trzeciej, a jest już dziesięć po.

— Powiedz, że zadzwonię do niej jutro z samego rana. I nie łącz mnie z nikim.

Jakby w odpowiedzi rozdzwoniły się telefony. Sekretarka kiwnęła głową i zamknęła za sobą drzwi. Telefony umilkły, lecz po chwili znowu zaczęły dzwonić.

— Niezły młyn — zauważyła Susan.

Vicki wzruszyła ramionami, udając, że nie dostrzega goryczy w głosie przyjaciółki i oskarżycielskiego spojrzenia.

— Muszę bardzo uważać na to, co mówię—powiedziała po chwili milczenia.

— Wiesz przecież, że adwokata obowiązuje tajemnica służbowa.

— Nie. Przez ostatnie czterdzieści cztery lata mieszkałam na Marsie.

— Daruj sobie ten sarkazm.

— A ty nie wciskaj mi kitu.

— Dobra — powiedziała Vicki, decydując się jednak usiąść w wielkim fotelu obrotowym.

Założyła nogę na nogę, odchyliła głowę na ciemnoczerwone skórzane oparcie i zamknęła oczy, żalując, że nie zatrzymała starego wyposażenia gabinetu. Poprzedni fotel był znacznie wygodniejszy. W tym czuła się przytłoczona. Susan zwykle nie wściekała się na nią, dlatego nie powinna czuć urazy z powodu pogardy widocznej w jej oczach. Gdy będzie po wszystkim, zrozumie, dlaczego musiała tak postąpić.

— Wiesz, że nie mogę zdradzić mojej klientki.

— Za to bez problemu zdradzasz przyjaciółkę.

— Nie zdradzam jej. Chronię tylko jedyną rzecz, jaką uważała za najdroższą na świecie.

— Rzecz to najodpowiedniejsze dla niej słowo. Jak możesz to robić?

— Traccy ma prawo do najlepszego obrońcy.

— I to musiałaś być ty.

— W tej sprawie tak.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzyła Vicki. Cóż to za pytanie?

— Dlaczego to musisz być ty?

— Bo Traccy mi ufa. Bo mnie potrzebuje. Bo jestem przekonana, że tego właśnie chciałaby Barbara.

— Barbara chciałaby, żebyś broniła osoby, która J4 zamordowała?

— W tym wypadku tak.

— Chciałaby, żeby zbrukano jej pamięć i dobre imię??

— Nie jest to moim zamiarem.

— Czyżby? Nie sądzisz, że ucierpi jej dobre imię, jeżeli zrobisz z niej matkę molestującą własne dziecko?

— Muszę bronić mojej klientki.

— A najlepszą obroną jest obrażanie innych?

— Czasami.

— Czy i tym razem?

Vicki spojrzała w okno, za którym padał deszcz.

— Byłam tak jak ty zszokowana tym, co opowiedziała mi Traccy.

— Tak, gazety trąbią o twoim szoku na pierwszych stronach. Chyba nie zamierzasz w ten sposób wpływać na potencjalnych członków ławy przysięgłych?

— Opinia publiczna ma prawo znać obie strony tej sprawy.

— Opinia publiczna ma prawo znać prawdę.

— Och, daj spokój. — Czy ta Susan rzeczywiście jest taka naiwna?

— Chcesz powiedzieć, że wierzysz w te bzdury, które opowiada Traccy?

— To nie ma nic do rzeczy.

— Nie wciskaj mi tu kitu — powtórzyła Susan. — Może nie jestem prawnikiem, lecz na tyle często oglądam telewizję, by wiedzieć, że nie możesz powołać świadka, który będzie kłamał z premedytacją.

— A kto mówi, że Traccy będzie kłamać?

— Ja — powiedziała z mocą Susan. — I ty też, jeżeli jesteś uczciwa.

— Kwestionujesz moją uczciwość?

— Kwestionuję twoje motywacje.

— Co ty insynuujesz? Że robię to dla pieniędzy, dla sławy, dla reklamy?

— Nie wiem. To ty mi powiedz. Czyją uwagę chcesz zwrócić?

Policzki Vicki zaczerwieniły się z gniewu. Do czego ta Susan zmierza?

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Naprawdę?

— Tu nie chodzi o mnie—warknęła Vicki. Ton jej głosu ostrzegwał Susan, że wchodzi na niebezpieczny grunt.

— Właśnie — stwierdziła Susan, nie dając się zastraszyć. — Barbara mocno spała. Nawet gdybyś uwierzyła w te bzdury, które opowiada Traccy, w co ja osobiście nie wierzę, jak możesz twierdzić, że Traccy zabiła matkę w obawie o własne życie? Jakim cudem Barbara mogła jej zagrażać we śnie?

Vicki odetchnęła swobodniej, zadowolona, że rozmowa przeniosła się na bezpieczniejszy grunt.

— Traccy była przekonana, że gdy matka się obudzi, znowu zacznie ją molestować.

— I co? Nie mogła uciec? Nie mogła powiedzieć o wszystkim: kim ojcu? Musiała zaraz mordować?

— Ona twierdzi, że od lat była molestowana, że nikt nic nie zrobił, by jej pomóc.

— To są bzdury i dobrze o tym wiesz.

— Tak? A ty?

— Co ja?

— Skąd możesz wiedzieć, że Barbara nie molestowała Traccy?

Susan pokręciła głową.

— To absurd.

— Faktem jest, że nie możesz być tego pewna. Za z nas nie może, chociaż byłyśmy przyjaciółkami.

— Ja jestem pewna — upierała się przy swoim Susan. Czy ona zawsze jest wszystkiego pewna? — pomyślała

Vicki.

— Czy uznałabyś Barbarę za dobrą matkę? — spytała nagle.

— Naturalnie.

— Za oddaną matkę?

— Tak.

— Mogłabyś określić jej stosunek do Traccy jako trochę zbyt zaborczy i bliski?

— Nigdy w życiu.

— Zastanów się chwilę.

— To ty się zastanów. Tylko dlatego, że wychowałaś się bez matki...

Vicki poczuła, jakby dostała w twarz.

— Mogłybyśmy zostawić moją matkę w spokoju?

— Nie wiem — odparła Susan. — A możemy? Vicki wstrzymała oddech i zaczęła liczyć do dziesięciu.

Doliczyła do pięciu i nie wytrzymała.

— Skończ z tym psychologicznym gównem! Moja matka nie ma tu nic do rzeczy. Wbrew temu, co myślisz, nie wykorzystuję tej sprawy do tego, by przyciągnąć jej uwagę. Nie próbuję też zniszczyć dobrego imienia Barbary tylko dlatego, że mam coś przeciwko matkom, ponieważ moja mnie zostawiła, gdy byłam dzieckiem.

Susan była wyraźnie zaskoczona nieoczekiwanym wybuchem Vicki.

— Ja tego nie powiedziałam. Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

Vicki wstała z fotela, czując, że drżą jej nogi. Dla pewności przytrzymała się oparcia fotela.

— Myślisz, że jesteś taka mądra. Myślisz, że zjadłaś wszystkie rozumy. Czy wiesz, że Barbara wydzwaniała do Rona po nocy? — spytała nagle, starając się odzyskać kontrolę nad sytuacją.

— O czym ty mówisz?

— A więc są jednak sprawy dotyczące naszej przyjaciółki, o których nie wiesz.

Tym razem to Susan poczuła się niezręcznie. Poruszyła się niespokojnie w fotelu.

— No dobrze. Wielka mi rzecz—odpowiedziała.—Nawet jeżeli wydzwaniała do Rona, w co nie bardzo wierzę...

— Oczywiście, że nie.

— To stąd jeszcze daleka droga do molestowania córki.

— Dlaczego Traccy miałyby kłamać?

— Nie mam pojęcia. Nie sądzisz, że wyjście z więzienia mogłoby mieć z tym coś wspólnego?

— Myślisz, że to wszystko wymyśliła?

— Ja wiem, że to wszystko wymyśliła.

— Skąd możesz wiedzieć? Spędziłaś z nią niecałe dwa dni. Jak możesz twierdzić, że dobrze ją znasz?

— W ogóle jej nie znam. Za to znam Barbarę. I ty też, do cholery!

Vicki podeszła do okna i popatrzyła na ulicę. Zaczekajcie na mnie! — zawołała w myślach do spieszących w dole przechodniów.

— Dobra. Więc co my tu mamy? — Odwróciła się do Susan, dostrzegła łzy w jej oczach, lecz udąa, że ich nie widzi. — Mamy szesnastoletnią dziewczynę, która przyznała się, że zabiła własną matkę.

— A przedtem okłamała policję, mnie, ciebie—przypomniała jej Susan.

— Tak, okłamała.

— Dlaczego więc sądzisz, że teraz mówi prawdę? Czy masz chociaż cień dowodu na potwierdzenie jej słów?

Vicki odchyliła głowę i zaczęła rozcierać sobie kark. Susan miała rację. Nie miała żadnych dowodów, niczego, co by potwierdzało zaskakujące oskarżenia Tracey. Sędziowie przysięgli będą potrzebowali czegoś więcej niż krokodylich łez, by wydać wyrok uniewinniający.

— Masz jakiś dowód? — spytała Susan.

— Musi być jakiś powód, dla którego Tracey zrobiła to, co zrobiła.

— Kto tak twierdzi?

— Dziewczęta nie mordują matek dla fantazji—przekonywała Vicki.

— Może Tracey nie podobało się, że przestała być w centrum uwagi matki. Może nie podobało jej się, że matka chce ułożyć sobie życie. Może nie smakowała jej kolacja, którą Barbara przygotowała tamtego wieczoru.

— Mogła ją też molestować — stwierdziła beznamiętnie Vicki. — Powiedz mi, Susan, czy miałabyś takie same wątpliwości, gdyby Tracey oskarżyła o to samo ojca? Nie możesz negować zarzutów Tracey tylko dlatego, że Barbara była kobietą.

— Nie neguję ich dlatego, że Barbara była kobietą, lecz dlatego, że była moją przyjaciółką.

— A gdybym powołała cię na świadka...

— Na twoim miejscu nie robiłabym tego.

— Nie jesteś na moim miejscu — odparła Vicki, wzruszając ramionami.

Susan podeszła do drzwi.

— I dziękuję za to Bogu — powiedziała, po czym zamknęła je z trzaskiem.

— Cholera jasna! — Vicki złapała leżące na biurku wieczne pióro i cisnęła nim o drzwi. W tej samej chwili do gabinetu zajrzała sekretarka. Pióro o włos minęło jej głowę. — Cholera! Nie umiesz pukać?

— Usłyszałam twój krzyk — wyjaśniła sekretarka, po czym wybuchnęła płaczem. — Przepraszam. — Wycofała się pospiesznie.

— Cholera!

Teraz będzie musiała wysłać jej kwiaty. A co gorsza, przeprosić. Może po prostu da jej podwyżkę. Cholera, dlaczego wszyscy ostatnio stali się tacy wrażliwi? Chris tak się przejęła zarzutami Tracey, że przestała do niej dzwonić. Susan nie była już taka delikatna, wparowała do gabinetu i otwarcie zakwestionowała jej

motywy i uczciwość. Te jej dziwaczne aluzje do matki. Nawet Jeremy podawał w wątpliwość sens tego, co robiła.

— Może powinnaś przekazać tę sprawę komuś innemu, kochanie — zasugerował.

— Może nie wtrącałbyś się w nie swoje sprawy — warknęła.

Dlaczego nie chciała ich posłuchać? Czy podjęcie się obrony Tracey warte było utraty szacunku męża? Czy warto było tracić z tego powodu najlepsze przyjaciółki? Czy naprawdę wierzyła w to, że Tracey nie była jedynie zimną, wyrachowaną psychopatką, która starała się uniknąć konsekwencji swoich czynów?

— Nie wiem! — zawołała z bezsilności.

Z całą pewnością wiedziała, wbrew temu, co myśleli Susan, Chris i Jeremy, że tego właśnie chciałyby Barbara, że bez względu na wszystko pragnęłyby chronić córkę. Nawet gdyby Tracey zabiła matkę bez powodu, o co ją podejrzewała, Barbara i tak chciałyby, żeby Vicki jej broniła, żeby zrobiła wszystko, by córka nie trafiła do więzienia.

Jej decyzja była słuszna. Nawet jeżeli Traccy jest nieźrównoważona psychicznie i zagraża innym? — spytał wewnętrzny głos. Nawet jeżeli straci przez to wszystkich, których kocha?

— Tu nie chodzi o mnie — powtarzała. Propozycje z Nowego Jorku, z Hollywood, zainteresowanie mediów, nic się nie liczyło. Najważniejsze to uszanować pamięć przyjaciółki najlepiej, jak umie.

— Stek bzdur! — usłyszała szydarczy głos Susan.

— Sofistyczne wykręty — zawtórował jej Jeremy. Chris odwróciła się i nic nie powiedziała.

— Super — mruknęła Vicki, odwracając się od swoich sędziów, tak jak oni odwrócili się od niej.

Co do jednego mieli rację: nie było żadnych dowodów. Mogła jedynie teoretyzować. Nie miała nic prócz słów Tracey.

— Już nie mogę się doczekać, by sprać ci tyłek — powiedział Michael Rose, mrugając do niej z końca pokoju.

— Nie dopuszczę do tego—powiedziała głośno. Chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi. — Weź sobie wolne na resztę dnia — oznajmiła zaskoczonej sekretarce, po czym wyszła.

— Nie rozumiem — powiedziała Traccy. — Co pani tu robi?

— Potrzebuję czegoś więcej — powtórzyła Vicki, jak zwykle dziwiąc się zdrowemu wyglądowi Traccy. Można byłoby powiedzieć, że rozkwitła za kratkami.

— Wszystko już powiedziałam.

— To za mało.

— To prawda.

Od kiedy to prawda wystarczała? — przemknęło Vicki przez myśl. Ostre jarzeniowe światło raziło jej oczy.

— Potrzebuję czegoś więcej — powtórzyła.

— Nie ma niczego więcej.

— Przypomnij sobie — nie ustępowała Vicki. — Może byli jacyś świadkowie?

— Świadkowie?

— Ktoś, kto widział, jak matka dotykała cię w niewłaściwy sposób.

Traccy pokręciła przecząco głową.

— Nie sędzę. Robiła to, kiedy byliśmy same.

— Może wypowiedziała jakiś dwuznaczny komentarz w czyjejś obecności?

— Jak to dwuznaczny?

Vicki spróbowała z innej strony.

— Czy jest ktoś, kogo mogłabym powołać na świadka, kto potwierdziłby twoje słowa?

Traccy wzruszyła ramionami i uciekła spojrzeniem w bok.

— Traccy, czy jest ktoś taki? — powtórzyła Vicki.

— Nie.

Vicki wstała i zaczęła chodzić wokół stołu. Kurwa. Chuj; Pieprzyć adwokatów—przeczytała i doszła do wniosku, że to prawda. Była nieźle załatwiona.

— Potrzebuję czegoś, Traccy. Nie mogę pójść do sądu, mając jedynie twoje zeznanie.

— Myśli pani, że sędziowie przysięgli mi nie uwierzą?

— Daj im coś, by ci uwierzyli. Daj mi jakiś dowód. Traccy wyciągnęła przed siebie nogi i wytarła dłonie o jasnoniebieskie spodnie.

— Jest coś, co mogłabym pani powiedzieć — zaczęła. Vicki zatrzymała się i czekała na dalszy ciąg.

— Coś, co panią przekona, że mówię prawdę. Coś, co przekona sędziów przysięgłych.

— Co takiego?

— Coś o mojej mamie. Coś, o czym pani nie wie. Coś, czego nigdy nikomu nie powiedziałam.

— Mnie możesz powiedzieć.

Traccy usiadła prosto i wskazała brodą na krzesło po drugiej stronie stołu.

— Lepiej niech pani usiądzie — powiedziała.

Mowy wstępne rozpoczęły się w czwartek szesnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Vicki patrzyła, jak Michael Rosę wstaje ze swojego miejsca i podchodzi do sędziów przysięgłych. Trzy dni trwało kompletowanie składu ławy. Wreszcie wybrano siedem kobiet i pięciu mężczyzn. Ośmioro członków było białych, dwoje czarnych i dwoje pochodzenia azjatyckiego. Dziewięćcioro było żonatych, dwoje rozwiedzionych i jedna osoba stanu wolnego. Mieli razem trzydzieścioro dwoje dzieci i wnuków, w tym dwadzieścia dziewczynek. Wszyscy przysięgli, że na żadne z nich nie miały wpływu media ani nie wyrobili sobie wcześniej opinii na temat sprawy. Połowa członków wyglądała na zdenerwowanych, oczy błyszczały im z podniecenia i pochylali się w przód w oczekiwaniu; inni mieli znudzone miny, na wpół przymknięte powieki i szukali sobie wygodnej pozycji w ławce. Sędzia uprzedził ich, że proces może potrwać od trzech tygodni do trzech miesięcy.

— Panie i panowie przysięgli — zaczął Michael. — Dzień dobry...

I z góry państwu dziękuję, odpowiedziała w myślach Vicki.

— Iz góry państwu dziękuję — powtórzył Michael, zapinając dolny guzik ciemnoszarej marynarki, którą zawsze wkładał pierwszego dnia ważnego procesu. To taki rodzaj talizmanu na szczęście, wyjaśnił kiedyś Vicki. Szary garnitur, żółty krawat na mowy wstępne, niebieski garnitur i czerwony krawat na końcowe.

Nie ma to jak dobry plan, pomyślała Vicki i wypowiedziała szeptem kolejne zdanie, zakrywając usta dłonią.

— Praca, która was czeka, nie będzie łatwa.

— Coś pani mówiła?—spytała półgłosem siedząca obok niej Traccy.

Vicki poklepała Traccy po dłoni, wiedząc, że ten ruch zwróci uwagę przynajmniej jednego z sędziów przysięgłych.

Dłoń Traccy była miękka i ciepła w przeciwieństwie do jej własnej, która sprawiała wrażenie, jakby tkwiła przez całą noc w lodówce.

— Będę się jednak starał ją państwu ułatwić — ciągnął Michael.

Ta sama gadka za każdym razem, pomyślała Vicki i przeniosła wzrok na sędziego Fitzhenry'ego, sześćdziesięcioletniego mężczyznę o zwodniczo miłej powierzchowności. Okrągłe oblicze i kosmyki siwych włosów sprawiały, że wyglądał jak dobry wujaszek, lecz za przyjaznym uśmiechem krył się cięty język, a za niewinnym błękitem oczu zawistna dusza.

— Fakty tej sprawy są proste — mówił Michael. — Gdzieś między trzecią w nocy a piątą rano osiemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku czterdziestosześcioletnia kobieta Barbara Azinger została brutalnie pobita na śmierć.

Vicki zerknęła na Traccy, gdy Michael zaczął swój dramatyczny opis przerażających faktów. Wyglądała na spokojną, a nawet pogodną. Ubrana była w

jasnoróżową bluzkę oraz granatową plisowaną spódniczkę i wyglądała jak dobrze wychowana uczennica. Gemne kręcone włosy niczym aureola okalały anielską twarz bez makijażu, z wyjątkiem rzęs. Tuż przed wprowadzeniem sędziów przysięgłych Traccy uparła się pociągnąć je tuszem. Nieodrodna córka matki, pomyślała Vicki, patrząc, jak w kącikach oczu dziewczyny błyszczą łzy, gdy Michael szczegółowo opisywał rany zadane Barbarze.

— Nie bój się płakać — poinstruowała ją wcześniej Vicki. — Niech sędziowie przysięgli widzą, jak bardzo kochałaś matkę.

Czy te łzy są szczerze, czy też Traccy jedynie poszła za jej radą? — pomyślała Vicki.

To nie twoja sprawa, ofuknęła się w duchu, patrząc na wyłożony ciemną boazerią sufit obszernej starej sali rozpraw. Jesteś tylko adwokatem. Nie sędzią i nie ławą przysięgłych. Nie decydujesz o winie czy niewinności, lecz masz zapewnić klientce najlepszą z możliwych obronę.

Ile razy będzie musiała to sobie powtarzać, nim przestaną ją wreszcie dręczyć te cholerne wyrzuty sumienia? Ma robotę do wykonania i wykonają. Fakt, że ani Susan, ani Chris od miesięcy z nią nie rozmawiały i obie zgodziły się być świadkami oskarżenia, jedynie utwierdził ją w decyzji i ułatwił zadanie.

— Moja szanowna koleżanka będzie się starała was przekonać, że Traccy Azinger zabiła matkę w samoobronie — powiedział Michael z mieszaniną obrzydzenia i niedowierzania w głosie.

Skończył już przedstawiać fakty i teraz próbował zdyskredytować linię obrony i złagodzić siłę ewentualnych argumentów przedstawionych przez Vicki.

— Obrona będzie się starała zagmatwać tę prostą sprawę, odwołując się do waszej wiary w to, że dzieci nie mordują rodziców bez powodu. Dlatego też ucieknijcie się do starej jak zgniłe jajko metody obarczania winą ofiary.

Starej jak zgniłe jajko, powtórzyła w myślach Vicki i wyobraziła sobie jajko toczące się po wytartej podłodze sali i rozpraw. Zatrzymała tę śmieszną metaforę czubkiem panto- f felka i rozgniotła ją obcasem na proch. Potem pokręciła głową z udanym przerażeniem, tak by sędziowie to widzieli, i spojrzała znacząco na zegarek. Michael mówił już prawie czterdzieści minut.

— Będzie twierdzić, że ta oddana matka kryła w sobie coś, o czym wiedziała jedynie córka, coś, co skutecznie ukrywała przed bliskimi od ponad dziesięciu lat. Będzie was i przekonywać, że Barbara Azinger była potworem, który regularnie molestował córkę.

Lecz jakie ma dowody na te bezpodstawne oskarżenia? — zapytała Vicki w myślach, jeszcze nim Michael wypowiedział te słowa.

— Żadnych — stwierdził Michael.—Nie ma absolutnie żadnych dowodów z wyjątkiem słów dziewczyny, która ją zabiła.

— Nie pozwólcie jej się z tego wykręcić—powtórzyła za nim szeptem Vicki,

strzepując biały pyłek z zielonej spódnicy.

— Fakty w tej sprawie są niepodważalne — przypomniał Michael sędziom przysięgłym. — Nie dajcie się zwieść teatralnym gestom i słownej ekwilibryście.

Słownej ekwilibryście, powtórzyła w myślach Vicki. To coś nowego.

— Nie pozwólcie tej dziewczynie — mówił Michael, wskazując na Traccy, która wciągnęła powietrze i spojrzała prokuratorowi prosto w oczy — która przyznała się do morderstwa, po raz drugi zamordować matkę.

Vicki wstała i podeszła do ławy przysięgłych, jeszcze nim Michael wrócił na swoje miejsce.

— Prokurator ma rację, mówiąc, że fakty w tej sprawie nie podlegają dyskusji, że we wczesnych godzinach rannych osiemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku Traccy Azinger wyjęła z szafy kij golfowy i zabiła nim matkę. Ma również rację, mówiąc, że wcześniej okłamała policję i wymyśliła historyjkę o zamaskowanym włamywaczu, a nawet go zidentyfikowała. — Vicki spojrzała na zgromadzoną na sali publiczność i dostrzegła Tony'ego Malarka, który powitał ją charakterystycznym złośliwym uśmiechem. — Pan prokurator twierdzi, że zmieniła swoje zeznanie, kiedy przedstawiono jej dowody świadczące przeciwko niej. To prawda. — Urwała, robiąc efektowną pauzę.

— I nie. — Powiodła wzrokiem po twarzach sędziów przysięgłych, nawiązując kontakt z każdym z osobna.

— Tak, Traccy Azinger kłamała. — W tym momencie odwróciła się w stronę Traccy, doskonale wiedząc, że sędziowie podążą za jej wzrokiem. Traccy patrzyła na nią przez grubą zasłonę łez. — Ale kłaniała nie dlatego, by bronić siebie... — zawiesiła głos, tym razem na dłużej — lecz by bronić matkę. — Vicki stała nieruchomo, utrzymując kontakt wzrokowy ze swoją klientką. — Kłamała, bo nie chciała, by ktoś się dowiedział o tych okropnych rzeczach, które matka od lat jej robiła. Jeżeli mogę pozwolić sobie zacytować piękne zdanie pana prokuratora, nie chciała „zamordować matki po raz drugi”, lecz nie miała wyboru. Nie miała też innego wyjścia, jak zabić matkę, którą uwielbiała, po to, by obronić się przed seksualnym wykorzystywaniem.

Kątem oka dostrzegła, że Michael Rosę kred głową tak jak ona przedtem.

— Pan prokurator twierdzi, że nie mamy dowodów na potwierdzenie naszych zarzutów. Myli się jednak. Mówi, że wszystko co mam, to słowa Traccy. I znowu się myli. Nie ma również racji, prosząc was, byście nie zwracali uwagi na ten cichy głos szepczący: „dlaczego?” Dlaczego kochająca i kochana szesnastolatka dokonuje tak strasznego czynu? Proszę, byście posłuchali tego głosu. Jest to bowiem głos rozsądku. Głos słusznej wątpliwości.

Uśmiechnęła się smutno do sędziów przysięgłych, minęła szybko stanowisko prokuratora i usiadła na miejscu dla obrony.

Oskarżenie powołało najpierw porucznika Jacobka i porucznik Gili na

świadków. Przedstawili podobne wersje wydarzeń, opisali zachowanie Traccy, opowiedzieli, jak zmieniała zeznania, podawała nieprawdziwe informacje. Inny funkcjonariusz zdał raport z tego, jak znalazł w szafie Traccy narzędzie zbrodni, a potem pierścionek zaręczynowy Barbary ze śladami krwi w szkatułce na biżuterię. Eksperci sądowi szczegółowo opisali zadane przez Traccy ciosy, miejsca tych ciosów na ciele ofiary i ich skutki, kładąc szczególny nacisk na zmasakrowaną twarz.

Pytania Vicki były krótkie i proste. Nie było sensu zaprzeczać oczywistym dowodom. Przedłużające się przesłuchanie utrwaliłoby jedynie straszne obrazy w świadomości sędziów przysięgłych.

— Jak by pan opisał zachowanie Traccy, kiedy tamtego dnia zjawił się pan u niej w domu? — pytała każdego z przesłuchiwanym policjantów.

— Była bardzo zdenerwowana — stwierdził porucznik Jacobek.

— Była roztrzęsiona — przyznała porucznik Gili.

— Robiła wrażenie, jakby była w szoku — odpowiedział trzeci funkcjonariusz, zaglądając do notatek.

— Nie mam dalszych pytań — oznajmiła Vicki. Piątego dnia przesłuchań Michael Rose wezwał na świadka Susan Norman.

— Proszę podnieść prawą rękę — poinstruował urzędnik sądowy i Susan złożyła przysięgę. — Proszę podać nazwisko i przeliterować je sądowi.

Susan podała nazwisko, starannie je przeliterowała, po czym usiadła, nie odpowiadając na uśmiech Vicki.

Jak chcesz, pomyślała Vicki. Zauważyła, że czerwony golf przyjaciółki podkreśla jej naturalne rumieńce.

— Co łączyło panią z Barbarą Azinger? — spytał Michael Rose.

Tego dnia miał na sobie brązowy garnitur w prążki z kamizelką i prawie identyczną marynarką jak Vicki. Vicki zmarszczyła brwi, gdy to dostrzegła, zastanawiając się, oczywiście dla żartu, czy nie powinna później do niego zadzwonić i spytać, w co się ubierze jutro.

— Barbara była moją przyjaciółką.

— Jak długo się przyjaźniłyście?

— Ponad czternaście lat.

— Czy może pani powiedzieć sądowi, co stało się tej nocy, gdy Barbara została zamordowana?

Susan wzięła głęboki oddech, odchrząknęła, odwróciła się w stronę ławy przysięgłych i starannie dobierając słowa dokładnie opisała ten wczesny sierpniowy poranek. Zawahała się jedynie w momencie, gdy doszła do drzwi sypialni Barbary.

— Co pani zobaczyła w tym pokoju? — spytał Michael Rose.

— Zobaczyłam Barbarę. — Jej pewny zazwyczaj głos zadrżał. — Leżała na

podłódze cała we krwi. Nie miała twarzy.

— A gdzie była Traccy?

— Na podłódze przy Barbarze, trzymała ją za rękę.

— Czy coś powiedziała?

— Powiedziała, że Tony Malarek zamordował jej matkę.

— Co było potem?

— Przyjechała policja, a potem państwo Latimer. Michael Rose spojrział oskarżycielskim wzrokiem na Vicki.

— To znaczy obrońca pozwanej? Susan skinęła twierdząco głową.

— Tak. Zatelefonowałam do niej. Ona i jej mąż też byli przyjaciółmi Barbary.

Pozostała część wypowiedzi Susan dotyczyła dziwnego zachowania Traccy w czasie jej krótkiego pobytu u Norma i ciągłych zmian wersji wydarzeń.

— Zaczęła pani coś podejrzewać?

— Tak. Traccy sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie przejęła się śmiercią matki. Jakby trzeba jej było przypominać, że ma się smucić.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie — powiedziała Vicki.

— Podtrzymuję.

— Jak by pani opisała stosunek Barbary do córki?

— Barbara była wspaniałą matką. Uwielbiała Traccy. Zrobiłaby dla niej wszystko.

— Czy w ciągu tych wszystkich lat trwania waszej przyjaźni widziała pani, żeby Barbara znęcała się nad córką?

— Nie. To śmieszne. Barbara nigdy nie skrzywdziłaby Traccy.

— Nie mam więcej pytań — stwierdził Michael Rose. Vicki podniosła się ze swego miejsca.

— Pani Norman, zeznała pani, że gdy tamtej nocy Traccy zatelefonowała do pani, tak strasznie płakała, że nie mogła pani zrozumieć, co mówi.

Susan wyprostowała się i popatrzyła na Vicki z nieukrywaną pogardą.

— To prawda.

— Była więc roztrzęsiona?

— Sprawiała wrażenie roztrzęsionej — sprecyzowała Susan.

— Czyjej głos brzmiał histerycznie czy nie?—ponowила pytanie Vicki.

— Tak.

— Była do tego stopnia roztrzęsiona, że natychmiast zerwała się pani z łóżka, a potem wezwała policję, tak?

— Tak.

— A kiedy znalazła pani Traccy, siedziała na podłódze przy matce, tak?

— Tak.

— Zeznała pani, że trzymała ją za rękę, tak?

- Tak.
- Dziwne zachowanie jak na bezwzględną morderczynię, nie sądzi pani?
- Sprzeciw. — Michael Rose uniósł się z miejsca.
- Podtrzymuję.
- Co pani zrobiła, kiedy zobaczyła Tracę siedzącą przy zakrwawionym ciele matki i trzymającą ją za rękę?
Susan zastanowiła się chwilę.
- Chyba objęłam ją ramieniem, pomogłam wstać i wyprowadziłam z sypialni.
- Więc zmartwiła się pani jej zachowaniem?
- Tak.
- Czy przyszło pani do głowy, że może udawać?
- Wtedy nie.
- Wtedy nie — powtórzyła Vicki. — A po przesłuchaniu przez policję zabrała ją pani do swojego domu, zgadza się?
- Tak.
- Dlaczego?
- Jej ojca nie było w mieście. Nie mogłam zostawić jej samej.
- Bo była zdenerwowana.
- Bo jej matka nie żyła.
- I nie miała pani powodu podejrzewać o coś Tracę — stwierdziła raczej, niż spytała Vicki.
- Wtedy nie.
- Ale potem zaczęła pani mieć podejrzenia?
- Tak.
- I co pani zrobiła?
- Nie bardzo rozumiem pytania.
- Czy zadzwoniła pani na policję?
- Zadzwoniłam do pani—odparła Susan. — Prosiłam, żeby pani przyjechała. Vicki kiwnęła głową w stronę ławy przysięgłych.
- A kiedy przyjechałam, co mi pani powiedziała?
- Dokładnie nie pamiętam.
- Proszę sobie przypomnieć.
- Chyba wyraziłam zaniepokojenie zachowaniem Tracę i powiedziałam, że ma kłopoty ze swoją wersją wydarzeń.
- Pamięta pani, co na to odpowiedziałam?
Susan uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd usiadła na miejscu dla świadków.
- Powiedziała pani, że ludzie, którzy mówią prawdę, nie mają z tym kłopotów.
Vicki również się uśmiechnęła. Waśnie takiej odpowiedzi oczekiwała.

- Więc to ja pierwsza zasugerowałam, że Traccy może kłamać?
- Tak.
- A pani się ze mną nie zgodziła, prawda? Uśmiech zniknął z twarzy Susan.
- Tak.
- Czy nie zapytała mnie pani, dlaczego Traccy miałyby zabijać matkę?
Susan poruszyła się niespokojnie na krześle.
- Możliwe.
- Uznała więc pani za nieprawdopodobne, by Traccy mogła coś takiego zrobić?
- Z początku tak.
- A teraz? Czy wciąż nie zadaje sobie pani pytania dlaczego?
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie.
- Zapytam inaczej — powiedziała szybko Vicki. — Oskarżenie sugeruje, że Traccy zabiła matkę, ponieważ była zazdrosna o nowego znajomego matki Howarda Kerble'a. Czy Traccy powiedziała lub zrobiła coś, co mogło na to wskazywać?
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie — powiedział znowu Michael Rose. — Świadek nie jest psychiatrą.
- Oddałam sprzeciw — oświadczył sędzia. — świadek ma wystarczające kwalifikacje do tego, by odpowiedzieć na pytanie.
- Nie — przyznała Susan.
- Czy Traccy powiedziała coś, co wskazywałoby na to, że jest nieszczęśliwa z powodu zaręczyn matki?
- Nie.
- Raczej sprawiała wrażenie szczęśliwej z tego powodu, tak?
- Sprawiała takie wrażenie.
- Czy nie była podekscytowana tym, że będzie świadkiem na ślubie matki?
- Chyba tak.
- Nie ma pani powodu, by sądzić inaczej?
- Nie.
- Czy Barbara kiedykolwiek wspominała, że córka jest zazdrosna czy nieszczęśliwa?
- Nie.
- Vicki spojrzała zdziwiona na sędziów przysięgłych.
- Zeznała pani, że zna Barbarę Azinger od czternastu lat. Jak często się spotykałyście?
- Różnie.
- Byłyście razem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?
- Oczywiście, że nie.
- A ile? Kilka godzin dziennie?
- Staraliśmy się spotykać przynajmniej raz w tygodniu.

— Rozumiem. Kilka godzin raz w tygodniu. A mimo to przysięgłaby pani, że Barbara nigdy nie molestowała córki?

— Tak — powiedziała z mocą Susan.

— Czy Barbara rozmawiała z panią o swoim życiu intymnym?

Susan popatrzyła na zastępcę prokuratora stanowego, jakby szukała u niego pomocy. Posłusznie wstał i złożył sprzeciw.

— Proszę odpowiedzieć — polecił sędzia.

— Czasami.

— Czy mówiła pani, że nie znajdowała satysfakcji we współżyciu z byłym mężem?

— Tak.

— I w czasie trwania małżeństwa nigdy nie doznała orgazmu?

— Tak. Lecz co z tego? Miliony kobiet nie mają orgazmów. Nie muszą jednak z tego powodu molestować własnych dzieci. Barbara była normalną kobietą. Lubiła seks z mężczyznami.

— Barbara lubiła seks z mężczyznami, dlatego nie miała powodu molestować córki. Czy to chciała pani powiedzieć?

— Tak — przyznała z niepokojem w głosie Susan, rozglądając się na boki, jakby bała się wpaść w pułapkę.

— Dziękuję, pani Norman — powiedziała z uśmiechem Vicki. — Nie mam więcej pytań.

33

W poniedziałek prokurator wezwał na świadka Roi Azingera.

Roń, który nie był już tak pociągający i nabrał nieco ciała, zeznał, że mimo rozwodu Barbara pozostała wzorową matką i obie z Tracey były sobie bardzo bliskie, a córka nigdy nie powiedziała nic, co świadczyłoby, że Barbara wykorzystywała ją w jakikolwiek sposób.

— Nigdy nie skarżyła się na matkę? — spytała Vicki, biorąc go w krzyżowy ogień pytań.

— Nie, nigdy.

— Nastolatka, która nie skarży się na matkę? Czy to nie dziwne?

Sędziowie przysięgli wybuchnęli śmiechem, a prokurator wyraził sprzeciw.

— Proszę trzymać się tematu, pani mecenas — poinstruował ją sędzia Fitzhenry.

— Panie Azinger, jak często widywał pan Tracey rozwodzie?

— W każdą środę wieczorem i co drugi weekend.

— O czym rozmawiał pan wtedy z córką?

Roń chrząknął, skrzyżował ręce i uniósł dłoń do góry.

— Nie wiem. Chyba o tym, co zwykle.

— Czy Tracey opowiadała panu o szkole?

— Tak — odpowiedział, chociaż nie wyglądał na przekonanego.

— O koleżankach?

— Chyba tak.

— Panie Azinger, czy Tracey ma dużo koleżanek?

— Jestem tego pewny.

— Proszę wymienić chociaż trzy.

— Słucham?

— Mógłby pan wymienić imiona trzech koleżanek córki?

— No...

— To może przynajmniej jedno. Proszę podać jedno imię koleżanki córki.

Roń rzucił wzrokiem na sufit.

— Chyba Lisa.

— Ach, tak — powiedziała z uśmiechem Vicki. — Zawsze jest jakaś Lisa.

Zgromadzona publiczność i sędziowie przysięgli wybuchnęli śmiechem.

— Prawdą jest, że pańska córka nie ma wielu przyjaciół, czy tak?

— Tracey nigdy nie potrzebowała wielu znajomych — przyznał Roń.

— Bo miała matkę?

Vicki dostrzegła, że Michael Rose poruszył się w krześle, zastanawiając się, czy zgłosić sprzeciw. Pomyślał zapewne, że takie pytania mogły pomóc w sprawie.

— Panie Azinger, czy to prawda, że skarżył się pan na to, że Barbara zbyt dużo czasu poświęcała córce? Ze w czasie trwania waszego małżeństwa czuł się pan

odsunięty i wyrzucony poza nawias?

— Traccy i Barbara były sobie bardzo bliskie — powtórzył Roń.

— Nienaturalnie bliskie?

— Sprzeciw.

— Podtrzymuję.

— Czy nie namawiał pan byłej żony, by poszła do psychiatry? — spytała Vicki.

— Możliwe — przyznał Roń.

— Czy nie powiedział jej pan, że jest chorą kobietą i powinna zbadać sobie głowę?

Skąd o tym wiesz? — spytały jego oczy. Zapomniałeś, że była moją przyjaciółką? — odpowiedział w ten sam sposób.

Naprawdę byłaś? — zapytał wewnętrzny głos.

— Byłem zły, gdy to mówiłem — odpowiedział Roń.

— Powiedział pan czy nie, że pańska żona jest chorą kobietą i powinna zbadać sobie głowę? — powtórzyła pytanie Vicki.

— Tak.

Vicki przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, czy zadać pytanie, co do którego nie miała stuprocentowej pewności, jaka będzie odpowiedź. Zobaczyła, że Roń patrzy na córkę, i domyśliła się, że wolałby być wszędzie, tylko nie tu. Kochał córkę, a z byłą żoną nic go nie łączyło. Na litość boską, jestem przecież profesorem socjologii, niemal słyszała, jak myśli. Dumnym, uczciwym członkiem społeczności. Niemożliwe, żeby stworzył bezwzględną socjopatkę. Uśmiechnęła się lekko kącikami ust. Kto powiedział, że nie zna odpowiedzi?

— Panie Azinger — powiedziała pewnym głosem — czy to możliwe, by Traccy była wykorzystywana przez matkę?

— Możliwe — odpowiedział po dłuższym zastanowieniu.

Howard Kerble okazał się znacznie lepszym świadkiem oskarżenia. Prezentował się mniej okazale od byłego męża Barbary, lecz miał w sobie powagę i autorytet. Opowiedział w ciepłych słowach, jak poznał Barbarę, jak się w niej z wzajemnością zakochał i o wspólnych planach na przyszłość. Gdy go o to zapytano, powiedział, że ich życie intymne układało się wspaniale. Barbara była najnormalniejszą kobietą z normalnymi seksualnymi potrzebami. Nie wyróżniała się pod tym względem niczym szczególnym.

Zarzut, że wykorzystywała córkę, był poniżej wszelkiej krytyki. Była oddaną matką. Traccy zawsze stała u niej na pierwszym miejscu.

— Więc Traccy nie miała powodu być zazdrosna o pański związek z jej matką — stwierdziła Vicki, kiedy przyszła jej kolej.

— Musi pani zapytać o to Tracey.

— Zapytam — odparła, po czym zwolniła świadka.

— Sądzę wzywa Christine Malarek.

Było to na początku trzeciego tygodnia procesu. Drzwi sali rozpraw się otworzyły i stanęła w nich Chris. Przeszła śmiało, nie oglądając się na boki, szerokim przejściem do miejsca dla świadków. Miała na sobie fioletowy sweter i szare spodnie, a jasne włosy miękkimi falami opadały na ramiona.

Wygląda piękniej niż zwykle, pomyślała Vicki, kątem oka dostrzegając Tony'ego, który siedział od początku procesu w tym samym miejscu, to znaczy za dwoma rzędami ławek zarezerwowanych dla prasy. Czy zrobi scenę? — zastanawiała się Vicki. Czy wyciągnie broń i zacznie strzelać po sali? Całe szczęście, że są wykrywacze metalu. W jednym z tylnych rzędów zauważyła też Susan.

Chris złożyła przysięgę. Michael Rose zapytał ją o wiek i zawód, a następnie przeszedł do sedna sprawy.

— Czy mogłaby pani powiedzieć, co panią łączyło z Barbarą Azinger? — zapytał.

— Byłyśmy od czternastu lat przyjaciółkami. Bliskimi przyjaciółkami — podkreśliła Chris.

— Czy znała pani również jej córkę Tracey?

— Znałam Tracey od drugiego roku życia. — Chris odwróciła twarz w stronę Tracey, na chwilę zatrzymała wzrok na Vicki, po czym spojrzała na prokuratora.

— Czy określiłaby pani Barbarę Azinger jako dobrą matkę?

— Była wspaniałą matką.

— Czy widziała pani, by kiedykolwiek uderzyła córkę?

— Barbara nie uznawała kar cielesnych.

— Nigdy nie uderzyła jej w gniewie?

— Nigdy. Barbara była kochającą matką. Uwielbiała Tracey.

— Czy w ciągu tych lat znajomości zauważyła pani, by dotykała córkę w niewłaściwy sposób?

— Oczywiście, że nie.

— Czy zwierzała się pani ze swojego nienaturalnego zainteresowania córką?

— Nie. To absurd.

— Dziękuję — powiedział Michael Rose i kiwnął głową w stronę Vicki. — Świadek należy do pani.

Rzeczywiście do mnie, pomyślała Vicki, wstając wolno z miejsca. Czy naprawdę może to zrobić? Odrzuciła wątpliwości potrząśnięciem głowy. Czy miała jakiś wybór?

— W jakim sensie była kochającą matką? — zwróciła się do Chris.

— Nie bardzo rozumiem — stwierdziła Chris.

— Czy widziała pani, jak głaszcze córkę po włosach?

— Tak.

— Czy widziała pani, jak ją całuje?

— Naturalnie.

— Obejmuje?

— Tak.

— A jak Traccy reagowała na pieszczoty matki? Chris usiłowała przypomnieć sobie chwile, w których widziała Barbarę i Traccy razem.

— Nigdy nie było z tym żadnego problemu, jeżeli o to pani chodzi.

— Nigdy nie słyszała pani, by Traccy protestowała?

— Nie.

— Czy zaskoczyła panią wiadomość, że Traccy została aresztowana za zamordowanie matki?

Vicki oczekiwała, że Michael Rosę zgłosi sprzeciw, i niemal się uśmiechnęła, gdy tego nie zrobił.

— Pomyślałam, że to musi być jakiś pomyłka.

— Była pani zaskoczona, że Traccy się do tego przyznała?

— Tak.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzyła Chris.

— Dlaczego była pani zaskoczona?

— Nie bardzo wiem, jak mam na to odpowiedzieć.

— Była pani zaskoczona, bo do głowy by pani we przyszło, że Traccy może być zdolna do czegoś tak strasznego?

Teraz prokurator powinien zgłosić sprzeciw, pomyślała Vicki i czekała.

— Sprzeciw! — zawołał Michael Rosę ze swego miejsca. — Opinie świadka nie mają związku ze sprawą.

— Podtrzymuję.

— Czy Traccy kiedykolwiek powiedziała lub zrobiła coś, co wskazywałoby, że czuje się nieszczęśliwa z winy matki lub jej nowej znajomości?

— Nie.

— Z tego, co pani wiadomo, stosunki między Barbarą i córką układały się dobrze.

— Tak.

— A mimo to Traccy zabiła matkę. Jak to możliwe?

— Sprzeciw.

— Podtrzymuję.

— Czy zgodzi się pani ze mną, że musi być jakiś cholernie ważny powód, by córka targnęła się na życie matki?

— Sprzeciw.

— Podtrzymuję. I proszę zwracać uwagę na słownictwo, pani mecenas.

— Pani Malarek, czy Traccy miała zły charakter?—s?y” tała Vicki, nie

zwracając uwagi na sprzeciw prokuratora i ostrzeżenie sędziego.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— A czy pani wiadomo, by kiedykolwiek uderzyła matkę przed ową fatalną nocą?

— O ile wiem, to nie.

— A mimo to ta młoda dziewczyna, według relacji świadków idealna córka, wstaje nagle w środku nocy i zabija matkę. Czy uważa pani, że to ma sens?

— Nie—przyznała Chris, nim prokurator zdążył zgłosić sprzeciw.—Nic, co się wydarzyło tamtej nocy, nie ma sensu.

Vicki wzięła głęboki oddech. Teraz albo nigdy. Znowu odetchnęła, po czym wyrzuciła z siebie kolejne pytanie.

— Czy pani i Barbara Azinger byłyście kochankami? Zobaczyła, że Chris robi się biała jak ściana, a przez salę przetacza się seria stłumionych szeptów.

— Słucham?!

Michael Rose poderwał się na równe nogi i podszedł do stołu sędziowskiego.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie!

— Wysoki Sądzie — zaczęła Vicki, również podchodząc do sędziego — słyszeliśmy oświadczenie, że ofiara była normalną kobietą z normalnymi potrzebami seksualnymi. Pan prokurator wtedy nie zaprotestował. W takim razie niech mi będzie wolno przedstawić dowód na to, że Barbara Azinger nie zawsze była osobą, za jaką inni ją uważali, a to dotyczy jej skłonności seksualnych.

— Pani mecenas ma rację — powiedział sędzia zdeprymowanemu prokuratorowi. — Zezwalam na zadanie tego pytania.

— Czy pani i Barbara Azinger byłyście kochankami? — powtórzyła natychmiast Vicki.

— Nie — odpowiedziała Chris.

— Przypominam, że zeznaje pani pod przysięgą.

— Nie trzeba mi o tym przypominać.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Świadek odpowiedziała na pytanie.

— Podtrzymuję.

— Pani Malarek, czy jest pani zamężna? — spytała Vicki, zmieniając taktykę.

Chris wyglądała, jakby miała spaść z miejsca dla świadków. Popatrzyła po sali i zatrzymała wzrok na eksmężu.

— Rozwiedziona — wyszeptała, gdy Tony uśmiechnął się i pochylił w przód.

— Przepraszam, ale nie usłyszałam — powiedziała Vicki.

— Jestem rozwiedziona.

— Kiedy dokładnie opuściła pani męża?

— Ponad dwa lata temu.

— Czy może pani opowiedzieć sadowi, co się stało tej nocy, gdy opuściła pani

męża?

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie! — warknął Michael Rose.

— Nie widzę związku.

— Za chwilę udowodnię, jaki to ma związek ze sprawą— odpowiedziała Vicki.

— Byle prędko — polecił sędzia.

— Tej nocy gdy opuściła pani męża, udała się pani do domu Barbary Azinger, czy tak?

— Tak.

— Ściśle mówiąc, pojawiła się tam pani w bieliźnie, zgadza się?

— Tak, ale dlatego, że Tony nie wpuścił mnie do domu.

— Wróciła więc pani na Grand Avenue do Barbary Azinger.

— Nie miałam dokąd pójść.

— Która to była godzina? Dziewiąta? Dziesiąta?

— Około pomocy.

— Tak więc zjawiała się pani w domu Barbary koło pomocy w samej bieliźnie—wyrecytowała Vicki. — Co było potem?

Chris pokręciła głową, jakby nie chciała wracać do tamtej nocy.

— Nie pamiętam dokładnie.

— Nie pamięta pani? — zdziwiła się Vicki.

— Chyba Traccy zrobiła mi herbatę.

— A Barbara przygotowała kąpiel?

— Skostniałam z zimna. Chciała, żebym się rozgrzała.

— I po to zaprosiła panią do swojego łóżka? Żeby panią rozgrzać?

— Sprzeciw!

— Gdzie pani spała tamtej nocy? — spytała wobec tego Vicki.

— W łóżku Barbary — przyznała Chris.

— Sama?

— Nie.

— Barbara też w nim spała?

— Tak, ale nic się nie zdarzyło.

— Nie całowałyście się?

— Słucham?

— Czy nie całowała się pani z panią Azinger?

Chris rozejrzała się bezradnie po sali, jakby nie mogła uwierzyć w słowa wypowiedane przez przyjaciółkę.

— Dlaczego to robisz? — spytała.

— Czy Wysoki Sąd mógłby polecić świadkowi, by udzielił odpowiedzi na pytanie?

Vicki odwróciła się od przyjaciółki. Znała już odpowiedź. Traccy widziała je razem, a potem pobiegła do łóżka i udała, że śpi, gdy matka zajrzała do niej kilka

chwil później. Co będzie, jeśli Chris zaprzeczy?

— Pocałowałyśmy się — odpowiedziała Chris — ale...

— W usta?

— Tak.

— Czy to był przyjacielski pocałunek?

Chris nie odpowiedziała. W jej oczach pojawiły się łzy i spłynęły po policzkach.

— Czy tak zazwyczaj całuje się pani z przyjaciółką?

— Nie — przyznała Chris.

— Jaki to był pocałunek?

— Nie wiem.

— Pocałunek miłosny?

— Tak — przyznała cicho Chris, a Michael Rose ukrył twarz w dłoniach. —

Lecz nic się nie wydarzyło. Pocałowałyśmy się. To wszystko.

— Pani Malarek, czy jest pani lesbijką?

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Jaki to może mieć związek ze sprawą? To nie świadek jest sądzony.

— Wysoki Sądzie, twierdzimy, że Barbarę Azinger i Chris Malarek łączył związek homoseksualny — odparowała Vicki.—Wynika z tego, że matka Traccy nie miała awersji do uprawiania seksu z kobietą. Seksualne preferencje mają tu decydujące znaczenie.

— Oddalam sprzeciw — zdecydował po namyśle sędzia.

— Mam troje dzieci — wyszeptała Chris.

— Czy jest pani lesbijką? — powtórzyła Vicki, nienawidząc swego głosu.

— Proszę tego nie robić.

— Od tego zależy życie młodej kobiety—przypomniała jej Vicki.

— I moje też — odparła cicho Chris.

Sędzia Fitzhenry nachylił się i polecił świadkowi odpowiedzieć na pytanie.

Chris zamknęła oczy i westchnęła cichutko. Siedziała tak przez kilka długich sekund. Co powinnam zrobić, jeżeli Chris zaprzeczy?—pomyślała Vicki. Czy mam przedstawić wyniki śledztwa prywatnego detektywa, który od tygodni śledził Chris, fotograficzne dowody romansu z kobietą z jej biura? Proszę, nie każ mi tego robić, poprosiła w myślach, czując na plecach pogardliwy wzrok Susan, wypalający dziurę w ciemnoniebieskiej kaszmirowej marynarce, i słysząc zjadliwy chichot Tony'ego.

— Pani Malarek, czy jest pani lesbijką? Tak czy nie? Chris otworzyła oczy. Na jej twarzy w kształcie serca

pojawił się wyraz spokoju, jakby w końcu pogodziła się z tym, kim była, jakby miała już dość uciekania.

— Tak — przyznała silnym i opanowanym głosem. — Jestem.

— Vicki — zabrzmiał przez intercom głos sekretarki — dzwonili z sądu. Sędziowie przysięgli zakończyli obrady.

— Co? To niemożliwe. — Vicki spojrzała na zegarek. — Minęły dopiero trzy godziny.

To za szybko. Stanowczo za szybko, pomyślała, po czym złapała palto i pobiegła na parking. To niemożliwe, by po procesie trwającym pięć tygodni sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt w niecałe trzy godziny. Co to oznaczało?

— Czy to dobrze, że tak szybko wracają? — spytała Traccy, gdy zajęły miejsca w sali sądowej.

Vicki uniosła w górę ręce, jakby chciała powiedzieć: „Wiem tyle samo co i ty”. Werdykt ławy przysięgłych był zawsze wielką niewiadomą. Nigdy nie można było przewidzieć, co sędziowie przysięgli zrobią, bez względu na to ilu ekspertów by wynajęto i jak starannie dobierano by członków ławy. Zawsze kierowali się własnym rytmem, własną logiką i własnymi zasadami. Nie można było przewidzieć, co zrobią, dlatego nawet nie było sensu próbować.

Również nie sposób było przewidzieć ich werdyktu na podstawie długości trwania obrad. Niektórzy sędziowie działali wolno i systematycznie, przed podjęciem decyzji starannie analizowali każdy dowód. Inni pracowali szybko i zdecydowanie. Co bardziej niecierpliwi głosowali, gdy tylko znaleźli się w sali obrad. Po co tracić czas na analizowanie dowodów, skoro wszyscy i tak już podjęli decyzję? Pięć tygodni to aż nadto. Zostawmy ten teatr i chodźmy do domu.

— Czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt? — spyta wyraźnie zdziwiony sędzia Fitzhenry, jakby i on nie spodziewał się, że tak szybko wróci do sądu.

— Tak, Wysoki Sądzie — odpowiedział mężczyzna w średnim wieku, który pełnił rolę przewodniczącego.

Vicki wstrzymała oddech, wstając z miejsca razem z Traccy, by wysłuchać orzeczenia. Za kilka sekund będzie po wszystkim. I po przyjaźni z dwiema kobietami, których miłość i wsparcie podtrzymywały ją na duchu przez czternaście lat.

Może z czasem Susan i Chris wybaczą jej, że podjęła się obrony Traccy. Może zrozumieją, że zrobiła to zarówno dla Barbary, jak i dla siebie. Lecz przesłuchanie Chris zaszło za daleko. Przekroczyła pewną granicę, wykorzystwała ich przyjaźń i narobiła więcej szkód w ciągu godziny niż Tony przez dziesięć lat. Cholera, w porównaniu z nią Tony to amator.

Nie, Susan i Chris nigdy jej tego nie wybaczą. Czy kiedykolwiek sobie to wybaczy, będzie zależało w dużej mierze od werdyktu.

Przewodniczący popatrzył na sędziego.

— Uznajemy oskarżoną...

Ma taką poważną minę, pomyślała Vicki. I nie patrzy na Traccy. Żaden z

sędziów przysięgłych nie patrzył na Traccy, co nie było dobrym znakiem. Przepraszam, Traccy, pomyślała. Przepraszam, Barbaro. Wybacz mi.

— ...za niewinną.

— O Boże! — wyszeptała Vicki, czując, jak kolana się pod nią uginają.

— O Boże! — krzyknęła Traccy, gdy na sali zawrzało.

— O Boże! — Rzuciła się zaskoczony Vicki w objęcia.

— Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Rozbłysły światła reflektorów, kamery zaczęły pracować, a dziennikarze podsuwać Vicki mikrofony pod usta i machać jej przed nosem notatnikami i ołówkami. Ze wszystkich stron posypały się gratulacje, a Michael Rose, przepychając się przez tłum w kierunku korytarza, rzucił słowo „suka”, które poraziło ją jak jad. „Niedojda!”, chciała za nim krzyknąć, lecz zamiast tego wybuchnęła śmiechem, wiedząc, że śmiech będzie znacznie dotkliwszy. Zobaczyła, że Roń podchodzi do córki i ostrożnie otacza ją ramionami, a jego młoda żona stoi z tyłu z wyrazem konsternacji na twarzy. Traccy podziękowała wszystkim członkom ławy przysięgłych.

— Powodzenia, kochanie — mruknięło kilkoro z nich.

— Dziękuję — powtarzała raz po raz Traccy, z równym powodzeniem grając rolę triumfatorki, jaki świadka obrony.

— Bardzo dziękuję.

Dopiero po godzinie udało się Vicki uwolnić od dziennikarzy i wrócić do biura, gdzie otrzymała kolejną porcję gratulacji od wsporników i kolegów.

— Bravo! — zawołała sekretarka, wychodząc zza biurka, by uściskać swoją szefową.

Vicki miała dość tego przedstawienia. Może dlatego, że czuła się zmęczona i nie w humorze. Zazwyczaj kipiała entuzjazmem po wygranej sprawie, zwłaszcza po tak spektakularnym zwycięstwie, bezsprzecznie największym w jej karierze. Tymczasem potrafiła jedynie wydusić z siebie ciche „dziękuję” podnieconym kolegom tłoczącym się pod jej gabinetem.

— Dzwonił mąż z gratulacjami — poinformowała sekretarka, kiedy już wszyscy się rozeszli. — Prosił, żeby ci powiedzieć, że utknął na zebraniu i wróci później.

Vicki kiwnęła głową i udała, że odsuwa włosy z czoła, by ukryć cisnące się do oczu łzy rozczarowania. Chyba nie będzie płakać! Boże, naprawdę musi być zmęczona. Z drugiej strony przyjemnie byłoby dzielić zwycięstwo z kimś bliskim, a nie tylko z sekretarką. Jeżeli nie z Jeremym, toż Susan albo z Chris. Albo z Barbarą. Weszła do-gabinetu i usiadła w wielkim obrotowym fotelu. Po raz pierwszy od miesiąca pomyślała o Barbarze jak o żywej osobie. Po raz pierwszy j pozwoliła sobie na to, by zamordowana przyjaciółka stanęła jej przed oczami. Jak zwykle na tych piekielnie wysokich [obcasach, pomyślała z uśmiechem.

— Wiem, że mnie rozumiesz — szepnęła, kryjąc twarz w dłoniach, gdy po policzkach spłynęły łzy i zatrzymały się w kącikach ust.

W tym momencie rozdzwoniły się wszystkie telefony.

— Jesteś? — zawołała sekretarka.

— Nie — odkrzyknęła, ocierając niecierpliwie policzki. — Niech zostawią wiadomości.

— Co się stało? — spytał głos od strony drzwi. — Nie masz nastroju do świętowania?

Nie musiała podnosić wzroku, by wiedzieć, kto to jest.

— Susan — rzuciła obojętnym tonem. — Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

— Słyszałam nowiny przez radio. Pomyślałam, że może cię tu zastanę.

— Przypuszczam, że nie przyszłaś, by mi pogratulować.

— Wprost przeciwnie — odparła Susan. — Byłaś jak zwykle wspaniała. Nie każdy potrafi wykorzystać uprzedzenia sędziów przysięgłych i sprawić, żeby nabrały cech szlachetności.

— Według ciebie to właśnie zrobiłam?

— A jak byś to nazwała?

— Prawdą — odpowiedziała Vicki.

— Prawdą? — Susan pokręciła z niedowierzaniem głową. — Prawda jest taka, że tej nocy nic między Chris i Barbarą nie zaszło i dobrze o tym wiesz. A nie miało to nic wspólnego ze sprawą. Prawdą jest to, że bycie lesbijką nie jest równoznaczne z molestowaniem dzieci. Większość dorosłych molestujących dzieci jest normalna. Pokręcona jak cholera, ale normalna — po** e a zniżając głos, jak zwykle gdy była bardzo zdenerwowana.

Podeszła do okna i zapatrzyła się na padający

— Wiem, że nie rozumiesz...

— Czego nie rozumiem, Vicki? Werdyktu ławy przysięgłych? Mylisz się. Sędziowie przysięgli są ludźmi. Nie chce uwierzyć w to, że miła licealistka mogłaby twje; dować własną matkę bez konkretnego powodu.

i wygodniej jest zrobić potwora z matki. Dlaczego w naszym kraju nienawidzi się matek równie homoseksualistów. — Susan odwróciła się od okna i u zego spojrzenie w Vicki. — Chyba nawet rozumiem, że podjęłaś się tej sprawy.

— Dlaczego? — Vicki przyszykowała się na oskar które za chwilę miały paść. żebyś

— Możesz sobie wierzyć lub nie, ale nie sądzisz, że zrobiła to dla pieniędzy lub sławy. Zrobiłaś to, czego ze zdaniem chciałaby Barbara. I najzabawniejsze jest to, zgadzam się z tobą. Myślę, że Barbara chciałaby broniła Tracey bez względu na wszystko.

Vicki poczuła palący ucisk w piersi i uświadomił że wstrzymuje oddech.

— Rozumiesz więc, dlaczego musiałam zrobić zrobiłam.

— Nie — odparła Susan. — Nigdy tego nie

— Myślisz o Chris. — Vicki potarła czoło, wstrzymać narastający ból głowy.

— Jak ona się

— Zastanówmy się. Straciła prace z powodu e negatywnego rozgłosu i musiała wyprowadzić się z może nią. Stosunki z Montaną wróciły do punktu wyjścia na to zapomnieć o widywaniu się z dziećmi. Ale spójrzmy Q ^QZ z tej strony: bezwzględna socjopatka wyszła z tef5 szwanku. Czemu więc nie miałyby się cieszyć?

Vicki milczała, bo co mogła odpowiedzieć?

— Najdziwniejsze jest to, że Chris chyba naprawdę dobrze się miewa. Znajdzie nowe mieszkanie i nową pracę. Z czasem nawet zdoła ci wybaczyć. Znasz Chris. Jest bardzo lojalna w stosunku do przyjaciół.

Vicki poczuła, jakby wbito jej nóż w serce.

— A ty? — spytała. — Czy możesz mi wybaczyć? Tyle razem przeszliśmy.

— To prawda.

— Kocham cię—powiedziała Vicki, czując wzbierające pod powiekami łzy.

— Ja też cię kocham.

— Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Susan podeszła do drzwi gabinetu.

— Nawet się nie łudź — odpowiedziała.

Vicki była właśnie przy czwartym kieliszku wina, kiedy zabrzmiał dzwonek u drzwi.

— Rosa! — zawołała, po czym przypomniała sobie, że jej gospodyni wyszła ponad godzinę temu. Która to może być godzina? Spojrzała na zegarek, lecz z jednej ozdobionej brylantami tarczy zrobiły się dwie i nie mogła odczytać, c/y dochodzi ósma czy dziewiąta. Kto to zjawia się tak bez uprzedzenia? Zwłokła się z krzesła i poczłapała do drzwi. Pewnie to Jeremy albo któreś z dzieci. Ile razy trzeba im przypominać o kluczach? A właściwie to gdzie oni wszyscy się podziewali?

— Traccy! — powiedziała, otwierając drzwi młodej kobiecie o zaróżowionych policzkach. Co ona tu robi?

— Powinam była najpierw zadzwonić.

Traccy strząsnęła śnieg z czarnych butów, lecz najwyraźniej nie zamierzała zdjąć grubej skórzanej kurtki.

— Wszystko w porządku?

— Tak — odparła spokojnie Traccy, rozglądając się wokół. — Przeszkadzam w czymś?

Vicki zbyła jej pytanie machnięciem ręki.

— Ależ skąd. Właściwie to jestem sama. Jeremy utknął na naradzie, a dzieci są... gdzieś tam. — Zaśmiała się. Przypomniała sobie jak przez mgłę, że Josh mówił coś o treningu hokeja, a Kirsten siedziała pewnie w bibliotece.

— Napijesz się wina?

Do diabła z tym, pomyślała, wracając niepewnym krokiem do jadalni. Skoro ten dzieciak jest na tyle dorosły, żeby zabić własną matkę, to równie dobrze może się napić.

Traccy podążyła w ślad za nią.

— Lepiej nie. Prowadzę.

— Twój ojciec pozwolił ci poprowadzić swojego cennego mercedesa? — Wylała resztkę wina z butelki do kieliszka.

— Właściwie to przyjechałam samochodem mamy

— wyjaśniła Traccy i zachichotała. — Chyba należy teraz do mnie.

Vicki przełknęła łyk wina.

— Ma pani piękny dom — zauważyła Traccy.

— Co cię tu sprowadza?

Klapnęła na krzesło obciągnięte skórą w kolorze spalonej pomarańczy, omal się z nim nie rozmijając.

Traccy stanęła po drugiej stronie długiego wąskiego stołu. Wzruszyła ramionami, jakby nie była pewna, po co przyjechała do Indian Hill.

— Musiałam się przewietrzyć. W domu mojego taty panuje taki chaos. Dzieci bez przerwy krzyczą. Chyba będę musiała coś sobie znaleźć.

Vicki dopiła resztę wina.

— Co się stanie z domem? — spytała Traccy.

— Z domem?

— Z domem mamy. Czy jest mój, czy taty? Wiem, że nadal płaci raty i w ogóle.

— Nie mam pojęcia — rzuciła niecierpliwie Vicki, pragnąc jak najszybciej pozbyć się dziewczyny z domu.

— Będziesz musiała zapytać adwokata.

— Przecież pytam.

— Przykro mi, lecz to nie moja dziedzina.

Vicki wsunęła nos do kieliszka, chłonąc ciężki, piżmowy aromat. Zastanawiała się, czy nie zejść do piwnicy i nie otworzyć następnej butelki. A może walnęłaby się nią w głowę i odpłynęła w niebyt. Cokolwiek, byle przetrwać noc.

— Chyba już pójdę. — Traccy uśmiechnęła się, lecz nie ruszyła z miejsca. — Dobrze się pani czuje?

— Ja? Doskonale. Dziękuję, że pytasz.

— Bo wygląda pani, jakby...

— Jakbym się upiła? Traccy znowu zachichotała. Boże, cóż za nieznośny dźwięk.

— Traccy, czy mogłabym cię o coś spytać? — usłyszała swój głos.

— Proszę walić śmiało — odparła Traccy.

Co za niefortunny dobór słów, pomyślała Vicki, pochylając się w przód. Pokój zawirował jej przed oczami.

— Dlaczego zabiłaś matkę?

Traccy przestąpiła z nogi na nogę. A może to jej głowa się chwiała?

— Wie pani.

— Wiem to, co powiedzieliśmy sędziom przysięgłym.

— Więc zna pani powód.

— Znałam również twoją mamę.

Na zazwyczaj spokojnej twarzy Traccy pojawiło się coś na kształt znudzenia zmieszanego z konsternacją.

— Co pani ma na myśli?

— To, że tu nie ma sędziów przysięgłych — przypomniała jej Vicki. — Proces się skończył. Oskarżona została oczyszczona z zarzutu.

— I nie mogę być ponownie sądzona, tak? Bez względu na wszystko.

Vicki poczuła, że zbiera jej się na mdłości.

— Zgadza się.

Traccy wzruszyła ramionami i popatrzyła na kryształowy żyrandol wiszący nad ciemnym dębowym stołem.

— Więc ma pani rację — odparła swobodnie. — Mama nigdy mnie nie molestowała.

Pokój przechylił się gwałtownie na bok. Vicki chwyciła się brzegów krzesła, starając się utrzymać równowagę i nie krzyczeć.

— Wszystko to wymyśliłaś? Traccy znowu wzruszyła ramionami.

— No, nie wszystko. Ona zawsze mnie dotykała. Wie pani, jaka była.

— Wiem, że kochała cię ponad wszystko.

— Ja też ją kochałam.

Vicki zamknęła oczy i zobaczyła Barbarę, Susan i Chris. Dobry Boże, co ona zrobiła?

— Kochałaś ją i zabiłaś bez powodu?

— Był powód.

— Jaki? — Czy ta rozmowa ma w ogóle sens? — Bo byłaś zazdrosna o Howarda?

Traccy pokręciła przecząco głową.

— Nie o to chodziło.

— A o co?

— Nie zrozumie pani.

— Pewnie nie — zgodziła się z nią Vicki.—Ale i tak mi powiedz.

— Nie jestem pewna, czy potrafię to wyjaśnić. — Traccy odpięła górny guzik

kurtki i zaczęła się wachlować ręką, jakby chciała wpuścić trochę powietrza do płuc. — Byłyśmy tak sobie bliskie, iż czasami wydawało się, że jesteśmy jedną osobą. Tak jakbym nie istniała, gdy jej nie było w pobliżu. Wie pani, co mam na myśli?

Kiwnęła twierdząco głową, lecz prawdę powiedziawszy nie miała pojęcia, o czym Traccy mówi.

— Było tak cudownie, kiedy tata odszedł i zostałyśmy tylko my dwie. Zawsze byłyśmy razem. Ale potem poznała Howarda i wszystko się zmieniło. Nagle zaczęła mieć swoje własne życie, a ja... ja byłam niczym. Tak jakbym przestała istnieć, jakby odebrała mi oddech. I żeby go odzyskać, żeby odzyskać moje życie, musiałam ją zabić. Rozumie pani? Nie chciałam jej skrzywdzić. Chciałam tylko odzyskać własne życie.

Vicki kręciło się w głowie. Czy to, co Traccy powiedziała, ma jakiś sens?

— A teraz?—spytała. Słowa tłukły się jej po głowie. Tak jak kij, którym Traccy się posłużyła, pomyślała i zamknęła oczy. — Niczego nie czujesz? Żadnej skruchy, żadnych wyrzutów sumienia?

— Czuję ulgę — odparła Traccy po chwili wahania. O Boże!

We frontowych drzwiach zazgrzytał klucz.

— Dobry wieczór!—rozległ się głos Jeremy'ego. — Czy jest ktoś w domu?

— Tutaj jestem — zawołała Vicki, lecz nie ruszyła się z miejsca, wiedząc, że nie da rady wstać.

Traccy uśmiechnęła się.

— Muszę lecieć. Tata zacznie się martwić. Sama wyjdę. Jeszcze raz dziękuję! — dodała, gdy znalazła się w hallu. — Dobry wieczór, panie Latimer. Jak się pan miewa?

Dobrze wychowana panienska, pomyślała Vicki, słysząc za plecami, jak szafkowy zegar odmierza minuty. Stanął jej przed oczami ojciec leżący w łóżku w domu opieki i wpatrujący się w ścianę przed sobą. Czy tak właśnie spędzał noce? Licząc minuty do rana i modląc się, by spłynęła na niego nieświadomość?

— Vicki — usłyszała głos męża. Dochodził z bardzo daleka, chociaż on sam stał na wprost niej. — Dobrze się czujesz?

Zamrugnęła powiekami i wolno kiwnęła głową. Jak on staro wygląda, pomyślała.

— Traccy sprawia wrażenie szczęśliwej dziewczyny.

— A my nie możemy pozwolić, by była nieszczęśliwa. — Uniosła w górę pustą butelkę po winie. — Świętuję. Może przyniosłbyś z piwnicy następną butelkę i przyłączył się do mnie?

Jeremy uśmiechnął się ze smutkiem.

— Jakoś nie mam nastroju do świętowania, kochanie. Boże, on też?

— Miałem dziś wieczorem interesujące spotkanie. Spojrzała na niego z ciekawością. Po co jej o tym mówi?

— Z Michaelem Rosę.

O Boże! Poczowała gwałtowny ucisk żołądka.

— Spotkałeś się z Michaelem? Po co?

— Zapewniam cię, że to nie był mój pomysł. Wpadł do mojego biura, zatrzymał mnie, gdy wychodziłem, i zrobił mi niezły wykład.

— Mam nadzieję, że nie potraktowałeś tego, co mówił, poważnie. Był wściekły, zazdrosny i pewnie pijany.

— Pewnie tak — zgodził się z nią Jeremy. — Jednak brzmiało to bardzo przekonująco.

Vicki spojrzała mężowi w oczy i dostrzegła w nich ból. On wie, pomyślała. Obraziłaby go, wypierając się romansu. Czy nie dość już skrzywdziła tych, których kochała?

— To nie miało żadnego znaczenia — powiedziała, pochmurniejac szybciej, niż by chciała.

— A co ma? — spytał.

— Słucham?

— Po prostu się zastanawiam, kochanie.

Czy on chce ją zostawić? Wszyscy ją opuścili. Potrafiła przyciągnąć ich uwagę, lecz mimo całego tego teatru nie umiała ich zatrzymać.

— To był długi dzień i czuję się zmęczony — stwierdził Jeremy. — Pójdę się położyć. — Popatrzył na nią. — Idziesz?

— Za chwilę — odparła z wdzięcznością.

Potem odchyliła się na oparcie twardego krzesła i pogrążyła w nieświadomości, słuchając, jak stary zegar odmierza minuty do rana.

EPILOG

Prawie dziewięć lat minęło od śmierci Barbary, a osiem od procesu, który raz na zawsze przypieczętował nasz los. Weszliśmy w nowe stulecie, nowe milenium. Te lata minęły szybciej, niż mogłabym przypuszczać. Zaszło tyle zmian, chociaż Grand Avenue pozostała taka sama, przynajmniej z zewnątrz. Nadal tu mieszkam. Tylko ja tu zostałam.

Film dobiega końca. Wciskam automatyczne przewijanie, wsłuchując się w cichy szum kasety. Ile razy oglądałam dziś tę kasetę? Pięć? Sześć? Może więcej. Staram się nie myśleć, ile razy wracałam do niej przez te wszystkie lata. Pewnie setki. Urodziny, rocznice, tyle było tych dni między nimi. Wciąż jednak nie jestem gotowa, by pożegnać się z tymi młodymi kobietami, które kocham i których nie przestanę kochać aż do śmierci. Damy z Grand Avenue, powtarzam w myślach niczym modlitwę i patrzę, jak po raz kolejny pojawiają się na olbrzymim ekranie telewizora. Od ich śmiechu topnieje mi serce. Czy naprawdę minęły już dwadzieścia trzy lata od naszego pierwszego spotkania? Czy to możliwe? Dlaczego wciąż do tego wracam?

Słyszę dzwonek u drzwi.

— Mamo, ktoś dzwoni! — dobiega mnie głos z góry.

— Mogłabyś otworzyć, kochanie? To pewnie do ciebie. Słyszę kroki na schodach, jakby zbiegało po nich stado słoni. A to tylko dwudziestojednoletnia dziewczyna.

— Sprawdź najpierw, kto to, nim otworzysz drzwi! — wołam, lecz jest już za późno. Słyszę, że się otwierają, a potem ciche głosy zbliżające się do nowo urządzonego pokoju „medialnego” po lewej stronie hallu.

— Kto tam, skarbie? — pytam, gdy w drzwiach staje moja córka.

— Ktoś do ciebie — odpowiada z delikatnym wzruszeniem ramion. — Mówi, że cię zna.

Zatrzymuję film i patrzę, jak kobiety nieruchomieją. Nabrałam wprawy w obsłudze magnetowidu, co jest dla mnie zaskoczeniem, podobnie jak dla pozostałych członków rodziny. Właściwie to ja jedna wiem, jak go zaprogramować, by nagrał coś, gdy nie ma nas w domu lub gdy śpimy. Wiem nawet, jak nagrać coś na jednym kanale, gdy ogląda się inny, i bardzo jestem z tego dumna.

— Przedstawiła się? — pytam, bo nie chce mi się wstawać z kanapy.

Kolejne wzruszenie ramion. Podnoszę się i idę za córką do drzwi.

Całe popołudnie spędziłam w moim klimatyzowanym gabinecie za zaciągniętymi zasłonami, w pokoju oświetlonym jedynie przez ekran telewizora, i zupełnie zapomniałam, że na dworze jest słoneczny lipcowy dzień. Świeże powietrze dosłownie zbija mnie z nóg.

Stoi przed drzwiami, z twarzą częściowo ukrytą w cieniu rzucanym przez

rosnącą w pobliżu wierzbę płaczącą. Otacza ją zapach świeżych kwiatów. Dostrzegam bukiet, leżący niczym dziecko w zgięciu ramienia.

— Dzień dobry — mówi, a moje serce zamiera. Otwieram usta, by coś powiedzieć, lecz nie mogę. Cóż to za okrutny żart płata mi wyobraźnia? Czyżbym zbyt długo siedziała w ciemności i zaczynam widzieć duchy? Czyżbym przestała odróżniać fikcję od rzeczywistości?

— Pani Norman? — pyta, sprowadzając mnie na ziemię.

— Mamo. — Whitney dotyka mojego ramienia i wyczuwam troskę w tym geście.

— Chyba mnie pani nie poznaje. Jestem Montana — mówi nieznajoma niepewnym głosem.

Jest w niej jakaś nerwowość, zupełnie obca jej matce, lecz mimo to obie są prawie identyczne. Tak jakby Chris wyszła z ekranu telewizora, zmaterializowała się, obiegła dom dookoła i stanęła przede mną. Tak jakbym wcisnęła nie ten guzik i wymazała dwadzieścia trzy lata.

— Czy mogę wejść? — pyta. Cofam się, wpuszczając ją do środka.

— Montana... — mruczę, niezdolna powiedzieć nic więcej.

Uśmiecha się i zakłada za ucho gestem matki długie jasne włosy.

— Właściwie to wolę Ana — mówi. — Przez jedno en.

— Ana — powtarzam, smakując ten prosty wyraz.

— Właściwie to nigdy nie czułam się dobrze z imieniem Montana. — Patrzy na trzymane w ręku kwiaty, jakby po raz pierwszy je zobaczyła, i podsuwa w moim kierunku. — To dla pani.

— Dla mnie? Dziękuję.

— Wstawię je do wody — proponuje Whitney, wyczuwając moją niezdolność do jakiegokolwiek ruchu. — Może przejdziecie do salonu. — Wskazuje kierunek, jakbym zapomniała.

Posłusznie prowadzę Montanę, czy raczej Anę, do zalanego słońcem pokoju na tyłach domu. Z kuchni dochodzi szum wody.

— Ma pani śliczny dom — mówi Ana, siadając na brzegu jednego z dwóch wyściełanych materiałem w kwiaty foteli, stojących przed nieużywanym czarnym, marmurowym kominkiem.

Jakoś nigdy ani Owen, ani ja nie interesowaliśmy się kominkami, co nagle wydaje mi się dziwne. Wyglądamy na ludzi, którzy lubią wrzucić kilka kawałków drewna do kominka i rozkoszować się ciepłym blaskiem ognia. Obrazek jest uroczy, ale rzeczywistość zbyt skomplikowana. Żadne z nas nie miałyby ochoty się tym zajmować. Wygodniej jest podkreślić ogrzewanie.

Jak często rzeczy są tym, czym się wydają? — myślę i waham się między bujanym fotelem a różową kanapą.

W końcu wybieram kanapę. Musi minąć chwila, nim odnajdę wygodną

pozycję.

— Może się czegoś napijesz? Wody? Lemoniady?

— Nie, dziękuję.

Chwilę później wchodzi Whitney z ładnie ułożonymi kwiatami w kryształowym wazonie i stawia go na stoliku ze szklanym blatem, stojącym na wprost kanapy.

— Jeśli pozwolicie, pójdę na górę.

Patrzy w sufit, jakby to wystarczało za całe wyjaśnienie.

— Miło było cię znowu zobaczyć — mówi Ana do wychodzącej Whitney i dodaje, zniżając głos: — Nie mogę uwierzyć, że jest już taka dorosła.

Kiwam głową. Ja też nie mogę w to uwierzyć, chociaż dziwię się, że Montana pamięta moją młodszą córkę. Tak dawno jej nie widziała.

— Kończy w tym roku szkołę.

Ana kręci w zdumieniu głową, co raczej pasowałoby kobietom o dziesięć lat od niej starszym. Ma dopiero dwadzieścia pięć lat i jest zbyt młoda, by uświadamiać sobie upływ czasu.

— Na jaki uniwersytet się wybiera?

— Duke'a.

— Tam gdzie Ariel?

— Ariel nie poszła na studia—odpowiadam, starając się ukryć smutek w głosie. Wciąż nie mogę przeboleć, że moja starsza córka zrezygnowała ze studiów, wyszła za mąż za nowoczesnego farmera i przeprowadziła się na jego ranczo pod Casper w stanie Wyoming. W grudniu ma się urodzić mój pierwszy wnuk. — To dziwne — słyszę swój głos. — Spędziłam pół życia na zdobywaniu magisterium. Uchodzę za kogoś w rodzaju autorytetu w sprawach kobiet. Jeżdżę z odczytami po całym kraju. Piszę nawet książkę... — Urwałam. Co tę młodą dziewczynę mogą obchodzić sprawy starzejącej się kobiety? — Tymczasem moja córka — ciągnę mimo wszystko — ze wszystkiego tego rezygnuje i uważa za romantyczne chodzenie boso i rodzenie dzieci.

— Może jeszcze wrócić na studia.

— Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

— Pani wróciła — przypomina mi.

— Masz rację—uśmiecham się i już mi lepiej.—Zresztą i tak nic nie można na to poradzić. To jej życie. Sama musi je przeżyć.

— Da sobie radę—mówi Ana z takim przekonaniem, że zaczynani jej wierzyć. —Podobno Vicki stała się prawdziwą gwiazdą — dodaje.

Poważnieję.

— Nie dziwi mnie to.

— Ogląda pani jej program?

Kręcę przecząco głową. Przed czterema laty Vicki przeprowadziła się z rodziną do Los Angeles, a niedawno została gwiazdą Wokandy i znalazła się na liście

pięćdziesięciu najpiękniejszych ludzi na świecie magazynu „People”. W artykule na jej temat napisano, że ostatnio odnalazła matkę. Zamieszczono nawet ich wspólną fotografię. Mimo że była bardzo mała, bez trudu można było zauważyć podobieństwa między nimi. Obie miały te same pociągłe twarze i świdrujące spojrzenia. Vicki obejmowała na zdjęciu matkę ramieniem, lecz ja nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że podświadomie stara się ją zatrzymać przy sobie, by znowu jej nie uciekła. Owen twierdzi, że przesadzam, i pewnie ma rację. Tak czy owak mam nadzieję, że ich ponowne połączenie jest spełnieniem pragnień Vicki i że matka nie zawiodła jej nadziei. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Vicki i życzyć jej szczęścia, lecz w końcu zrezygnowałam. Pewne rany nie chcą się zbliznić.

— A co słyhać u Traccy? — pyta Ana. — Czy kontaktuje się z panią?

— Dzięki Bogu, nie. Słyszałam, że gra w jakiejś sztuce na off-Broadwayu. — Milknę, uświadamiając sobie ironię losu. — A co u ciebie? Co cię sprowadza do Cincinnati? Chyba nie powiesz, że znudziła cię francuska kuchnia?

Uśmiech Chris promieniuje z twarzy jej córki.

— Nie. Paryż jest wspaniały. Nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. W dodatku poznałam kogoś... — Urywa. Słowa unoszą się w powietrze jak dym z papierosa. Przewraca oczami i śmieje się.

— Widziałaś się z ojcem? Marszczy czoło.

— Przyjechałam odwiedzić braci.

— Jak oni się miewają?

— W porządku. Zresztą trudno powiedzieć. Wie pani, jacy są chłopcy, niewiele mówią.

— Nie widziałam Tony'ego od lat—mówię, bardziej do siebie niż do dziewczyny, którą niegdyś znałam jako Montanę.

— Nie zmienił się. W zeszłym roku miał wypadek samochodowy. Dzięki temu trochę zwolnił. Kuleje, lecz mimo to... — Urywa i wciąga głęboko powietrze w płuca. — Proszę mi powiedzieć o mamie — mówi cicho.

Zamykam oczy, ponownie je otwieram i na miejscu córki widzę Chris. Co mam jej powiedzieć?

— Co chciałabyś wiedzieć?

Ana patrzy w sufit, jakby pragnęła powstrzymać łzy.

— Wszystko — mówi.

Kręcę głową, czując gniew z powodu jeszcze jednej gorzkiej ironii losu.

— Jakies trzy lata temu odkryłam w piersi guzek — zaczynam, czując strach towarzyszący tamtej chwili. — Moja matka zmarła na raka piersi. Nie wiem, czy to pamiętasz.

Ana kiwa z szacunkiem głową.

— Lekarz kazał mi zrobić mammografię. Byłam przerażona. Twoja matka

zaofiarowała się, że pójdzie ze mną, a potem postanowiła, że też zrobi sobie mammografię. Mój guzek okazał się niegroźną cystą...

— Moja matka nie miała tyle szczęścia — szepcze Ana.

— Wszystko potoczyło się bardzo szybko. W niecałe dwa lata już jej nie było. Ana tłumi w sobie płacz.

— Nie miałam pojęcia, że była chora.

— Próbowaliśmy się z tobą skontaktować, lecz twój ojciec dał nam zły adres.

Nasze listy wracały.

— Drań — mruczy pod nosem Ana. — Zadzwoił do mnie dopiero po jej śmierci. — Wstaje, lecz nie rusza się z miejsca. — Właściwie to nie mogę go za to winić. To ja postanowiłam wyrzucić ją ze swojego życia, to ja postanowiłam wyjechać do Europy.

— Byłaś zagubioną młodą dziewczyną.

— Byłam egoistycznym bachorem!

— Nie — odpowiadam, pragnąc ją przytulić, lecz boję się przekroczyć niewidzialną granicę między nami. — Nie możesz się obwiniać. Twoja mama cię kochała. Była z ciebie taka dumna.

— Dlaczego? Co takiego zrobiłam, by zasługiwać na jej dumę?

— Byłaś jej córką.

— Czy to wystarczy?

Nagle pojawia się przede mną twarz Ariel: najpierw widzę ją jako zazdrosną dziewczynkę, potem zbuntowaną nastolatkę, na koniec zmienia się w młodą żonę oczekującą dziecka.

— Tak — mówię cicho. — To wystarczy. Ana ociera łzę z policzka i ponownie siada.

— Proszę mi opowiedzieć o tych dwóch latach — mówi. — Czy cierpiała? Czy była sama?

— Nie cierpiała — odpowiadam z przekonaniem. — Miała wspaniałych lekarzy. Robili wszystko, by zminimalizować ból. Nie była też sama. Jej przyjaciółka Donna była przy niej.

— To ta kobieta, z którą mieszkała?

— Poznała ją, gdy pracowała dla Emily Hallendale. Donna to urocza kobieta — dodaję. — Polubiłabyś ją.

— Ma pani może numer jej telefonu? Kiwam głową.

— W kuchni. Zaraz ci go przyniosę.

— Dziękuję.

Mija trochę czasu, nim udaje mi się znaleźć numer Donny. Szuflada pełna jest najróżniejszych kartek i starych gazetowych wycinków. Jest oczywiście notatnik z telefonami, lecz nieaktualny. Od lat nie zanotowałam w nim żadnego numeru. Dlatego muszę przejrzeć każdą kopertę, każdą wizytówkę, by znaleźć aktualny

adres Donny i jej numer telefonu. Ku mojemu zaskoczeniu wizytówka leży prawie na samym wierzchu. Nie zauważyłam jej przy pierwszym przeglądaniu. Ściskam ją w dłoni i wracam do salonu.

Any tam nie ma.

Biegnę w panice do drzwi. Czyżby już wyszła? Może zdążę ją dogonić... I wtedy słyszę jej cichy płacz. Idę w tamtym kierunku, wiedząc, gdzie ją zastanę.

Stoi w drzwiach mojego gabinetu, który zmienił się teraz w pokój projekcyjny, z zestawem komputerowym, wieżą stereo, odtwarzaczem kompaktowym, głośnikami i wielkim ekranem. Wpatruje się w matkę zaledwie o kilka lat starszą od niej samej. Wchodzę za nią do pokoju, wciskam start i patrzę, jak kobiety wracają do życia. Kamera przesuwa się od Chris do Barbary i do Vicki. Twarz Barbary wypełnia ekran, gdy sięga po kamerę, kieruje ją na mnie, a potem na Chris, która stara się utrzymać przy sobie Montanę.

Ana patrzy, jak mała kopie gniewnie matkę po nogach i zsuwa jej się z kolan z twarzą zalaną łzami, jak teraz Ana. Chris wyciąga ku niej ręce i czeka cierpliwie, by córka do niej wróciła. Lecz Montana nie reaguje na jej prośby, uparcie pozostaje poza zasięgiem kamery.

— Chodź do mnie, słoneczko — prosi Chris. — Bądź grzeczną dziewczynką. Chodź do mamusi.

— Och! — Z ust Any wyrywa się westchnienie. Unosi ręce jak za pociągnięciem sznurka i idzie chwiejnie w stronę ekranu. Wiedziona instynktem zatrzymuję obraz i patrzę, jak Montana wraca w stęsknione objęcia matki.

Tak długo na to czekała, myślę, podchodzę cicho i przejmując rolę Chris, biorę jej córkę w ramiona. Czuję, jak Ana rozluźnia się i przytula do mnie. Płacemy razem, tuląc do siebie wspomnienie i pocieszając się nawzajem.

Jeżeli życie składa się z wyborów, jak powiedziała kiedyś moja matka, to zbyt dużo czasu poświęcamy na ich opłakiwanie, zbyt dużo czasu marnujemy na żal. Z przeszłością nic się nie da zrobić, można jedynie się z nią pogodzić. Przeszło, minęło i na tym koniec.

Teraz, kiedy już nie jestem młodą kobietą, która śmieje się do mnie z ekranu, wiem, że ona nie zniknęła zupełnie, że nadal jest częścią mnie. Czasami widzę, jak mruga do mnie, kiedy patrzę w lustro. Czasami czuję, jak prostuje mi łopatki, kiedy się garbię. Popycha mi palce, gdy piszę, wybiera słowa, które wypowiadam. Jest głosem mojej młodości, tym wszystkim, co jest dla mnie drogie, co zachowałam w sercu, i ciągle szepcze mi do ucha. Jest moją przyjaciółką.

Kto mówi, że życie ma jakiś sens, że powinno się przed nami wytłumaczyć? Może nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość. Może nigdy nie zaznam spokoju i nigdy nie znajdę rozwiązania.

Lecz pozostaje nadzieja, myślę, tuląc do siebie Anę i wszystko, co minęło i co dopiero będzie. I miłość.

